

**Fantastyka** NAJLEPSZE KSIĄŻKI NA ŚWIECIE  
PRAWDOPODOBNI



# PODRÓŻ TURILA

Michael Marcus Thurner

Prószyński i S-ka

Michaël Marcus Thurner

# PODRÓŻ TURILA

*Turils reise*

Przełożyli  
Katarzyna i Michaël Sowa



# 1. NAJAZD

Zituyn wyciągnął właśnie swoje korzenie, żeby zeszkrobać z nich warstwę dokuczliwych pasożytów, kiedy coś z łomotem uderzyło o ziemię. Impet, gwałtowny wstrząs i podmuch ciepłego powietrza o mało nie powaliły go z odnóży Coś?!

Zituyn był zwykłym korzeniowym kopalniakiem i nie rozumiał zbyt wiele z bałaganu wielkiego dalekiego świata. Pracował dniami i nocami, aby zapewnić sobie i swojej rodzinie jako taki standard życia, a raz w roku móc pobyc w uzdrowisku i zażyć kąpieli na grzędawiskach Twarocha. A to tutaj – hałas, wzniecone tumany ziemnego pyłu i przeczucie obecności czegoś obcego, wwiercającego się w opokę jego bytu – irytowało.

Zostawił robaki w spokoju i niezdecydowanym krokiem podszedł do miejsca uderzenia. Znajdowało się w samym środku jego plantacji. W powietrzu fruwały masy suchego piachu, osadzając się powoli na jego gałęziowych bruzdach i wnikaając w najmniejsze nawet zakamarki ciała. Ale zaraz zadął wschodni wiatr, który zmiotł kotłujący się pył, ukazując zarys obcego obiektu. Była nim prostokątna, połyskująca, o grubości korzenia płyta z białym tłoczeniem na miedzianoczerwonej powierzchni. Biło od niej gorąco; wokół jej ostrych obrzeży pełgały języki ognia. Nie oszczędziły pnących pędów jego ovenchunków i liści tych smakowitych jarzyn.

– Co, na korzenność boską...!

Klnąc na czym świat stoi, Zituyn biczował ziemię w miejscu pożaru, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się płomieni. Nie było to łatwe; buchający z płyty żar odczuwał w najdrobniejszym listkowym nerwie.

– Funtarin! Epeskoar! Ditrik! – zawołał, jednak nie pojawił się żaden ze żniwiarzy. Z pewnością cała trójka chłodziła teraz swoje gałęzioramiona w pobliskim bajorku, zamiast oddawać się pracy. Musiał zająć się tym dramatem samodzielnie.

Skwar stopniowo ustępował. Zituyn ostrożnie podszedł bliżej i zapukał w metal. Zobaczył na powierzchni swoje odbicie, nieco

pofałdowane i zniekształcone, które powielalo jego ruchy. Z kilkusekundowym opóźnieniem.

Cofnął się, wystraszony. To coś pochodziło z kosmosu! Słyszał, że niektóre kosmiczne pojazdy otacza cienka warstwa czasowej dylatacji, a do woscyłowania się w terażniejszość planetarnego anturażu potrzebowały kilku chwil.

Dotknął tego. Czy istniało niebezpieczeństwo... jakiejś infekcji?

Zituyn koniecznie potrzebował kogoś, kto mógłby mu powiedzieć, co trzeba zrobić. Teraz, natychmiast. Zanim zrobi jakiś błąd. Zapisał swój korzeń główny głęboko w ziemię, tak głęboko, że wyczuł włókno starej, lecz mimo wszystko jeszcze wzorowo funkcjonującej, sieci informacyjnej. Przeniknęły go łagodne wibracje. System nie był zbyt przeciążony, więc wiadomość Zituyna została wysłana bezzwłocznie.

Metalowy przedmiot zaczął się otwierać.

Najpierw odskoczyła jedna płytką, na pierwszy rzut oka cieńsza niż liść, na bok, z prawej strony. Z takim impetem, jak gdyby ważyła więcej niż stalowy dźwigar. Kolejna upadła z lewej, następna w kierunku Zituyna. Pojedyncze elementy osłony rozkładały się jak płatki kwiatu, coraz szybciej i szybciej, aż wokół pierwotnego prostopadłościanu powstało obszerne metalowe pole. Jego części przylegały do siebie tak dokładnie, że nie można było dostrzec między nimi żadnego odstępu. Wydawało się jednak, że wyjściowy kształt nie stracił nic ze swojej substancji.

Strach Zituyna przerodził się w panikę. Zmuszony był się wycofać, inaczej zostałby przywalony metalowymi płytami. Napiął korzenioramiona, wyteżył swój korzeniowy wzrok i udało mu się zdążyć na czas. Pędził jak szalony, aż znalazł się w końcu poza kamienną granicą ovenchunkowego poletka. Płyty uderzały w skalne bloki, miażdżąc je na proch. Zituyn gnał przed siebie ile sił w korzeniach.

Po pewnym czasie za jego plecami zapanował spokój. Przebiegł jeszcze kawałek, zanim odważył się zatrzymać, i niezwłocznie przefiltrował przez otwory chłonne potrzebną mu dawkę tlenu. Zebrał się na odwagę i się odwrócił. Przed nim rozpościerała się

metalowa lśniąca płaszczyzna w kolorze ponurej czerwieni, o powierzchni hektara z okładem.

Panującą ciszę dałoby się kroić nożem. Żaden ptak nie odważył się zaświergotać, wiosenne roje muszek owocowych, największa zmora plantacji Zituyna, też zdążyły się już ulotnić. Pod nogami kopalniak poczuł odnogi systemu korzeniowego należącego do grupy drzew, która osiedliła się za najbliższym wzgórzem. Przyjaciele zza miedzy znieruchomieli, popadli w pewien rodzaj stazy, nie przyjmowali z gleby pożywienia. Nagły spokój wzbudził u Zituyna lęk większy niż wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Nawet odwieczny wiatr przeobraził się w matowy, ledwie słyszalny szelest.

Z samego środka metalowego pola poczęła wynurzać się jakaś sylwetka. Humanoidalne ciało opływała substancja podobna do rtęci. Postać rosła w oczach, wschodziła na powierzchni metalu niczym roślina, drwiąc sobie z praw przyrody. Z niczego powstało coś – bulwiasty obiekt, podobny do kiełka ovenchunka.

Zituyn obserwował to zjawisko ze zdrętwiałymi ze strachu gałęziami. Zdawał sobie sprawę, że powinien podnieść alarm, jednak zabrakło mu sił. Z grudy, która akurat zaczęła się uwalniać spod rtęciowej powłoki, wystrzeliła wiązka unieruchamiających go promieni. Owa istota zmuszała go po prostu do pozostawania w bezruchu. Zituyn stał niczym sparaliżowany. Wszelkie drgnienie, wszelka sensowna myśl były niedozwolone.

Przypominająca gazę skóra opadła, jednocząc się z tajemniczym metalem. Twór zachwiał się lekko. Otrząsnął przeredzone futro z wilgoci, postawił ostrożnie kilka kroków, poruszając głową we wszystkich kierunkach. Sprawiał wrażenie przysadzistego i muskularnego, emanował arogancją i agresją.

W pierwszej chwili zignorował kopalniaka. Wyglądało na to, że węszy za czymś innym. Jego naznaczony głębokimi nacięciami nos wystawał spomiędzy dwojga wybałuszonych krwistoczerwonych oczu. Wdechom i wydechom istoty towarzyszyło dziwne charczenie, jak gdyby brakowało jej dostatecznej ilości tlenu. Ociężałe stawiała kroki, których odgłos wzmagały metalowe płyty. Skinieniem szponiastej dłoni przywołała okrągły przedmiot. Był to pulpit

błyskający jaskrawymi przełącznikami, ponad którymi szybko wirowało coś w rodzaju parabolicznej anteny.

Muszę stąd uciec, pomyślał Zituyn. Teraz. Póki mnie jeszcze nie widzi, póki nie zwraca na mnie uwagi.

Z wysiłkiem wyciągnął z gleby swoje korzenie, starając się pokonać przeklęty skurcz w członkach. Serce, wspomagane energią z fotosyntezy, pompowało krew w każdy zakamarek jego zahartowanego przez lata ciężkiej pracy ciała. Udało mu się postawić krok, a potem jeszcze jeden. Musi przedostać się za wybrzuszenie terenu przesłaniające widok na jego zagrodę. Tam będzie się mógł rzucić się na ziemię. Będzie poza zasięgiem tej okropnej istoty. Będzie mógł przywołać pomoc.

Trzeci i czwarty krok. Tylko nie patrzeć w stronę nieznanego... Nie poddać się wpływowi jego jaźni... Oddalać się, coraz bardziej się oddalać...

Rozległ się dźwięk.

Przenikliwy, wzbudzający trwogę. Zituyna nagle opuściła odwaga. Ponownie zapuścił korzenie w żyzną słodkawą glebę, nadającą się pierwszorzędnie pod uprawę wszelkich warzyw. Zaczepił je o podziemne kamienie. Był zbyt słaby, aby jeszcze raz spróbować dosięgnąć sieci.

– ...ój!

Znany mu już koszmarny dźwięk zwerbalizował się i Zituyn zrozumiał skierowane do niego polecenie.

– Stój!

Rozkaz. Któremu nie potrafił się przeciwstawić.

Nie odważył się podnieść wzroku. Skoncentrował się na leżącej obok grudce ziemi. Na swojej ziemi, na sensie i celu swojego życia. Jeśli dotykał ziemnego gruntu, a nie tego wstrętnego sztucznego podłoża, wszystko było jeszcze w porządku.

Twór opuścił dziwaczną metalową powierzchnię i stanął na ziemi. Dla Zituyna takie dotknięcie opoki Domiendramu równało się karygodnemu świętokradztwu.

– Patrz na mnie! – powiedział bezkorzeniowiec.

Zituyn nie znalazł naprędce żadnego wypróbowanego środka, za pomocą którego mógłby oprzeć się rozkazowi. Podniósł swój konar

zmysłów i spojrzął w potworną twarz przybysza, zdominowaną przez usta z licznymi rzędami spiralnych, sięgających głęboko w otchłań gardła zębów. Każde charczące tchnienie nadymało pomiędzy nimi cienkie membrany z miękkiej tkanki.

– Jest tutaj! – stwierdził nieznajomy. – Gdzie?

Co za dziwne i głupie pytanie?

– Nie wiem, o co ci chodzi...

Istota stojąca przed kopalniakiem wydobyła z za pasa okalającego biodra jakiś pręt, zwieńczony na jednym z końców wiązką cienkich rzemyków. Błyszczały w promieniach spokojnego wiosennego słońca. Obcy wznosił go ponad głowę, a następnie z całej siły zamachnął się, uderzając Zituyna w jego lewe odnoże. Rozległ się wyraźny świst.

Drzewiaste ciało rozłamało się, poszło w rozsypkę. Zituyn upadł na bok. Z otwartej rany wypłynęła żywiczna krew. Ból był nie do zniesienia. Zawładnął całym ciałem kopalniaka, pozbawił się, nie pozwolił krzyknąć. Wiązka rzemieni, przewodząca elektryczne impulsy, z łatwością rozcięła ciało, jak gdyby składało się ono wyłącznie z suchych gałązek.

– Gdzie to jest? – powtórzył włochacz.

Zituyn nie był w stanie dać jakiegokolwiek odpowiedzi. Leżał na szczątkach czegoś, co kiedyś nazywał swoją nogą, i nie chciał uwierzyć w to, co mu się właśnie przydarzyło.

Nowe uderzenie. Od pnia odpadło kilka gałęzi, ponownie trysnęła krew. Już wiedział, że jest stracony. Członkowie jego społeczności byli raczej odporni; niewielu drapieżnikom wśród zwierząt czy roślin udawało się przedostać przez korę i wgryźć w położony pod nią miąższ mięśni. Ale wystarczała otwarta rana, żeby mała utrata krwi oznaczała koniec. O ile nie udawało się natychmiast założyć opatrunku.

– Gdzie jest?

Po raz trzeci to samo bezsensowne pytanie. Obcy chyba nawet nie liczył na odpowiedź. Pochylił się nad Zituynem, wymacał swoimi wiotkimi palcami skraj rozciętej tkanki i ścisnął wystające końcówki nerwów. Graniczący z obłędem ból spowodował, że kopalniak nie zapanował nad zwieraczami. Ziemia wokół

zwilgotniała, nastąpiły ostatnie skurcze korzeni. Ostatnią siłą woli Zituyn zaczeplił się nimi o podziemną skałę. Jeszcze przez chwilę przytrzymał się życia, ostatni raz poczuć jeszcze siebie samego!

– Odnajdziemy – usłyszał głos swego mordercy. – Znajdziemy to. Tym razem tak. Z pewnością.

Zmysły Zituyna stopniowo odmawiały posłuszeństwa, jedynie wzrok funkcjonował jeszcze jako tako. Włochacz spojrział na niego po raz ostatni. Po czym odwrócił się i skierował z powrotem w stronę metalowej powierzchni, z której dopiero przed kilkoma chwilami się wyłonił. Na pokonanego kopalniaka nie zwracał uwagi.

W Zituynie natomiast wzbierała złość. Dźwignął się z trudem, zbierając resztki sił, zdumiony faktem, że jeszcze tyle ich posiada. W ten sposób nie zakończy żywota, o nie! Wyciągnął z ziemi najdłuższy ze swoich korzeni i zamachnąwszy się z całej siły, dzielił nim swojego przeciwnika po plecach. Włochata, najwyraźniej napięta do granic możliwości, skóra pękła z jękiem. Krew chlusnęła na wszystkie strony. Z boku intruza wydostały się na zewnątrz trzewia, zielone i śmierdzące, oraz dziwny przedmiot. Coś o kształcie niewielkiej butli, otoczonej siatką, w której wnętrzu znajdował się obiekt sprawiający wrażenie, jakby się skurczył.

Zituyn nie był w stanie jasno ocenić sytuacji. Widział, ale nie pojmował. Jego własna nadchodząca śmierć wydała mu się taka... Taka niesprawiedliwa i pozbawiona wszelkiego sensu! Czego szukał ten stwór na Domiendramie? Dlaczego zabijał bez podstaw? Dlaczego niektóre jego organy zamknięte były w jakiejś dziwacznej butli, niczym zawekowane owoce?

Włochacz przyjrzał się ranie. Najspokojniej w świecie, jak gdyby w ogóle go nie obchodziła. Wtem jednym ruchem wyrwał butlę, ciągle jeszcze połączoną z resztą ciała, i wepchnął ją do plecaka. Rozlała się kolejna struga posoki, ciemnej i gęstej. Po krótkiej chwili upływ krwi ustał samoczynnie, tworząc wzdłuż tułowia i uda intruza napęczniałą skorupę.

Obcy oddychał ciężko; odwrócił się w stronę Zituyna. Błyskawicznym ruchem chwycił go za wijące się gałęzioramię, wyrwał je z pnia bez trudu i odrzucił na bok.



Ten ból nie wydał się już Zituynowi nie do zniesienia. Stanowił jedynie dodatkową falę w oceanie męki, po którym kopalniak dryfował bez celu. O wiele gorsze były mdłości. Chciał zwymiotować, ale nie miał już na to siły ani woli.

Strach przed okrutnym wrogiem nie miał już nad nim władzy. Zituyn z utęsknieniem oczekiwał spokoju, zagłębienia się w ukochanej glebie. Jego ciało stanie się nawozem, wkrótce odda ziemi to, co latami od niej przyjmował. Po nim nadejdzie ktoś inny. Będzie kontynuował jego dzieło... Wyhoduje nową generację warzyw liściastych.

Włochacz nie zwracał już na niego uwagi. Znajdował się teraz tuż przy metalowych płytach, które podlegały kolejnej metamorfozie, tworząc zupełnie nową jakość. Boczne ściany strzelały w górę, coraz szybciej i szybciej, w tempie jak podczas pierwszej przemiany. Powstawała budowla, prostopadłościenna bryła, o brzegach i rogach ostrych jak brzytwa. Ta dziwaczna konstrukcja pięła się w zawrotnym tempie w stronę powoli ciemniejącego nieba.

Zituyn obserwował swego mordercę, oczekującego przed ostatnią pozostałą bramą obiektu, z malejącym zainteresowaniem. We wnętrzu budowli, na podłodze, dostrzec można było kolejne zmarszczenia, jakby ktoś dotknął powierzchni rtęci. One również stawały się po chwili żywymi istotami, których świszczący oddech słyszalny był z daleka. Gdy tylko odrastały od podłogi, wydostawały się przez wyjście na zewnątrz, dołączając do poprzedników.

Rozmawiały, a Zituyn starał się pochwycić jakieś zrozumiałe słowa. Ale dobiegające go szelesty i posykiwania nie miały nic wspólnego z jakimkolwiek znanym mu językiem.

Zakasał, a z jego ust wydostał się ciemnozielony śluz. Niebo nadal było zaciągnięte ciemnością; chmury nadchodziły z południa. Odgłosy grzmotów towarzyszyły pierwszym błyskawicom, ozdabiającym firmament przerażającym, choć pięknym wzorem.

Z Zituyna nieodwołalnie uchodziło życie. Tracił świadomość, plątały mu się wspomnienia ze spełnionego, lecz zbyt krótkiego

życia.

Wraz z nimi, gdzieś z zakamarków podświadomości, powróciła zarejestrowana dawno temu informacja. Chodziło o pewną populację włóczęgów Łysego Wora, nazywanych powszechnie Kitarami. Jej przedstawiciele pojawiali się znienacka, paląc i niszcząc, niesieni niesamowitą wściekłością, która była chyba ich jedyną motywacją. W ogniu Kitarów kończyły swą egzystencję miasta, kontynenty, planety, a nawet całe układy słoneczne.

Zaczynała się burza. Ciężkie krople spadły na Zituyna, przynosząc mu odrobinę ulgi. Jego palcokiełki wyczuły we wnętrzu ziemi nowe życie. Bycie świadkiem powstania nowego cyklu wydało mu się pocieszające. Wszystko się kończy, ale i wszystko zaczyna się na nowo.

Czyżby?

Konstrukcja Kitarów była ukończona. Znikała wysoko w niebie, przesłaniając Zituynowi niemal cały horyzont. Wychodziły z niej anteny, niczym przeolbrzymie igły. Przyciągały błyskawice rozświetlające czerwone ściany budowli. Wyładowaniami energii delektowało się co najmniej dwadzieścia obcych istot. Ich ciała rozjarzały się i gasły, co jakiś czas słychać było mimowolnie pojękiwania. Poddawali się wpływowi burzy z dziwnym pomieszaniem lubieżności i wstrętu.

Serce Zituyna nie chciało przestać bić. Dlaczego zmuszony był oglądać to wszystko? Dlaczego śmierć nie chciała go zabrać z tego świata i uwolnić od cierpienia?

Zaczął bełkotać starą modlitewną mantrę. Słowa, dawno temu wyrugowane z pamięci, zapomniane, dodawały otuchy...

Ponad nim zionął żarem wystrzelony promień. Spalił drzewa, wzgórze, znajdujące się za nim domy, stopił skały i kamienie. Porośnięta niegdyś bujnie kraina stała się w jednej chwili kupą żużlu i popiołu, na której nic już więcej nie urośnie...

Zituyn umarł w poczuciu, że Kitarzy opuścili okolicę. Lecz oni odeszli, aby dokonać dzieła zniszczenia Domiendramu. Wszystkie cykle życiowe planety czekał nieuchronny koniec.

## 2. DZIEŃ WCZEŚNIEJ: WYRO CZNIA

Martwy Władca zwrócił się do Turila. Jego Chwalebność Pramain Bożyszczy zacisnął szczęki; miażdżący odgłos wytworzył dźwięki, które przy odrobinie fantazji można by zakwalifikować jako elementy komunikatywnego języka.

– Uspokaja mnie to, że ceremonia zabicia mnie spoczywa w rękach tak doświadczonego tanatologa – powiedział Bożyszczy. – Kres mojego żywota nie oznacza li tylko chwalebnego końca mej egzystencji, lecz również zaczątek nowego cyklu życia. Dla dostojnych dam dworu, dla ludu mego, dla całego Domiendramu.

Grabarz się uklonił.

– Wasza Chwalebność, pochwała z tak szacownych ust jest dla mnie pokrzepieniem, którym rzadko dane jest mi się delektować – odparł, w myśl ceremonii. – Dołożę wszelkich starań, by Waszą śmierć zainscenizować dokładnie według zasad etykiety.

Wycofywał się powoli, z opuszczoną głową. Kroczek za kroczkiem oddalał się od Bożyszczego. Starał się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z jego drugim obliczem, ową tłustą krągłością, którą tamten sobie przypiął do pasa i której winien był absolutną szczerłość. Wyrażała ona emocje władcy za pomocą prostych emotikonów. Z całą pewnością odzwierciedlała teraz strach, niechęć i wstręt, bo słowa Pramaina nie były niczym innym, jak wierutnym kłamstwem. Domiendraminowie znani byli ze swojego lęku przed śmiercią, a Bożyszczy nie stanowił wśród nich wyjątku.

Władcę otaczało czterdzieści sześć dam dworu, troszczących się o jego dobre samopoczucie. Z całym oddaniem masowały jego zakorzenione w gliniastym podłożu odnóża, śpiewały upajające pieśni, wyszukując słowa, które schlebiałyby jego próżności. Władca oddawał się tej błogiej terapii, wydając pomruki zadowolenia. Głowa powoli opadała mu do tyłu. Podkurczył żyłaste gałęzioramiona i przybierał embrionalną pozycję do snu.

Za Turilem zamknęły się wahadłowe drzwi. Tanatolog przywołał w pamięci przebieg zakończenia dworskiego ceremoniału i zastygł

skulony w bezruchu na kilka chwil. Dopiero potem wyprostował się, rozciągając obolałe plecy.

– Jego Chwalebność zgadza się na wszystkie twoje żądania – powiedział zasuszony dworzanin, wyrastając obok niego znienacka.

– Każdy środek służący do wypełnienia aktu zostanie ci udostępniony, tak szybko, jak to tylko możliwe. Do tego czasu chcielibyśmy cię prosić, abyś zwiedził naszą krainę, nasze miasto. Z pewnością znajdziesz tam inspirację do ramówki zabijania, jeśli tylko wieszasz się w tłum i poznasz gruntownie życie na Domiendramie.

– Dziękuję ci za cenną radę. – Turil skinął głową w kierunku rozmówcy. Jego prośba była w istocie poleceniem. Rozkazem. – Byłbym ci wdzięczny, gdybyś mógł mi wskazać jakiegoś dobrze obeznanego z okolicą przewodnika.

– Będzie ci towarzyszyć świeżo wykluta Iskierka. – Dworzanin wskazał dłonią na małą świecącą istotę, która właśnie oderwała się od swojego macierzystego światła i podfrunęła w stronę Turila, machając filigranowymi ramionkami. – Ona już wie o twoich potrzebach i opowie ci wszystko, o czym musisz wiedzieć.

– Jesteś nad wyraz uprzejmy. – Kłamstwa i pochlebstwa stanowiły nieodzowną część turilowego życia, nie tylko w obcowaniu z klientami. Tanatolog nie przepadał za Iskierkami. Miały one zbyt wiele wolnej woli i były zbyt egoistyczne. Mimo wszystko wykonał coś w rodzaju ostatniego ukłonu w stronę sali tronowej, zanim nie odwrócił się bokiem i nie oddalił. Przeszedł obok otulonych fantazyjnymi okryciami dworaków, w tej chwili sprawiających wrażenie bardzo zajętych zapisywaniem pożółkłych woskowych liści niezwykle ważnymi notatkami, i wyszedł z najstarszej części dworzyszczka. Najpierw stawiał kroki po martwym przegniłym drewnie, potem po kamienistym podłożu, aż w końcu po wygodnie miękkiej wykładzinie. Domiendramowa straż oczekiwała go na końcu długiego korytarza. Poddano go nadzwyczaj dokładnej kontroli osobistej, podobnie jak w chwili przybycia, nie okazując przy tym nawet krzty szacunku, jaki mu się należał.

Turil pominął to wszystko milczeniem. Obserwował, sondował, zbierał wrażenia, włączając to do całościowego obrazu planety, na

który składało się wszystko to, co do tej pory widział i słyszał.

– Prosimy cię o wybaczenie – jarząca się jasnym płomieniem Iskierka odezwała się po raz pierwszy.

– Świat zewnętrzny nie jest taki, jaki powinien być. Miłujemy przytulne ciepło wewnętrznego dworzyszca i życzylibyśmy sobie, żeby tak było w każdym miejscu na Domiendramie.

– Oczywiście. – Czy zechcesz nadać nam imię? Chętnie posiadlibyśmy jakąś osobowość.

– Nie. Jesteś Iskierką. Nie masz prawa do noszenia imienia.

Turil odebrał swój gruby płaszcz ceremonialny i zarzucił go na ramiona. Zanim dopuszczono go do wnętrza dworzyszca, musiał pozostawić okrycie. Czyżby straż odkryła tajemnicę płaszcza? To raczej nieprawdopodobne. Wiedział, jak ją ukryć i zamaskować. Pomimo to poczuł ulgę, kiedy wymacał pośród ogromnej liczby kieszeni i wcięć insygnia swojej profesji. Jednocześnie skarcił się w duchu za chwilowy przypływ niezwykłych emocji.

– Dokąd zaprowadzisz mnie na początku? – zapytał Iskierkę.

– Dowiedzieliśmy się, że nigdy przedtem nie byłeś na Domiendramie. – Iskierka powstrzymywała swą naturę podpalacza. Ogień jej skrzydełek zmienił barwę z czerwonej na żółtą. Intensywnie się nad czymś zastanawiała. – Opuścimy dworzyszce i przespacerujemy się po starówce. Sądzimy, że spodoba ci się Nekromancjon.

– Nekromancjon? – Turil aż się pochylił.

– Wyrocznia śmierci. Była założycielem dynastii naszych królów. Miejsce jej spoczynku znajduje się w katakumbach pod miastem. Żyje w ustronnym miejscu, dostępnym tylko niewielu Domiendraminom.

– Jestem... zainteresowany. – Tanatolog spróbował nie okazywać absolutnego znudzenia.

– A więc chodźmy. – Iskierka zachichotała. – Albo polećmy. – Załopotana szybko filigranowymi skrzydełkami, zataczając w powietrzu brawurową pętlę, po czym pofrunęła naprzód, ciągnąc za sobą cienką, ledwie zauważalną smużkę dymu.

– Jak długo będzie ci wolno żyć? – zapytał Turil.

– Trzydzieści standardowych godzin. – W wyrazistych oczach Iskierki pojawił się blask. – Dostyc długo, nieprawdaż?

– Gratuluję. – Trzydzieści godzin. A więc grabarzowi przyznano tyle czasu do dyspozycji. On tymczasem miał się rozejrzeć po Domiendramie oraz przygotować się do wypełnienia swego zadania.

Opuścili dworzyszcze, wychodząc przez wielką bramę główną. Przywitał ich blask zachodzącego słońca, Remigarda, oraz nieznośna wręcz duchota. Turil włączył funkcje ochronne swojego płaszcza. Od razu owiał go podmuch chłodnego powietrza, a tlen został zredukowany do poziomu dobrego samopoczucia.

– Chalasim założono przeszło pięć tysięcy lat temu, jako pierwszą osadę na Domiendramie – oznajmiła Iskierka bezpłciowym głosem profesjonalnego przewodnika. Z pewnością ściągała swoją wiedzę z oficjalnych stron informacyjnych planety. – Odpowiedź na pytanie: „Co i jak?” odnośnie kwestii założenia miasta nie została dotychczas klarownie sformułowana, i to mimo zakrojonych na szeroką skalę prac badawczych. Jak zresztą wiele innych rzeczy, które wydarzyły się w tamtych czasach w Łysym Worze. – Machała niecierpliwie swoim ogoniastym odwołkiem. – Proszę za mną. Dostęp do najstarszych części miasta, pod Katedralem Błogosławieństwa, nie znajduje się daleko od tego miejsca. – Cichutko pobrzękując, frunęła naprzód, omijając zręcznie tłum przechodniów na szerokich, wyłożonych białym marmurem schodach dworzyszca.

Turil podążał za swym małym przewodnikiem w kierunku tętniącego życiem miasta. Mimochodem wzrok jego zatrzymywał się na Domiendraminach. Wyrosłe z drzewa i mięsa istoty sprawiały wrażenie małych kopii swego króla. Najczęściej były kulistymi stworzeniami, z twarzami o wyrazistej mimice, odznaczającymi się bogatymi mazerunkami. Kroczyły sztywno, a ich długie ramiona pozostawały w ciągłym ruchu, nieustannie obmacując otaczającą je przestrzeń. Podczas wzajemnych dotyków – a zdarzały się one nader często – ich miękkie kielkowe palce muskały się delikatnie.

– Tutaj, tutaj proszę! – nawoływała Iskierka.

- Idę. - Turil rozumiał pośpiech sztucznej istoty. Miała do dyspozycji niewiele godzin. Jeśli niedostatecznie wypełni swoją życiową rolę, zakończy egzystencję w stanie głębokiej urazy. Poczucie wstydu przejdzie na jej następców i być może kolejne pokolenia Iskierek cechować będzie ograniczona funkcjonalność.

Pomimo to Turilowi potrzeba było czegoś więcej aniżeli zarządzane przez dwór zwiedzanie okolicy. Musiał umieć wyczuć Domiendraminów, musiał ich zrozumieć, rozpoznać ich motyw, wnikać w ich duchowe życie. Tylko wtedy zdoła zainscenizować ceremonię pogrzebową w taki sposób, że pamiętać ją będą następne stulecia. Ta robota przyprawiała go o mdłości...

Dotarli do dolnych dzielnic miasta. Tutaj, z dala od bajecznego pałacu, krzątanina i hałas przybrały na sile. Handlarze unosili się pośrodku chmurek z ciężkich oparów, krzykiem wychwalając swoje towary, spółdzielcy konsorcjum handlowego zawodzili głośno nad przesadnie wygórowanymi cenami i spadkiem jakości sprzedawanych dóbr. Dwóch braci ze zgromadzenia Apokalixy zaklinało koniec wszelkiej egzystencji, kilku żebraków wykłócało się o przegniłe owoce, mężczyźni i kobiety ciemnej profesji wystawiali na użytek publiczny swoje zdrewniałe i pokryte bliznami ciała. Sękaty wróżbita podniósł z ziemi grudkę gleby, rozgniół ją, zadumał się i wyprorokował Turilowi dużo zadowolenia przez następne kilka lat. Grabarz znał szczególne zamiłowanie Domiendraminów do wszystkiego, co metafizyczne. Ich przywiązanie do ziemi stało w jawnej sprzeczności z techniką, którą posługiwali się na co dzień. W przestrzeni pomiędzy tymi jakże różnymi biegunami egzystencji swój żyzny biotop, uprawiany przez niemałą liczbę samozwańcych proroków według wszelkich zasad sztuki, znajdowała cała rzesza szarlatanów.

Wzdłuż zaniedbanych ulicznych rowów przesuwają się wolno pojazdy lądowe. Prowadzących je, którzy należeli - jak większość w Łysym Worze - do mających najbardziej zły humor przedstawicieli swojej nacji, nie obchodzili wcale piesi. Błoto bryzgało w górę, wszędzie w plątaninie tego nadziemnego zamętu i zamieszania rwały się i łamały odnóża Domiendraminów. Turil stanął pośrodku rozgardiaszu i zamknął oczy. W końcu powinien rozpocząć swoją

pracę. Oddychał głęboko, koncentrował się, dopasowywał do bicia miejskiego serca.

Odczuwał... tęsknotę. Chęć wybawienia. Nadzieję na koniec wszelkiego cierpienia.

Cykl, w którym obecnie poruszały się te istoty, trwał już zbyt długo. Odczuwalny był ich pęd do odnowy, do polepszenia rzeczywistości. Dzieci i starcy, pracujący i lenie, bogaci i biedni – wszyscy oni pragnęli rychłej śmierci swojego władcy. Wtedy dopiero, gdy on, pień wszelkiego życia, zostanie wycięty, a jego ciało zgnije w mchu ziemi dworzyszczą, wyrośnie Nowe – nowy wódz, niosący ze sobą nowe idee i nową nadzieję.

Turil powrócił do rzeczywistości. Iskierka iluminowała go podekscytowana, co poniektóry Domiendramin rzucał mu zdziwione spojrzenie. Jego smukła sylwetka wzbudzała zainteresowanie, a jego dziwne zachowanie – tym bardziej.

– Wybacz mi, kochana – powiedział. – Od czasu do czasu potrzebuję chwili spokoju. Żeby pozbierać myśli.

– Spokoju? Tutaj? – Iskierce udało się wzbudzić w jej sztucznym głosie coś w rodzaju wzburzenia. – Mamy cię zaprowadzić z powrotem do twojego statku? Na GELFARA?

– W żadnym wypadku, Iskierko. Muszę koniecznie zobaczyć Nekromancjon.

I w końcu uwolnić się od ciebie i tobie podobnych, pomyślał.

Dalsza droga wiodła pomiędzy niskimi domkami z ceglanyimi dachami, przez wąskie zaułki, coraz głębiej w gmatwaninę uliczek. Centrum Chalasimu cechował niezwyklej melanz staroświeckich domostw i nowoczesnej techniki.

– Bądź zawsze w naszym pobliżu – powiedziała Iskierka. – Nie każdy tutaj chce twego dobra. Mamy... Kolegów niższej jakości, którzy chętnie by cię od nas oderwali. Oni mają zamiar cię uwieść, zranić... – Wiem, jak się obronić. Dziękuję.

Stopniowo robiło się spokojniej. Po świetle Remigarda nie pozostało śladu, oba księżyce rzucały na kamienisty grunt srebrzystą poświatę. Jakaś stara babina, już niemal zupełnie zdrewniała, zamiatała niezdarnie kurz sprzed swojej bramy. Oczy jej trzeszczały podczas każdego ruchu. Z jakiegoś ciemnego kąta dobiegły Turila



kwiki. Szczuropolodoba zwierzyzna czyhała, wyczekując swojej szansy. Gdy niebawem stara wyzionie ducha, rzucą się na jej ciało, nie pozostawiając na niej ostatniego zielonego kielka i listka.

Domiendraminowie ugrzęźli w swoim tradycyjnym sposobie życia, pomyślał Turil. Zdrewnieli. Ponieważ ich król stał się zbyt stary i zbyt tchórzliwy, i zbyt konserwatywny, i nie zezwalał im na dostęp do nowych rzeczy.

Cień wielkiej lotni przesłonił obydwu księżyce i jasną gwieździstą łunę Łysego Wora. Ponad zabudowaniami z cichym pomrukiem przesuwano się olbrzymie cielsko w kształcie płaszczki. Statek wziął kurs na centralny kosmodrom na północy miasta, wybudowany był na gigantycznych, wysokich na kilkaset metrów, pneumatoforach.

W oknach domostw migotały niespokojnie światełka zapalonych świec. Zatechłe dróżki, którymi prowadziła go Iskierka, oświetlało kilka pojedynczych pochodni. Z oddali dobiegły Turila odgłosy drewniaków na bruku i głośnie rozmowa dzieci. Śródmieście z jego ciemnymi zakątkami, licznymi tajemnicami oraz tysiącletnią historią było okazałym biotopem dla żadnej przygód młodzieży.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał.

– Zaraz za rogiem – szepnęła Iskierka. – Szybko, pospiesz się. Szybko! Musimy dotrzeć do Nekromancjonu, zanim jego mieszkańcy się całkowicie nie obudzą. Weź jedno łuczywo. W katakumbach panuje zakaz używania sztucznego światła.

Turil zdjął ze ściany jedną z nasączonych żywicą pochodni i oświetlił drogę. Dachy zabudowań z lewej i prawej strony opierały się o siebie jak dobrzy przyjaciele. Tanatolog był szczupły, podobnie jak reszta członków jego klanu, mimo to z trudem udało mu się precyzyjnie przejść przez małą lukę pomiędzy śliskimi ścianami. Za nią panowała ciemność. Pachniało łąką. Mchem. Chłodem. Turil stał na skraju... lasu.

Zbyt dużo widział już w swoim życiu, ażeby pozostawać w oniemieniu dłużej niż przez kilka oddechów. Las, tak gęsty, że wiele pni obejmowało się wzajemnie, był czymś niezwykłym – choć z drugiej strony – właściwie nie. Domiendraminowie jednoczyli w

sobie życie cielesne i roślinne. W mało przejrzystym zameście receptorów i fizjologicznych organów, czułek fotosyntezy, korzeniowych chwytaków, systemów arterii i nawilżania kryło się dużo rozumu i inteligencji, ale również pokaźna ilość humoru i fantazji. Nigdzie indziej podczas zawodowej kariery Turil nie natknął się na podobne istoty, nie spotkał się także z nimi również podczas nauki profesji w odległych regionach Łysego Wora. Nie zmieniało to jednak stanu rzeczy. Obecne zadanie po prostu nudziło go niepomierne. Było tyle innych bardziej interesujących rzeczy niż zabijanie królów!

– Szybko, szybko! – ponagliła znowu Iskierka. – Tutaj możesz się przedostać. – Pofrunęła w kierunku czegoś, co przypominało ścieżkę wijącą się pomiędzy cienkimi pniami w głąb lasu.

– To jest Katedral Błogosławieństwa? – zapytał Turil.

– A co niby miałoby to być? – Iskierka potrząsnęła główką, jak gdyby dziwiła ją jego tępota. Podleciała wyżej, oświetlając korony drzew. Niektóre z nich były gołe, niektóre zaś pokryte gęstym listowiem. A przy wielu z nich tkwiły przytulone kanciaste, powyginane ciała. Wyszuszeni, zaschnięci Domiendraminowie.

– Tu więc zostają złożeni na miejsce wiecznego spoczynku... – mruknął.

– Tylko najznamienitsi z nich. Tacy, którzy wzięli na siebie ofiarę podróży kosmicznych, naukowcy, muzycy, badacze, politycy, biznesmeni.

– W dossier nie wyczytałem nic o tym lesie.

– Bo twoim zadaniem jest pochówek króla – zabręczała Iskierka – a nie zwykłych szaraków. Masz przesadzić w ciemność pień całego pokolenia. Ceremonia zabicia Pramaina Bożyszczego musi swoją wspaniałością przebić wszystko, co stało się na Domiendramie w ciągu ostatnich stu lat.

– Oczywiście. Bożyszczy stanie się elementem najwspanialszego rytuału zabijania, jaki kiedykolwiek wykonałem.

Standardowa fraza. Wypowiadał ją już tyle razy i będzie ją wypowiadał dalej, aż po kres swojej kariery.

Wyciągnął pochodnię przed siebie na długość ramienia. Ostrożnie, żeby płomień nie dotknął absolutnie żadnego ze

zwisających konarów i lian. Pachniało pleśnią, zgnilizną i śmiercią – dobrze znaną Turilowi mieszanką. Drobne zwierzątka z poskręcaną w loki sierścią biegały w różne strony po pokrytej mchem ścieżce. Ich czerwone ślepia rzucały mu groźne spojżenia. Chyba były zdania, że nic tutaj po nim.

Iskierka zamilkła, jak gdyby się przełękła bądź nagle nabrała respektu przed tyloma umarłymi, tkwiącymi w rozgałęzieniach konarów i patrzącymi na nich swoimi martwymi oczami. Wielu z nich rozmieszczono w stylowy sposób wokół pnia, jak gdyby byli oni częścią scenografii spektaklu, którego scenerię stanowił cały las.

Turil podziwiał bez zazdrości pracę swoich tutejszych kolegów po fachu. Przydali śmierci oblicze, które mu się spodobało. Katedral Błogosławieństwa emanował estetyką i był pozbawiony wszelkiego lęku. Domiendraminowie wiedzieli, jak ustosunkować się do końca swojej egzystencji.

Ścieżka nagle się skończyła. Cierniste pnąca bluszczu zarastały teren tak gęsto, że kontynuacja wędrówki wydawała się niemożliwa. Ponad Turilem, gdzieś w koronach, załopotwały mętne cienie. Skrzydła ptaków wywołały rodzaj wygrywanej staccato melodii.

– Tutaj znajduje się zejście do katakumb. – Iskierka przerwała jego myśli. – Worony już się przebudziły. Szkoda, szkoda...

Tanatolog nagle się zatrzymał. Głos tej małej istotki brzmiał inaczej niż dotychczas. Wyrażał gniew i podejrzliwość. Wiedział o złośliwości Iskierek. Kiedy dowiadywały się, że ich czas życia jest o wiele krótszy niż ich właścicieli, z jeszcze większym oporem wykonywały rozkazy. Oddalały od siebie poczucie obowiązku względem macierzystego światła i znajdowały ubaw w tym, że mogą sprowadzać ludzi na manowce. Zastawiać na nich pułapki. Na wielu planetach korzystanie z ich usług było zakazane bądź nieobdarzane zbyt szacunkiem. Posługiwano się raczej sztucznymi istotami nowej generacji, które nie dysponowały tak rozwiniętą samoświadomością.

– Co z tobą? – zapytała Iskierka.

– Nie ufam ci. – Turil dokładnie oświetlił okolicę. Skąd czyhało niebezpieczeństwo? Ze strony ptaków, tych woron?

Przez wysoką do kolan trawę wił się, długi na pół ramienia wąż. Kiedy padło na niego światło pochodni, zasyczał agresywnie. Zwierzęta nie interesowały Turila. Inteligentne wzornictwo jego obuwia wystarczało, aby w porę rozpoznać niebezpieczeństwo i je zneutralizować.

Ale gdzie znajdowało się zejście, o którym mówiła Iskierka? Czyżby otwierało się za pomocą jakiegoś ukrytego mechanizmu? To raczej wydało się Turilowi mało prawdopodobne. W takim miejscu jak to, technika, nawet ta najbardziej prymitywna, była zupełnie niestosowna.

Po swojej lewej stronie ujrzał na murawie miejsce w kształcie nieregularnego kwadratu, na którym trawa nie rosła tak wysoko jak gdzie indziej.

– To tutaj się schodzi? – zapytał. Oświetlił podłoże, starannie szukając śladów użytkowania.

– Tak – odparła Iskierka z ociąganiem. Zatrzymała się w powietrzu i nie sprawiała wrażenia śpieszącej z wyjaśnieniami, jak otworzyć wejście.

– Czy muszę ci przypominać, że jesteś zobowiązana udzielać mi wszelkiej pomocy? Mam złożyć skargę w dworzyszczu? Wtedy zutylizują to twoje sztuczne światełeczko, a twoich następców wsypią z powrotem do martwej zupy pierwotnej... Skąd zresztą pochodzicie.

– Nie! Nie! – „Światełeczko” zadrżało; sprawiało wrażenie, że zaraz zgaśnie. – Nie wolno ci tego robić, czcigodny grabarzu! Wybacz nam, proszę, tę chwilę nieuwagi, i to, że nie mówimy od razu wszystkiego, co wiemy.

– To ma się już więcej nie zdarzyć! Zrozumiałaś?

– Oczywiście, panie! Zrobimy wszystko, czego od nas wymagasz.

Iskierka schowała się w trawie, szarpnęła za jedną z kępek i z całych swych wątplych sił odciągnęła ją na bok. Przed nimi rozwarł się gąszcz z mchu, bluszczu i poplątanych roślin. Turil popatrzył w głąb czarnej dziury, która jak się wydawało, nie miała dna. Metalowa drabinka wiodła w nieznaną. Krok dalej, a runąłby w ciemną czeluść. Płaszcz by go wprawdzie ochronił, bez wątpienia, ale wydałaby się jedna z jego najbardziej strzeżonych tajemnic.

Turil postawił stopę na pierwszym szczeblu. Coś zatrzęszczało, coś zapiszczało, ale metalowa klamra wytrzymała.

– Lecisz przede mną! – rozkazał Iskierce.

– Z miłą chęcią, panie.

Sztuczna istota zanurzyła się w ciemności, oświetlając drogę. Jak na razie dała się ujarzmić. Będzie wypełniać rozkazy i nie będzie podawać w wątpliwość jego autorytetu. Ale po jakimś czasie, gdy siły ją opuszczą i jasność będzie blednąć, a łopotanie skrzydełkami będzie przychodziło z coraz większym trudem, zacznie znowu się zastanawiać. Turil musi się mieć na baczności...

W głąb katakumb przefrunęło nad nim z głośnym krakaniem stado woron. Wtulił głowę w ramiona i kuląc się, oparł się o zimne szczeble metalowej drabiny. Jednemu z tych latających zwierzaków udało się mimo wszystko zaplątać w szeroki rękaw jego płaszcza. Kracząc przeraźliwie, ptak zaczął drapać wokoło, po czym rozpoczął dziobanie metalizowanej podszewki ceremonialnej szaty. Turil powstrzymał przekleństwo – grabarze nigdy nie klną! Absolutnie nigdy! – i wytrząsnął spanikowaną wronę z płaszcza, chwytając ją błyskawicznym ruchem za pierzasty ogon i nie tracąc ani na moment równowagi. Odruchy miał doprowadzone do perfekcji; był w tym o wiele lepszy niż jego krajanie.

W reakcji na łagodny ścisk palców wrona się skurczyła. Zrobiła się tak maleńka, iż Turilowi wydawało się, że zaciska pustą dłoń.

Na kilka długich chwil przylgnał do stali. Chmara ptaków zdawała się nie mieć końca. Podążały za swoim instynktem, prawdopodobnie szukały schronienia w ciemnościach. Czy może ktoś je przywoływał?

W końcu nastał spokój. Iskierka świeciła kilka metrów pod nim. I nie miała zamiaru do niego wrócić, żeby dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

Otworzył ostrożnie dłoń i popatrzył na wronę. Ta odważyła się wydać z siebie niepewny pisk, wciągając pod siebie założone wcześniej nad łebkiem skórzaste skrzydła. W Turila wpatrywały się złociste dropiate oczy. Zaklejone brudem membrany nozdrzy poruszały się w szybkim rytmie. Szerokie, łopoczące na wietrze kawałki skóry pokrywały policzki skądinąd nietoperzopodobnej

twarzy. Wrona obsypana była niezliczoną liczbą brodawek, tworzących gęstą tkanę, spełniającą prawdopodobnie funkcję dodatkowego receptora zmysłów.

Rozwarł szeroko dłoń. Wrona nie ruszała się z miejsca, widocznie nie wierzyła, że wolno jej udać się na wolność. Po kilku sekundach odbiła się jednak i przeraźliwie kracząc z niedowierzaniem, poszybowała w głąb, obok Iskierki, w kierunku nieznanego celu.

– Jak daleko jeszcze do dna katakumb? – zapytał Turil.

– Około pięćdziesięciu szczebli.

Turil zaktywizował mechanizmy ochronne swego stroju, nie informując o tym Iskierki. Jego skórzany płaszcz, pomimo swego nędznego wyglądu, był cudem techniki. Utkany został wypróbowanym i odpornym splotem, z materiałów mogących dać odpór zarówno ostrzałowi promieni, jak i oddziaływaniom czysto mechanicznym. Ponadto krył ogrom tajemnic. Dzięki doświadczeniom wielu generacji grabarzy oraz ciągłej adaptacji do zmiennych warunków życiowych, szata stała się jego najbardziej wartościowym stróżem, ochroną – lecz zarazem największym wrogiem.

W milczeniu kontynuował wędrówkę. Po chwili wyczuł pod stopami twarde podłoże, zrobił więc parę ostrożnych kroków, badając nieznaną otoczenie. Blask pochodni rozjaśniał okolicę jedynie w promieniu kilku metrów. Skądś dął zimny jednostajny wiatr, a w oddali, jak mu się wydawało, słychać było łopot wronich skrzydeł.

– Znajdujemy się pod centrum Katedralu – powiedziała Iskierka.

– Zgaś teraz pochodnię i zamknij oczy.

Zgasić pochodnię? Jedyne źródło światła, pomijając tę złośliwą Iskierkę?

Pomimo nieufności uczynił, jak mu polecono. Ponownie wrócił myślami do płaszcza. Doliczył się co najmniej dwudziestu dwóch funkcji obronnych – na wypadek niespodziewanego ataku. Nie było się czego obawiać.

Zacisnął powieki. Męczyło go wprawdzie uczucie tkwienia w środku nicości, złudzenie dryfowania, spadania, zamknięcia w

przestrzeni składającej się z nieskończonej czerni, policzył jednak do dziesięciu, zanim zdecydował się na powrót otworzyć oczy.

Było jasno. Błękitną, zimną namiastkę światła, wystarczającą do rozpoznania otoczenia – powód wielkiego zdumienia Turila – emitowały korzenie drzew Katedralu. Wokół rozpościerała się pajęczyna długich, cienkich nitek, których końce jarzyły się bladą poświatą.

– Mówią, że to piękne miejsce – powiedziała Iskierka smutnym głosem. – Nie potrafimy dostrzec świecenia korzeni, bo same błyszczymy zbyt intensywnie.

Turil nie zważał na nią. Zdziwiony, rozglądał się dokoła. Stał u wejścia do ogromnej jaskini, wypełnionej kryształowymi formami. Leżały wzdłuż i w poprzek pieczary, a ich wielkość i kształty wskazywały na trwającą walkę o dominację w tym podziemnym królestwie. Ich powierzchnię pokrywała warstwa zaskorupiałej soli; ze stalaktytów skapywała nieustannie bogata w minerały ciecz. Mniejsze kryształy, te wielkości kciuka, staczały się z wysokich ścian i rozbijały na tysiące jeszcze mniejszych kawałków, układających się w abstrakcyjne, łudzące zmysły wzory. O struktury na dole jaskini owinęły swoje wypustki niektóre korzenie. Jeden z nich, w kształcie długiego na co najmniej dziesięć metrów walca, zawisł w powietrzu, podtrzymywany jedynie przez kilka pniaków. Na nim przysiadły worony. Było ich tak dużo, że niemal w całości przesłoniły czernią swych skrzydeł gigantyczny kryształ, uniemożliwiając wzrokowi przeniknięcie przez na wpół przezroczysty minerał.

Turil dotknął jednego z kryształów. Ten sprawiał wrażenie ciepłego i wilgotnego. Podłożył pod niego żarzący się jeszcze koniec pochodni i czekał. Po kilku sekundach kryształ zabarwił się na białe. Na ziemię zaczął opadać pył.

– Selenit – stwierdził trzeźwo. – Odmiana gipsu niezwyklej czystości.

Jednym mocnym uderzeniem odłamał spory kawałek i uniósł go ku słabemu żarowi światła. Był przezroczysty; perfekcyjną strukturę mąciły jedynie pojedyncze zadrapania.

– To bardzo ciekawe – powiedział do Iskierki. – Ale cuda przyrody tego podziemnego świata nie interesują mnie zbyt. Chciałbym poznać Wyrocznię Śmierci.

– Cierpliwość nie jest chyba twoją mocną stroną? – zapytała prowokująco Iskierka.

– Staram się wykorzystywać w pełni każdy przedział czasu, jaki został mi dany do dyspozycji. Nie byłoby źle, gdybyś postępowała podobnie.

Iskierka ze złości rozjarzyła się intensywnym światłem, maskując słaby poblask korzeni i oślepiając Turila na parę dobrych chwil.

– Tutaj proszę! – powiedziało w końcu krótko żyjące sztuczne stworzonko, tłumiąc gwałtowną emisję energii do normalnego poziomu. Poprowadziła go wąską śliską dróżką w dół jaskini. Kawerny powstały niewątpliwie naturalnie, prawdopodobnie w wyniku erozji, jak przypuszczał Turil na podstawie wszechobecnych wapiennych osadów. Ślady aktywności Domiendraminów były nieliczne. Gdzieś postawiono metalowe kraty, aby zapobiec spadaniu kamieni, gdzieś jakieś przyrządy pomiarowe, monitorujące wilgotność i temperaturę powietrza. W jeszcze innym miejscu umieszczono coś w rodzaju ołtarza. Turil, mrużąc oczy, przyjrzał się jego płaskiemu blatowi mensy. Na jej powierzchni zastygła jakaś ciemna ciecz, przebarwiając ją nieznacznie. Możliwe, że składano tu w zamierzczłej przeszłości rytualne ofiary. Ze zwierząt czy wrogów – któż to wie?

Turil przeszedł obok wielkich bazaltowych bloków. To, co na początku wydawało się uporządkowaną strukturą, okazało się złożonym labiryntem. Co chwila zmuszony był wdrapywać się na szerokie i wysokie jak on sam kryształły, używając do wspinaczki świecących korzeni zamiast lin. Podłoże było śliskie i wilgotne, a krawędzie kryształów ostre jak brzytwa.

Turil spojrzął w górę i struchlał. Dokładnie ponad nim zwieszał się w pnączach korzeni ogromny selenit, kołyszący się lekko w powiewach słabego wiatru. Worony zastygły w bezruchu.

– Mamy gościa? – zabrzmiał nagle gromki głos. – Dzisiaj? Teraz? Jakaż miła niespodzianka! Podejdź bliżej. Bliżej. Żebym mógł cię



zobaczyć.

Turilem zatrzęsło. W pierwszej chwili odruchowo chciał uciec, szukać bezpieczeństwa w górze, na powierzchni. Ale szybko się opanował. W końcu był grabarzem, i to nie takim najgorszym.

Rozejrzał się za Iskierką. Trzymała się za nim w pewnej odległości, robiąc szydercze miny i dając mu znaki, żeby uczynił to, co mu powiedziała nieznana istota.

Turil pomyślał o Pramainie Bożyszczym. O ludzie Domiendramu, który w śmierci swojego władcy upatrywał wybawienia i odnowy. Bez wątpienia miejsce to miało w sobie coś mistycznego i stanowiło mniej lub bardziej strzeżoną część tutejszej kultury. Jego obowiązkiem było się uczyć. Zrozumieć. I wypełnić swoje zadanie tak dobrze, jak to tylko możliwe. Więc pomaszerował dalej, nie dając się powstrzymać głośnemu krakaniu woron, które – jak na magiczną komendę – oderwały się od wiszącego kryształu, odlatując w siną dal.

Wpatrywały się w niego wielkie oczy. Niebieskie i kryształowe, niezgłębione jak wody oceanu. Toczyły wzrokiem w przestrzeni, której nie powinno być. Ich źrenice poruszały się swoim rytmem – to malejąc, to rosnąc. Skupiły się na Turilu i sprawiły że pojawiło się w jego głowie przeświadczenie o własnej małości i bezużyteczności. Jedno z oczu przesłonięte było brudnoszarym cieniem. Tam, gdzie powinna znajdować się twarz, fruwały teraz rozbudzone worony. Z prawa na lewo, z góry na dół. Za tą zasłoną można się było jedynie domyślać sylwetki o delikatnych kształtach. Jak kryształ, najpierw rozbity na miriady faset, później poskładany w skrzętnej cierpliwości. Poza strasznymi oczami nie było widać nic, żadnych organów. Ani czuć oddziaływania zmysłów.

Gdzie się podziała Iskierka? Kątem oka dostrzegł ją, wiszącą w bezruchu w powietrzu, ze sztywnymi członkami i szeroko rozpostartymi ustami. Czy chciała coś powiedzieć, ostrzec go przed niebezpieczeństwem?

– Chcesz pogrzebać Bożyszczego? – rozbrzmiał potworny głos. – Przyniesiesz go do mnie, kiedy ceremonia się zakończy?

– Nie – sprzeciwił się Turil, mimo narastającego strachu. – Moje zadanie będzie zakończone, jak tylko ciało Pramaina się zżywiczy, a

ostatni płomyk życia z niego ujdzie. Co się stanie z jego szczątkami, o tym zadecydują Domiendraminowie. Taka jest treść umowy.

Śmiech. Straszliwy, przerażający śmiech, od którego rozdzwoniły się kryształy. Ze sklepienia posypał się pył, a niektóre ze światłokorzeni zwinęły się, jakby chciały uciec przed nadciągającą katastrofą.

– Często odwiedzali mnie grabarze – powiedział głos. – Na żadnym z nich rozmowa ze mną nie wywarła wrażenia, podobnie jak na tobie. Jesteście dziwną i odważną grupą. A macie tyle powodów, żeby okazywać strach...

Turil nie zareagował na aluzję. Wyrocznia najwyraźniej chciała odwrócić jego uwagę. Od czego?

– Jeśli znasz takich jak ja, to wiesz, po co tu jestem.

– Są dwie odpowiedzi. Według oficjalnej wersji przybywacie tutaj, aby nauczyć się kultury śmierci Domiendraminów i zrozumieć z niej jak najwięcej. W rzeczywistości jednak...

– Tak?

– ...chcecie swojemu nudnemu i bezbarwnemu życiu nadać odrobinę tempa. Przez zbieranie informacji na temat kultu śmierci, fenomenu śmierci, spektaklu śmierci. W nadziei uzyskania całkowitej wiedzy na temat, jaki właściwie ma sens przechodzenie ze światła do ciemności. A w sumie odpowiedź na to pytanie jest dziecinnie łatwa...

Znowu jakaś sugestia. Czyli to, czego można spodziewać się po wyroczni. Ale... Czy ona nie ma racji? Czy on i jego ziomkowie nie są niewolnikami schematów tylko po to, żeby swemu życiu nadać jakieś znaczenie?

– Oczekiwałem od ciebie czegoś więcej niż tych kilku komunałów. Rozczarowałaś mnie, wyrocznio. Widzę przed sobą raptem parę miernych efektów trików, które mają po co najmniej tysiąc lat. Z wielkim mozołem możesz nimi wywrzeć wrażenie na Domiendraminach i niegroźnych Iskierkach. Co ma znaczyć to tanie przedstawienie? Wielkie oczy, oblepione masą nietoperzowych skrzydlaków, mające wzbudzić u wielu istot zakorzenione głęboko lęki? Nie stać cię na nic więcej, jak tylko na parę sztuczek godnych

ulicznych naciągaczy? Naprawdę chcesz mnie olśnić za pomocą kilku tanich iluzji?

Cisza.

A potem, po ciągnących się w nieskończoność sekundach, odpowiedź:

– A więc dobrze.

Para oczu rozmyła się w powietrzu, a zza skalnego bloku, kuśtykając, wynurzył się starzec.

– Doszedłeś prawdy o wiele szybciej niż twoi poprzednicy – powiedział sztuczny trójwymiarowy obraz Humana, człowiekopodobnej istoty. Podszedł do Turila, stawiając powolne kroki i ciągnąc za sobą lewą nogę. Brak cienia i niedostateczna ostrość zaokrąglenia postaci wskazywały, że była ona Refraktem, holograficznym awatarem starszej generacji. – Jak ci się udało tak szybko odkryć moje machinacje?

– Miałem już wcześniej do czynienia z twoimi... kolegami. Istnieje wiele Refraktów w światach na skraju Łysego Wora. Pojawiają się jako duchy, wizje, wyrocznie, chimery albo zwykłe poltergeisty. Większość z nich jednak jest bardziej sprytna niż ty.

– Ach tak? – Refrakt pochylił się, wyraźnie zainteresowany. – Istnieją... inni?

– Tak. Żaden z nich nie wie nic o swoim pochodzeniu i celu istnienia. Tak jak i ty, nieprawdaż? – Turil nie oczekiwał odpowiedzi. Wiedział, że ma rację. – Gdzie znajduje się twój system centralny?

– Dlaczego pytasz?

– Zrobię kopię twojej pamięci. I nie radzę stawiać oporu. Mogę wpaść na pomysł, żeby sprawić ci ból.

– Dlaczego chcesz mnie ujawnić? – Refrakt, poirytowany, potrząsnął głową.

Turil zastanowił się chwilę. Lepiej zrezygnować z ostrego tonu. Refrakci często bywali krnąbrni, kiedy odczuwali, że nie bierze się ich na poważnie.

– Chcę dostać się do twoich danych, żeby móc je porównać z danymi twoich towarzyszy. Być może wynikną z tego nowe przesłanki, które okażą się wskazówką dotyczącą waszego pochodzenia. Sfera intymna pozostanie nienaruszona, obiecuję.

Sfera intymna... Jak wpadł na to, żeby sztucznemu stworzeniu, powstałemu z refrakcyjnych obrazów i procesów kalkulacyjnych, przyznać coś takiego jak samoświadomość?

No cóż, Łysy Wór był jak przepełniona waliza przejeźdnego domokrądcy. Nie było tu zbyt wielu egzemplarzy wyłącznie jednej formy życia, za to ogromne mnóstwo jej wariacji i odmian. Statystycznie rzecz biorąc, najwięcej było przedstawicieli Humanów i tworów rojowych. Jednak poza tymi głównymi liniami istniała cała rzesza innych, w której niełatwo było się rozeznąć. Refrakci nie pasowali do żadnego schematu, tak samo zresztą jak na przykład Choroński i Cerebrejusze lub odznaczający się kolektywną świadomością Nanoboci.

Niespodziewanie stary człowiek stał się trzy razy większy niż na początku.

– Pod żadnym pozorem nie wolno ci dotykać mojego centralnego systemu – zaryczał. Zaczął rzucać wyzwiskami i groźbami, kilkakrotnie przeklął Turila, jego rodzinę, jego nienarodzone jeszcze dzieci, życzył mu śmierci w największych męczarniach. Psychedeliczne ruchome obrazy uczyniły z jaskini olbrzymią salę projekcyjną. Refrakt chciał go onieśmielić i przestraszyć, chciał go, mimo jego wiedzy, przepędzić z tego miejsca. Grabarz, na którym przedstawienie nie zrobiło specjalnego wrażenia, przybrał znudzoną minę. Te pseudoistoty zwykle postępowały według nieracjonalnych wzorów.

Po jakimś czasie stary zamilkł. Powrócił do normalnych rozmiarów, ramiona mu opadły.

– No dobrze – powiedział z rezygnacją. – Leżę po twojej lewej stronie, jakieś trzy kroki do przodu.

Turil zbliżył się powoli do wskazanego miejsca; mechanizmy ochronne płaszcza działały we wszystkich kierunkach. Tam, wciśnięty między kilka odłamanych bloków selenitu, leżał obiekt centralny, o połowę mniejszy od Turila. Częściowo pokrywała go warstwa pyłu i krystalicznego osadu. Trzy z czterech nóg były wyłamane i skorodowane, wyciągnięta czwarta mieszała bezsilnie powietrze, niczym kończyzna przewróconego na plecy żuka. Nie, sztuczny twór nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa. Jego

życiowe rezerwy i siły dobiegały końca. Ten Refrakt będzie funkcjonował najwyżej jeszcze przez kilka stuleci, zanim nie padnie ofiarą panujących w katakumbach warunków klimatycznych. Szkopuł tkwił przede wszystkim w niemal stuprocentowej wilgotności powietrza.

Turil obmacał dokładnie leżące przed nim ciało. Jeden z systemów optycznych pokrywała para. Aha, stąd ten cień na wielkim oku. Wypolerował swoją antystatyczną chustką układ przekazu tak dokładnie, jak to tylko było możliwe. Żeby działać więcej potrzebni byli specjaliści, którzy zatroszczyliby się nie tylko o wygląd i o hardware, lecz również o kod oprogramowania. Zajęliby się także głębią natury Refrakta. Być może w ramach takiej restrukturyzacji dowiedziano by się czegoś o pierwotnej funkcji i zadaniach tych syntetycznych istot. Jednak owo „być może” sprawiało, że sprawie nie było warto poświęcać więcej czasu, niż było to koniecznie potrzebne.

Turil wyjął ze swojego plecaka na wpeł zużyty wzmacniacz na bazie tytanianu baru i położył go ostrożnie na jajowatym obiekcie. Po chwili przyrząd włączył się automatycznie; poszukał sobie samoczynnie wejścia ładowania i zaopatrzył Refrakta w dostateczną porcję energii, gwarantującą mu co najmniej dodatkowe sto lat życia. Turil starannie wytarł kurz i brud, żeby ułatwić wzmacniaczowi zadanie. Ten niemal natychmiast odnalazł właściwe miejsce i rozpoczął proces ładowania.

– Dziękuję – westchnął Refrakt po chwili. Starzec stał teraz wyprostowany, a nie przygarbiony, i sprawiał wrażenie, jakby ubyło mu lat. Jego projekcja też była czystsza, bardziej wyrazista.

– Opowiedz mi swoją historię – zażądał tanatolog. Refrakci umieli okazywać wdzięczność i z reguły bywali życzliwie nastawieni. Być może udałoby się wydostać z niego kilka cennych informacji.

– Nie ma zbyt dużo do opowiadania, większości nie pamiętam. – Refrakt usiadł, iluzorycznie, na kawałku skały. – Wiem, że ocknąłem się na powierzchni Domiendramu ponad pięć tysięcy rocznych nowiów temu. Świat był nietknięty, pogrążony w pustce. Pokazało się tylko parę ciekawskich gadów, które od razu wgryzły się w moje

metalowe ciało. Wypłoszyłem je, po czym zacząłem zastanawiać się nad sensem mojej egzystencji. Jednak w moich podprogramach pamięci nie mogłem znaleźć niczego, co by mi pomogło rozwikłać ten problem. Więc zdecydowałem, że zakończę swój byt. – Refrakt urwał. – Ale nie potrafiłem. Nie było mi wolno. Mechanizm blokujący nie pozwalał na ostateczny krok. Byłem zmuszony żyć dalej. – Uśmiechnął się smutno. – Podczas kolejnych dni przeglądałem moje procedury komend, szukając rzucających się w oczy szczegółów, które podpowiedziałyby mi, dlaczego jestem skazany na funkcjonowanie bez wyraźnego celu.

– I nic nie znalazłeś?

– Tylko niepewne sformułowania. Jedną podstawową komendę, odznaczającą się od pozostałych, które określają moją istotę.

– Masz obserwować, prawda?

– Zgadza się.

– Podobnie jak twoi koledzy. Pewne parametry waszego podstawowego oprogramowania są odpowiedzialne za to, żebyście udawali postaci przyrodziane w mistykę. To z kolei ma wam pomóc w byciu blisko mieszkańców danej planety. Ale nie nazbyt blisko. Byt jako wyrocznia, bądź coś w tym rodzaju, jest ujmującą metodą, pozwalającą na dostęp do wielu faktów z życia planety. Przede wszystkim wtedy, gdy tubylcy kochają się w przeróżnych tajemnicach i misteriach.

Turil nagle zmienił temat.

– Domiendraminowie... Kiedy tutaj wylądowali?

– Trzy dni po moim przebudzeniu. Przybyli z wielkim hałasem. Ich statki pozostawiały ognistą łunę na firmamencie, a wylądowały nieopodal miejsca, gdzie byłem. Przypadek? Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Domiendraminowie też są częścią pewnego planu, podobnie jak ja. – Refrakt wzruszył ramionami. – Pewnego dnia, przed południem, zupełnie nie wiedząc, co zaszło, opuścili swoje pojazdy. Instynktownie zapuścili korzenie, macając wokół swoimi dziwnymi organami zmysłów i nie mając pojęcia, czego szukają. Nie byli w lepszej sytuacji ode mnie. Nie wiedzieli, jak się zachować, jak się odnaleźć.

To również nie było nowością dla Turila. Życie w Łysym Worze, w tej cudownej, zamkniętej w sobie przestrzeni, o średnicy liczącej ponad trzydzieści tysięcy lat świetlnych, zaczęło się z chwili na chwilę. Zupełnie jakby ktoś wszedł do ciemnego pokoju i zapalił światło, mówiąc: „Niech się stanie!”.

Ale to były sprawy, które Turila interesowały marginalnie. Kiedy miał już pewność, że od wyroczni nie dowie się niczego nowego, jego pęd do wiedzy znacznie wyhamował.

– Przeniosłeś się do tej pieczary – powiedział, powoli pojmując, o co w tym wszystkim chodzi – wykorzystując zabobonność Domiendraminów. Osadnicy najchętniej widzieli to, co widzieć chcieli: istotę-przewodnika na całe życie, pomagającą im w każdej chwili, w której poczuliby się zagubieni i opuszczeni. Jakie to nudne, jak nieskończenie trywialne...

– Nie mam na nich aż takiego wpływu – stwierdził skromnie Refrakt. – Staram się tylko być ze wszystkim na bieżąco. Ale nie można mi zarzucić, że mieszam się w jakikolwiek sposób w sprawy Domiendraminów, to nie fair.

Turil nie drażył tematu.

– Kilka wytresowanych ptaków, trochę teatralnego szumu i to imponujące naturalne otoczenie sprawiło, że Domiendraminowie dali się przekonać co do znaczenia twojej egzystencji i zaczęli cię regularnie odwiedzać. Zakotwiczyłeś w mózgach ich elit władzy myśl, że należy pytać cię o radę, zanim kolejny władca zasiądzie na korzeniowym tronie dworzyszca.

– Tak. – Starzec podniósł się z miejsca, prostując członki. Wyglądał na zadowolonego z siebie. – Sądzę, że pomyślnie rozwiązałem zadanie. Nawet jeśli nie mam pojęcia, do czego służą te wszystkie informacje, które koduję w pamięci.

Turil raz jeszcze obrzucił Refrakta krytycznym wzrokiem. W słabej poświacie korzeni nie było widać zbyt wielu błędów w jego holograficznej sylwetce. Gdyby Turil nie dysponował wiedzą ogólną tanatologa, być może dałby się nabrać na tę iluzję.

– Zrobię kopię twojej świadomości – oznajmił. – Nie opieraj się.

– Pod jednym warunkiem.

– To nie ty stawiasz warunki!

Na twarz starca wystąpiły rumieńce.

– Więc nazwij to prośbą.

– A mianowicie?

– Jeśli kiedykolwiek dowiesz się kim i czym jesteśmy... Powiesz nam o tym?

– Powiem.

Ależ naturalnie! Nie mam nic innego do roboty, jak gnać przez Łysy Wór i informować jednego Refrakta po drugim, przynosząc ukojenie ich sztucznej świadomości.

– Dziękuję ci. – Refrakt z zadowoleniem skinął głową. – Przypuszczam, że zakończę egzystencję, jak tylko doświadczę jej sensu. Tęsknię za tą chwilą od tysiącleci.

Transfer danych, z dysków holograficznej istoty do szybko zaktywizowanej wiązki informacji, przebiegł bez zastrzeżeń. Wiele folderów pamięci było uszkodzonych lub zniszczonych, zaś inne przejawiały symptomy psychozy specyficznej dla sztucznej inteligencji. O dalszą gruntowną analizę materiału zatroszczy się statek. GELFAR na pewno się ucieszy z powodu dodatkowego zajęcia.

– Skończyłem – oznajmił Turil. Nawinał wiązkę danych, na którą składały się wzajemnie przenikające się nanołańcuchy, na rolkę. Zaznaczył ją w taki sposób, żeby po przybyciu na GELFARA samoczynnie odszukała drogę do mózgu statku. – Masz jeszcze coś do powiedzenia? Bo muszę cię opuścić. Pozostało mi już niewiele godzin, żeby nazbierać wystarczająco dużo wrażeń z życia Domiendraminów.

– Sam mógłbym ci opowiedzieć, czym i kim oni są...

– Nie, dziękuję. Żeby zrozumieć, muszę sam widzieć i czuć.

Nastąpiła pauza. Starzec zawahał się. Coś wyraźnie leżało mu na sercu.

– Chciałbym pójść z tobą. Mógłbym cię zabawiać, jestem dobrym partnerem do rozmów.

– Prośba odrzucona. Mam wystarczająco towarzystwa na pokładzie. Miłego i niemiłego, interesującego i nudnego.

– Ale ja dysponuję szczególną wiedzą! – Refrakt niemal krzyczał z tęsknoty i zwątpienia. – Dużo się uczyłem, podczas oczekiwania.



Potrafię ekstrapolować minimalną liczbę informacji i przewidzieć twoją przyszłość.

Były to oznaki przeceniania siebie i błędnej interpretacji. Początek obłądu. Refrakt prezentował właśnie te same słabości, co inne osobniki jego gatunku, na które Turil sam się natknął lub o których słyszał od innych. Zaczynali od gróźb, a kończyli na błaganiach i żebraczych prośbach.

– Jesteś sprytny, bez wątpienia. – Tanatolog ważył słowa. – Ale nie wydaje mi się, że wiesz o czymś, co mogłoby mnie zainteresować.

– Domiendram jest w centrum zainteresowania potężnej, zatruwającej mocy! – prorokował starzec; artykulacja przechodziła w tremolo. Coraz wyżej podnosił ramiona, coraz wyżej rósł – aż po sklepienie jaskini. Wpadł ponownie w starą manierę, przybierając pozę wyroczeni. – Również i tobie, przyjacielu, w niedługim czasie narzucona zostanie rola zmuszająca cię do podejmowania decyzji, które mogą unicestwić całe narody. Możliwe, że proces ten rozpocznie się, zanim ceremonia zabicia Pramaina dobiegnie końca. Powinieneś strzec się, grabarzu, strzec...

– Skończ już! – przerwał mu Turil. – Zanudzasz mnie swoim gadaniem. Usłyszałem już wystarczająco dużo.

– Zaczekaj, ja...

Nastąpiła kolejna pauza. W tanatologu wzbierała irytacja. Tracił czas, którego i tak brakowało. Co Refrakt chciał mu jeszcze powiedzieć? Dlaczego nie wygasił się i nie schował we wnętrzu swej niemal do cna przegniłej kapsuły?

– Czy sądzisz, że to, co tutaj robię, ma jakiś sens? – zapytał cicho hologram. – Czy odnosisz wrażenie, że moja egzystencja ma jakiegokolwiek znaczenie?

Obok złości, w Turilu wzbierała powoli obawa.

– Jestem ostatnią osobą, której powinieneś zadać to pytanie – odparł równie cicho. – Ponieważ nie potrafię na nie odpowiedzieć.

Starzec smutno pokiwał głową i pomachał grabarzowi na pożegnanie. W jednej chwili zniknął. Turila otoczyła ciemność, rozświetlana jedynie słabą poświatą korzeni. Powrócił do

codzienności. Iskierka, do tej pory nieruchoma, podfrunęła teraz w jego kierunku.

– I nie obraż pod żadnym pozorem wyroczni! – dokończyła rozpoczętą przed ponad godziną kwestię. – Bywa, że reaguje ona bardzo gniewnie.

– Dziękuję za ostrzeżenie, ale właśnie zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć. Możemy już wyjść na powierzchnię.

Iskierka rozejrzała się poirytowana. Dopiero teraz zdawała się dostrzegać, że otoczenie się zmieniło, że wielka twarz otoczona woronami już znikła.

– Co... Gdzie...?

– Z pewnością na Domiendramie są jeszcze inne ciekawe miejsca? Chciałbym kontynuować nasze zwiedzanie. Niezwłocznie.

Iskierka potrzebowała paru chwil, żeby przemóc zaskoczenie.

– Proponuję zobaczyć Wędrujące Lasy Jeziorowe Trophainu – powiedziała z ociąganiem. – A potem wziąć udział w Kazaniu Nocnym ludów południa. Ich rytuały spirytystyczne z pewnością wzbudzą w tobie zachwyty i dadzą ci możliwość zgłębienia życia duchowego Domiendraminów.

– To doprawdy interesujące – Turil z trudem powstrzymał ziewnięcie. Po raz ostatni ogarnął wzrokiem jajowaty przedmiot. Iskierka nie była w stanie go dostrzec, spoczywał poza zasięgiem jej wzroku. Wyrocznia wiedziała, jak się skutecznie kryć przed mechanicznymi istotami. – Chodźmy. To miejsce przyprawia mnie o nudności.

### 3. CEREMONIA ZABIJANIA

Dworzyszcze mieniło się i błyszczało, skąpane w złocistych promieniach słońca. Dachy i mury pokrywały rozsypane przez Turila półinteligentne mikrokryształy. W trakcie rytuału zmieniają kilkakrotnie swoją strukturę, przekazując w stroboskopowych obrazach, czym jest szczęście i poczucie bezpieczeństwa – emocje, które na stałe powinny się zakorzenić w pamięci Domiendraminów.

Na wielkich zewnętrznych schodach pałacu zebrało się kilka tysięcy mieszkańców planety. Ogromne latające ekrany transmitowały ceremonię na scenach plenerowych, ustawionych na wszystkich większych pneumatoforach w mieście. Domiendraminowie wszędzie zacierali już swoje miękkie liściaste chwytaki. Egzekucję Pramaina chciało bezpośrednio obejrzeć ponad dziewięćdziesiąt procent populacji ich świata. Tylko chorzy, zniedołężniali, całkiem starzy i zupełnie młodzi, oraz ci, którzy koniecznie musieli być w pracy, nie dostąpią zaszczytu doświadczenia zamordowania Bożyszczego na żywo.

Turil ciaśniej zapiął płaszcz. Zanurzył go wcześniej w srebrzysto połyskującej fluoryzującej farbie. Rąbek szaty ozdobił cennymi klejnotami. Na rękawach pysznił się mieniący się haft z najdroższej przędzy z żuwaczego kwiecia, w które zaopatrzył się w manufakturach Domiendramu. Z wyszywanych kiełków co chwila rozwijały się bajeczne kwiatostany. I tak szybko, jak wyrastały, tak szybko więdły.

Turil wiedział, że jest obserwowany przez kilkadziesiąt kamer powietrznych. Zarejestrują każdy szczegół jego ubioru, poddając go dokładnej analizie. Tak samo jego gesty, ruchy, jego postawę oraz słowa. W tym spektaklu rola mistrza ceremonii, kata i grabarza w jednym była niemal tak samo ważna, jak role Bożyszczego i jego dam dworu.

Oficjalny akt nie pozostawiał mu zbyt dużego pola działania. Turil mógł sobie jedynie zastrzec obecność umierającej Iskierki. Ten sztuczny stworek, który w ciągu ostatnich godzin, mimo uprzedzeń, wyświadczył mu pierwszorzędną przysługę, spoczywał teraz na czerwonej satynowej poduszce tuż obok jego stanowiska. Tułów

Iskierki jarzył się jeszcze słabym światłem, ale drobne nóżki zeszywniały, a na maleńkiej twarzy pojawiły się sprawiające niezdrowe wrażenie plamki. Zasłużyła sobie na to miejsce. Jeszcze hodowla będzie z niej dumna.

Grabarz zajął się czekającą robotą. Musiał odpracować kilkaset punktów z listy, którą dostarczono mu przedwczoraj. A damy dworu Domiendramu oczekiwały co najmniej perfekcji. Tylko wtedy zdolne będą wywołać w sobie przypływ emocji, potrzebny do odnowy ludu.

Odezwały się werble. Młodzi Domiendraminowie, o szerokich torsach, jeszcze niemal bez żadnego kiełka, uderzali pokrytymi futrem pałkami o swoje nagie nieskazitelne ciała. Posłużyli się starym archaicznym rytmem, który poderwał lud do wykonywania tanecznych ruchów. Turil rzucił okiem na podrygujące masy. Dostrzegł wzruszenie na twarzach widzów, ich oczekiwanie i żądzę. Za wszelką cenę trzeba znaleźć właściwy ton. Gdyby utracił kontrolę nad przebiegiem ceremonii, skutki mogłyby być opłakane. Miliony Domiendraminów rzuciłyby się na siebie, rwąc sobie wzajemnie korę i liście z ciał...

Rozpoczął ceremonię. Strzelając lekko palcami, rozsypał dodatkowe dźwięki, które od razu dopasowały się do rytmu bębniarzy, tworząc podkład z niskich pomruków. Zaintonował *Hymn Południa*, który następnie płynnie przeszedł w *Psalm Lodowego Kwiatu*. Długoletnia nauka śpiewu znowu nie poszła na marne. Domiendraminowie zastygli w powadze, zapominając, żeby zaśpiewać, co właściwie było ich obowiązkiem. Jedynie damy dworu, przygotowywane od lat do tej jednej jedynej roli w makabrycznym przedstawieniu, nie dały zbić się z tropu. Ich smukłe korpusy wiły się ponad obsypaną świeżym humusem trybuną dla honorowych gości. Koloryt ich nagich ciał zmieniał się z lipowej zieleni na pomarańczowy, z pomarańczowego na karmazynowy. Z podłużnych gruczołowych porów, znajdujących się poniżej konaroramion, wyciekały żywiczne, kwaskowato pachnące krople. Im głośniejszy stawał się monotonny śpiew Turila, tym intensywniejszy był wyciek, tym agresywniejsze stawały się na co

dzień wytworne damy i tym spokojniej zachowywał się Pramain Bożyszczu.

Turil przerwał śpiew, a bębniarze od razu zareagowali na jego krótką komendę. Jeśli wykonają swą robotę, zadowolając damy dworu, będą mogli liczyć na pochwałę i dożywotnie zakorzenienie w dworzyszczu.

Cisza, która nagle nastąpiła, wywołała zakłopotanie zarówno wśród uczestników ceremonii, jak i widzów. Zaprzestano kolektywnego kołysania. Domiendraminowie z ociąganiem odciągnęli swoje roślinne czułki od sąsiadów. Już nie dotykano się nawzajem.

– To przepiękny dzień! – zawołał Turil, wznosząc ręce ku zachmurzonemu niebu. – Tak, jak po słońcu nadchodzi deszcz, przynosząc świeżość wodzie i powietrzu, naszym roślinom rozwój, a czystość naszym ciałom, tak śmierć Pramaina uczyni miejsce Nowemu. – Wskazał na tłustego władcę, umieszczonego na bloku ofiarnym wraz z częścią swojej sali tronowej, w której przez ostatnie dziesięciolecia zapuścił korzenie. – Nasz król ofiarował nam dobre lata. Dziś w wielu częściach Łysego Wora z nazwą Domiendram kojarzone są pojęcia szczęścia, dobrobytu i rozwoju. – Wierutne kłamstwo, mające schlebiać mieszkańcom planety. Jej dziwny lud wzbudzał lokalnie zainteresowanie najwyżej dzięki eksportowi swoich produktów rolniczych. Domiendraminowie ani nie mieli ciężaru politycznego, ani nie odgrywali znaczącej roli w militaryzowaniu galaktyki. – Złożmy więc hołd Bożyszczemu! Za wszystkie lata spędzone przez niego w służbie swemu ludowi. Niech będzie dla nas wzorem jego nadzwyczajna ofiarność. Stał się królem jako wybraniec spośród ludu. Dziś, tu i teraz, w pokorze złoży swoją godność, powracając do swej pierwotnej egzystencji, zanim powierzemy go pieczy Pana Wielkiej Suszy.

W rzeczywistości to, co przedstawiał sobą w tej chwili Bożyszczu, nie miało nic wspólnego ze wzniosłością czy wielkością. Wręcz przeciwnie: mimo zaaplikowanych środków uspokajających, Pramain na ofiarnym ołtarzu opierał się z całej siły krępującym go polom siłowym. Jego wybałuszone oczy wyrażały przeraźliwą panikę, a z jego ust wydostawał się niezrozumiały bełkot. Tylko

Turil mógł, dzięki odpowiednio nastawionym powłokom, widzieć, co naprawdę rozgrywa się za polem kosmetyzującym, mógł zobaczyć rozpaczliwą walkę Bożyszczego z niewidzialnymi więzami. Ekran energii upiększał wszystko, co zbędny już władca akurat czynił. Bądź nie czynił. Ukazywał siedzącego spokojnie Pramaina, z którego emanowały zadowolenie i radość. Iluzja dobrowolnej samoofiary króla musiała być zachowana pod każdym względem. Bo tylko wtedy Domiendraminowie uwierzą w swoją świetlaną przyszłość, bo tylko wtedy damy dworu dojdą do odpowiedniego stanu, aby przejąć i poprowadzić dalszą – niezbędną – część ceremonii.

Czy to, co robił Turil było do zaakceptowania z punktu widzenia moralności?

Mam w dupie całą etykę!, pomyślał cynicznie. Dzięki cynizmowi właśnie jego umysł był w stanie jako tako funkcjonować przez ostatnie lata. Tanatolog skoncentrował się ponownie na zadaniu. Słuchaczom przedstawił dokładny raport wysławiający osiągnięcia Pramaina. Mówił o jego osobistym zaangażowaniu, jego sile przebicia, jego wytrwałości. Chwalił i wysławiał Bożyszczego, wytwarzając przy tym wśród obecnych Domiendraminów atmosferę nabożnego milczącego skupienia. Dzięki temu mieli większy szacunek dla ofiary swego władcy.

Wykonany przed wiekami, wyszczerbiony, ceremonialny ciężki nóż spoczywał w prawej dłoni Turila. Będzie zabijał. Tak samo, jak uczynił to już kilka razy podczas podobnych okazji. Ale jak zwykle, tak i tym razem z niewyjaśnionych powodów odczuł niechęć do takiej właśnie formy przelewu krwi. Nie był to strach czy moralne zahamowanie. To go po prostu... Nie bawiło?

Bębniarze na nowo podjęli przerwane zajęcie. Powrócili z jeszcze intensywniejszym, jeszcze silniej brzmiącym rytmem. Z nieba spuszczone na długich, prawie niewidocznych linkach, domiendramińskie dzieci, których członki wywinięto na kształt dziwacznych wzorów i symboli. Wykonywały one w powietrzu na przemian piruety i dzikie salta, w duecie lub w większych grupkach, tworząc dwu- i trójszeregi. Turil skinął głową z zadowoleniem. Młodzi Domiendraminowie przypominali marionetki na sznurkach,

zręcznie sterowane ze statków pozycyjnych, hen, nad miejscem ceremonii. Poruszali się dokładnie tak, jak sobie tego życzyli. Rozlegające się tu i tam „ochy” i „achy” udowadniały mu, że tym elementem rytuału dobrze trafił w gust domiendramińskiej publiczności. Taniec śmierci spotykany był w wielu kulturach. I nie wywoływał on niezdrowych konotacji, wręcz przeciwnie. A to, że prezentacja odbywała się w powietrzu, w żywiole, do którego Domiendraminowie i tak odnosili się sceptycznie, sprawiało, że spektaklowi poświęcono szczególną uwagę.

Damy dworu powstały z miejsc już dużo wcześniej. Wiły się w ekstazie, publicznie okazując swoją lubieżność. Jeszcze chwila, a rzucą się na Pramaina, rozczłonkowując jego ciało swoimi starannie zaostrzonymi gałęziopalcami. Turil będzie się musiał postarać, aby do tego czasu Bożyszcy był już martwy. O tych kobietach, które jako jedyne z przedstawicielek ludu odznaczały się płodnością, można się było dowiedzieć bardzo wiele. Z licznych źródeł. Na przykład o tym, jaki niewiarygodny ból są one w stanie sprawić swemu władcy, o ile trafi on w ich szpony jeszcze przed śmiercią.

Turil wysłał przygotowany wcześniej sygnał do GELFARA. Już i tak wystarczająco długo musiał czekać na naturalny deszcz, który nie nadciągał. W obliczu coraz bardziej wymykającego się spod kontroli zachowania się dam, wszelkie opóźnienie wydawało się zbyt niebezpieczne. A więc rozkazał statkowi, żeby wleciał w stratosferę i wykonał siew. Proste reakcje chemiczne na pewno spowodują opady deszczu, wymuszając w ten sposób przebieg kulminacyjnego punktu ceremonii.

– Pramain jest gotów! – oznajmił tanatolog donośnym głosem. – Jego los jest zarazem losem naszym. Z życia staje się śmierć, z martwej tkanki wyrasta Nowe. Taka jest wola bogów, taki jest krąg życia. Wszyscy cię opłakujemy, Pramainie. Wszyscy będziemy wymawiać Twoje imię w wielkim dziękczynieniu, gdy owoce Twego żywota zakiełkują w ciałach dam dworu. Umierasz i dajesz nam odnowienie. Pramainie, dzięki Tobie składamy! – Pramainie, dzięki Tobie składamy! – podjęło kilka tysięcy Domiendraminów.

Błyskawica, groźna, kilkukrotnie załamana, rozcięła firmament. Z oddali dobiegły pomruki gromotu. GELFAR rozpoczął swoją robotę.

Turil podniósł nóż i podszedł za kosmetyzujący ekran. Przystanął blisko Pramaina. Ostrze zabłyśło pojedynczym odbiciem światła.

– Przyjmujemy Twą ofiarę. Pramainie. Dzięki Tobie składamy!

– Pramainie, dzięki Tobie składamy!

Pierdolony patos, pomyślał Turil ze wstrętem, pierdolona żądza sensacji! Dlaczego te ceremonie zabijania ważnych szych muszą mieć tak ogłupiający wpływ na ludzkie masy? Zabicie Pramaina mogłoby się równie dobrze odbyć w jakimś cichym pomieszczeniu na tyłach jego dworzyszca, z dala od gapiącego się tłumu.

Uaktywnił dodatkowe pola, które wzięły Bożyszczego w kleszcze. Poszukał pośrodku jego ciała otworu, który przypominał dziurę po sęku, i odchylił ostrożnie brzegi, wypatrując we wnętrzu prawie niechronionego organu. Serce Humanów. Podobne do kilkuwarstwowej membrany, która w szybkim rytmie naprężała się i wiotczała. Naprężała się i wiotczała...

– Proszę! – szepnął Pramain. – Proszę, nie zabijaj mnie! Na korzenność boską! Boję się. Nie chcę, nie mogę...

Przekaz dźwiękowy na zewnątrz został odłączony, a kosmetyzujące pole pokazywało w dalszym ciągu to, co przedtem: promieniejącego władcę, oczekującego z utęsknieniem swojej śmierci. Turil się zawahał. Mieli dla siebie jeszcze kilka chwil.

– To twój los – powiedział z naciskiem. – Od czasu koronacji byłeś nieustająco przygotowywany na tę ceremonię. Nie odmawiaj jej teraz swemu ludowi.

– Nawóz mnie to obchodzi, czego oczekują ode mnie inni – zaklął Pramain. – Chcę żyć, słyszysz? Jestem przywiązany do mojej egzystencji. Tak bardzo, tak bardzo... – Próbował się dźwignąć, mocując się z niewidzialnymi bezlitosnymi pętami, próbował z całej siły wyrwać swoje korzenie z podłoża, z którym łączyły go od wielu lat.

– Obiecuję ci, że nie poczujesz bólu – uspokoił go Turil. – Zaśniesz; być może przyśni ci się coś przepięknego. Wszystko odbędzie się tak samo, jak każdego wieczora, z tą tylko różnicą, że więcej się nie obudzisz...

Nie przekonał Pramaina. Ciało Bożyszczego, drżąc, naprężyło się, a on sam zaczął pluć i krzyczeć, raz za razem zbierając resztki sił



ukrytych w swym ociekającym żywicą ciele, Aby tylko uwolnić się od bezlitosnej maszynerii.

Turilowi nie pozostało wiele czasu. Na zgromadzonych Domiendraminów spadły już pierwsze strugi deszczu. Damy dworu od dłuższej chwili stały zebrane przy barierkach trybuny honorowej. Gdy tylko Turil zada cios nożem, zrzucą maski opanowania i zaczną walczyć między sobą o przywilej bycia pierwszą do ściągnięcia nasienia Bożyszczego. Nie tylko po to, by zagarnąć honor i sławę. Po prostu jakość królewskiego nasienia malała z każdą kolejną kopulacją.

– Przyjmijcie swego najbardziej oddanego sługę, o bogowie! – zawołał Turil po ponownym włączeniu fonii. – Obdarzcie go łaską, zabierzcie w czi do Wiecznego Królestwa Korzeni...

Nadszedł czas. Musi wreszcie to zrobić, musi odesłać do innego świata ten zdrewniały, całkowicie zaklejony łzami obraz nędzy i rozpacz. Nie wolno mu się irytować, musi zwalczyć ten śmiechu warty lęk i te przekłete przypływy współczucia. Musi wypełnić swój obowiązek. Chwytał oburącz za nóż, namierzył cel i...

Rozległ się głośny łomot bębnow bijących na alarm. Zgromadzeni Domiendraminowie, którzy wcześniej w dzikiej ekstazie pragnęli śmierci swego władcy, nagle zamilkli. Nagle rozległ się krzyk.

– Alarm generalny! Atakują nas!

Turil najchętniej śmiałyby się do rozpuku, kiedy, usiadłszy, zobaczył, jak radość i rozkosz Domiendraminów w ciągu kilku sekund przeradza się w strach i przerażenie. Damy dworu robiły wszystko, żeby opanować dziką żądzę, podążając za poruszającym się jak na szrudłach dworzaninie w kierunku bramy twierdzy. W przeciwieństwie do reprezentantów dworu, którzy wcale nie ukrywali paniki, masy zgromadzonych ludzi oddalały się, zachowując spokój i opanowanie. Ich głowy, kołyszące się w deszczu w takt stawianych kroków, przypominały fale wielkiego oceanu. Domiendraminowie pomagali sobie wzajemnie, wskazywali drogi ewakuacyjne i ze szczególną uwagą dbali o to, aby nikt z nich, nawet ci najmniejsi, nie został przez innych stratowany. Turil obserwował tłum ze wzmożoną uwagą. Nie

odczuwał strachu, tylko ciekawość. Wiedział, że GELFAR krąży w pobliżu. Z całą pewnością statek zaczął zbierać informacje. A on wkrótce pozna przyczyny alarmu. Czy to otwarty bunt radykalnych postępowców przeciw władzy, czy wizyta interplanetarnych najeźdźców – nikt nie odważy się podnieść ręki na grabarza. Każdy z przedstawicieli jego fachu był tabu.

Nikomu nie wolno sprawiać nam bólu. Od tego mamy nas samych...

Jakiś dworzanin, który przespał ceremonię na trybunie, dopiero teraz uniósł głowę ze splecionych niczym gniazdo gałęzioramion. Grubas potrzebował nieco czasu, zanim na dobre się ocknął, a jego mózg przeanalizował hałas werbli. Miał powolne, nieskoordynowane ruchy. Niezdarnie podniósł się z miejsca, wciągnął pod siebie swoje zakotwiczone w podłodze korzenie i poczłapał z dużym opóźnieniem – za przyjaciółmi, w kierunku wyjścia. Tam już się gromadzili zbrojni w trawiasoszarych mundurach. Podejrzliwie obserwowali przesuwające się masy widzów, z korzeniopalcami na spustach. W pogotowiu.

Turil zagroził dworzaninowi drogę.

– Co ma się stać z waszym królem? – zapytał, pokazując na zdrewniałą nędzną postać, która z wybałuszonymi oczami ciągle oczekiwała śmiertelnego ciosu. Pramain był niewolnikiem własnego strachu. Jego komórki nie zarejestrowały jeszcze wszechogarniającego popłochu.

– Zejdź mi z drogi! – rozkazał Domiendramin. – Zrób z nim, co chcesz! Wszystko mi jedno, co się stanie z tym żalonym stworem!

– Ale...

– Puść mnie, łamliwcu! – Dworzanin pchnął go; chciał utorować sobie drogę ku wątpliwemu bezpieczeństwu w dworzyszczu. Turil chwycił go jednak, zwiększając siłę uścisku za pomocą elementów ciągu misternie utkanych w połach swego cudownego płaszcza. Dworski drań nie mógł mu przeciwstawić niczego choćby podobnego, ale mimo wszystko próbował go odepchnąć, używając korzeniostóp. Jednym rozkazem Turil zmienił parametry grawitacji płaszcza. Stał nieruchomo jak kamień.

Dworzanin powściekał się przez chwilę, wołając o pomoc, ale zbrojni nie ruszyli się z miejsca ani o metr. Najprawdopodobniej otrzymali rozkaz, utrzymania za wszelką cenę pozycji przy wejściu do dworzyszca. Jego drzewiaste ciało dworaka zwiotczało; gałęziopalce przypominały zużytą gumę. Drgały teraz w powiewach burzy, nadciągającej wraz z deszczem.

– Miej miłosierdzie, łaskawy grabarzu! – zaskomlał. – Jestem trzecim podsekretarzem Wiceliczącego Liście Domiendramu! Beze mnie ten lud nic nie znaczy. Nic! Urzędnicy administracji mojego ministerstwa potrzebują w tych trudnych czasach kogoś, kto im wskaże drogę, kto ich poprowadzi...

– Puszczę cię jak tylko mi powiesz, co mam zrobić z Bożyszczym.

– Zabij go, jak miałeś w planie, wrzuc go do głębokiego dołu, zakop! Jest mi to obojętne.

Odgłos werbli stał się głośniejszy, bardziej natarczywy. Nieznane niebezpieczeństwo, było coraz bliżej.

– Dostałem do wykonania zadanie. Żaden grabarz nie zaniedbał do tej pory swego obowiązku.

– Czy ty mnie w ogóle słyszysz?! – Dworzaniec rozpaczliwie szarpnął za kołnierz płaszcza Turila. – Zginieemy, jeśli się w mgnieniu oka nie udamy w bezpieczne miejsce. Ty zginiesz...

Żeby to choć raz okazało się prawdą, pomyślał Turil. A głośno powołał swoje pytanie.

– Co mam począć z Pramainem?

– Kompletnie postradałeś zmysły! – Domiendramin zaniósł się histerycznym śmiechem. W naturalnym odruchu wystawił swoje pocięte głębokimi porowatymi bruzdami ciało na działanie deszczu.

– Naprawdę nie dotarło jeszcze do ciebie, co się tutaj dzieje? Ten alarm! Atakują Domiendram!

– Co mam zrobić z Pramainem? Potrzebuję jednoznacznych wskazówek!

– A zabierz go sobie! – zaryczał dworski sługa, zupełnie tracąc nad sobą kontrolę. Drobne kawałki przeżutych liści bryzgały z jego drewnianych ust. – Pramain nie odgrywa już żadnej roli. Ceremoniał został przerwany, damy dworu nie są w stanie zaspokoić popędu do rodzenia. Jeśli ten alarm okaże się pomyłką, o

co się modłę do Bogów Wzrastania, będziemy musieli wybrać nowego króla, który z kolei wybierze sobie nowe damy...

– Ja go mam wziąć? – Turil cofnął się o krok. – To niemożliwe! GELFAR jest przystosowany wyłącznie dla mnie, do nikogo innego.

Sygnaly alarmu przybierały na sile. Wielki plac przed zewnętrznymi schodami dworzyszcza opustoszał. Domiendraminowie schronili się w swych domostwach lub znaleźli iluzoryczne schronienie w podziemnych bunkrach.

– Chcesz rozkazu, czy tak? A więc zaakceptuj to, czego od ciebie wymagam! A teraz puść mnie natychmiast! – I domiendramiński dworzanin rzucił się na Turila z impetem. Mimo że zatrzęszczały jego drewniane stawy, a na korowej skórze pojawiły się dodatkowe spękania.

Turil zastanowił się przez chwilę. Polecenia biurokraty, jakkolwiek nieprzyjemne w treści, były logiczne. Póki nie doprowadził rytuału śmierci do końca, jego zadanie miało status: „Zawieszona”. A ponieważ teraz ukończenie ceremonii nie wchodziło w grę, trzeba się było zatroszczyć o bezpieczne przechowanie Bożyszczego. Aż do momentu gdy będzie można kontynuować i zakończyć przerwany spektakl.

Czyli możliwe, że na święty nigdy.

Turil potrzebował czasu i spokoju, żeby zastanowić się nad dylematem, przed którym stanął całkiem nagle i niespodziewanie. Zaktywizował mikrofon przeponowy. Zabolało trochę, jak zawsze.

– GELFAR?

– Tak Turilu? – Niezwłocznie odpowiedział mroczny donośny głos.

– Co tam się dzieje na górze? Cemu nie dostałem od ciebie żadnej wiadomości?

– Oceniam sytuację. Jestem zdany głównie na informacje od Domiendraminów. Nie mogę dokonać własnej analizy, ponieważ moja orbita znajduje się zbyt wysoko. – Nastąpiła krótka, sztucznie wygenerowana pauza, dokładnie taka, jakiej Turil niegdyś sobie zażyczył. Nie znosił monotonnych, bezdźwięcznych sekwencji głosowych systemu SI, jak te jego rodziców. – Domiendraminowa ochrona przeciwplanetarna dostarcza absolutnie mętnych,

wzajemnie przeczących sobie danych – kontynuował GELFAR. – Jest mowa o nadciągającej wielkiej flocie, ale również o walkach na północnym kontynencie, Vilocli.

Domiendraminowie mieli swoich wrogów, to oczywiste. Stelarni sąsiedzi zazdroszczący im – względnego – pokoju. Grupy interesów rozciągające swoją władzę intrygą i gwałtem. Ludy, dla których wszelkie zniszczenie było rozrywką. Gracze polityczni o nieprzejrzanych machinacjach. Turil wiedział, że w Łysym Worze trudno o homogeniczność, co zresztą dla grabarzy było korzystne. Tylko ARMIDORN, związek narodów, starał się, za pomocą niespecjalnie skutecznych środków, o zachowanie międzygwiazdowego pokoju.

Co go obchodziła wielka polityka? Turil i koledzy zawdzięczali większą część swoich dochodów właśnie niezgodzie między mieszkańcami Łysego Wora. Galaktyka, w której panowała wymuszona sielanka nie potrzebowała handlarzy informacjami, a już w żadnym wypadku – usług tanatologów, którzy oddali się śmierci.

– Mam! – oznajmił nagle GELFAR. – Na granicy układu dostrzeżono Kitarów! Grupa zwiadowcza wylądowała na Vilocli i pozostawia za sobą pasmo zniszczeń na całym kontynencie. Powinniśmy zniknąć stąd jak najszybciej.

Kitar. Jedno z wielu słów oznaczających „śmierć”. W Łysym Worze dosyć znane, używane obecnie wyłącznie jako określenie szczególnie okrutnego narodu. Turil odetchnął głęboko, rytmicznym klikaniem szczęk wstrzyknął sobie w żyły dawkę środka uspokajającego. Dopadł go nagły strach. Narastał gwałtownie, ale wkrótce zniknął. Znowu spokój. I kolejna fala gniewu. Wszechwładna moc, zawsze sprawiająca kłopoty. Już sama myśl o najeźdźcach, istotach nieznaną laski, wyprowadziła go z równowagi. Wzrastająca nienawiść spychała wszystko na dalszy plan. Turil nie był w stanie trzeźwo ocenić sytuacji i wszystkimi dostępnymi środkami przeanalizować wymiaru jej powagi.

Znał Kitarów na wylot, tych nieznaną miłosierdzia przeciwników. W końcu doświadczył już ich działalności na własnej skórze...

– Przychodzę – powiedział GELFAROWI, z trudem opanowując emocje. – Z gośćmi.

– Z gośćmi? Nie zostałem wyposażony na ich przyjęcie. Jasność i Cień są temu przeciwne.

– Przypominam, że wciąż jeszcze do mnie należy ostatnie słowo, a nie do moich doradców – odparł Turil gniewnie. – Powiadom oddział medyczny, szukuje się robota. Jak oceniasz sytuację? Mam jeszcze parę minut?

– Odizolowana grupa Kitarów wylądowała na Vilocli. Sądzę, że to oddział zwiadowczy... Dostreżono w układzie planetarnym zaledwie czterdzieści dwie jednostki latające, a więc o wiele mniej niż podczas podobnych akcji.

– Nie przykładam zbyt wielkiej wagi do przypuszczeń. Skończę tutaj porządkę, a później odlecimy.

Turil przerwał połączenie jednym odgłosem, przypominającym kliknięcie w okolicach gardła. Obrócił się wokół własnej osi, lustrując uważnie teren. Chciał zatrzymać w sobie być może ostatnie wrażenia z tego pogodnego świata, chciał zapamiętać to, co być może już niebawem zmieni się w zgliszcza i popiół. Kitarzy zwykle nie bawili długo. Pojawiali się, niszczyli wszystko, co wpadało im pod nanosznury, i znikali bez śladu. Robili to bez widocznego sensu i celu; dotychczas siłom zbrojnym żadnej planety nie udało się stawić im skutecznego oporu.

Za pomocą płaszcza udało się Turilowi spakować swoje rzeczy. Nie wolno było pozostawić niczego, co mogłoby ujawnić techniczne zaawansowanie tanatologów. Lwia część ich sukcesu leżała właśnie w przesadnym utrzymywaniu tajemnicy. Tylko w ten sposób mogli pozostawać tymi jedynymi, zapewnić sobie nietykalność i niedostępność.

Podręczna skrzynka narzędziowa, za pomocą której mógł sprawić sobie i dopasować wszelką postać, zniknęła we wnętrzu jego plecaka równie szybko, jak aparatura nagłaśniająca, centrum zapachowe, z którego dziś nie korzystał, oraz komplet Tajemniczych Zwiadowców, wysyłanych przez niego w ciągu ostatnich godzin na przeszpiegi. Czy to zapisy danych, złamanych i skopiowanych, czy zasłyszana rozmowa dwójki wyrostków na ulicach Chalasimu –

każda szczątkowa informacja mogła okazać się przydatna. Niestety, pamięć Zwiadowców została zapełniona tylko w czterech procentach. Mimo wszystko, dobrze włączony w kontekst ów zbiór danych mógł odzwierciedlać ogólną atmosferę Domiendramu. Pojedyncze głosy były dokładnie tak samo cenne jak małe klasterki, odpowiadające dziesiątkom lub setkom. Komputer Nieoznaczoności GELFARA zajmie się pilnie każdym „być może”, „jak gdyby” i „coś jakby”, wyłapanym przez małych szpiegów. Turil żywił nadzieję, że uda mu się je rozwinąć w struny informacji o dostatecznej jakości i wartości.

Energetyczne liny nośne wychyły z za kołnierza płaszcza, a komenda tanatologa ułożyła je w odpowiedniej pozycji. Wpiły się swoimi na wpół widocznymi szponami w kawał betonu, na którym znajdował się Pramain Bożyszczu. Grabarz sprawdził, która godzina. Według informacji dostarczanej mu w regularnych odstępach czasu przez GELFAR, Kitarzy nie palili się do ataku na Domiendram. Zawiśli gdzieś w przestrzeni za szóstą planetą układu, mało interesującym, pozbawionym atmosfery skalnym odłamem, i nie ruszali się, jak gdyby na coś czekali. Nawet aktywność Zwiadowców na Vilocli zamarła. To dziwne, pomyślał Turil. Do tej pory zawsze wykazywali się niezwykłym pośpiechem i wzbudzającą przerażenie konsekwencją.

Czy spakował już wszystko? Ach tak, jeszcze Iskierka. Sztuczna istota to – oprócz Pramaina – jedyna pamiątka z Domiendramu. Być może uda mu się ją jeszcze przywołać do życia. Kiedyś, gdzieś, gdy czas transferu w następane zadanie wyda mu się zbyt długi... Wziął Iskierkę w dłonie i wsunął ją do jednej z kieszeni płaszcza. Ostrożnie; żeby nie połamać zeszywniałych małych rączek i nóżek. Na twarzy umierającej malowało się zdziwienie. Inteligencja Iskierki ulegała stopniowej redukcji. Coraz rzadziej udawało się jej włączać systemy pamięci i „myśleć”.

Na placu przed dworzyszczem panowała grobowa cisza, tylko pojedyncze krople deszczu miarowo pluskały o posadzkę. Gdzieś w oddali rozległo się krakanie woron. Na schodach podmuchy wiatru zawiewały drobne kępki śmiecia. Zbrojni zniknęli w głębi budynku, zapewniając bezpieczeństwo damom dworu i dworzanom.

Bezpieczeństwo... Turil parsknął pogardliwie. Przed Kitarami nikt nie był bezpieczny. Oni rozkładają światy w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Tak długo, aż pozostanie tylko kilka grudek ziemi i kawałków metalu, które bez celu będą przemierzać otchłanie wszechświata...

Chwytał swój tornister, przyciągnął Pramaina bliżej ku sobie, wydając energetycznym linkom rozkaz podniesienia dodatkowego ciężaru. Z ołowiowego worka wydobył kilka drobnych kawałków kautu, odczekał aż poczuje zawroty, po czym przeprowadził myślowy eksperyment. Oczyma duszy zobaczył siebie stawiającego w powietrzu wysokie kroki, stąpającego po tylko dla niego widocznych schodach. Kaut, niemal czysty, wzbogacony w cienkie nitki złota eka-aktynowiec o liczbie porządkowej 203 (w tradycyjnym układzie pierwiastków), zareagował jak zwykle pożądlivie na wytwory turilowego umysłu i intelektu. Lotny i niestabilny, szukał schronienia w wyżej rozwiniętych jednostkach organizacyjnych najbliższego otoczenia, aby pozostać tam przez kilka sekund, zanim zdyfunduje. Odłożył się w mózgu Turila, wywołując swędzenie, najbardziej wyczuwalne było we włochatych małżowinach, które zasygnalizowało tanatologowi gotowość do procesu transferu. Turil pomyślał o GELFARZE. O reflektorium, swoim ulubionym miejscu pobytu. Kaut wyzwolił w nim dawkę euforii, potrzebną, by zmusić jego umysł do uznania nieprawdopodobnego za prawdopodobne, a następnie za pewne – i w końcu do pomyślenia, że znajduje się na pokładzie GELFARA.

Niemal natychmiast grabarz znalazł się razem ze swoim ciężkim bagażem na skraju pozbawionego horyzontu krajobrazu, zawieszono go gdzieś we wszechświecie, który Turil od dzieciństwa uważał za swoją ojczyznę. Wycieńczony upadł na podłogę. Kaut wysał z niego wszystkie siły.

– Znikamy stąd – rozkazał sferze statku. – Poszukaj sobie dowolnego celu, oddalonego stąd o co najmniej jeden miesiąc świetlny.

Pojazd posłuchał bez sprzeciwu, a zmiana położenia wehikułu zmusiła Turila do długo wyczekiwanej utraty świadomości.



## 4. ARMIDORN

Kix Karambui był sługą wielu ludów, odczuwającym wielki respekt przed funkcją, jaką wypełniał jako sekretarz ARMIDORNU. Być może był on jedyną istotą w Łysym Worze, która rzeczywiście pokładała nadzieję w przyszłości wielonarodowej ligi.

Po kolei nadciągały myśłowory. Barki, statki, sfery, steroliniowce i pulsowi gońcy cumowali przy dokach małego księżycy o nazwie HALB, który stuletnią pracą, przy nakładzie minimalnych środków został rozbudowany w centralę ARMIDORNU. Kix Karambui wysłał na powitanie swoich honorowych gości Iskierki przeszkolone w pompatycznym pozerstwie ceremonialnym. Wiedział już, jak traktować wady i niedociągnięcia tych sztucznych istot, które go w pewnym sensie bawiły. Iskierki, jako przedstawiciele nowej generacji Wolframitów, nie odznaczały się chłodem i nie usiłowały za wszelką cenę osiągnąć swojego celu. Kix znał się dostatecznie dobrze na sztuczkach swoich małych podwładnych, żeby nie dawać się nabierać, a jednocześnie doceniał ich potencjał emocjonalny.

Oczekiwał trzydziestki gości. No, trzydziestu jeden, o ile Całość Lumu w końcu się zlituje i oddzieli jedną część swojego planetarnego ego, wysyłając ją w podróż. W trakcie pełnienia przez Kixa obowiązków sekretarza zdarzyło się to do tej pory tylko jeden jedyny raz, więc nie oczekiwał, że pomimo doniosłości spotkania, pojawi się na nim ta uchodząca za wyjątkowo zarozumiałą istota. Ale Kix Karambui miał pomysł, jak ją przywołać. Kiedy nadejdzie czas, zastosuje środek przymusu.

Pod swym prawym nosoramieniem coś poczuł. Jakby ukłucie igły. Oznaczało to, że zawitała kolejna para gości, którzy teraz przygotowują się do spotkania w ich skromnych kwaterach. Nie bez złośliwości pomyślał o spartańskich warunkach na HALBIE. Myśłowory jaśniepaństwa poskarżą się na brak luksusu, jak zawsze, a on przypomni, że potrzeba więcej pieniędzy. Jak zwykle. Zaowocuje to salwami śmiechu, jak w większości wypadków. Ale dziś – dziś przytoczy argumenty, których nikt nie będzie w stanie tak po prostu obalić.

Kix wygiął nosoramiona w pogardliwym geście. Owi szefowie rządów, despoci, przywódcy, zbawcy i bożyszcza najważniejszych światów nigdy nie przybywali tutaj osobiście. Zawsze wysyłali swoje myślowory. Ponieważ ignorowali ideę, która przyświecała ARMIDORNOWI, bądź nie przywiązywali do niej szczególnej wagi. Ponieważ na pierwszym miejscu stawiali interesy swoich ludów – lub swe osobiste żądze – nie wierzyli w przyszłość interstelarniej wspólnoty narodów.

Kix od dawna miewał już do czynienia z nijakimi jednowymiarowymi myśloworami. Z wirtualizacją przemysłów swoich rządów, z naczyniami, w których zostały wgrane i opieczętowane z góry wyrobione zdania na temat ARMIDORNU. Gdyby chciał się czegoś dowiedzieć o życiu codziennym Ramajskiego Naganiacza, nie otrzymałby odpowiedzi; nie wystarczała na to sprawność umysłowa worów. W nich kotłowały się wyłącznie pomysły, życzenia i wyobrażenia dotyczące ARMIDORNU, wyciągane na krótko przed terminem na zorganizowanych sesjach skanowych z mózgów ich nosicieli. Odkłady myślowe biegały jak błędne ogniki, we wszystkie strony, w wykonanej z ultradelikatnego parinxu chuście, jak gdyby szukały drogi na wolność. Żeby wreszcie rozpocząć własną egzystencję! Przebrzydłe małe bestie same nauczyły Kixa Karambui odczuwać do nich pogardę.

Poluzował trochę swój emocjonalny poziom. Trzeba przystąpić do sprawy tak trzeźwo, jak to tylko możliwe. W gruncie rzeczy myślowory nie były niczym innym, jak tylko stopklatkami, nastrojami jednego czy większej liczby rządzących, mało stosownymi, aby pełnić reprezentatywną funkcję. ARMIDORN był zbyt mały, w oczach założycieli zbyt marginalny, aby stawiali się na walne zgromadzenie osobiście. Kixowi okazywano pogardę, zbywając go paroma jednowymiarowymi ideami. Ale mimo to, słowo oddane przez myślowora posiadało ważność. Reprezentowany przez niego naród musiał go dotrzymać.

Kix Karambui z radością wyczekiwał spotkania. Dziś wszystko się zmieni. Do konferencji przygotował się porządnie, dopasowując swój materiał danych do chciwości każdego pojedynczego członka

ARMIDORNU. Przez ostatnie dekady dokładnie obserwował i analizował ich myślowory. Wyróżniały się wyjątkowo ograniczoną wyobraźnią, nie potrafiły się oprzeć jego argumentom. Kix Karambui uśmiechnął się w duchu. Gdyby się udało to, co zamierza, wywalczy pięćdziesięcioprocentową podwyżkę swojego budżetu. A może nawet więcej.

Oparł się całym ciężarem na trzeciej nodze, przysiadł i odbiwszy się od podłogi, poszybował z impetem w stronę Wielkiej Sali. Jak dotąd jego upór nie pozwolił mu na zwykły upadek, przerywający wszystkie funkcje. To prawda, że był robotowym reliktem dawno minionej epoki – jednak czuł w sobie jeszcze siły i energię wystarczające na wiele stuleci. A od dzisiaj już nikt nigdy nie będzie sobie stroił z niego żartów.

– Witajcie, szanowni goście! – rozpoczął przemowę. Za pomocą swoich tylnych nóg obracał się wkoło, honorując każdego myślowora z osobna marszczeniem nosa. Kix znajdował się w luce w centrum olbrzymiego okrągłego stołu, wykonanego z drewna archaicznego mamutowca. – Cieszę się, że przybyliście na moje zaproszenie. Wszyscy. Obecność przedstawicieli najważniejszych grup mieszkańców Łysego Wora dowodzi po raz kolejny, że idea ARMIDORNU żyje i cieszy się wielkim poważaniem...

– Skończ pierdolić – przerwał mu jeden z wiecznie niezadowolonych Ramajskich Naganiaczy, Fumt Op. – Powiedz lepiej, po co nas tu zwołałeś.

– Z chęcią, niecierpliwym przyjacielu. Ale znasz ceremoniał. Moim prawem, a zarazem i obowiązkiem, jest z początkiem każdego zebrania przypomnieć o celach i założeniach ARMIDORNU.

– To się streszczaj! – fuknął Naganiacz. – Muszę wracać do domowej sieci, żeby złożyć relację szefowi.

– Ależ oczywiście. – Kix nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Do chamskich wystąpień Fumt Opa zdążył się już przyzwyczaić podczas poprzednich spotkań. – ARMIDORN jest wizją – kontynuował. – Celem moich dążeń, jako jego sekretarza, jest zgromadzenie pod jednym dachem najważniejszych wspólnot narodowych Łysego Wora oraz opracowanie wspólnej strategii co do naszej przyszłości w pokoju i dobrobycie. Narody ponad

trzydziestu tysięcy światów naszej zamkniętej przestrzeni życiowej mają prawo do udziału w rozwoju gospodarczym...

– Co za bzdury! – przerwał mu Naganiacz ponownie.

– ...i nie może być tak, że niektórzy wzbogacają się kosztem innych. – Tymi słowami Kix zakończył wstęp.

Z myśloworów dwóch lub trzech Humanów rozległ się aplauz. Również Cystoliczny Parowiec wydał z siebie kilka przytakujących bulgotów. Pozostali uczestnicy zebrania milczeli.

– Obecni tutaj reprezentują zaledwie jedną dwudziestą wszystkich zamieszkałych planet Łysego Wora. Stanowią przez to istotny czynnik władzy, który należy powiększyć w ciągu następnych stuleci. Razem powinno nam się udać zredukować do minimum wojny, biedę i choroby, a powszechny dobrobyt podnieść w skali roku o wskaźnik jeden przecinek pięć procent. Tak jest zdefiniowany mój program roboczy i dla jego realizacji będę działał z wykorzystaniem dostępnych mi skromnych środków pomocy.

– Skończyłeś już to kazanie? – Ramajski Naganiacz wydał z siebie odgłos, który w jego ojczyźnianych kręgach uchodził za obraźliwy. – Jeśli zaraz nie powiesz, o co ci chodzi, to będziesz mnie mógł pocałować w pióro.

Kix podniósł obydwu nosoramiona uspokajającym gestem, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować przeciwko grubiańskiemu zachowaniu się Fumt Opa. Dyskusja nie powinna przeistoczyć się w bezczelne dogadywania i słowne pojedynki. Musi swoją ogólnikową przemowę nieco skrócić, jeśli nie chce stracić kontroli nad przebiegiem zebrania.

– Rozumiem twoją niecierpliwość, Naganiaczu – powiedział. – Lecz bądź pewien, że dużo stracisz, jeśli odjedziesz wcześniej. Ponieważ jestem w posiadaniu informacji dotyczących nowej aktywności Kitarów. Ponieważ wygląda na to, że zbliżają się do Światów Kantrosa.

W jednej chwili zrobiło się cicho. Kix Karambui trafił w czuły punkt, skupiając na sobie niepodzielną uwagę delegatów.

– Trzydzieści tysięcy światów – kontynuował – zasiedlonych przez mniej więcej taką samą liczbę narodów. I to wszystko w

Łysym Worze, będącym naszym domem, podobnym do balona o długości dwudziestu pięciu i średnicy sześciu tysięcy lat świetlnych. Prawie pięć milionów lat świetlnych sześciennych, tylko gdzieś obsypanych planetami, na których kwitnie i rozwija się inteligentne życie. – Kix przyjął pozę, jak gdyby chciał zaczerpnąć powietrza. – Mimo usilnych starań z Łysego Wora nie sposób się wydostać. Jesteśmy w nim zamknięci, nawet jeśli wiemy, że coś się musi poza nim znajdować. Masywne gwiazdy neutronowe, mikrokwazary, pulsary, nowe, czarne dziury, przeolbrzymy i inne interstelarne ciała tworzą nieprzekraczalną granicę dla międzygwiazdnej lokomocji na obrzeżach naszego obszaru życia. Nie ma z niego ucieczki. Nawet nie udaje się nam spojrzeć poza tę granicę, bo nasze przyrządy pomiarowe oślepiane są przez obce zjawiska. Pomimo to... Pomimo to, właśnie przestrzenie na skrajach Łysego Wora wykazują najdogodniejsze warunki do życia. Dziewięć na dziesięć zamieszkałych światów czepia się tego muru, który wywiera na nie ogromny wpływ. Oddziaływania te są zadziwiające, bo żadna z planet nie jest podobna do drugiej. Można pokusić się o stwierdzenie, że Światy Parova nie są niczym innym, jak stacjami doświadczalnymi.

– O tym już wiemy, Kix! Dalej! – naciskał jeden z Humanów, Gran Mison, stojący na czele Orchidu ze Związku Limbi.

– Trzydzieści tysięcy układów planetarnych sunie wolno przez cały Łysy Wór, niczym sterta śmieci wyrzucona za burtę. – Sekretarz nie dał się zbić z tropu. – Tylko garstka z tych odizolowanych wysepek posiada więcej niż jedną zamieszkałą planetę. Względnie bezpieczne, względnie niezagrożone są Światy Kantrosa. Życie na nich pozwala na spokojny rozwój gospodarczy i społeczny. Nie dziw więc, że dwudziestu dziewięciu z trzydziestu jeden członków ARMIDORNU pochodzi właśnie stamtąd. – Kix skłonił się lekko w kierunku myśloworów Naganiacza i Proletariatu Hamduidów. To oni właśnie reprezentowali ową dwójkę „spoza”. Obydwa systemy to, że mimo niesprzyjających warunków na Światach Parova udało im się rozciągnąć swoje wpływy tak daleko, zawdzięczały swojej ofiarności i niezwyklej pracowitości. Wzbudzali w całym Łysym Worze poważanie. I bojaźń.

– Co wiadomo o atakach Kitarów? – zaczerwienił się myślowór Gran Misona.

Ze złości czy z niecierpliwości? Kix nie miał pojęcia. Schemat barw tych mechanizmów nie był na tyle dopracowany, żeby oddawać niuanse stanów emocjonalnych właścicieli.

– Otrzymaliśmy wiadomość od Faraterczyków. Grupa zwiadowcza Kitarów pojawiła się na skraju układu nagle i odjechała równie szybko zaraz potem. Następnie, w krótkim czasie zaatakowali i zniszczyli Karfuyn. Poniosło śmierć kilka biliardów Istot Monoksytowych, rozszarpanych i spalonych, pożartych przez swoją własną eksplodującą ojczystą planetę.

– Wszyscy o tym słyszeliśmy – powiedział Fumt Op. – Ale ani Karfuyn, ani Farater nie należą do Światów Kantrosa.

– Ale leżą one na skraju duktu transportowego, który do tej pory uważany był za całkiem pewną i bezpieczną drogę do centrum Łysego Wora. Poczyniliśmy dalsze obserwacje, które każą nam przypuszczać, że Kitarzy sumiennie sprawdzili i zmierzili ten kordon.

– Kordon Benty – powiedział z namysłem Gran Mison. – Jeden z najbardziej strzeżonych kordonów Łysego Wora. Pełnią tam służbę na zmianę floty strażnicze z ponad dziesięciu światów, tłumiąc w załączku jakikolwiek przejaw piractwa. Wolumen handlowy jest okazały, a tym samym wzbudzające respekt zyski, dzięki wprowadzeniu ceł szmuglowych.

– Kitarzy w przelocie roznieśli w pył trzydzieści statków. Nie zadając sobie większego trudu, nie zatrzymując się ani na sekundę.

– Gdzie oni się teraz znajdują? – myślowór Gran Misona przybrał teraz niebieskie, sprawiające wrażenie zadumy, zabarwienie.

– Tego nie wiemy. Środki ARMIDORNU nie wystarczają, ażeby zakupić wszystkie potrzebne informacje na wolnym rynku. Chcielibyśmy bardzo, ale...

– Czy zebraliśmy się tu po to, aby przedyskutować zwiększenie budżetu ARMIDORNU? – zapytał Fumt Op. – Nie jesteśmy skłonni wydać więcej pieniędzy na poparcie dla jakiegoś gadającego nieprzerwanie robota, który uczeplił się nierealnych mrzonek o lidze narodów. A narody z miłości do siebie wyrywają sobie wzajemnie rzęsy!

Kix Karambui poczuł wzrastający gniew, tę nieposkromioną nienawiść, która nachodziła go od czasu do czasu, i w którą z niewiadomych powodów wyposażone były roboty-sługi jego generacji. Ponownie obniżył znowu swój poziom emocjonalny, zanim wyrzucił z siebie lawinę słów.

– Nie orientujesz się w rzeczywistości, Naganiaczu. ARMIDORN musi funkcjonować, inaczej będzie to oznaczać koniec was wszystkich. Chętnie przedstawię ci, Fumt Opie, dane zebrane przeze mnie w ciągu ostatnich lat. Obliczyłem szkody wyrządzone waszym narodowym gospodarkom przez ataki Kitarów. Przytoczę przykład twojego ludu. Znajdujemy się w okolicach kilku dziesiątych procenta ramajskiego produktu socjalnego brutto. Z pewnością nie zrobisz błędu i nie będziesz twierdził, że jest to wartość, którą można zaniedbać? Dwa lub trzy następne ataki na planety, które zaopatrujecie w swoją biosyntetyczną tandetę, i Naganiaczy czeka długotrwała recesja.

Kix Karambui przerwał na kilka minut, żeby słuchacze mogli przetrwać wypowiedziane słowa. To, czy życie stracą miliardy lub więcej istot, było reprezentowanym tutaj ludom serdecznie obojętne. Ale postępujący upadek gospodarczy stanowił temat, który wzbudzał zainteresowanie każdego z obecnych.

– Moje Iskierki dostarczą mi również w ciągu następnych minut wiązki danych, z zapisanymi i przejrzanymi najważniejszymi informacjami dotyczącymi wojennych wypraw Kitarów. Zapoznajcie się z nimi, sprawdźcie je i powiadomcie mnie, czy chcecie nadal krótko trzymać ARMIDORN. – Kix podniósł swoją trzecią nogę i stanął wyprostowany przed zgromadzeniem. Rozpostarł metalowe skrzydła. Niestety, zapomniał je nasmarować, zakwiczały więc nieznośnie. Obracał się w kole. – Co powiecie na to, że to właśnie ja, mechaniczny stwór, muszę przypominać wam o waszych obowiązkach? Zagrożenie ze strony Kitarów nie jest czymś, co można, ot tak, wymazać z pamięci! Kiedyś to niebezpieczeństwo dotknie was osobiście. Jeśli nie w tym dziesięcioleciu, to w następnym. Wasze floty obronne muszą jak najszybciej nastawić się na niebezpieczne zmiany w układzie sił Łysego Wora. Potrzeba nam szybko reagującej, dobrze wyszkolonej grupy ofensywnej, która nie

zawraca na wytyczonej granicy rejonu i której komendanci nie cieszą się z faktu, że to inni, a nie oni sami, ponieśli szkodę.

Milczenie. Zimne, oznaczające zadumę milczenie. Kix nigdy nie przemawiał tym tonem do przedstawicieli narodów ARMIDORNU, więc teraz rozkoszował się własną tyradą.

– Zarządzam dwunastogodzinną przerwę – zarządził, odsyłając zebranych machnięciem nosoramienia.

Wyślizgiwali się z opraw swoich siedzisk, unosząc się w kierunku swoich kwater w towarzystwie jasno świecących Iskierek. Kix Karambui był zadowolony. Podwyżka jego budżetu ramowego o około pięćdziesiąt procent była zamierzonym celem. A jeśli uda mu się jeszcze przycisnąć myślowory, uzyska, być może, jeszcze więcej.

– Przystudiowałem te liczby – oznajmił Gran Mison. – Wymagają jeszcze dokładnej analizy ekspertów, ale ponieważ wiem, że nie jesteś w stanie kłamać bądź oszukiwać, więc ci ufam.

Kix Karambui, ukrywając zadowolenie, wykonał ruch przypominający skinienie głową. Oczywiście, że kłamał i oszukiwał. Jakiś czas temu odłączył swoje rutyny myślowe, zastępując je obwodami okrężnymi. Szwindlował i fałszował, przedstawiał nieprawdziwe fakty i wprowadzał w błąd, jak mu się żywnie podobało. Dzięki wydajności procesorów udało mu się kręactwa doprowadzić do perfekcji niespotykanej nigdzie indziej w Łysym Worze. Był w tym tak dobry, że coraz częściej nie odróżniał prawdy od fałszu. Od dłuższego czasu obie te wartości stanowiły dla niego dwa różne poziomy egzystencjalne, a on między nimi oscylował. Ale o tym zgromadzeni nie musieli wiedzieć. Nie miało to dla nich żadnego znaczenia.

– Żądasz od nas pieniędzy – odezwał się Fumt Op. – Nigdzie jednak nie jest powiedziane, w co chcesz te cholernie wielkie sumy zainwestować. Jeśli twoje skamlenie ma na celu polepszenie komfortu życia na HALBIE i załatwienie sobie paru upgradów, to od Ramajskich Naganiaczy nie uświadczysz złamanego szeląga.

– Wydajność moich procesorów jest wystarczająca – odprawił go Kix. – Wiesz doskonale, że dzięki łaskawości losu udało mi się stworzyć coś w rodzaju samoświadomości. Parakonscjentywna



zdolność myślenia, jak ją zwaą fachowcy. Jestem w Łysym Worze jednym z zaledwie czwórki savoir-robotów, które są w stanie zrozumieć was, inteligentne istoty, oraz adekwatnie zareagować na wasze potrzeby. Gdybym sztucznie zmienił moje parametry mocy, zagroziłoby to mojej wolności umysłu. – Zanim Naganiacz zdążył zaprotestować, sekretarz kontynuował wyuczoną przemowę. – Nazywając rzecz po imieniu. Zakładając ARMIDORN, chcieliście omamić opinię społeczną swoją domniemaną wolą na zgodę i pojednanie z interstelarnymi sąsiadami. W rzeczywistości jednak nie wykazujecie żadnego zainteresowania sprawną ligą narodów. Wszystkie te patetyczne słowa, obietnice, odezwy i hasła, które musiałem wnieść w tekst deklaracji, nie są warte matrycy, w których zostały odlane. Jestem listkiem figowym, mającym zakryć wasze bezwzględne występki i waszą żądzę...

– Jak śmiesz! – po raz pierwszy gromko odezwał się Look władcym głosem. – Nie możesz nam niczego zarzucić, ty wymoczku, ty zlepku podrzędnej jakości obudowy, śrubek i niewyregulowanych impulsów kwantowych!

Kix Karambui poczuł moc pochodzącą z myśłowora Looka. Z pewnością był on najpotężniejszą indywidualnością wśród zebranych. Został pogrzebany przez tanatologów już dziesięć lat temu, a mimo to dźrzył w rękach ster Związku Bazy w bezpośrednim centrum Łysego Wora. A wszystko za sprawą niezbadanych pokładów jego pamięci, które działać będą jeszcze przez następne kilka wieków. Zanim jego ostatnia idea nie zostanie pomyślana i wypowiedziana, zanim nie rozłożą się mechaniczne części jego ostatniego myśłowora.

– Zwracam jedynie uwagę na to, co przeszkadza we właściwym funkcjonowaniu ARMIDORNU – odparł Kix niewzruszenie. – Zamiast wykorzystać moje możliwości pozwalające na socjalne i ekonomiczne polepszenie bytu w Łysym Worze, chcecie utrwalić wasze status quo. Obawiacie się zmian, ponieważ mogłyby one zagrozić waszej przywódczej roli w sprawach ekonomii. Jednak te zmiany zostaną wam narzucone, czy tego chcecie, czy nie. Kitarów nie powstrzymają piękne słowa i deklaracje. Dwadzieścia zniszczonych światów w ciągu ostatnich pięciu lat. Czy ta liczba nie

wywołuje jeszcze w waszych umysłach sygnałów alarmowych? – Sekretarz ARMIDORNU zaktywizował impuls wywoławczy i pomieszczenie uległo powolnemu zaciemnieniu. – Nie podniosę już przeciwko wam żadnych zarzutów. Sami wiecie najlepiej, jakie są wasze uchybienia. Ale chcę wam pokazać, na co przeznaczę nadwyżkę udostępnionych mi przez was dzisiaj środków.

Otworzyły się jedyne w sali drzwi i pojawiła się w nich para Humanów. Kobieta i mężczyzna.

– Dawno temu na jednym ze światów, którego nazwy nie chcę wyjawiać bez potrzeby, wykonano eksperymenty wywołujące wzburzenie wśród miejscowych ludów. Doświadczenia zostały wstrzymane, plany wylądowały gdzieś w szufladach. Udało mi się dostać do tych dokumentów pokrętną drogą. Studiowałem je z wielkim zainteresowaniem, ulepszałem, opatrzyłem nowymi założeniami, aż w końcu zacząłem je realizować przy użyciu środków z własnego budżetu. Ten, kto uważnie prześledził ostatnie rozliczenia wydatków ARMIDORNU, z pewnością zauważył sumę opatrzoną nazwą „Kseniaci”. Ale ponieważ nigdy nikt mnie o to nie pytał, mniemam, że rzecz umknęła waszej uwagi. – Przywołał Humanów bliżej światła swoim nosoramiem. – To Ofenau i Sorollo. Dwójka pierwszych Kseniatów, odpowiadająca w przybliżeniu moim wyobrażeniom o dostatecznej sprawności umysłowej gatunku. Część dodatkowego zasilenia budżetu przeznaczona zostanie na kontynuację ich linii hodowlanej.

– Co potrafią te kurduple? – zapytał Look, który nigdy nie darzył sympatią Humanów. Nie jako żywy, a już wcale ich nie tolerował, będąc jedynie pozostałością swego umysłu.

– Przewyższają nas w niektórych dziedzinach i w pewnym sensie reprezentują ideę ARMIDORNU. – Kix poprosił Kseniatów, żeby stanęli obok niego. – Opowiedzcie sami, kim jesteście.

– Homunkulusami – powiedziała Sorollo. Miała ciemną barwę głosu. – Mój mózg i centralny system nerwowy wyhodowano w roztworach odżywczych. Gdy skończyłam rok, wyposażono mnie w kilka neuronowych jednostek kontrolnych, które od razu zaczęły wywierać wpływ na działanie mego mózgu. Sektory te wypełniono następnie różnymi świadomościami. – Szorstki głos beznamiętnie

kontynuował relację. – Jestem siedmioma istotami. Jestem kilkoma osobami dzielącymi jedno ciało, ale tolerującymi się wzajemnie.

Myślowory zaprotestowały, przekrzykując się jeden przez drugi. Dwa z nich wybiegły w panice z sali obrad, ponieważ nie mogły zaakceptować założeń leżących u podstaw powstania pary Kseniatów. Kix jednak liczył się z taką reakcją. Moralna obłuda panująca na niektórych planetach owocowała. Wprawdzie w prawie każdym świecie Łysego Wora można było podstępem załatwić mechaniczne dodatki i tym samym wzmocnić operacyjnie zdolność pamięciową za pomocą neuronalnych implantów. Jednakże opinia publiczna nie powinna o tym wiedzieć. Nie stanowiło to przedmiotu dyskusji, ponieważ wszelkie rozbudowy początkowych wersji były zakazane. A ponieważ były zakazane, nie istniały. Oto stanowisko wielu rządów. Również i tych, które nagminnie używały myśloworów, nie zastanawiając się, jak silnie zacierała się granica między życiem naturalnym a sztucznym.

– W Sorollo egzystuje siedem różnych istot, tak zwanych branż – zawołał Kix do podskakujących z podniecenia myśloworów. – Dwóch Humanów, jeden Chazyd, jeden Żółty Bonomot, jedna Debuntka przekwitającej fazy, jedna owadzia Lysteina oraz jedna istota wybrana została losowo. Kseniatka Sorollo stanowczo nie wyraża woli, żeby tożsamość tej branży została ujawniona, a ja spełniam jej życzenie. – Jednym ze swych nosoramion Kix dotknął pleców Humanki. Były chude, wyczuł zaledwie namiastkę mięśni na kościach. – Przeprowadzenie frakcji mózgu nie było skomplikowane. O wiele trudniejsze okazało się zapewnienie homogeniczności i kontroli organizmu.

Stopniowo wrzawa cichła, zebrani powrócili na swoje miejsca, zmieniawszy barwę chust z parinxu na neutralną żółć. Kix wiedział, że niedługo powróci również dwójka uciekinierów w towarzystwie Iskierek, które najpierw przygotowują ich psychicznie na sytuację w sali obrad.

– Ofenau zawiera sześć branż, jest więc nieznacznie słabszy. Oboje Kseniaci wykazują jeszcze pewne mankamenty koordynacji, których jednak w nowszych generacjach już nie będzie.

Przypuszczam, że maksymalna liczba branż dla pojedynczego ciała wynosi jednaście.

– Mózg podzielono więc na kilka samodzielnie myślących sieci neuronowych – powiedział Fumt Op, wykazując ostrożne zainteresowanie – i te wszystkie... branże wpakowano do jednego homunkulusa.

– Nie tylko – odparła Sorollo, wyręczając Kixa. Przed chwilą zmieniła osobowość. – Mam w sobie budulce życia siedmiu różnych stworzeń. W każdej chwili można wczytać substancję genetyczną i DNA Humanów, Lystein czy innej branży.

– To znaczy?

– Dokładnie nie wiadomo – wtrącił Kix z nutką żalu w głosie. – Możliwe, że Sorollo, przynajmniej w pewnym zakresie, potrafi zmieniać swą wewnętrzną konstrukcję za pomocą jedynie własnej woli. Być może jest w stanie wysiadywać owadzie larwy, ale również rodzić ssaki bądź hodować silikoidy...

– To... fascynujące – przyznał Look. – Ale nie rozumiem powiązania z naszą sprawą. Z problemem Kitarów.

– Sorollo i Ofenau wytworzyli w sobie robiącą niewiarygodne wrażenie empatię. W mig potrafią dostrzec potrzeby obcych istot, i to tak dokładnie, że można ich posądzić o czarnoksiężstwo. Moi Kseniacy na pewno są w stanie zgłębić motywacje Kitarów. A wtedy...

– Tak? – Kilka myśloworów pochyliło się do przodu, wpatrując się z zainteresowaniem ocznymi pętlami w dwójkę wyhodowanych przez Kixa istot.

Sekretarz dał Ofenau znak, że czas na demonstrację jego możliwości.

Ten zaczął śpiewać upajającym głosem. Snuł przy tym opowieść o namiętności, tęsknocie i miłości. W sekundę zauroczył wszystkich trzydziestu przedstawicieli ARMIDORNU. Prawą ręką zatoczył w powietrzu schemat Nongkińskiego Teorematu Inkongrinitencji, na podstawie którego w mechanizmy statków kosmicznych można było włączać umysły dzieci. Skurczami ciała sterował tabunem latających wokół Iskierek, za pomocą rozkazów dawanych oczami sprawował kontrolę nad HALBEM, co zresztą można było zauważyć

na wirtualnych monitorach kontrolnych. A lewą ręką... Palce jego lewej dłoni chwyciły lekko za blat archaicznego stołu, z łatwością wyrywając z niego okazały kawał drewna.

Zakończył śpiew, a przedstawiciele trzydziestu światów się otrząsnęli.

– Potrafi to i jeszcze więcej – oznajmił Kix. – A Kitarzy, kiedy tylko dostaną się w te niezwykle sprawne rączki, będą mogli sobie wybrać metodę, jak chcą być potraktowani.

## 5. NA POKŁADZIE GELFARA

– Konieczne jest dochodzenie – powiedziała Jasność. Owinęła się wokół Turila, przylegając do niego swoim ciepłym, miękkim i godnym pożądania ciałem.

– Zgoda – potwierdził Cień. Ów mroczny towarzysz dwugłowego psychozespołu rzadko kiedy miał swoje zdanie, pełnił raczej funkcję echo wzmacniacza partnerki. – Błąd. Niejednoznaczność. Nielogiczne zachowanie. Wymagany meldunek do bazy. Kompletnie dochodzenie konieczne. Przygotować sekcję medyczną, GELFAR.

– Nie! – sprzeciwił się Turil ochrypłym głosem. Wypił szklanekę wody, żeby złagodzić nieco ból gardła. – Rozumuję trzeźwo. Przygotuję protokół, z którego jasno będzie wynikać, że wykonywałem jeden logiczny krok po drugim.

– Mam co do tego pewne wątpliwości – oznajmiła Jasność, okazując oznaki całkowitego braku zaufania, po czym zaraz się przełączyła. Przysunęła pociągające świetliste ciało bliżej Turila. – Powinieneś rzeczywiście dać się zbadać. Dobrze ci to zrobi. Pomożemy ci. Uwolnimy cię od emocjonalnych ataków i przywrócimy ci potrzebną pewność siebie. Biedulku ty mój, tyle lat już jesteś sam, bez nikogo, wyalienowany i opuszczony. Z pewnością jesteś niedopieszczony i zżera cię tęsknota za kobietą... – Jasność wdmuchiwała mu słowa do ucha, powoli i wabiąco, jak gdyby chciała go nimi odurzyć.

– Nie – ponownie sprzeciwił się Turil. – Muszę się najpierw zatroszczyć o naszego gościa. Król nie powinien tak długo czekać.

– Pramain był królem – stwierdziła Jasność zgodnie z prawdą, przybierając przeuroczą nadąsaną minę. – W chwili kiedy opuścił swą ojczystą planetę podczas transferu na GELFARA, pozbył się wszelkich praw należnych jego randze. Nie jest niczym lepszym od balastu. – Wielkie oczy niewiniątka wpatrywały się w Turila. – Zbędnego balastu. Jest materią bez sensu i celu. Nie ma czego szukać na barce.

– W rzeczy samej. – Cień ustawił się w rozkroku przed Turilem, przybierając groźną pozę. Jak ktoś, kto nie znosi sprzeciwu. – Wydalenie Pramaina konieczne.

– Wyrok śmierci na Bożyszczego zapadł już dawno temu. – Dłonie Jasności obmacywały ciało grabarza, wsuwały się pod koszulę, coraz głębiej i głębiej. – To śmieć. Mniej niż śmieć. Jest tylko ciężarem dla nas, dla GELFARA. Dla ciebie.

– Milczeć! – rozkazał Turil. Chwycił dłoń Jasności i odepchnął od siebie z całych sił istotę z energii i niskiej materializacji. – Pozostaw mi, proszę, wydawanie wyroku na mojego gościa. To ja jestem komendantem i to ja decyduję o tym, co się będzie dziać na pokładzie mojej sfery statku!

Doradcy Turila zamilkli. Spojrzeli znacząco po sobie, po czym opuścili reflektorium, trzymając się za ręce. Mężczyzna i kobieta, obydwójce odpowiadający ideałowi piękna Humanów; ideałowi zdolnemu pobudzić nawet słabo wyrobiony popęd seksualny Turila, a przez to uczynić go podatnym na ich przesłania. Tanatolog nie zwracał na nich uwagi. Nie reagował na ich powab. Był skupiony na czymś zupełnie innym.

Czy powinien odczuwać strach? A może ulgę, że udało mu się uciec przed Kitarami? Nie miał pojęcia. Wrażenia z pobytu na Domiendramie były jeszcze zbyt świeże i wprawiały w niemałe zakłopotanie. Na przykład ten były król, którego teraz kilkoma szerokopasmowymi lekami psychotropowymi zdołano przystosować do roli tymczasowego pasażera GELFARA. Strefa statku nie była dość zrozumiała dla postronnych. Oferowała o wiele więcej możliwości niż zwykły pojazd międzyplanetarny, ale w zamian oczekiwała od załogi i pasażerów zaangażowania po granice ich wytrzymałości. Bożyszczy będzie się musiał jeszcze wiele nauczyć – albo zginie.

Turil sięgnął po panew lokalizacji i machnął nią w powietrzu. Z jej naładowanych niską energią kolistych brzegów wytoczyło się kilka kul, lżejszych od powietrza i podobnych do baniek mydlanych. Ich powłoki mieniły się wielobarwną poświatą upstrzoną czerwonymi, żółtymi i niebieskimi kropkami. Grabarz ostrożnie włożył dłoń we wnętrze największej z nich, ciągnąc delikatnie ku sobie jasno świecący obiekt. Zaczął przed nim pączkować układ planetarny Domiendramy, aż osiągnął wielkość mniej więcej jego głowy. Turil umiejętnie naciskał bańkę z różnych

stron, formując ją do stanu, w którym mógł obserwować swój model z tej samej perspektywy, z której widział otaczające go konstelacje gwiazd przez okna swego reflektorium.

– Pokaż statki Kitarów – rozkazał.

Ukazało się kilkadziesiąt zielonkawo świecących punkcików. Zadziwiało, że – tak samo jak wcześniej – znajdowały się one w odległości zaledwie kilku minut świetlnych od Domiendramu. Tajemnicze istoty nie zamierzały w ogóle przybliżyć się do jedynej zamieszkałej planety układu. Jeden jedyny statek zawisł nad północnym kontynentem. Zebrał członków grupy zwiadowczej? Uciekają?

Ponownie powiększył obraz, aż do wyraźnego zaznaczenia konturów kitarских pojazdów. Statki skąpane były w żółtawozielonym świetle, sprawiającym cokolwiek niezdrowe wrażenie. Turila nie zdziwiłoby, gdyby z czterech spiczastych zakończeń wylała się w kosmos ropna trująca ciecz. Pojedynczy statek intrygował podobieństwem do kurzej łapki, jednego z najdawniejszych, a zarazem najpodlejszych rodzajów broni, które do dzisiaj znajdują zastosowanie wśród wielu prymitywnych ludów Łysego Wora. Jeden z czterech końców wskazywał dokładnie, niczym w geście niemej groźby, w kierunku Domiendramu. Wydawało się, że przekazuje komunikat: „Należycie do nas, nie jesteście w stanie przed nami uciec”. Trzy pozostałe kręciły się ociężale wokół wspólnej osi.

– Pozycja Kitarów nie zmieniła się od prawie godziny – zameldował GELFAR. – Wygląda na to, że szukali czegoś, a teraz nie są pewni, czy znaleźli to coś na Domiendramie.

Niepewność Kitarów? Dobre sobie! Od kilku dziesięcioleci panoszyli się po Łysym Worze, niszcząc z niewyobrażalną konsekwencją wszystko, co wpadło im pod lufę. Dlaczego teraz miało być inaczej?

– Chcę wyraźniejszych zdjęć kurzej łapki. Ponadto potrzebne mi są informacje na temat jej budowy, systemów obronnych, mocy i tak dalej.

– Odmawiam – odparł GELFAR. – Każde zmniejszenie dystansu do pozycji Kitarów wykładniczo zwiększy zagrożenie z ich strony.



Posiadam przybliżone dane wartości przyspieszenia kurzych łapek. Akurat znajdujemy się jeszcze w strefie pozwalającej na bezpieczną ucieczkę, gdyby spodobało się im nas zaatakować. Każda świetlna sekunda, na jaką byśmy się do nich zbliżyli, mogłaby okazać się o jedną świetlną sekundą za dużo.

GELFAR miał niewątpliwie rację. Mimo to Turil się zdenerwował. Sfera statku ponownie sprzeciwiła się jego rozkazowi. Z trudem się opanował i zmilczał. Miał wystarczająco wiele okazji, żeby przekonać się, iż nie jest absolutnym panem GELFARA. Czasem opłacało się dochodzić swoich praw, czasem jednak warto było odpuścić.

– Zalecam usilnie zwiększyć dystans do Kitarów – naciskał GELFAR.

Właściwie nie powinno się stać nic złego. Grabarze stanowili tabu. Nietykalni, od zarania dziejów. Ale czy Kitarzy będą się trzymać niepisanej konwencji?

O tej tajemniczej nacji niewiele było wiadomo. Kilka nowych informacji o konstrukcjach statków, motywach działań, taktyce czy społecznym zachowaniu futrzastych istot przyniosłoby mu majątek. Na aukcjach informacyjnych Łysego Wora nawet nie stawiano zakładów o tego rodzaju dane. Po dziesięcioleciach daremnych nadziei zrezygnowano ostatecznie ze sporządzania zwyczajowych list kursów zakupu i sprzedaży. Być może teraz rysowało się przed Turilem kolejne zadanie. Pozyskanie nowego źródła dochodu dla społeczności grabarzy?

– Mogą nas namierzyć? – zapytał Turil GELFARA.

– Nie mogę wprawdzie nic wyczuć, ale przypuszczam, że mnie dostrzegli.

Grabarz wsunął sylwetkę kurzołapkowego statku z powrotem do wnętrza bańki lokalizacyjnej. Przywołał w pamięci najważniejsze dane techniczne GELFARA. Szybkość stanowiła na pokładzie sfery temat zastępczy. O wiele ważniejsze było przekonanie Mameda, barki – dziecka GELFARA, żeby przygotował się do ryzykoskoku. Trudne zadanie w obliczu niestałości dziecinnego partnera.

– A więc dobrze – powiedział Turil. – Odsuwamy się o kolejne dwa miesiące świetlne. A Momed niech się przygotowuje do skoku.

– Czyni to już od zgoła kilku miesięcy – oznajmił GELFAR z lekkim zarzutem w głosie.

– Musisz koniecznie tego dopilnować – surowo nakazał Turil. – Moment nieuwagi, jedno odchylenie o zaledwie parę sekund, i po nas.

GELFAR nie raczył odpowiedzieć. Poczuł się urażony, nie pierwszy zresztą raz.

– Pójdę się zastanowić – oznajmił Turil. – Gdy Kitarzy zmienią swoją pozycję, będziesz mi tylko przeszkadzać.

– Oczywiście.

Turil zamknął panew lokalizacji, rozczarowany nieco, ale w gruncie rzeczy zadowolony, że nie na nim skupiała się uwaga Kitarów. Opuścił mostek, zmienił za pomocą kredy swoje otoczenie i ponownie znalazł się w reflektorium. Tutaj czuł się dobrze, tu był jego dom.

Dziwne. Dlaczego akurat teraz przypomniał sobie przepowiednię kryjącego się w katakumbach miasta Chalasim Refrakta? „W niedługim czasie będziesz zmuszony do podejmowania decyzji – powiedział – które mogą unicestwić całe narody. Powinieneś strzec się, grabarzu, strzec... ”.

Turil przygasił nieco światło i rozejrzał się po izbie pogrzebowej. Stanowiła ona centralną część GELFARA, w którym spędził większą część swego dotychczasowego życia. W nieskończonej liczbie nisz tkwiły fetysze śmierci, czekające na chwilę użycia, która być może nigdy nie nadejdzie.

Haftowane pentagramy i krzyże z brązu leżały za ochronnym bioszkłem, obok wysuszonych stworoczaszek, których gałki oczne potrafiły się jeszcze poruszać przez całe wieki. Dalej znajdowały się diakustyczne skórki ustne, zebrane na krótko przed startem GELFARA na Stasię-3. W najmniej prawdopodobnym przypadku śmierci jednego z Czarnobogów zaskomlą one, umożliwiając Turilowi zrobienie interesu życia. Bryncyjskie dzwonki, delikatnie i filigranowo wykonane, o grobowym dźwięku potrafiącym zmiękczyć serce najniemiłosierniejszego despoty. Nieregularna bryła pastyjskiego wosku wciśnięta w naczynie z przezroczystej gliny. Ten niemal bezcenny surowiec, poddany właściwej obróbce, potrafił

błyszczą tak intensywnie, że mieszkańcy całej planety mogli się cieszyć światłem i ciepłem do końca swoich dni. Skórzane strzępki. Grzechotki z zasuszonych głów. Hydromechaniczne nekroigły. Złote monety do wkładania w wydrążone oczodoły. Wzory tatuaży, pobudzające do świecenia organy wewnętrzne umarłych istot. Fetysze, zapowiadające nieszczęście ptaki śmierci, arytmicznie gruchające lamentujące gardła, tryskający łzami Suchy Lud, który można ożywić wodą...

Wyposażenie barki było nadkompletne. Nie do przyjęcia bowiem była sytuacja, w której grabarz wysłał swojego klienta na tamten świat bez wymaganej ceremonialnej wyprawy. Na GELFARZE Turil znajdował spokój, tu był bezpieczny. Wszystkie zgromadzone przedmioty były wyrazem szacunku dla śmierci, jaki odczuwała większość ludów Łysego Wora w jej obliczu. A on, Mistrz Turil, był Rzeźbiarzem, Kumem Hainem, Makrybuszem Rozkoszą, Rębaczem, Śmierdzącą Pończochą Rażenia, Sybilijską Szóstką, Panem Ciszy, Żerem Kory, Ostatecznym Upadkiem...

Turil i jemu podobni byli namacalnym przypomnieniem o przemijaniu wszystkiego, co żywe. Emanacja ich osobowości, ich zachowanie, a nawet ich wygląd, wywoływały u innych istot zapomniane już uczucie niepewności. Turil doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego wirtuozersko potrafił grać na emocjach swoich klientów. Za każdym razem oferował im wstrząsające przedstawienie, które wzbudzało jednocześnie wstręt i zachwyt. On, grabarz, załatwiał za dobry pieniądz brudną robotę za tych, którzy się bali. Był wehikułem. Istotą towarzyszącą martwym uczestnikom ceremonii przy przekraczaniu kładki ku nieodwołalnemu – lecz powracał. Sam.

Usiadł i zanucił pomagającą w koncentracji mantrę. *Odę pustkowiec*, której patos spoczywał nie w słowach, lecz w myślach, i która przez jednego grabarza była przekazywana w spadku kolejnemu. Nawet jeśli Turil nienawidził i miał w pogardzie Pschoima, swojego ojca, musiał mu być wdzięczny za pozostawiony mu przez niego duchowy zasób.

Śpiew z użyciem misternie poutykanych międzytonów solidnie męczył wykonawcę. Rzadko udawało mu się wytrzymać dłużej niż

pięć minut szpagat pomiędzy chromatycznymi a przemysłnymi sekwencjami nut, w złożony sposób poprzeplatany słowami. Ale kiedy kończył, oddychał głęboko i skupiwszy się znowu na swoim zadaniu, czuł niezwykle odprężenie i ulgę. Wszystko wydawało się nagle zupełnie łatwe, o wyraźnej i jasnej strukturze. Znikały gdzieś ociąganie się i zmęczenie. Wiedział dokładnie, jakie poczynić kroki, żeby dobrze wypełniać obowiązki.

Przerwał więc odę, biorąc głęboki oddech. Tak. Mantra na niego działała, ogrzewała duszę i ciało.

– Emocjonalne uspokojenie – usłyszał z daleka głos Jasności. Opierała się w oddali o jedyny, niemający chyba końca, słup sięgający kosmosu.

– Wewnętrzna stabilność w dostatecznym stopniu osiągnięta – uzupełnił Cień, który wyłonił się z niczego i stanął obok swojej koleżanki. Mimo odległości, która dzieliła Turila od dwójki pomocników, wydawało mu się, że może dostrzec każdy rys ich twarzy. GELFAR wytwarzał iluzje, złudzenia, nierealności, których oddziaływaniu nie sposób było się oprzeć. Albo akceptowało się fakt, że na pokładzie sfery możliwe było dosłownie wszystko, albo uciekało się pod bezpieczne skrzydła obłądu, jak to czyniło wielu grabarzy.

Jasność i Cień podeszli bliżej do wirtualnej rafy graniczącej z ogromem kosmosu. Opływała ich lawa, która stapała im stopy. Obydwoje się uśmiechali. Żarząca się czerwienią substancja wystąpiła z brzegów sfery życia GELFARA i rozlewając się w nicości próżni, pozornie pociągnęła za sobą towarzyszy Turila. Zanim wtopiła się w otaczającą wszystko ciemność, zajaśniała po raz ostatni. Jasność i Cień znikły; ich awatary narodzą się na nowo, żeby ponownie męczyć go nieznośnymi pouczeniami.

Turil podniósł się, rozciągając ramiona. Ból w członkach nie był już taki dokuczliwy. Gdy tanatolog był jeszcze młody, krótko po przejęciu GELFARA postanowił zgłębić wszystkie tajemnice barki. Chciał odnaleźć ukrytą w formie treść. I poniósł druzgocącą porażkę. Sfera statku przegoniła go przez horror nierealności, bawiąc się z nim okrutnie. Aż kiedyś, gdzieś, doszedł w końcu do siebie. Zraniony i zhańbiony pełzał na granicy obłądu. Wtedy zajęły się

nim Jasność i Cień, odkarmiając go w znojmym, trwającym kilka tygodni procesie.

Dzięki temu dowiedział się jednak, że GELFAR pochodził z zamierzchłych czasów, a kilku jego wcześniejszych właścicieli zmieniało kilkukrotnie jego sylwetkę i wygląd. I nie byli to wyłącznie wielcy z jego rodu; o tym Turil też wiedział. Khamil, jego cioteczny pradziad, nie na darmo nosił przydomek „wariat”, a o nienormalnych wyczynach ciotecznego dziadka Simbiona napomykano po dziś dzień na Dworach Pokoju, trzech przystaniach jego ludu, zakrywając ręką usta.

Klienci nigdy nie odczuli wpływu idiotyzmów popełnianych przez tę dwójkę, inaczej niż Turil i jego krewni. Symbioza pomiędzy barką a grabarzem wymagała dużej ofiarności, do której nie każdy był zdolny. Khamil i Symbion zostawili po sobie w sferze wyraźne ślady. Dzięki ich irrealnej wyobraźni dochodziło do zmian w jej... psychice. I to takich, których działanie na długo odbijało się echem, stając się niekiedy nieznośnym ciężarem. Turil wystrzegał się w miarę możliwości przeprowadzania głębszej inspekcji wnętrza GELFARA. Odbierał wiele rzeczy jako oczywistość, starając się jedynie za pomocą siły ducha wprowadzać zmiany na lepsze.

Teraz chłonał przez chwilę otaczającą go ciemność.

– Są jakieś świeże informacje o Kitarach? – zapytał GELFARA.

– Odlecieli – odpowiedziała SI lapidarnie.

– Odlecieli?!

– Tak. Parę minut temu zaczęło się coś ruszać w zajętej przez nich formacji. Jednostka nad Vilocłą przyłączyła się do głównej grupy. Następnie namierzyli ostrzami swoich łapek obiekty znajdujące się w bezpośredniej odległości, między innymi i mnie. Wydawali się być niezdecydowani, jak gdyby nie znaleźli tego, czego szukali. W końcu ich statki utworzyły coś w rodzaju łańcucha i zniknęły z mojego pola widzenia.

Jeszcze jedna nieprzewidywalna rzecz w zachowaniu Kitarów. Dotychczas można było liczyć się z jedną konstantą – Kitarzy nigdy się nie ociągali, niszcząc bezlitośnie wszystkie napotkane na swojej drodze układy planetarne. Ale dzisiejszy przypadek wywołała u samozwańczych ekspertów tylko potrząsanie głową. Zdecydowanie

nie dawała się nagiąć do znanych schematów. Motywacja Kitarów w dalszym ciągu pozostawała zagadką.

Ale to nie musiało stanowić problemu. Zniknięcie dziwnych istot otworzyło przed Turilem możliwość pozbycia się Pramaina, a przez to – dokończenia roboty w myśl umowy z Domiendramie. Wystarczyłoby słowo jednego dworzanina, a taki na pewno by się znalazł i dał przekupić, żeby doprowadzić do końca rytualne morderstwo.

– Kurs na Domiendram – rozkazał GELFAROWI.

– Negatywnie – odparł mózg statku.

– Że niby jak?!

– Nie jesteśmy już tam mile widziani. Grozi się nam użyciem broni, jeśli zbliżymy się do układu.

Czcie pogroźki, oczywiście. GELFAR potrafi stawić czoła znanej ze słabości flocie obronnej Domiendramu. Ale Turil za żadną cenę nie może dopuścić do otwartego konfliktu zbrojnego. Grabarze zawsze zachowywali się z rezerwą. Nie cierpieli przemocy, a broni używali wyłącznie w obronie własnej. Tak brzmiał jeden z dogmatów jego ludu.

– Czy jest jakieś uzasadnienie tego, że nie chcą nas widzieć?

– Panuje przekonanie, że nasze zadanie skończyło się wraz ze zniknięciem Bożyszczego. Zaczął się już nowy cykl rozmnażania, więc nasza obecność jest bez znaczenia. Mamy zaproszenie na ceremonię zabijania obecnego władcy za mniej więcej sześć lat. Lecz teraz nie ma niczego, co możemy zrobić dla Domiendraminów.

– A więc dają nam Czarną Kartę. – Turil zaktywował środek hamujący agresję. Z sykiem wtrysnął go do układu krwionośnego, zapewniając sobie natychmiastowy spokój, do którego jako grabarz był zawsze zobowiązany. – Nieodwołalnie mamy Pramaina na karku.

– To prawda. Analiza twoich biowyników wskazuje na to, że się denerwujesz. Zawołam Jasność i Cienia...

– Nie trzeba – przerwał Turil.

GELFAR nie oponował. Wyjątkowo nie obstawał przy swoim punkcie widzenia.

Bywało, że Turil, jak w tym momencie, zadawał sobie pytanie, gdzie właściwie znajduje się mózg statku. Dostępna była zawsze jedynie część sfery. Należały do niej reflektorium, miejsce pobytu mózgu kontroli, Hala Wspomnień i większość pomieszczeń prywatnych. W ciągu ostatnich lat tanatolog przeszukał dokładnie te sale, nigdzie nie napotykał nawet namiastki cerebrału. Irytowało go, że zachowuje się jak wagabunda, wędrując z jednego dowolnie stworzonego rejonu statku do drugiego, obudowany w podobne do żuka ciało robota. Grabarz mniemał, że dwa lub trzy razy dostrzegł w oddali coś podobnego, raczkującego po statku, które to coś otaczała świetlistożółta nieprzyjemna aura.

– Jak się czuje Bożyszczu? – zapytał, odpychając od siebie myśl o największej zagadce statku.

– Sekcja medyczna zakończy pracę w ciągu kilku minut. Fizycznie został przywrócony do porządku, ale jego psychika wymaga dalszej terapii.

Oczywiście. Jasność i Cień zatroszczą się o zdetronizowanego władcę – i uformują go po swojej myśli. Sfera statku nieustannie korzystała z pomocy tych dwojga. Barka miała obsesję na punkcie sprawowania władzy; wielu informacji zebranych przez lata pozbędzie się dopiero podczas następnego Wielkiego Thangu, spotkania wszystkich grabarzy na Szarym Dworze Pokoju.

Szary Dwór Pokoju... Otoczony tyloma tajemnicami! A jak wiele zagadek nekropolii pozostanie nierozwiązanych po wsze czasy? Turila przeszły ciarki, kiedy pomyślał o Mieście Wczorajszego Jutra w centrum Dworu Pokoju, o słońcu Nostarum, o Mantalnipie...

Wrócił myślami do terażniejszości. Musi tymczasowo przystać na swą podrzędną rolę na pokładzie GELFARA. Jest jedynie trybikiem w dobrze nasmarowanej maszynie, nie mniej i nie więcej. Ale będzie się dalej rękami i nogami przeciwstawiać chciwości statku. Jego sfera intymna ograniczona była do niewielu pomieszczeń i do jeszcze mniejszej ilości czasu. Nie było chyba niczego, czego GELFAR by nie wiedział o tanatologu i motywach jego działania. Transparentna egzystencja grabarza była częścią składową obszernych statystyk i analiz, służących do wytworzenia za pomocą prenatalnych genetycznych przekształceń wydajniejszych, bardziej

wytrzymałych tanatologów, aby kolejne pokolenia jeszcze lepiej, w jeszcze większym zakresie mogły korzystać z ich służby.

Dlaczego rzeczy towarzyszące mu przez całe dotychczasowe życie zaczęły mu nagle przeszkadzać?

Pschoim, jego ojciec, nazywał go zwyrodnialcem, dręczył i upokarzał przy każdej nadarzającej się okazji. To, że duchowo i fizycznie dał sobie jako tako radę z kieratem kilkuletniej szkoły i nauki, graniczyło z cudem.

Westchnął. Cichutko i niepostrzeżenie, żeby SI znów go nie zganiła. W pewnym sensie Turil był rewolucjonistą. Tanatologiem, który do tej pory nie wiedział, gdzie jego miejsce, i który ocierał się w swych działaniach o granice możliwości. Dlaczego tak było, dlaczego opierał się okrutnemu mechanizmowi funkcjonowania swego ludu? – na to pytanie nie uzyskał do tej pory wyczerpującej odpowiedzi.

– Zanim porozmawiam z Pramainem i przedstawię mu, co zamierzam w związku z jego przyszłością – powiedział do GELFARA – chcę wejść do Hali Wspomnień.

– Niech będzie – odpowiedziała protekcjonalnie SI.

– To chyba nikomu nie zaszkodzi.

Turil wziął do ręki kredę podróżną i posługując się nią jak szablą, nakreślił w powietrzu zarys drzwi. Energetycznie naładowana kreda pozostawiała za sobą ognisty szlak. Prostokątny zarys cięcia wypełnił granatowy dym, za oparami którego zamajaczyło wewnątrz jaśniejszego pomieszczenia. Grabarz odłożył kredę i zrobił krok naprzód. Ponownie znalazł się w Hali Wspomnień.

W powietrzu unosiła się dziwna woń. Połączone zapachy pajęczyn, odstałej wody, stęchlizny i formaliny. Nie wiadomo skąd dobiegał go dziecięcy szept. Umarłe dziecko lub jego kreawatar, który nie mógł zaakceptować swego losu, mimo wieków spędzonych w zamknięciu.

– Kto chce ze mną porozmawiać? – zawołał Turil w głąb utrzymanego w bieli pomieszczenia. Jego głos odbił się od ścian zwielokrotnionym echem.



Rozległy się słabe, ledwie słyszalne odpowiedzi. Przez Halę Wspomnień przesuwają się podobne zjawom postaci. Muskały jego twarz, pozostawiając przez kilka sekund wrażenie stopniowo zanikającego dotyku. Były wśród nich wspomnienia mdłe i zamazane, tak stare, że niemal nie zdawały sobie sprawy ze swojej pseudo-egzystencji. Inne znowu wydawały się być świeże, odznaczały się jednak dziwnym grubiaństwem, które Turilowi nie przypadło do gustu. Jedną z tych, które natrętnie trzęsły jego osobowością nakłaniając go w ten sposób do konwersacji był Fiffinkonlox.

– Nie! – sprzeciwił się Turil byłemu klientowi. – Nie interesujesz mnie.

Fiffinkonlox był aroganckim i natrętnym Pseudo-Podim z najdalszego zakątka Łysego Wora, Arcywyżyskiwacz, który przez szczęśliwy przypadek doszedł do bajecznego majątku i który swego czasu, w obliczu swojej śmierci, wymagał od Turila spełnienie najbardziej niemożliwych zachcianek. Kiedy ceremonia pogrzebowy przebiegł w końcu po myśli Fiffinkonloxa, a on sam wydał ostatnie tchnienie, każde z jego podiów zostało złożone w ofierze innej czarnej dziurze na obrzeżach Łysego Wora. „Dzięki temu wzrastają szanse każdego kawałka mnie na dalsze przeżycie” – mówił. Okazało się, że ten MultiPodi na krótko przed zejściem ulokował cały swój majątek w uchodzących za pewne portach wolnorynkowego świata.

Oczywiście, Turilowi udało się zainkasować honorarium; sieć wzajemnych powiązań i znajomości, wytworzona przez grabarzy, sięgała w głąb najwyższych struktur finansowych Łysego Wora. Ale kosztowało go to dużo trudu i cierpliwości. Tak dużo, że związane z tym wydatki znacznie przewyższyły zaległe wynagrodzenie.

Mimo niesprzyjających warunków, Turil postąpił tak, jak nakazywały mu obyczaje jego ludu – ściągnął portret charakteru Fiffinkonloxa i umieścił go w Hali Wspomnień. Do tej pory umieszczono tu już tysiące ektoplazmowych kreawatarów. Chowali się oni po kątach jak duchy, skrywali w podłodze, sufitach, w ściennych tablicach. Szukali luk i nisz, niedostrzegalnych na pierwszy rzut oka, aby w izolacji od innych zastanowić się nad

czynami dokonany za życia. Niektórzy z nich od tysiącleci nie wychylały nosa ze swojej kryjówki, inni znów żebrali nieustająco o nowe ciało. Byli tacy, którzy pogodzili się już z losem, inni walczyli z Turilem zajadle. Te projekcje umarłych były partnerami tanatologa w konwersacji. Były jego... przyjaciółmi.

– Kiedyś tego pożałujesz! – wrzasnął Fiffinkonłox. Zamachnął się dwójką swoich podiów. Uderzał nimi w ciało Turila, nie wyrządzając mu szkody. – Oszukałeś moich synów na spadku, zniszczyłeś moje z trudem osiągnięte dokonania!

Turil strzelił palcami i wskazał na niego. Kreawatar wślizgnął się z powrotem na czepny punkt; wydostanie się stamtąd dopiero wtedy, gdy grabarz mu pozwoli.

Turil, po kolei obserwując pozostałych obecnych, zapomniał o MultiPodim. Odstawali oni od jasnego tła niczym szare welony. Pożądali rozmowy z Turilem. Bywało, że dobrymi rozmówcami okazywali się mający nawet kilka tysięcy lat kreawatarzy. Potrafilo dzielić się informacjami na temat historycznych struktur, paktów i upadłych cywilizacji. W takich rozmowach często można było odnaleźć analogię z teraźniejszością. Życie w Łysym Worze okazywało się płynąć pewnym powtarzalnym rytmem. Bywały wzloty i upadki, oscylacje o kilkusetletnich amplitudach.

– Jest tu Kanaisse? – zapytał.

Kreawatarzy spojrzeli po sobie, szukając kobiety-ślimaka, która już do dłuższego czasu zostawiała w Hali Wspomnień swój śluzowy ślad.

– N... Nie – powiedział Izolit w Negatywie, podczas gdy jego Pozytyw jak zwykle milczał, owijając się robaczym ciałem wokół bliźniaka niczym wstęga Möbiusa. – O... Ona gra, a t... to jeszcze potrwa j... jakiś czas.

Szkoda. Kanaisse była zawsze dobrą doradczynią. Niemal matkującą Turilowi. Ale gdy ulegała pociągowi do gier, nie można było na nią liczyć przez lata.

Tanatolog zastanowił się przez chwilę. Kto jeszcze mógł wchodzić w rachubę jako rozmówca? Para bezimiennych Silikotów, pożerających i wypluwających się wzajemnie? W przerwach orgii żerowania zajmowały się wypowiedaniem mądrości, które

mogłyby mu pomóc. Może powinien wyrwać z jego wirtualnej wodnej sieci Xavy Pajaka, zmuszając go do przepowiedzenia przyszłości, która właściwie była przeszłością (i odwrotnie)? Ten stwór, który podczas walki na śmierć i życie wpakował w Turila swoje prawie czterdziestocentymetrowe żądło, nie znał pojęcia czasu, posiadał jednak zadziwiającą zdolność rozpoznawania wydarzeń brzemiennych w skutki.

Nie. Dzisiaj nie potrzebował żadnego proroka, ani nikogo poruszającego się w wyższych, odbiegających od rzeczywistości sferach. Interesowały go istoty mocno osadzone w teraźniejszości.

– Shmau! – zawołał. – Shmau Pendrix!

Pozostali kreawatarzy odeszli, okazując rozczarowanie na tyle, na ile pozwalały im ich fizjonomie, gestykulacja i duchowość.

Z nicości wyłonił się, idąc z pochyloną głową, Human w kwiecie wieku. Admirał był nie tylko szarmanckim gawędziarzem, ale miał również tęgą głowę.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Turila łamiącym się głosem. – Tylko się streszczaj. Jestem zmęczony...

– Zawsze jesteś zmęczony – stwierdził Turil. – Kiedy ściągałem twoją matrycę duszy, akurat zasypiałeś, pamiętasz?

– Oczywiście. – Human się uśmiechnął, ukazując wewnątrz ust odgradzone rzędem spiczasto oszlifowanych zębów. – W końcu to moje ostatnie i najświeższe wspomnienie.

Shmau Pendrix stanowił wspaniałą akcent w karierze Turila jako tanatologa. Pod bacznym okiem oficjałów Świata Logum, którzy skazali admirała na śmierć, grabarz rozesłał swoich wirtualnych portrecistów. Część z nich przeniknęła do centrum duchowego umierającego admirała, kopiując i przenosząc do pamięci niemal wszystkie jego żołnierskie wspomnienia.

Turil ostatecznie rozkazał pozostałym kreawatarom powrócić na miejsca, a Pendrixa poprosił o udanie się z nim do rozmówniszy. Na jedno skinienie hala zmieniła biały wystrój na kompozycję obrazów utrzymanych w harmonijnej tonacji barw, zmieniającą się w zależności od jego humoru. Z podłogi wyłoniła się leżanka, na której tanatolog wyciągnął się wygodnie.

– Co tam nowego, grabarzu? – zapytał Shmau Pendrix. – W ostatnim czasie widywaliśmy się dosyć często...

– Nie lubisz naszych pogawędek?

Human zaśmiał się. Ochryple i głośno.

– Rozmowa z istotą żyjącą ma swoje zalety. My, kreawatarzy, podlegamy pewnemu schematowi. Po jakimś czasie, po pięciu, może dziesięciu latach, tematy naszych rozmów powracają.

– A co z nowo przybyłymi? Nie wzbogacają waszego repertuaru?

– Temat ten niezbyt interesował Turila; grabarz wiedział jednak, że Shmau, by się rozkręcić, potrzebuje trochę czasu.

– Gdybyż to było prawdą! W ostatnim czasie zapchałeś Halę Wspomnień, wybacz tę drobną krytykę, samymi jałowymi charakterami. Najwięcej jest tu bogatych pustaków i zdegenerowanych przedstawicieli prastarych linii szlachty, niewartych ani sylaby wzmianki.

– Przepraszam – powiedział Turil, pochylając nieznacznie głowę.

– Nie zawsze wybieram swoich klientów.

– Wiem, wiem... – Shmau Pendrix westchnął – No dobrze. W takim razie – w czym mogę pomóc?

– Muszę wziąć na pokład kogoś żywego.

– No i?

– Nigdy przedtem na pokładzie GELFARA nie przebywał żyjący, który nie byłby grabarzem. Zazwyczaj kontaktuję się z moimi klientami w ich siedzibach bądź w wynajętych na tę okazję miejscach. Przygotowując ich na nieuniknione, omawiam z nimi to, co najważniejsze. Pozbawiam ich lęku, podnoszę na duchu, wspieram. Najczęściej stają ze śmiercią twarzą w twarz, lecz niekiedy muszą zostać wprowadzeni do królestwa ciemności ostrożnie. A teraz... Boję się stanąć przed Pramainem. On jest inny, taki... taki... witalny.

– Dlaczego go po prostu nie zabijesz? Masz wątpliwości? – zaśmiał się Shmau.

– Mam zobowiązania i wobec Pramaina, i wobec ludu Domiendramu. Wykonanie zadania zostało zawieszona. Stan ten będzie się utrzymywał tak długo, jak długo Pramain będzie pozostawał przy życiu.

– Rozumiem. – Admirał podparł dłonią podbródek. – W takim razie radzę ci tę niezwykłą sytuację potraktować jako szansę ucieczki od dnia powszedniego. I jako lekcję! Ta ofiara losu, nazywająca sama siebie mózgiem statku, dołoży wszelkich starań, byś został uciemieżony...

Głos słabł z każdą chwilą, a coraz bardziej eteryczna sylwetka admirała zaczęła już tracić ostrość. GELFAR ocenzurował kreawatarą, wysyłając jednoznaczne ostrzeżenie. Jeśli Shmau Pendrix nie poskromi języka, zostanie na kilka tygodni przytwierdzony karnie do czepnego punktu.

Turil aktywował kolejną dawkę inhibitora agresji. Sytuacja na pokładzie GELFARA stawała się z dnia na dzień bardziej nieznośna. Dla SI statku wolność myśli i słowa były pojęciem obcym. Jej wirtualne łapy sięgały głęboko w struktury życia grabarza.

Jego życia. Mało brakowało, a by się roześmiał. Jego wpływ na sferę statku był o wiele mniejszy niż wpływ SI.

– Chch... – zarzęził admirał. Złapał się za gardło i wypluł na podłogę wirtualną flegmę; twarz wykrzywił mu ból. A więc i kreawatarzy mają jakieś odczucia! Wspomnienia odczuć.

– Już dobrze?

– Mniej więcej. – Shmau Pendrix usiadł obok Turila. – Muszę być trochę ostrożniejszy.

– Tak.

Admirał szybko doszedł do siebie. Jego oczy rozbłyły na nowo.

– A więc nie wiesz, co począć z tym żywym?

– W rzeczy samej.

– Ucz się od niego. Zbieraj doświadczenia. Wykorzystaj jego mocne strony.

– Obawiam się, że Pramain Bożyszczu nie ma mocnych stron.

– Więc obserwuj i analizuj jego słabości. Rozmawiaj z nim tak, jak czynisz to ze mną. Bezstronnie, bez uprzedzeń. A zobaczysz, że wytrzymanie obecności kogoś żywego wcale nie jest trudne.

Na Turila spłynęło opanowanie Shmau. Poczuł jego niezależność czy uspokajająco zadziałała siła jego autorytetu podczas wypowiedzianych oklepanych mądrości? Admirał wiedział Jak

manipulować rozmówcą. Rozmawiać z żywymi i nauczyć się ich rozumieć – co za niesłychane bzdury!

– Spróbuję – odrzekł grabarz po chwili.

– Daj mu szansę, ale przede wszystkim daj ją sobie. Miej cierpliwość. Twojemu królowi potrzeba czasu na odnalezienie się w nowym życiu. A to nie będzie łatwe w obcym otoczeniu. – Nagle Shmau Pendrix zmienił temat. – A teraz opowiedz mi, proszę, jak doszło do tego, że ten wspaniały statek – w jego głosie zabrzmiała wyraźna nutka cynizmu – musi pełnić funkcję obozu dla azylantów.

Turil skinął głową i rozpoczął relację o tym, co się wydarzyło na Domiendramie. Wiedza, której krewatarzy nie zdobyli osobiście, była dla nich jak przysłowiowy kęs chleba. Poszerzała ich procedury pamięci i mogła stanowić w rozmowach z mieszkańcami Hali Wspomnień wartość handlową. GELFAR trzymał ich krótko, izolując od przepływu jakichkolwiek informacji.

Gdy Turil mówił o wizycie u Refrakta w katakumbach pod miastem, Pendrix słuchał uważnie. Kiedy opisywał początek rytuału zabijania, a potem pojawienie się Kitarów, z ich dziwnym, odbiegającym od znanego schematu zachowaniem, na twarzy admirała pojawił się szeroki uśmiech. Pozyskany właśnie zasób wiedzy posłużył mu, w układzie wzajemnych powiązań przenikających środowisko krewatarów z Hali Wspomnień, jako pożywka. Przez długi czas.

– Dziękuję ci – powiedział Shmau Pendrix, kiedy Turil zakończył swą opowieść. – Mam nadzieję, że weźmiesz sobie moje rady do serca?

– Łatwiej przychodzi mi rozmowa z martwymi niż z żywymi – wymijająco odparł Turil. Pomachał na odchodnym, a krewatar podążył w stronę czepnego punktu.

Turil nie spieszył się ze sporządzeniem raportu o zajściach na Domiendramie. Nienawidził biurokracji, ale tym razem nadarzała się okazja połączenia interesów służbowych z prywatnymi.

– Dlaczego interesują cię aż tak bardzo poczynania Kitarów? – zapytał GELFAR.

– Ponieważ ponoszą oni winę za niedokończenie mojej misji – usprawiedliwiał się grabarz. – Im więcej się o nich dowiem, tym

łatwiej będzie można ocenić ich poczynania, a co za tym idzie – zwiększyć nasze szanse.

– Kitarzy są nieobliczalnym ryzykiem i takim pozostaną. Na Dworach Pokoju przeprowadzono wiele prób odfiltrowania pewnych wzorców zachowań.

– Chcesz mi nakazać, jak mam wykonywać swoją pracę? Znasz surowość izb administracyjnych. Jeśli raport nie jest absolutnie hermetyczny lub zawiera sprzeczności, łatwo można stracić sferę statku. Chcesz mieć nowego właściciela?

– Dlaczegoż by nie? – przytaknął GELFAR bez ogródek.

– Wiesz, że mój ród nigdy do tego nie dopuści.

Statek umilkł. Turil poczuł kolejny już raz, jak żołądek zawiązuje mu się w supeł. Działo się tak zawsze, gdy GELFAR natrętnie obstawał przy autonomii. Strefa statku była niestety nad wyraz skomplikowanym partnerem, z którym współpraca układała się jak po grudzie.

– Otrzymam w końcu te informacje o Kitarach?

– Owszem.

Oświetlenie w pracowni przygasło, a wokół Turila rozbłysło kilkanaście projekcji. Prezenterzy kilku interstelarnych agencji informacyjnych odczytywali wiadomości o pierwszych udokumentowanych masakrach Kitarów. Podczas zażartych dyskusji kłócono się o cel przyświecający działaniom owych dziwnych istot. Rzesze neksjalistów, ksenopsychologów, etologów i socjologów przedstawiały swoje zdanie dotyczące struktur i motywacji dzikiego plemienia. Obszerne listy zawierały dokładny rejestr wszystkich ataków, potyczek, bitew, napadów oraz miejsca, gdzie widziano Kitarów i osiągnięcia ich inżynierii. Nawet te, w których dostrzeżono raptem trzech uwięzionych Kitarów... Turil, udając obojętność, brnął przez dostępny materiał i robił notatki do końcowego raportu o Domiendramie.

Oby tylko GELFAR nie zauważył wyniku pomiarów fizjologicznych, oby tylko źle zinterpretował jego samopoczucie! Udawał zmęczonego i sennego, w rzeczywistości jednak był napięty jak nigdy dotąd. Kitarzy już dawno wpłynęli na jego życie. W

pewnym sensie to oni sprawili, że jest tym, kim jest: outsiderem wśród outsiderów.

Najwyższy czas, żeby się dowiedzieć o nich więcej. Nigdy nie nadarzyła się okazja lepsza niż teraz.

Pramain Bożyszczycy wyciągnął korzenie z otaczającej go gleby. Teraz znajdowały się w powietrzu. Niektóre odnóża wyglądały na obumarłe, niektóre owinięte były folią z odżywką. Czyżby były władca Domiendramu odmawiał przyjmowania pokarmu?

– Nie jest jeszcze w stanie samodzielnie funkcjonować – zakomunikowała przelatująca medwróżka. Przysiadła na prawym ramieniu Turila, szepcząc mu do ucha. – Możemy pociąć na kawałki jego mózg i zobaczyć, co się tam popsuło.

– Nie. – Turil strząsnął intruza i zwrócił się w stronę Pramaina. – Rozumiesz, co do ciebie mówię? – powiedział z przesadną artykulacją.

– Tak.

– Czy wiesz, gdzie się znajdujesz?

– Na pokładzie twego statku. – Głos Pramaina pozbawiony był emocji.

– Wiesz, w jakich okolicznościach sprowadziłem cię tutaj? Rozumiesz moje trudne położenie?

– Czy rozumiem? – Pramain wydał z siebie odgłos przypominający coś w rodzaju gorzkiego śmiechu. – Akceptuję fakt, że mój lud nie chce mieć więcej ze mną do czynienia i to, że mnie wygnał. Ale nie rozumiem z tego nic.

– To prawie jak ja. – Turil postanowił spróbować być otwarty i bezpośredni, jak mu zalecił Shmau Pendrix. – Nie chciałem cię na pokładzie. GELFAR jest moim światem. To jedyne miejsce, które mogę nazwać domem. – Dał medwróżce znak, żeby spionizowała ciało drzewiastej istoty. Tak, żeby móc spojrzeć prosto w zdrewniałą twarz.

– Chcąc nie chcąc, musimy jakoś ze sobą wytrzymać – kontynuował. – Tak długo, aż rozwiążę nasz dylemat.

– Nie chciałem umierać – Pramain Bożyszczycy wpadł w lament. – A teraz znajduję się z dala od Domiendramu. Wszystko tu wydaje się takie obce. Ziemia pod moimi korzeniami, rozsypana przez



medwrózki, śmierdzi i smakuje zgnilizną. Powietrze jest skażone kliniczną czystością. Nie wyczuwam najmniejszego zarodka, żadnego owada, żadnej żyły wodnej. Grawitacja jest nieustabilizowana i ciągle się waha. Moc tysiąca słońc, małych białych plamek daleko stąd, szarpie mną, napromieniowuje punktowym ogniem. Czasem jest mi zbyt wilgotno, czasem zbyt sucho. A jacyś pomocnicy bez przerwy chcą ze mną rozmawiać i badać moją psychikę. Budzą mnie z głębokiego snu, gadają coś bez sensu o witalności, promienistej przyszłości, szczęściu, które mógłbym osiągnąć. – Konaroramiona Domiendramina poruszały się, cicho trzeszcząc. – Gdybym nie był podłączony do tej aparatury, udusiłbym ich z przyjemnością.

– Nic byś im nie zrobił, bo to wiktuały, jak zresztą wiele innych rzeczy na pokładzie. Ale kazałem Jasności i Cieniowi, by cię pozostawili w spokoju.

– Żebyś sam mógł zająć ich miejsce? – Pramain zerwał się i wystrzelił jedną ze swoich najdłuższych i najszerzych odnóg w kierunku Turila. – Żebyś mógł mnie dręczyć i napawać się moim cierpieniem? Chcę umrzeć, chcę być pogrzebany w ziemi, w czarnej, obfitej w humus ziemi! – Próbował się dźwignąć, walcząc z całych sił z przytwierdzającymi go do łoża elastometrami, które zarazem kontrolowały jego biowyniki i regulowały biodawki. Bożyszcy zaczęli szaleć. Z jego otworu gębowego wydostała się zielonkawa ślina. Pocięła wzdłuż wyłobień w korze, po brodzie i szyi.

– Uspokoić go – rozkazał Turil medwrózkom. – Zawołajcie mnie, kiedy wróci do siebie.

Odwrócił się i wyszedł. Na Domiendramie ataki emocjonalne Pramaina, w obliczu nadchodzącej śmierci króla, jakoś szczególnie mu nie przeszkadzały. Jednak tutaj, w jego małej ojczyźnie, były... niewłaściwe.

Sięgnął po kredę podróżną. Nadszedł czas, żeby odwiedzić dziecięcy mózg Mameda i zaplanować z nim dalszą trasę podróży. Interesy czekały. Zapas czasu z Domiendramu można będzie efektywnie wykorzystać. Wprawdzie znajdował się w niewygodnej sytuacji, ale miał zobowiązania wobec swego ludu. Musiał wykonać możliwie najwięcej zadań, zanim nadejdzie czas Wielkiego Thangu.

## 6. SEKCJA

Ofenau i Sorollo będą potrzebowały jeszcze trochę czasu, zanim dojdą do porozumienia i dostosują swoje branże do partnera. Bądź co bądź istniało ponad czterdzieści wariantów osobowości, przy których konfrontacji mogło dojść do pewnych nieporozumień. Potencjał konfliktowy był duży, nawet jeśli wcześniej, podczas treningu na sucho, przewyżczono największe problemy.

Ofenau wiedział, że Sorollo przez cały czas była bacznie obserwowana przez Kixa Karambui. Savoir-robot nie miał chwili wytchnienia, mocno dzierżąc ster na HALBIE. Okazywał własnym stworzeniom daleko idącą nieufność.

Wybór Kixa Karambui na sekretarza ARMIDORNU okazał się mądrą decyzją. Prawie każdy w jego obecności czuł się słaby i pełen kompleksów. I właśnie tym można było sobie wytłumaczyć uzyskanie od myśloworów podwyżki budżetu o sześćdziesiąt procent i zapewnienie Kseniatom większej swobody przy poszukiwaniu śladów Kitarów. Swoboda tak, samowola nie.

Ofenau popatrzył za opuszczającym centralę trójnogim robotem. On – a właściwie jego branże – przejrzały go na wylot. Nie dały się omamić jego dziwnym sposobem bycia ani pozorną niezdarnością. Cwaniak prezentował inteligentną wydajność na poziomie mało kogo w Łysym Worze. Jeżeli Ofenau i Sorollo chcieliby uwolnić się spod jego wpływu i zacząć prowadzić samodzielne życie, a taki mieli zamiar, to muszą wykazać się niemałym sprytem. Jednocześnie jak najszybciej doprowadzając sprawę Kitarów do końca.

– Dochodzenie powinniśmy zacząć od zbadania grabarzy – powiedziała Sorollo w zamyśleniu. – Dysponują największą bazą informacji w całym Łysym Worze.

– Nie zgadzam się. – Ofenau, aktualnie znajdujący się i myślący w logicznym trybie bramkowym, rozpoznał branżę partnerki. Była nią Bo, analityk. Nieprzystępna, twardo stąpająca po ziemi realistka. – Hedonizm niekoniecznie jest najznakomitszą z cech tanatologów. Szybko spostrzegą, jak bardzo zależy nam na danych i ich cena poszybkuje do granic naszych możliwości. Poza tym

zarejestrują naszą prośbę w swoich centralach, tak że każdy, kto będzie w stanie zapłacić, dowie się, co nas interesuje. To z kolei spowoduje dalszy wzrost kosztów.

Sorollo przewróciła oczami. Zmieniła branżę. Bo odeszła w zakątki jej prywatności, a na jej miejscu pojawił się Khadim. Mężczyzna w ciele kobiety, obdarzony niezwykłą fantazją teoretyk chaosu z lekką skłonnością do używania pitnego alkoholu.

– Zwróćmy się do gildii handlowej – zaproponował. – Agonfil i inni nieraz świadczyli pomoc ARMIDORNOWI.

– Niech będzie. – Ofenau skinął głową. – Ale powinniśmy uwzględnić i inne możliwości uzyskania potrzebnych informacji. Narody ARMIDORNU są, tak czy owak, zobowiązane udostępniać wszelkie będące w ich posiadaniu dane o Kitarach. Religianci nadstawią na nas ucha, jeśli wesprzemy ich hojnym datkiem. Jako dalsi informatorzy wchodzi w rachubę kliki gildyjne Ciemnej Profesji na Światach Parosa. Ponadto najemni szpiegzy na tym czy owym dworze. – Skupił się na propozycjach opracowanych wspólnie przez wszystkie branże. – Nasze badania przeprowadzone zostaną, oczywiście, przez reprezentantów. ARMIDORN nie może być pod żadnym pozorem kojarzony z poszukiwaniem Kitarów. Kix Karambui i my nie posiadamy militarne mandatu, usprawiedliwiającego nasze przedsięwzięcie. Tym samym doszliśmy do następnego tematu. Potrzebujemy dobrego statku. Takiego o wytrzymałej budowie, zdolnego pokonywać maksymalne odległości w jak najkrótszym czasie. Godnym polecenia byłby jakiś z jeszcze młodym dzieckiem... – Jego „lista zakupów” zawierała więcej niż trzydzieści pozycji, począwszy od broni osobistej, przez upgrady ciała, niezbędne dla niego i Sorollo, po primadonny psycholityczne, niedostępne już w strefie wolnego handlu.

– Nie sądzę, żeby Kix Karambui nam to wszystko tak po prostu załatwił – odezwała się Sorollo. Też włączyła tryb bramkowy, co ogromnie ułatwiało rozmowę. Przejawiała jednak zwykłe koordynacyjne trudności. Prawa noga i lewa ręka lekko drżały.

– Mamy czas. Nasza kampania przeciw Kitarom nie jest do załatwienia z dnia na dzień. Ważne, abyśmy otrzymali wsparcie z

każdej strony. Tylko wtedy będziemy mieli realną szansę podążenia tropem naszych przeciwników.

Sorollo twierdząco skinęła głową.

– Niestety, członkowie ARMIDORNU nie są obdarzeni zbyt dużą cierpliwością. Co jakiś czas musimy uspokajać ich meldunkami o przebiegu akcji, co chwila podrzucąc łakomy kęs. Zebrany materiał powinniśmy jakoś pięknie streścić, żeby Kix mógł odegrać na następnym walnym zebraniu małe przedstawienie przed myśloworami.

– Oczywiście. – Ofenau skłonił się w kierunku partnerki, uwalniając w tym samym momencie swój moduł. Pierwszy precyzyjnie się Chinchin, kiedyś gwiazda estrady ze skłonnościami do autopromocji. Zaśmiały się gromko. – ARMIDORN zobaczy show, jakiego jeszcze nie było. A teraz chodźmy zbadać mięcho!

Kopia Kitar leżała w wannie, przygotowana do sekcji. Wykonano ją z próbki tkankowej, którą ARMIDORN nabył na giełdzie rarytasów za masę pieniędzy. Egzemplarz w 99,998 procenta odpowiadał fizycznie oryginałowi. Lecz, być może, akurat w brakującym ułamku promila tkwiła tajemnica tego mistycznego narodu, bo...

– Jak się czujesz? – zapytał Lux Daibi, ksenopsycholog w Ofenau.

– Dobrze – odparł Kitar głuchym głosem.

– Wiesz, kim jesteś?

– Nie.

– Należysz do narodu, który my nazywamy Kitarami.

– Aha.

– Masz jakieś wspomnienia z wcześniejszego wcielenia?

Kopia Kitar nigdy nie żyła. Wyhodowano ją i wyposażono w moduł mowy, aby potrafiła wyrażać swoje myśli w miarę rozumiały sposób. Golem nigdy nie przyswoił sobie żadnego języka.

– Nie. – Odwrócił swoje włochate cielsko od Ofenau. – Umieram. – powiedział i przestał funkcjonować.

– Zastosować środki podtrzymujące życie! – rozkazała Sorollo chirurgicznym mikrorobotom. – Szybko!

Rój lśniących chromowanych narzędzi poderwał się i opadł na Kitara. Zastryk wypełniony cieczą wzmacniającą krwiobieg usadowił się pomiędzy dwoma grubymi fałdami skóry na jego ramieniu i zaaplikował całą dawkę w leżące bezwładnie ciało. Masażysta serca rozpoczął reanimację, mierniki pulsu wwierciły się w trzech różnych miejscach w naczynia, robot-miech nadał się, wdmuchując tlen w pozbawione warg usta, a kontakty EEG wyszukały odpowiednie punkty pomiarowe na skroniach istoty. Wszystko odbywało się bez zakłóceń. Nie istniał powód, dla którego reanimacja miałaby się nie udać. A jednak...

Ofenau przez chwilę obserwował walkę armady maszyn o życie kopii Kitara.

– Dosyć! – Rozkazał w końcu. – Pozwólcie mu odejść.

Mikroroboty zastygły w bezruchu. Powoli, z ociąganiem odstępowały od Kitara, odlatując na swoje miejsca.

– To już czwarta próba – powiedział Lux Daibi/Ofenau. – Powinniśmy przerwać eksperyment. Kopie nic nam nie powiedzą. To by było zbyt piękne...

– Zdawaliśmy sobie sprawę ze znikomości szans.

– Miałem nadzieję na przynajmniej kilka informacji o genetycznej charakterystyce Kitarów. Ale skala porażki jest po prostu szokująca.

Sorollo wykazywała czasem skłonności do zachowań depresyjnych. Wtedy wpływ jej obu humańskich branz dawał się jej szczególnie we znaki, a jej i tak pokaźna sylwetka sprawiała wrażenie wyjątkowo nabrzmiałej.

– Mieliśmy życzenie, które się nie spełniło. To wszystko. – Lux Daibi oddał kontrolę Abylonowi, który w swej cielesnej praformie przemierzał wody oceanów swej planety jako meduzacz. – Powinniśmy zrobić sekcję – zapiszczał intuicyjny pragmatyk swoim wysokim głosem. – Jeżeli nie jesteśmy już w stanie zbadać ducha Kitarów, to dowiedzmy się czegoś o ich kondycji fizycznej.

– Przypatrywaliśmy się, z jak niewielkiej resztki tkanki powstawała żywa, funkcjonująca istota. Dlaczego mielibyśmy teraz obserwować proces odwrotny? Poza tym, nie jesteśmy pierwszymi,

którzy wpadli na ten pomysł. Dlaczego tak się zawzięłeś na krojenie zwłok?

– Nie chciałbym później odpowiadać na zarzut zaniechania czegokolwiek. Może nam pomóc każda drobnostka.

Na rozkaz Abylona/Ofenau poruszyły się maszyny do sekcji. Ostrza, zdolne przeciąć molekuły, wyfrunęły z futerałów. Ledwie widoczne, pobłyskiwały w świetle specjalnych reflektorów.

– Zaczniście od głowy – zażądał Abylon/Ofenau. Wskazał ręką na wykrzywioną w grymasie twarz, wzbudzającą nagłe uczucie strachu i powodującą ciarki na plecach Kseniaty. Widok Kitarów wzbudzał lęk właściwie w każdej rozumnej istocie. Przed wszystkim para skośnych oczu, z ich żółtymi, wielokrotnie rozczłonkowanymi źrenicami, policzki, na których silnie owłosiona skóra mocno przylegała do okrągłych pozbawionych warg ust, wypełnionych nieskończenie długimi, sięgającymi głęboko rzędami zębów. Kitar nie miał szczęk. Jego szyję pokrywały spiczaste kostne wypustki; przypominały tarkę. No i uszy... Cały czas wyciekała z nich jakaś ognistoczerwona ciecz, kapiąca na galaretowatą masę jego ramion i dyfundująca tam w jakiś niepojęty sposób. Z lamelkowego nosa jeszcze kilka minut po zgonie uchodził gryzący dym. Wyglądało to, jakby ciało Kitara posiadało własne laboratorium chemiczne, w którym nawet po śmierci przeprowadzane są eksperymenty ze żrącymi substancjami.

Trzy branże Ofenau poczuły się zdeglustowane i odmówiły uczestnictwa w sekcji. Minęło kilka sekund, zanim osobowości w podzielonym ciele zrozumiały, że ich obecność przy zabiegu jest niezbędna.

W jednej z nisz mocujących rozłożyło się samoczynne ramię. Z namaszczeniem przesunęło ostrzem po szyi Kitara. Głowa odpadła od tułowia, z otwartych naczyń sączyła się krew. Na przekroju szyi widać było potężne kostne płyty kręgosłupa. Wykonane krzyżowo dwa cięcia otworzyły klatkę piersiową. Metalowe palce odciągnęły futrzastą skórę, ukazując największą osobliwość niezwyklej istoty.

U Kitara gotowego do akcji, organy przechowywane były pod skórą w obszarze piersi i pleców. Tak, przechowywane. Uporządkowane w szereg, umieszczone w przezroczystych

naczyniach dodatkowo zabezpieczonych drobnooczkową, prawie niezniszczalną siatką. Kopia poddana sekcji posiadała pod kleistym włosem różowawą delikatną epidermę, dla której przyjęła się nazwa skórki przegrodowej.

– Wszystko to jest takie zagadkowe – powiedziała Sorollo – Nie wiemy, czy ta pusta przestrzeń między futrem a skórką odpowiada naturalnej formie Kitarów, czy została sztucznie wytworzona i dodana. Te zatoki – wskazała na wydrążenia wielkości pięści – przemawiają za drugim wariantem. Ale być może Kitarzy należą do gatunku torbaczy, który kiedyś przeszedł spontaniczną mutację na ich planecie. Utracił gruczoły młeczne albo zbędne okazało się nagłe posiadanie torby łęgowej. Worki skórne na piersiach i plecach zaczęły stopniowo zanikać, aż w końcu zarosły ostatecznie. Późniejsze pokolenia zajmujące się optymalizacją ciała doszły do wniosku, że można te puste miejsca jakoś wykorzystać...

Ofenau przerwał koleżance, zanim pochłoną ją całkowicie nazbyt śmiałe teorie.

– A to co? – zapytał, wskazując na kilka podobnych do robaków przewisających mięśni w obrębie lędźwi. Ich zakończenia stanowiły kręgi drobnych haczyków z zadziarami. – Czyżby organy rozrodcze?

– U tego tutaj tak. – Sorollo wzruszyła ramionami. – U innych zwłok, na których przeprowadzaliśmy sekcję nie. Kitarzy to kręgowce. To wszystko, co wiemy. Nawet nie jesteśmy w stanie ustalić, czy należą do gromady ssaków, do reptiloidów czy do ptakopodobnych. Noszą w sobie zróżnicowane cechy genetyczne... – Westchnęła. – Jestem bezradna. Wyniki badań nad innymi Kitarami, które zakupiliśmy dla ARMIDORNU, wykazują zupełnie inne specyfikacje płciowe. Do tej pory odkryto trzydzieści trzy pary chromosomów, a przypuszcza się, że istnieje ich o wiele więcej. Niektórzy z Kitarów posiadają owularia, niektóre osobniki organy wysiadawcze czy kloaki płciowe, służące do odhodowania płodu bądź złożenia jaja. Wszystkie te elementy istnieją jedynie rudymmentarnie lub znajdują się w stanie całkowitego zaniku. – Westchnęła ponownie. – Nie wygląda na to, żeby istniało zjawisko pociągu płciowego. Nie ma gruczołów wydzielających substancje wonne lub semiochemiczne, nie stwierdzono niczego w rodzaju

estrogenów i feromonów. Osobniki nie wydzielają zapachu. Ale, co ciekawe, odznaczają się bardzo dobrze wykształconymi organami węchowymi. – Kseniatka wskazała skalpelem, który wił się w jej palcach, szukając zajęcia, na wyszczerbiony lamelkowy nos. – Ten fizjologiczny system nie powinien w ogóle funkcjonować, a mimo to w jakiś sposób działa. Powyższe sprzeczności właściwie wykluczają wszelką egzystencję Kitarów. Ta martwa kopia – grubiańskim gestem dotknęła zwłok – jest najlepszym tego przykładem. Żeby żyli, musi istnieć jakiś inny czynnik. Być może, zewnętrzny.

– Konieczne będą dalsze analizy DNA i zbadanie substancji biomolekularnej tak głęboko, jak to tylko możliwe – oznajmił Ofenau. Nie mogę uwierzyć, że za pomocą wszystkich dostępnych nam środków i osiągnięć techniki nie udało nam się dostrzec jakiegokolwiek funkcjonalności ciała, nie mówiąc już o jej analizie. – Pokazał na wewnątrz wydrążonego organu. – Czy genetycznie wyhodowana, czy naturalna fałda skórna, to tutaj właśnie leży centrum organizmu Kitara. Najważniejsze organy są tak dobrze zabezpieczone w siatkowych słojach, że nie jest ich w stanie naruszyć ani zniszczyć żadne mechaniczne oddziaływanie. Nawet broń nic nie wskóra.

Kazał wyświetlić na sali kilka obrazów, które kosztowały masę pieniędzy. Ukazywały zrekonstruowany tułów oryginalnego Kitara, w którym znaleziono serce, wątrobę i nerkę, branża Ofenau mogły dokonać porównania leżących zwłok z oryginałem.

– TU, tu i tu – pokazał na kilka miejsc – widać zaczepy i kontakty łączące organy z resztą ciała. Poprzez cienkie przewody między ciałem wewnętrznym a zewnętrznym następuje wymiana krwi i neurotransmiterów. Ale sygnały bólu nie dochodzą wcale lub prawie wcale do centralnego układu nerwowego. – Ofenau sięgnął w głąb korpusu. Spomiędzy jego palców wypłynęła nieco już zakrzepła krew. – Ciało wzmacnia konstrukcja z obracających się względem siebie płyt kostnych, umięśnienie lepiej rozwinięte niż u innych znanych mi istot. – Próbował mówić chłodno i beznamiętnie, jak gdyby stał przed abstrakcyjnym eksponatem, a nie martwym ciałem Kitara.



Rozkazał robotom sekcijnym rozciąć na krzyż warstwy skórki przegrodowej i odwinąć je na bok.

– U naszego hodowlanego Kitaro narządy leżą we wnętrzu ciała. Niemal się w nim nie mieszczą. Śledziona jest przygnieciona, obydwie łuki aorty i ich końcówki są spłaszczone. Cyrkulacja krwi w ciele naszego czwartego towarzysza na pewno była ograniczona.

– Jak już mówiłam. – Sorollo wzruszyła ramionami. – Nic tu nie pasuje. Ciało Kitaro nie nadaje się do życia. A już w żadnym wypadku do swobodnego pomieszczenia w nim organów wewnętrznych. Być może już się nie nadaje. Być może Kitaro są wynikiem kilku spontanicznych mutacji, które wymagały przeniesienia niektórych organów. A żeby je jakoś zabezpieczyć, wstawiono je do tych właśnie słoików na przetwory.

Słoiki na przetwory... Dziwnie nieprecyzyjne określenie, a wypowiedziała je branza Bo, ta trzeźwo myśląca wiedźma, która sprawiała, że ciało Sorollo starzało się o kilka lat, kiedy tylko przejmowała kontrolę.

– Wiemy – kontynuowała Kseniatka mentorskim tonem, – że najważniejsze narządy naszych wrogów mogą zostać bez problemu wymienione. Na zdjęciach wnętrza zmarłego oryginału widać większe i bardziej masywne obiekty. Kitaro posiadał dwa serca, z których jedno przebywało w stanie spoczynkowym. Dopływ krwi do niego był znacznie zredukowany, serce biło raz, może dwa razy na godzinę. Gdy pierwsze serce z takich czy innych powodów odmawiało posłuszeństwa, drugie przejmowało jego funkcje. Bezproblemowo, z chwili na chwilę. A obydwie serca są dwa razy większe, niż to wewnątrz naszej kopii.

Ofenau porównał rozmiary wszystkich organów wewnętrznych. Różnice były zadziwiające.

– Co z płucami? – Zapytał i sięgnął ręką w głąb projekcji, wyczuwając pod palcami kształt czarnej bryły pokrytej miriadami czerwonych żyłek. Opuszkami zarejestrował lekkie mrowienie, udające w trójwymiarowym obrazie materię.

– Są częściowo zrosnięte ze skórą przegrodową i pracują... nieregularnie. – Bo/Sorollo dłubała trzpieniem w ciele Kitaro. Niekiedy korpus drgał pod wpływem dotyku; wtedy, gdy trafiała

w nerw. – Te powierzchnie wokół obu tchawic – pokazała na blaszkowaty płat tkanki otaczający dwie skostniałe rurki – wskazują na rudymmentarną zdolność organizmu używania ich jako skrzeli. Szkoda, że go nie nakarmiliśmy i nie zanurzyliśmy pod wodą, zanim podjęliśmy próbę wybudzenia. Chciałabym wiedzieć, czy skrzela pełnią również funkcję wydalniczą.

– W każdej chwili możemy wyhodować nowy egzemplarz – oznajmił Lux Daibi w Ofenau. Lich-Pal, happener z delikatnym żołądkiem, chciał zaprotestować, powstrzymały go jednak pozostałe branże. – Materiał tkankowy, którym dysponujemy, wystarczy na jeszcze dobrych dziesięciu.

– A więc zrobmy jeszcze dwóch, niech wyrastają w różnych środowiskach, i porównajmy ich w każdej fazie życia. Za sześć dni ciała powinny być już dojrzałe. – Sorollo pochyliła się i wyłuskała z martwego korpusu dwa organy, którym wcześniej celowo nie poświęcała zbyt wiele uwagi. Były płaskie, wydłużone i jakby przywiedłe. Ich pomarszczoną powierzchnię pokrywało kilka dobrze ukrwionych cystami. – Gdybyście tylko mogli nam zdradzić waszą tajemnicę – westchnęła żałośnie. – Może dowiedzielibyśmy się, dlaczego jesteście tacy, jacy jesteście.

Oba organy spoczywały luźno w tkance mięśniowej. W oryginalnym ciele znajdowały się w obszarze lędźwiowym, za podwójnie wzmocnioną siatką. W jednym miejscu dotykały skóry, nieco przez nią wystając. Odczepione od ciała traciły różowe zabarwienie, kurcząc się natychmiast.

– To nic nie da. Potrzebujemy sprawnego okazu Kitara.

– Żeby go rozłożyć.

– Żeby go przesłuchać, torturować i rozłożyć. Tak.

W ten sposób daleko nie zajadą. Niepokój Ofenau rósł nieustannie. Najwyższy czas opuścić HALB i przeprowadzić dochodzenie na własną rękę. Już czas się usamodzielić.

Obydwoje odczekali, aż roboty sekcyjne fachowo ułożą ciało Kitara i dokonają pomiarów. Garstka nowych informacji zostanie zapisana w celu późniejszej wizualnej selekcji. Sporządzili obszerny raport dla sekretarza ARMIDORNU, sprzątnęli pozostałe biologiczne

resztki i na końcu odeszli do swych po spartańsku urządzonych apartamentów.

– Seks? – zapytała oschle Sorollo, gdy wspólnie brali prysznic.

– Seks – potwierdził krótko Ofenau. Chwyił kobietę za biodra i pociągnął mocno ku sobie. Jego ręce wędrowały w górę, równoległe do kręgosłupa, wzdłuż rzędu sztucznych chrząstek. Były zimne. Do niektórych z nich podłączono już dodatkowe moduły, niektóre zostaną aktywowane dopiero gdy zajdzie taka potrzeba.

Teraz kontrolę przejął Chinchin. Jeśli chodzi o libido, reprezentował on najbardziej doświadczoną branżę w Ofenau. Zazwyczaj natrafiał na Khadima, swego męskookreślonego odpowiednika w Sorollo. Gdy już obie branże się dopasowały, mogły zadziałać wszystkie inne struktury świadomości, celebrujące ostatecznie orgazmy w barwnym korowodzie stosunku płciowego odbywanego w trybie bramkowym.

Nie była to miłość i nie była to namiętność. Kseniacy wypełniali po prostu część cichego zobowiązania w kwestii wzajemnego zaspokajania potrzeb.

Ich związek faktycznie posiadał wiele faset. Ofenau nie wiedział, ile z nich jest sterowanych z zewnątrz, a ile produktem ich samostanowienia.

## 7. MROCZNA DROGA KU PRZESZŁOŚCI

Turil przesunął swoją wizytę u Mameda, dziecięcego mózgu statku. Potrzebował spokoju, a nie czuł się zbyt dobrze. Musiał się wyspać – nawet wtedy, kiedy na samą myśl ciarki chodziły mu po plecach. Bo taki odpoczynek na pokładzie GELFARA oznaczał sny, a snów unikał. O ile było to tylko możliwe.

Położył się w sypialni na podłodze, przykrył pachnącą kwiatami derką w nadziei, że tym razem ominą go koszmary. Zanim zamknął oczy, rozejrzył się wokół jeszcze raz. Pomieszczenie było puste. Nie było niczego, co mogłoby rzucić jakikolwiek cień lub stanowić kryjówkę dla kogoś bądź czegoś. Turil poczuł dojmujące zmęczenie. Nie był w stanie opierać się dłużej temu, co i tak miało nastąpić. Rozmowy z postaciami na pokładzie GELFARA miały swoją cenę. A on chciał to już mieć za sobą. Organizm potrzebował wypoczynku. Ból w okolicy ust zmałał, szczęki rozluźniły się nieco, a on sam zapadł się w krainę lekkości, nieskrępowania, która zawsze wzbudzała w nim potężny lęk.

Sny pojawiły się natychmiast. Pschoim, jego ojciec. Przeogromny. O oczach głębokich jak kosmos. Cekał na niego, otulony – jak zwykle – grubą czarną płachtą, która prawie nie pozawalała na odróżnienie go od tła sennego progu.

– Byłeś niegrzeczny – zahuczał, chwytając Turila za rękę. – Po raz kolejny, ty wyrodny bachorze! Zasłużyłeś na nauczkę, którą popamiętasz do końca życia!

– Nie! – Wymamrotał Turil, chociaż wiedział, że wszelki opór jest daremny. I tak zostanie wciągnięty przez wir sennych zjaw i urojeń, z którego się nie wydostanie, zanim nie zobaczy i nie przeżyje wszystkiego tego, co akurat było do zobaczenia i przeżycia.

– Byłeś i nadal jesteś porażką mego życia, synu. – Pschoim wciągał go coraz głębiej w obszar poza świadomością. – Wykonujesz marną robotę, umarli skarżą się na ciebie. GELFAR się skarży. – Szarpał go za rękę, brutalnie, bez litości.

Wzbudające strach postacie nadchodziły ze wszystkich stron. Umarli i umierający, stanowiący niegdyś klientelę Turila, wpatrywali się w niego pełnym wyrzutu wzrokiem. Przychodzili z

pretensjami, rzucali pod jego adresem obelgi. Ojciec odgonił ich pojedynczym machnięciem ręki, a zjawy oddaliły się posłusznie z wyrazem szacunku na twarzach. Dobrze wiedząc, że następnym razem ponownie nadarzy się okazja podokuczania Turilowi.

Jedna za drugą, otwierały się bramy. Ukazywały tajemnice wyparte ze świadomości Turila i dawno zapomniane. Gdzie zatrzyma się ojciec? Jaki czeka dziś na niego koszmar, z jakimi okropnymi wspomnieniami przyjdzie mu się zmierzyć, żeby w końcu obudzić się zlanym potem? Po śnie będą go oczekiwać Jasność i Cień, przywołane przez GELFARA. Si statku, zaniepokojona witalnymi wskaźnikami tanatologa, nie przepuści okazji do przeprowadzenia rozmowy wyjaśniającej z dwójką psychoopiekunów.

Brama ze wspomnieniami o dziesiątych urodzinach. Kakari, matka nieustannie sprawiająca wrażenie wyobcowanej, założyła mu po raz pierwszy ceremonialny płaszcz i śpiewając rytualną pieśń, umocowała na łopatkach zaczepy...

Za następną bramą znajdował się mały Vaump. Jego zwierzak, którego Pschoim wykończył neurotoksynami, ponieważ wymknął się z obszaru dla dzieci na GELFARZE i przedostał do jego służbowej sfery. Vaump skamlał, toczył z pyska krwawą ślinę. Minuty przechodziły w godziny...

Za trzecią bramą czyhali już uczestnicy Wielkiego Thangu, głównej rady wszystkich grabarzy. Te wspomnienia były niewyraźne, lecz zawierały narastający ból, który szybko rozprzestrzenił się na wszystkie członki Turila. Tu czekał Nochoi, ojciec Zaraty, jego narzeczonej. Obrzucił go pogardliwym wzrokiem. To Pschoim uknuł oświadczyzny i postanowił, że ich ślub odbędzie się podczas jednego z dwóch następnych Wielkich Thangów.

Zarata podeszła do ojca i odsłoniła drżącymi palcami szary welon. Oczom Turila ukazało się jej oblicze, którego do tej pory nie oglądał żaden mężczyzna. Twarz Zaraty sprawiała wrażenie zmęczonej i starej, lecz w jej oczach płonęła przejmująca groźba żądza. Jak gdyby chciała pożreć Turila w całości...

– Tędy proszę! – powiedział Pschoim oschle, wskazując na czarny otwór otoczony wysoką do kolan obwódką z nagromadzonych

kości.

– Proszę cię, nie! – usłyszał Turil swoje błaganie. – Już będę grzeszny...

Ojciec zaśmiał się tym swoim bezdusznym śmiechem, odepchnął go od siebie i wtrącił brutalnie w czeluść dziury. Turil spadał. Gorączkowo obmacywał przestrzeń wokół siebie, szukając czegoś, co pozwoli mu się zatrzymać. Kość. Oblepiona resztkami żyłastego mięsa, cuchnąca zgorzelą. Spadał i spadał, zachłystując się krzykiem, a wspomnienia wracały. Wśród nich także pamięć dnia, w którym stracił wszelką nadzieję...

Turil przemierzał zaułki bankinidzkiego Kłótniogrodu. Z ciekawością właściwą młodocianym obserwował mieszkańców miasta. Sprawiali wrażenie wynędzniałych. Wyglądali na zmęczonych. Zachowywali się, jakby wiedzieli, że ich dni niebawem dobiegną końca. Apatycznie kucali w cieniu krętych wież, żując zbożozioła lub wdychając nozdrzami genoklipy przenoszące ich do dawno minionej świetlanej rzeczywistości. Sławetne niegdyś plemię zostało przetrzebione przez niezliczone wojny i batalie.

Kiedy się do nich zbliżał, odsuwali się w trwodze na widok niemal dwa razy wyższego syna grabarza. Ponieważ był inny. Ponieważ jako jedyny w tej martwej okolicy miał w sobie witalność.

Ceremonialny płaszcz Turila robił swoje. Obserwował, zbierał dane. Do jego standardowego oprogramowania należały zarówno badania chemiczne i biogenetyczne, jak i wykonanie psychosocjalnego profilu Bankinidów czy opracowanie dynamicznej analizy profitu.

Płaszcz dostarczał mu – chociaż niewyposażony jeszcze we wszystkie elementy pełnej mocy – strzępków wiedzy będących częściami ogromnej układanki. Jego zadaniem było sklecenie z nich całościowego obrazu, jego interpretacja i zrozumienie. Tylko wtedy ojciec będzie mógł przeprowadzić zamówione całopalenie według życzenia panującej kasty roju.

Przez ulicę przemknął jakiś cień. Szybkość ruchu Bankinidy uniemożliwiała wyodrębnienie jego składowych. Cichy świst kazał przypuszczać, że rozwinął swoje ostrzegawcze uskrzydlenie.

Instynkty Insektoidów były w ich zachowaniu nadzwyczaj widoczne. W tym samym stopniu, co zubożeli i zapomnieli o swej szczególnej dumie, utracili także poczucie własnej wartości. Stanowili teraz jedynie cień dawnego jestestwa, bezwartościowy schemat.

Turil nie zwracał dłużej uwagi na karła, któremu udało się szczęśliwie przedostać na drugą stronę ulicy i który teraz schował się za zbitą z desek szopą. Zamiast tego przyjrzał się uważniej zwałom szlamu po obu stronach drogi. Musiał uważać na Aggro, grasujące bandy perfidnych rzezimieszków podbijających w tych dniach Kłótniogrody. Pożerali wszystko, co napotkali po drodze. Niekiedy również swoich kompanów, dlatego nie pogardziłoby chyba wyrośniętym synem tanatologa.

Turil przestąpił uważnie przez wąską rozpadlinę. Płynęła w niej z bulgotem gorąca gęsta ciecz. System szczelin ziemnych rozpościerał się niegdyś we wszystkich Kłótniogrodach. Obecnie wykazywał coraz więcej usterek. Mało kto dziś potrafił wykonać niezbędne naprawy. Turil nie chciałby tutaj pozostawać, kiedy system ostatecznie się rozpadnie. Wtedy nad Bankinidami zapanuje ciemność, a ich samych wciągnie pierwotny szlam, z którego wydostali się kilka tysięcy lat temu.

Ale teraz jeszcze władzę sprawowały błękitne, zielone i rdzawoczerwone ćmy. Coraz bardziej umacniały swą pozycję, oczywiście na koszt biedniejszych kast. Na czele wszystkich dążeń Jedynek, Dwójek i Czworek stały dekadencja i niepohamowany pociąg do luksusu. Wykorzystywały one osobników swojego gatunku do granic możliwości, a same stawiały sobie coraz większe wymagania, wydając masę pieniędzy na obrazoburcze rozrywki i zabawy.

Nie – to nie był piękny świat. Cuchnął odpadami i śmiercią, nieszczęściem i upadkiem. Ale kim on był, że pozwalał sobie na wartościowanie innych? On, Turil, uczeń czcigodnego grabarza Pschoima, czynił obserwacje przydatne w przygotowaniu pełnej przepychu ceremonii. Nie mniej i nie więcej.

Nagle przystanął. Zawahał się, po czym odsunął na bok. W jego kierunku podążał Choronista.

Otaczała go mgiełka obumierającego czasu. Dyfundowała pośród drgań i pozbawionej sensu szeptaniny, wywołującej strach im dłużej się jej przysłuchiwało. Chronista zewnętrze przypominał Humana. Z mgiełki czasu wystawały, powiększone niemal do wielkości talerzy, niebieskie oczy. Cienkie nogi były za długie, tułów wychudzony i jakby poskręcany z bólu. Maszerował tyłem, jak przystało na przedstawiciela gatunku, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. Wydawało się, że szuka swojego początku. U źródeł wszelkiego bytu oczekiwało go spełnienie.

Tak przynajmniej powszechnie przypuszczano. O Chronistach było wiadomo niezbyt wiele. Mało kto ważył się na rozmyślanie o istotach podążających pod prąd płynącego czasu, gdzie cel drogi był jej początkiem. Po co dotykać tej zagadki? Jej rozwiązanie, jak sądzą niektórzy filozofowie i naukowcy, mogłoby zniszczyć obydwa temporalne kierunki. Jeśli już natknęło się na jakiegoś Chronistę, lepiej go było zignorować.

Ten naprzeciwno zatoczył wokół Turila łuk: też go chyba zauważył.

Chyba męczy go to samo, co mnie?, pomyślał Turil. Poczuł lekki powiew przebiegunowanego czasu. Podmuchał łaskotał mu skórę, powodując jeżenie się malutkich włosków na szyi. Płaszcz ceremonialny zawibrował, jakby w odruchu obronnym przed niespodziewanym wpływem.

Chwila niebezpieczeństwa minęła. Oddalili się od siebie, a Turil postanowił zapomnieć o tym spotkaniu jak najszybciej. Istniała cała masa innych spraw, którym trzeba było poświęcić uwagę. Pomaszerował więc dalej, nie odwracając się za siebie.

W centrum Kłótniogrodu samotny kramarz zachwalał swój towar. Interstelarna licencja handlowa, zabezpieczona w karancie przed fałszerstwem, błyszczała purpurą. Limit upomnień handlarza został niemalże przekroczony. Jeszcze jedna lub dwie skargi, a osiędzie na mieliznie na co najmniej pełny rok planetarny, gdziekolwiek by się znajdował.

Migoczący baldachim oświetliło kilka promieni słonecznych, wprawiając w ruch żuki ochronne sprzedawcy. Owady były drogie i trudne do wytresowania. Jednak jeżeli tresura się powiodła, te



wrażliwe na ciepło zwierzątka pozostawały oddane swemu panu aż do śmierci, broniąc i strzegąc go ze wszystkich sił.

Handlarz wystawił wścibski nos spomiędzy chłodzących firanek z gazy, w które wyposażony był jego przenośny stragan. Turil sądził, że ma do czynienia z Westalczykiem, nie był jednak pewien. Za pomocą nowoczesnych medkompresorów można było dziś wykreować nowy wygląd, a za niewielką sumę dostać nielicencjonowane, ale mimo wszystko względnie dobrze wyprofilowane, portrety charakteru. Rzekomy Westalczyk mógł być kiedyś Charnikiem ze wspaniałym porożem szyjnym lub chitynoidowym Biff-Shashe.

– Kłopoty, wielki przyjacielu? – Śpiewnym głosem zapytał handlarz. – Mam ci pomóc zapomnieć o powszednim dniu? Chcesz się uwolnić od presji swego ludu? Mogę ci pomóc, pomóc, pomóc...

Dziwne. Poza nimi w pobliżu nie było nikogo. Ach, te magiczne sztuczki interstelarnego kramarza! Pachniało u niego przygodą, nieznanymi i dalekimi najdziwniejszymi rzeczami. Gdy tylko rozpościerał swój stragan, w mig otaczał go brzęczący, krzykliwy tłum ciekawskich. Zawsze miał w zanadru jakiś słodki kęs przynoszący namiastkę szczęścia przez krótką chwilę, nawet dla najbiedniejszych warstw bankinidzkiej społeczności.

– Niczego mi nie trzeba – odparł Turil. – Tak sobie spaceruję.

– Kłamstwo jest wadą – fuknął kramarz – na którą jest lekarstwo. Akurat mam je przy sobie. – Zaśmiał się wulgarnie, jakby właśnie opowiedział szczególnie pieprzny dowcip. – Ale widzę, że szukasz czegoś specjalnego.

Turil dostrzegł więcej szczegółów na twarzy handlarza. Nos z pewnością był operowany. Wyglądał jakoś śmiesznie w pofasetowanej monotonii górnej części insektoidalnej głowy.

– A czego niby, według ciebie, powinienem szukać? – zapytał Turil, po części poirytowany, po części rozbawiony.

– Wolności, młody przyjacielu. – Handlarz zaniósł się gromkim śmiechem, wysuwając triumfalnie zza zasłony swoje fioletowe skrzydła. – Pragniesz się uwolnić od obowiązków, chcesz podróżować przez Łysy Wór jako wolna istota.

– Czyżby? Chcę tego? – Turil westchnął głęboko; miał trudności z kontrolą oddechu. Jak to możliwe, że ten...

– Mogę dać ci to, czego pragniesz, młody grabarzu. Nazywam się Agonfil. Jestem przyjacielem ubogich i doradcą nieszczęśliwych. Na żadnym ze Światów Parova nie znajdziesz lepszego przyjaciela ode mnie. Załatwię ci właściwe lekarstwo i zaaplikuję je, wypowiadając słowa niosące moc.

Turil stał zmieszany. Bolały go blizny wzdłuż kręgosłupa. Tam, gdzie we wczesnej młodości zostały usunięte deformacje kostne, powstałe na skutek kazirodczego zespołu dziedzicznych cech wśród małej liczebnie populacji grabarzy.

Jego instynkty, na których zawsze mógł polegać, pozostawały uśpione. O co tu chodzi? Dlaczego przystał na rozmowę ze sprzedawcą, gdy powszechnie było wiadomo, że członkowie tej kasty dysponowali właściwościami ocierającymi się o magię?

– Nie jest to drogie – mruzczał kramarz. W międzyczasie wydostał się ze swej przenośnej nory. Ociężale wzniósł się w powietrze, oblatując Turila. Nad czerwonym napęczniałym tułowiem unosiły się obłoczki zapachowe, w których domieszki feromonów wywoływać miały u odbiorcy seksualnie ukierunkowany zachwyty.

Turil zacisnął szczęki. I niemal natychmiast odczuł działanie środka blokującego emocje. Był już w stanie oprzeć się pokusom kramarza. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Otrzymasz ode mnie lekarstwo, środek ochronny, antidotum – powiedział Agonfil. – A w zamian odsprzedasz mi rok życia.

– Zaledwie jeden rok? – Turil wstrzyknął w swoje żyły kolejną dawkę medykamentu, tym razem poskramiającego gwałtowne oddziaływanie hormonów na osobę wchodzącą w dorosłe życie. – Nie dość, że jesteś kłamcą, to jeszcze bezczelnym. Takiego zasobu wiedzy, jaki posiadają grabarze, nie spotkasz u nikogo innego. Jeden rok, jako cena za twoje nedorzeczne kłamstwa! To czysta kpina!

Agonfil rozpostarł skrzydła jeszcze szerzej i zamknął je nad głową.

– Przeceniasz siebie, młodzieńcze. Twoim ojcem jest Pschoim, nieprawdaż? Jesteś jego poddanym i jeszcze długo trzymać się będziesz rąbka jego płaszcza, służąc mu uniżenie. A może znasz się

na funkcjach sfery jego statku? Masz pojęcie o warunkach ściągania należności od waszej klienteli? Masz dostęp do banku informacji waszego ludu? O nie, mój drogi. Jeden rok twego życia jest odpowiednią ceną za tych parę marnych informacji, którymi dysponujesz.

Kramarz miał rację. Turil był nikim. Niczym. Pschoim strzegł zazdrośnie wszystkich tajemnic GELFARA. Tak długo, jak Turil nie wykona nim każdego najmniejszego manewru z pewnością lunatyka i dopóki bez trudu nie znajdzie odpowiedzi na pytania dręczące go dzień i noc. Dopóty nie będzie miał szans na polepszenie swego położenia.

– Dajmy temu spokój, handlarzu. Nie jesteś w stanie zaoferować mi niczego, co mogłoby mnie uchronić przed ojcem. Znajdzie mnie wszędzie, gdzie bym się nie ukrył.

Dlaczego wypowiedział te słowa? Co go naszło, żeby zwierzać się akurat takiej osobie? Czyżby natknął się właśnie na jedną z sytuacji, przed którymi ostrzegał go Pschoim? „Miej się na baczności przed żywymi i ich nikczemnością”.

– Znam się na sztuczkach i fortelach, o których nawet grabarze nie mają zielonego pojęcia. – Skrzydła Agonfila przybrały wyrażającą odrazę barwę żółci. Powoli podleciał do grzędy wysuniętej w międzyczasie przed zasłonę. – Wy, tanatolodzy, jesteście tak cholernie dumni ze swojej pracy i posiadanej wiedzy, a przy tym nie macie ani krzty pojęcia o życiu! Pozostajecie w kręgach władzy, wasza troska dotyczy wyłącznie decydentów! Jednak istnieje tyle rzeczy wam niedostępnych, ponieważ wydają się wam zbyt niepozorne, zbyt małostkowe. Nawet ich nie dostrzegacie. Wasza wielkooka sieć nadaje się tylko do połowu grubych ryb, wszystkie płotki uciekają wam niezauważone.

Czyżby to była prawda? Turil nie miał pojęcia. To, co usłyszał przerastało jego siły. Nie potrafił się przeciwstawić chytrej argumentacji kramarza.

Popatrzył na zegarek. Pschoim oczekiwał kolejnego częściowego sprawozdania za godzinę. Jeśli chciał dobić targu, to musiał niezwłocznie podjąć jakąś decyzję.

– Jesteś kupcem – powiedział cicho – więc potargujmy się trochę.

– To zależy, co...

– Oferuję ci pół roku. – Dlaczego, na miłość wszystkich bogów Łysego Wora, wdaje się w ten podejrzany interes?

– Poniżej trzech czwartych roku nie mam o czym gadać. – Gromki śmiech Agonfila przybrał na sile, jego ciało zabarwiły chciwość i pożądanie. – Chcę ostatnich trzech czwartych roku twego życia, a i to pod pewnymi warunkami. Potrzebuję czegoś, co mnie interesuje. Czegoś, co mógłbym z powodzeniem opchnąć moim kasiastym klientom. Jeżeli nie znajdę niczego ciekawego, nasza umowa traci ważność.

Turil poczuł cieknący po czole oleisty pot. Kramarz z pewnością zauważył ciemne strugi na jego policzkach i wyciągnął wnioski. Zrobiło mu się słabo, nogi się pod nim ugięły tak, że ledwie mógł się na nich utrzymać. Stał oto przed decyzją swego młodego życia – jeśli tamten mówi prawdę, długo wyczekiwana wolność znajduje się w zasięgu ręki. Będzie mógł uciec przed bezwzględny rodzinny regiment! Jeśli zaś kłamie, Turil nie uniknie surowej kary. Na GELFARZE.

– Zgadzam się – szepnął. Starał się sprawić wrażenie opanowanego. – Jeśli mnie oszukasz, pociągnę cię do odpowiedzialności. Znajdę cię, gdziekolwiek się skryjesz.

– Ach tak? Moje skrzydełka już drżą ze strachu – pokpiwał Agonfil, aby za moment kontynuować z powagą. – Wejdz do sklepiku, młody grabarzu. Podpiszemy umowę i oblejemy to jakimś wybornym trunkiem. No, chyba że jesteś za młody, żeby znać zalety czarki dobrego alkoholu?

Turil bez cienia sprzeciwu wszedł do środka. Odczuwał niewiarygodną tęsknotę za wolnością, za wyzwoleniem się z gorsetu surowych konwencji, zawiązanym mu przez ojca. Ale jednocześnie czuł się jak prowadzony na postronku, wydany na pastwę pokus roztaczanych przez Agonfila. Wszystkie obrazy, zapachy i ruchy, jakich doświadczył przy straganie, wydawały się podporządkowane jednemu celowi. Zwabieniu Turila i oddaniu go w szpony kramarza.

Pod płachtą panowała prawie zupełna ciemność i śmierdziało odchodami. W świetle małych lampek kilkadziesiąt myszek Cymph

biegało tam i z powrotem pomiędzy miseczkami z karmą, wydając głośne piski. Nieustannie w ruchu, nieustannie w ucieczce – te małe gryzonie produkowały substancje semiochemiczne, bardzo pożądane w środowisku perfumiarzy. Ich uzyskanie poprzedzała skomplikowana procedura dojenia i ekstrakcji. Agonfil posiadał wcale niemałe stado tych rzadkich zwierząt i hodował je, wbrew wszelkim zasadom, na wolnym wybiegu.

W jednym z rogów pomieszczenia Turil dostrzegł zarys na wpół martwego Humana, spoczywającego na podeście i daremnie próbującego wydostać się z pętającego go pola siłowego. Poruszał się wolno, jak w zwolnionym tempie, uwięziony w stazie przedawnienia. Jego śmierć potrwa kilka wieków. Czyżby kramarz zaprosił Turila do siebie wyłącznie po to, żeby go zamrozić, jak owego nieszczęśnika, i wystawić na pokaz?

Turil zatrzymał się i dotknął kołnierza płaszcza, aktywizując tym samym kilka funkcji strażniczych. Uczucie niepewności stawało się nie do zniesienia.

– Nie bój się, młody grabarzu – powiedział Agonfil. – Nie jestem oszustem i nie chcę ci wyrządzić krzywdy. Nie podoba mi się jedynie, gdy moi klienci próbują wystrychnąć mnie na dudka i zaczynają skubać moje piórka. Ten Human chciał ukraść mój towar. Przez jakiś czas będzie jeszcze musiał pokutować za swój czyn... – Kupiec zaśmiał się szpetnie, po czym poszybował, mijając Turila, na tyły sklepu. Zręcznie manewrował obok niemających końca pętli błakających się myszek.

– Zwodzi cię! – szepnął płaszcz ceremonialny. – Ten Human jest sztuczny. Służy mu jako przykład odstraszący potencjalnych oszustów. A w ogóle uważam, że przekroczenie wejścia do namiotu było błędem. Muszę zameldować o tym GELFAROWI.

– Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele! – powiedział grabarz bezgłośnie. Przydał się mikrofon przeponowy. – Zabraniam ci jakiegokolwiek kontaktu z Pschoimem.

– Sądzisz, że uda ci się ukryć ten mały wypad przed ojcem? Przejrzyj mój protokół. Nie wykręcisz się...

Turil zredukował pokrętem zdolność funkcjonalną swojego najważniejszego pomocnika, aż wszelkie protesty umilkły. Płaszcz

pozostawał teraz w trybie pogotowia, chroniącym i podtrzymującym życie użytkownika, pozbawiony głosu i z niewielkimi kompetencjami.

Jakąż głupotą z jego strony była aktywizacja płaszcza! Przydawał się wprawdzie na co dzień, ale jak można było zapomnieć, że pozostawał w stałym kontakcie z GELFAREM!

– Usiądź – nakazał Agonfil, wskazując na szeroką, misternie zdobioną ławę, pamiętającą dawne czasy. Stożek światła z reflektora przesunął się mimochodem na intarsjowane siedzenie. Z drewna wystawały włosopodobne nitki, których końce błyszczały jadowitą zielenią. – Nie bój się – mruknął kramarz. – Nic ci się nie stanie. Odłóż swój płaszcz i plecak i siadaj, żeby fotel mógł cię zmierzyć.

– Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób zamierzasz podarować mi wolność. – Turil nie był przygotowany na takie sytuacje. Czy ma zdać się na rozsądek? A może lepiej posłuchać rad płaszcza? Na widok fotela targnęły nim nagłe wątpliwości i stracił resztki poczucia bezpieczeństwa. Nie był w stanie widzieć, czuć i przewidywać.

– To pozostanie moją tajemnicą – odparł handlarz. – Ale i my jesteśmy zobowiązani do przestrzegania zasad etyki zawodowej, podobnie jak wy, tanatolodzy. – Agonfil wpatrywał się w młodego grabarza. Wielobarwne fasety jego źrenic obracały się w przeciwnych kierunkach, niczym w kalejdoskopie, odbijając tysiące światła. – Posłuchaj, chłopcze – powiedział wabiącym, słodkim głosem. – Proponuję ci jedyną w swoim rodzaju szansę ucieczki od własnego losu. Raz już pomogłem jednemu z was, a on – jak do tej pory – nigdy tego żałował. Opowiadał mi o całej tej presji, której podlegacie, o przerażającej samotności, o okrutnych rytuałach, codziennym obcowaniu z cierpieniem i nędzą, prowadzącym do postradania zmysłów i jeszcze dalej. – Zaśmiał się, a jego sztuczny nos zatrzęsł się i podskoczył. – Myślisz, że bujam? Wręcz przeciwnie. Mocno ryzykuję, stawiając czoła zdeklarowanej woli możnych Łysego Wora. Być może w tobie i obok ciebie jest coś, co mógłbym później drogo sprzedać, być może twoje informacje mają dla mnie jakąś wartość. Jednak bardziej prawdopodobne wydaje się, że twoja głowa nie zawiera niczego wartościowego. – Handlarz odetchnął.

Pomieszczenie wypełnił zapach słodkiej cebuli i gnijących liści. – Podejmij decyzję – tak lub nie. Zaufanie lub nieufność. Wsłuchaj się w siebie i odpowiedz na pytanie, jak bardzo tęsknisz za wolnością. Zastanów się. Ale szybko, proszę. Czekają na mnie inne światy i inne interesy.

Turil przeklął własne niezdecydowanie i strach przed ostateczną odpowiedzią. Stał pod ścianą. Wszystko przemawiało za tym, żeby wziąć nogi za pas, uciec gdziekolwiek, schować się gdzieś w jednym z Kłótniogrodów Bankinidów i odczekać, aż kotłujące się w głowie emocje powrócą do znanego poziomu.

– Wchodzę w to. – Trzęsącymi się rękami odpiął spinki płaszcza i położył go na podłodze, obok do połowy wypełnionego plecaka. Tak, żeby można go było szybko pochwycić i jednym ruchem aktywować znajdujące się w nim przyrządy. Płaszcz zaprotestował cicho, a Turila dotknęło bolesne poczucie straty. Zamknął oczy i usiadł na włochatej ławie w oczekiwaniu na nieuchronną perforację.

Nic takiego się jednak nie stało. Poczuł jedynie swędzenie w okolicy cewnika jelitowego. To jego system sond w pobliżu sztucznego odbytu, kontrolujący głód i poziom sytości Turila, zareagował wrażliwie na włoski.

Agonfil odwrócił się do holoeckranu. Barwne smugi, których młody grabarz nie potrafił zidentyfikować, przemieszczały się po sześcianie niczym przeganiane wiatrem chmury.

– Mimo twego młodego wieku, zostałeś już gruntownie podłączony do sieci... – wymamrotał handlarz w skupieniu. – Podczas gdy ja będę określał specyfikę twoich fizycznych danych i analizował, czego potrzebna, żeby zrobić z ciebie tę osobę, którą byłeś kiedyś, ty się skoncentrujesz. Pomyślisz o jakimś drastycznym wydarzeniu w ostatnim półroczu. O czymś, co wywołuje szczególnie mocne emocje. Ból, radość, cierpienie...

– To uczucia, których my grabarze nie doznajemy – odparł Turil bezwiednie.

– Skończ już z tym bezsensownym wyparciem! – syknął Agonfil.  
– I rób, co ci nakazałem! – Jego szpony przesuwają się szybko po

holoekranie. – Potrzebny mi jakiś punkt zaczepienia – oznajmił zagadkowo. – Inaczej nie dam rady.

Turil zamknął oczy. Nie musiał się długo zastanawiać. Już po chwili powróciło doń wspomnienie tego, co wyrządził mu Pschoim podczas jego pierwszego stażu...

Dwadzieścia godzin lekcji praktycznej anatomii w systemie zmianowym doprowadziło go na skraj wyczerpania. Wszystkie pocięte podczas ćwiczeń zwłoki, smród rozkładu i uchodzących gazów organicznych, widok niezliczonych much, glist i pozostałego pełzającego robactwa, rzucającego się na przegniłe mięso... A potem niespodziewany egzamin, pod surowym okiem ojca. Turil dał z siebie wszystko, a mimo to nie udało mu się osiągnąć wymaganego limitu. Zabrakło dziesięciu punktów procentowych, co skończyło się degradacją Turila do rangi praktykanta. Przy udziale bezlitosnego GELFARA, naturalnie.

Pschoim obnażył zęby, jak gdyby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem!?”, po czym wyciągnął z płaszcza ceremonialnego zaostrzony pejcz zaczął nim okładać syna po plecach, nogach i rękach. Bił go na zimno, robiąc wymówki, wymyślając mu od nieudaczników i poniżając. Do fizycznego bólu Turil dawno już się przyzwyczaił. Ale jakże ciężko było spojrzeć starszemu w oczy, w jego przerażająco puste źrenice, w których nie było cienia uczucia... Ich wyraz napawał go lękiem i budził grozę.

Kiedy Pschoim się zmęczył, Turil ukrył się w swoim pokoju. Mijały godziny i dni, a on nie wychodził. Skulony, siedział w niemal całkowitej ciemności w jednym z rogów pomieszczenia i czekał na zabliznienie się ran. Co jakiś czas GELFAR dokładał swoje, pastwiąc się i szydząc. Czwartego dnia otworzyły się drzwi. Pschoim przestąpił próg, skontrolował przebieg gojenia się obrażeń – i ponownie zaczął bić. „Wybiję ci z głowy twoje błazeństwa”, krzyczał raz po raz. „Jesteś moją własnością i będziesz robić to, czego ja sobie życzę! Pewnego dnia obejmiesz po mnie schedę na pokładzie GELFARA. Ale do tego czasu musisz się nauczyć, że nie popełnia się błędów. Nigdy! Porażka jest niegodna grabarza. Zrozumiałeś?”.



Turil prosił, zebrał o miłosierdzie, o przerwę, żeby zregenerować siły i przetrwać ogrom bólu i zamęt w głowie. Daremnie. Każde wypowiedziane słowo było jednym słowem za dużo. Pschoim uderzał wtedy z jeszcze większą siłą.

Ciosy. Sen. Kolejny ból. Szyderstwa, upokorzenia i wymówki. Ciągłe od nowa. Dzień w dzień, noc w noc, z małymi przerwami. Do stanu, w którym absolutna obojętność na bodźce sprawiała, że Turilowi było już wszystko jedno. Nie odróżniał emocji i rzeczy. Otoczyła go jednorodna mieszanina odczuć, impregnująca na zewnętrzne wpływy...

– Bardzo mi przykro – wyrwał go ze wspomnień głos Agonfila. – Miałeś jeszcze gorzej niż twoi koledzy...

Turil poderwał się, chciał powstać i zaprotestować, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Czy ty... Czy ja mówiłem na głos? – zająknął się. Przed nim we wszystkich kierunkach krążyły małe światełka. Ich blask go oślepił i powodował jeszcze większe zakłopotanie.

– Skalibrowałem cię i zatroszczyłem się o zaczepienie twoich wspomnień. Przez tę bramę mogę teraz przejść do twojej jaźni i zebrać potrzebne wspomnienia. – Skrzydła kramarza były rozpostarte tylko do połowy, ale ich kolor wskazywał na zainteresowanie.

– Odstępuję od umowy – stęknął Turil. – Nie mogę tego dłużej znieść.

– Najgorsze za tobą, młody grabarzu. A kiedy przyjdę po zapłatę, poczynię kroki, żeby wypełnić moją część umowy. Spójrz na siebie.

Turil poruszył głową. Zabolało, jakby miał zakwasy. Powoli opuszczał wzrok. Jak przedtem siedział na ławie, a kilka szerokich rzemieni przytwierdzało jego uda do siedziska. Drobne włoski, które wcześniej dostrzegł na fotelu, wwiercały się teraz przez spodnie i koszulę. Dotykały skóry i przenikały do wnętrza ciała. Okropny widok sprawił, że Turil wydał z siebie okrzyk przerażenia.

Okrzyk? Przerażenia?

Od dłuższego czasu nie był w stanie wyrażać emocji w taki sposób. A teraz, nagle...

– Dobrze idzie – powiedział sklepikarz. – W twoim ciele wędruje więcej niż trzysta różnych obcych ciał wywierających wpływ na twoją osobowość. Trudno je odizolować i unicestwić. Zanim cię wyczyszczę do końca, trochę potrwa.

– Muszę wracać. Do GELFARA. Do ojca.

– Chciałeś opuścić swoich ludzi, pamiętasz?

– Ale to nie byłem ja! – krzyknął Turil. Odzyskiwał siły. Kręcił głową na prawo i lewo, czując na twarzy dziesiątki nitek przechodzących przez skórę, lecz pozwalających na względną swobodę ruchów. – To ty mnie zbałamuciłeś! Byłem pod twoim wpływem!

Na twarzy domniemanego Westalczyka pojawił się chytry uśmieszek.

– W rzeczy samej. Ale nie martw się, jak tylko skończę swoją robotę, będziesz mnie lizał po nosie z wdzięczności, chcąc ofiarować mi kolejny rok życia. Cierpliwości.

Cierpliwości? Tak samo, jak Pschoim wykazywał swoją cierpliwość?

– Jesteś kaleką – ciągnął Agonfil. – Twój pan i ojciec nie tylko manipulował przy twojej psychice, ale dokonał również poważnych zmian w twoim ciele. – Zrobił pauzę, obserwując z otwartymi ustami pojawiające się na holoeckranie obrazy, symbole i znaki. – Coś mi tu nie pasuje – powiedział dziwnym głosem. – Coś tu jest wcale a wcale nie tak...

Pod płachtą zamigotało białe stroboskopowe światło. Agonfil wykonał rękoma kilka ruchów, a włoski natychmiast umknęły z ciała Turila.

– Co się dzieje? – zapytał zdziwiony.

– Alarm. Zaatakowano Bankin. Lepiej, jeśli się ulotnisz. I to jak najszybciej. – Agonfil, nie czekając, załopotał donośnie skrzydłami i wyleciał z namiotu. Rozległ się trzask, a ukryty mechanizm przesunął ścianki i sufit ku środkowi pomieszczenia z oszałamiającą prędkością.

– Co się tutaj dzieje? – Turila poderwało z ławy. Niektóre części jego ciała sprawiały wrażenie znieczulonych, niemal nie mógł ustać na nogach.

– Musisz wracać do ojca – usłyszał głos handlarza. – Nie masz zbyt wiele czasu. Ja ci nie mogę pomóc.

Sufit obniżał się, a wyposażenie namiotu kurczyło się, jakby wszystkie stoły, krzesła i pozostałe meble wypuszczały powietrze. Nawet atrapa zniewolonego Humana stawała się coraz mniejsza i mniejsza. Przyszły tanatolog szybko pochwycił plecak i płaszcz i na sztywnych nogach opuścił wnętrze straganu. Żeby się wydostać, musiał przygiąć kark. Kram Agonfila zniknął w szybkim tempie. Kolorowa płachta marszczyła się; po blasku i powabie miejsca pozostało jedynie wspomnienie.

– A co z naszą umową? – gorączkowo zapytał Turil podfruwającego handlarza.

– Jest nieważna. – W fasetowych oczach Agonfila, zajętego straszaniem skołtunionych skrzydeł, pojawił się dziwny błysk. – Zmykaj, chłopcze! Ten świat jest już spisany na straty. Kitarzy atakują! Rozumiesz?

Kitarzy. Nieznany lud.

Dopiero teraz wyczuł meldunek przekazany mu przez płaszcz ceremonialny za pomocą styków na ramionach. Parzący ból oznaczał, że wiadomość jest bardzo pilna. Ile czasu ją ignorował, zaprzatając sobie głowę własnymi nastrojami?

Turil zamknął oczy i skupił się na informacji od Pschoima. „Za pięć minut widzę cię na pokładzie. Nie będę czekał ani minuty”.

Ojciec nigdy nie odważyłby się zostawić go na pastwę losu na Bankinie. A może jednak tak? Starszy grabarz potrzebował następcy, a Turil był jego jedynym prawowitym spadkobiercą. Bez niego stare, poważane plemię tanatologów skazane zostałoby na wymarcie, a statek wraz z zawartością przypadłby Szaremu Dworowi Pokoju.

Turilowi zostało niewiele sekund na dostanie się na GELFARA. A gdyby został tutaj? Gdyby zaryzykował, biorąc pod uwagę możliwość śmierci, lecz licząc na łut szczęścia?

Nerwowa aktywność Agonfila sięgnęła zenitu. Klął i zawodził, spakowawszy już swój skurczony mniej więcej do rozmiaru właściciela sklepik w plecak kompresyjny, który przypiął sobie do ciała. Obskoczyły go biegając w pośpiechu żuki ochronne. Nagle

znikąd wprost na kramarza opuściła się linka. Ten chwycił za jej końcówkę i owijając pętlę wokół siebie, zaczął rozmawiać z nieznaną istotą, która prawdopodobnie gdzieś z góry kierowała zdumiewającym manewrem ratunkowym. Kramarze niemal całe życie byli uciekinierami. Byli przyzwyczajeni do trudności.

Z lewa i z prawa rozlegały się okrzyki trwogi. Niebezpieczeństwo, zapowiedziane jak dotąd tylko przez sygnał alarmowy, otrzymało teraz nowe straszne oblicze. Bankinidzi pędzili przez plac we wszystkie strony. Członkowie wszystkich kast. Bogaci i biedni, wyjęci spod prawa i purpuraci uciekali przed przerażającym niewidzialnym zagrożeniem.

– Weź mnie ze sobą! – błagał Turil handlarza. – Nie zostawiaj mnie na pastwę losu! Nie chcę wracać do Pschoima i na GELFARA. – Chwycił za linę, ale dłoń niespodziewanie się z niej ześlizgnęła. Do utrzymania końca sznura nie wystarczyła nawet siła elementów wsparcia płaszcza ceremonialnego.

Unosząc się w górę, Agonfil zaniósł się gromkim śmiechem.

– Trzymaj się, mały grabarzu. Być może spotkamy się jeszcze. Kiedyś, gdzieś.

– Ale...

– Pilnuj się i poszukaj dobrego schronienia! Kitarzy rozpostarli już swoje włóki nad Bankinem. Zabijają dla zabijania, i nawet twoja osoba jest bezradna wobec ich śmiertelnej maszyny. – Był już na wysokości ponad trzydziestu metrów; jego głos przycichał. Turilowi zdawało się, że gdzieś na firmamencie widzi małą plamkę. Tam chyba znajdował się partner kramarza.

– Nie mogę wrócić! Nienawidzę Pschoima, nienawidzę tego statku, nienawidzę swojego życia! – Upadł na kolana. Dopadła go jakaś nienaturalna słabość, oczy wypełnił mu dziwny płyn. Czyżby to... łyż?

– Udało mi się usunąć z twego ciała kilka sond – zawołał z oddali straganiarz. – Masz teraz więcej swobody. I więcej emocji. Nie zapominaj – nie jesteś już osobą, za którą powinieneś się uważać zgodnie z zasadami tamtych. – Pomachał na pożegnanie skrzydłami, które błyszczały czerwienią żalu, i znikł razem ze swoimi żukami między dwiema warstwami obłoków.

Turil nie ruszał się z miejsca. Jak w transie sięgnął po sakiewkę z kautem i wydobył z niej szczyptę cekinowych okruszków. Jeszcze się wahał. Musiał podjąć decyzję, musiał dokonać wyboru pomiędzy bezbolesną śmiercią a życiem w niewoli na pokładzie GELFARA.

Płaszcz ceremonialny przekazywał mu przerażające wieści. Na całej planecie waliły się budynki, liczba martwych Bankinidów, rozszarpanych nanosieciami Kitarów w nierozpoznawalne kawałki, szła w setki tysięcy. Nad lądem przesuwwały się, gnane nawałnicą, ogromne krwiste obłoki, zabarwiając na czerwono trawę i zabudowania. Nieznajomi podobni byli do rybaków łowiących wyłącznie martwe ryby. Zabijali i niszczyli, bo tak im się podobało.

– No, wracajże wreszcie! – z płaszcza rozległ się głos jego ojca. Czyżby w jego słowach pobrzmiwała delikatna nuta niecierpliwości i troski?

Posłucha go teraz. Lecz to, co mu się dzisiaj przydarzyło, zatrzyma dla siebie. Dzięki Agonfilowi, jak mu się zdawało, poszerzone zostały jego horyzonty. Ujrzał przed sobą nowe możliwości, szansę na uniknięcie cierpienia na pokładzie GELFARA i uzyskanie co najmniej odrobiny wolności.

W oddali trzasnęła główna brama Kłótniogrodu. Zawaliła się, w jednej chwili stając się tumanem z pyłu i kropli wody. Magma trysnęła niczym zatapiająca fala. Kitarzy zarzucili włók głęboko w ziemię, tak głęboko, że rozciął on skorupę planety, sięgając kilometry w głąb skazanego na zagładę świata. W powietrze wyrzucone zostały skalne bloki, za którymi pojawiły się języki ognia. Horyzont wypełniał się apokaliptyczną burzą. Nanosieci, niszczące wszystko bez wyjątku, zbliżały się z przerażającą prędkością. Same były niewidzialne, a ich użycie znaczyły wyłącznie skutki niszczycielskiej działalności najeźdźców...

Serce Turila biło szybko i nieregularnie. Aperiodyczne uderzenia też były nowym doświadczeniem – a przynajmniej tak mu się wydawało.

Roztarł na dłoni trochę kautu i wciągnął go nozdrzami. Poczul upajające działanie, niezwykłą euforię, nieznaną jemu równym.

Skorzystał z pierwiastka rozkoszy, by dzięki wzmocnionej sile umysłu powrócić na pokład GELFARA.

Przywołał w pamięci ostatnie wrażenia: Bankinidzi, uciekający w popłochu we wszystkich kierunkach. Krzyżący, zawodzący, jęczący, wołający – i niemający pojęcia, za co dosięgła ich taka kara. Nie pojmowali jeszcze rozmiaru zniszczeń, nie zdawali sobie sprawy, że w ciągu kilku godzin ich ojczysta planeta zostanie zmielona na proch. Wspaniała przeszłość i trochę mniej wspaniała teraźniejszość właśnie się kończyły.

Turilowi wydawało się, że czuje jeszcze powiew wywołany przez nanosieci Kitarów. Potem otoczenie się rozmyło, a on pojawił się na pokładzie GELFARA, odwrócony plecami do Pschoima. Upadł na podłogę, aby niedostrzegalnym ruchem wytrzeć z oczu wilgoć. Musiał opanować emocje, żeby nie zwrócić na siebie uwagi GELFARA.

– Spóźniłeś się – powiedział Pschoim cichym głosem.

– Byłem w Kłótniogrodzie i prowadziłem rozmowę z burmistrzem. Bankinida nalegał, żebym zachował grzecznościowe formy mimo nadciągającego niebezpieczeństwa. – Kłamstwo przychodziło mu dziwnie łatwo.

– Rozumiem. – Pschoim narysował w powietrzu jakieś znaki, na które natychmiast zareagował dziecięcy mózg statku, wydając komendy umożliwiające ucieczkę GELFARA.

– Powinniśmy przywołać pomoc – zaproponował Turil.

– A po co? – Pschoim nawet na niego nie spojrział. – Już i tak za późno. Kilku błaznów wysłało ostrzeżenie na sąsiednie planety. I co się niby ma wydarzyć? Nawet dobrze technicznie wyposażone oddziały nic nie wskórają przeciw Kitarom, a ja jeszcze nie słyszałem, żeby zwiastun złych wieści otrzymał nagrodę. Nie, bardziej się nam opłaci, jeśli informacje o pojawieniu się tych okropnych istot przekazemy na Dwory Pokoju. Niech tam wysondują, czy mają one jakąś wartość. Być może zainteresowany będzie ARMIDORN. – Zaśmiał się ponuro. – Straciliśmy niezły interes. Musimy pomyśleć, gdzie by tu zarobić. A ty, z łaski swojej, siadaj do nauki.

– Bankinidzi...

– Co mnie obchodzą jacyś Bankinidzi?! Są martwi albo prawie martwi. Gdybym tylko mógł, zaskarżyłbym Kitarów o działanie na szkodę firmy. Ale z drugiej strony – Pschoim ściągnął usta, uśmiechając się krzywo – oni wszędzie wzbudzają strach. A strach służy naszym księgom zleceń.

GELFAR ruszył, opuszczając na zawsze zniszczoną planetę. Egzystencja świata Bankinidów została zakończona. Pora zamknąć ten rozdział tanatologicznej księgi zleceń...

## 8. ZMIANA PLANÓW

Przebudzenie było, jak zwykle, okropne. Pot wypełniał oczodoły, zalepiał zęby i fałdy szyjne.

Turil odrzucił z wstrętem derkę.

– Śniadanie – zawołał, otwierając oczy.

Sypialnia zmieniła wystrój. Ściany pochylały się pod innym niż dotychczas kątem, a nagie sterylne pomieszczenie okazało się po transformacji przytulnym pokoikiem z kominkiem, w którym domowym ciepłem promieniował płonący torf. Turil od razu poczuł się lepiej.

Ze świstem przyfrunęła Kanalka z odżywką. Tuż przed Turilem wyhamowała i z widoczną zażyłością dziobnęła go w ramię.

– Standardowo? Z sokiem owocowym? Na sycąco czy na orzeźwiająco? Małe, średnie, duże...

– Znasz moją kondycję lepiej niż ja – przerwał jej gniewnie.

– Oczywiście, panie! – Kanalka wykonała coś w rodzaju ukłonu i wylądowała. Wczepiła swoje odnóża w ramię Turila, wbijając umiejętnie w żyłę dozownik pokarmu. Niemal od razu poczuł sytość. Dopiero teraz uświadomił sobie własne wyczerpanie po ucieczce z Domiendramu oraz to, jak bardzo dał mu się we znaki zły sen.

– Dziękuję – powiedział.

Kanalka odczepiła się od niego, mrugnęła łobuzersko i opuściła pokój, silnie łopocząc skrzydełkami.

Turil położył nogi na stoliku pomocniczym, wygrzewając je w buchającym z kominka żarze. Demony ze snu zdążyły zniknąć. Trudno mu było uwierzyć, że odczuwał przed nimi strach.

– GELFARZE?

– Tak, Turilu?

– Proszę o biuletyn pokładowy.

– Z przyjemnością.

Na stole wyrósł stos zapełnionych danymi folii. Turil zaczął je przeglądać bez wyraźnego zainteresowania. Większość stanowiły informacje o mało istotnych pracach naprawczych na pokładzie pojazdu, które i tak zostały wykonane na całkowitą



odpowiedzialność mózgu statku. Wirtualny rzutnik dobiegał kresu swoich dni. Trzeba go będzie niebawem wymienić na Dworze Pokoju, pomyślał. Mało ważny kreawatar o nazwie Gramp, prawdziwa sierota, która do tej pory rozczulała się nad swoją śmiercią, został skazany na kilkuletni areszt na swoim punkcie czepnym za próbę samowylężenia. Momed chciał go mieć przy sobie; dziecko czuło się samotne. Psychiczny stan Pramaina udało się ustabilizować na niskim poziomie; nieproszony gość pozostawał pod ciągłą obserwacją Jasności i Cienia.

Bez dłuższego namysłu Turil podpisał biuletyn. To tylko protokół, który zaginie gdzieś w głębi magazynów danych na Dworze Pokoju.

Raz jeszcze rzucił wzrokiem na kilka ostatnich stron. Musi powziąć jedną decyzję. Jak mianowicie wykorzystać możliwie zyskownie wolne moce przerobowe, którymi dysponował po przedterminowym opuszczeniu Domiendramu. Próżniactwo było słowem niewystępującym powszechnie wśród grabarzy.

– W naszym sektorze nie ma zleceń, które mogłyby się okazać interesujące – oznajmiła sfera statku. – Jestem jednak w posiadaniu informacji z sąsiednich rejonów. Sfera statku twojego kolegi Kiriasta prosi o wsparcie. Jej pan już od dłuższego czasu przekłada terminy. Chcesz...?

– Tak, chcę z nim rozmawiać.

Nawiązanie połączenia z Kiriastem trwało chwilę. Turil wyciągnął ramiona, rozkoszując się wibromasażem zaaplikowanym mu przez fotel w okolicach szyi. Kiriast był podstarzałym facetem mającym od jakiegoś czasu trudności z dopilnowaniem terminów zleceń. Dawno temu bardzo zasłużył się w zakresie koncepcji i opracowania ogólnotanatologicznych ustaw i cieszył się zasłużoną sławą głównego architekta obecnej konstytucji, Manifestu Śmierci. Kiedyś obdarzany mianem nowoczesnego wizjonera, włożył w powstanie tego dzieła wszystkie siły. Wymęczony i wyczerpany rozpoczął potem karierę zwykłego grabarza, nie mogąc do końca sprostać wymogom, które niosła ze sobą praca. Przez lata jednak uparcie odmawiał opuszczenia sfery statku i zamiany jej na jedno z archiwów Szarego Dworu Pokoju. A nikt nie odważył się go

odwołać. Mógł liczyć na poparcie członków licznych rodzin wyznających tradycyjne wartości, które tolerowały jego błazeństwa i patrzyły na jego poczynania przez palce.

Turil powstrzymał uśmiech. Wymyślny i ograbiony z emocji system społeczny tanatologów nie był pozbawiony luk i błędów. Świadomość tego faktu sprawiła, że poczuł pewną satysfakcję.

– Mam połączenie – GELFAR przerwał jego rozmyślenia.

– Pozdrawiam cię, Kiriaście – powiedział Turil w kierunku pomarszczonego starca, którego sylwetka, zanurzona w obłoku złotawo migających drobinek, ukazała się w skrzynce przekazu.

– Ach, młody Turil – zamamrotał stary grabarz. – Jak się powodzi twojej rodzinie?

– Dawno już nie rozmawiałem z moimi rodzicami. Ale podczas Wielkiego Thangu skorzystam z okazji i odwiedzę Pschoima.

– Wielki Thang? – Kiriast wyglądał na poirytowanego, jednak momentalnie się opanował. – Ależ oczywiście, jak mogłem zapomnieć... – Potarł ręką kapiący nos, po czym wytarł dłoń w poły pamiętającego lepsze czasy płaszcza ceremonialnego. – Wybacz mi moje chwilowe roztargnienie, ale dlaczego właściwie powinienem z tobą rozmawiać?

– To ja nawiązałem z tobą kontakt. – Turil powstrzymał westchnienie. – Mam wolne moce, więc byłoby to dla mnie zaszczytem, gdybyś pozwolił mi być pomocnym przy wykonaniu tego czy innego zadania.

– Ty czegoś chcesz? – Kiriast sprawiał wrażenie, jakby zaczął rosnąć. Rozprostował ciało, niemal osiągając imponujące rozmiary sprzed lat. – U mnie jeszcze wszystko w normie. Nie waż się wkroczyć na mój teren!

– Wybacz mi moje nieporadne słowa. – Turil skłonił się i pochylił głowę. – Nigdy nie odważyłbym się mniemać, że czcigodny Kiriast zdany jest na pomoc innych. Posłyszałem tylko, że czekają na wykonanie prace porządkowe, niegodne grabarza o twojej reputacji. – Musiał obchodzić się ze starym tak delikatnie, jak to tylko możliwe. Zachowanie wszelkich grzecznościowych form i póż stanowiło filar kultury tanatologów. – Gdybyś zezwolił mi na pozostawanie w cieniu przy zbieraniu ledwie okruszyn z obfitego

stołu twych życiowych doświadczeń, sprawiłbyś, że stałbym się najszcześniejszym tanatologiem Łysego Wora.

– Nieźle powiedziane, młody Turilu – zamruczał Kiriast. Pochylił się i zakasłał do stojącego obok woreczka. Miniaturowe roboty, dobrze widoczne w wirtualnej projekcji, wydobyły próbki wydzieliny, wykonały ich natychmiastową analizę i przygotowały się, żeby przy pomocy medwrózek poddać swojego pana doraźnej terapii. Turil udał, że niczego nie zauważa. Grabarze unikają wystawiania na widok publiczny swoich ułomności. Ale Kiriast miał najwidoczniej gdzieś wszelkie konwenanse.

– No dobrze, Turilu. – Starzec beknał. – Mój TARAIL przekaże ci kilka bloków z danymi. Rzeczywiście jest parę rutynowych robót, na których wykonanie szkoda mi czasu. Przejrzyj je. Jeśli znajdziesz coś, co by ci sprawiło zadowolenie, możesz to, jak najbardziej, wykonać. Rozliczymy się na Szarym Dworze. Uważaj tylko, by nie przynieść wstydu mojemu imieniu.

– O tym na pewno nie zapomnę. – Turil ponownie się uklonił.

Starzec skinął głową w jego stronę po raz ostatni i drepząc, opuścił pole widzenia. Dopiero teraz Turil zauważył cały system rur i kabli podłączony był do pleców i pachwin starego grabarza. A więc to TARAIL naprowadzał go i nim sterował! Prawdopodobnie kontrolował też jego mowę i większość myśli. Bo ten Kiriast, którego Turil znał wcześniej, zachowywał się zupełnie inaczej, reagował zawsze chłodno i szorstko, i nigdy nikomu nie pozwoliłby na wtrącanie się w jego sprawy.

Turila przeszły ciarki. Sfera statku starego grabarza posiadała władzę, o jakiej GELFAR powoli zaczynał marzyć.

– W czym moglibyśmy wyręczyć Kiriasta? Przejrzałeś już materiał, GELFARZE?

– Tak. Odłożyłem na bok to, co w międzyczasie moglibyśmy załatwić.

– A więc zobaczmy.

Z nikąd nagle pojawił się obraz wypełniający całe pomieszczenie. Oczom Turila ukazał się błękit wodnego świata z zielonozłotymi plamkami wysp i atoli.

– Nasze usługi potrzebne są na Charuszay – zaczęła SI statku. – Trzy indywidua, uzurpatorzy tronu, oczekują egzekucji w błotnych lochach. Lud żąda, cytując słowa panującego Władcy Księżęcej Łodzi, „porządnej sieczki”.

– Nie, dziękuję. Jak na razie mam dosyć jakichkolwiek egzekucji. Dalej.

Pośrodku wirtualnego rzutnika ukazał się nowy świat. Północny i południowy kontynent oddzielone były od siebie wąskim rowem, wzdłuż którego łańcuch wulkanów nieustannie wypluwał w powietrze masy popiołu i pyłu.

– Na planecie Batyn II doszło do wyraźnego spadku moralności w zakresie zobowiązań finansowych. W swoich młodych latach Kiriast wynegocjował z obydwoma nacjami traktat pokojowy, którego rozwój przez długi okres, ze względu na sprzeczne interesy sygnatariuszy, następował niezależnie od siebie. Po dziś dzień strony zalegają z uiszczeniem honorariów sukcesu. Powinieneś to sprawdzić i stosownie je upomnieć.

– Jak mam to zrobić? – Miał pojawić się przed planetą z ogniem i mieczem w rękę, siejąc trwogę wśród ludności?

– Przynależący do obu stron uznawani są za zabobonnych. Kiriast już w trakcie podpisywania umów zakorzenił wśród nich strach przed globalną zagładą. Musisz tylko, z moją pomocą, zrobić mały fajerwerk wzdłuż wulkanicznego łańcucha i wspomnieć coś o demonicznych posłańcach. Powinno wystarczyć.

– Śmieszne. – A może to przedstawienie było właśnie tym, czego potrzebował, zanim wyruszy do Szarego Dworu Pokoju? – Jest jeszcze jakaś oferta?

– Tak. Rozbicie kamienia.

– Co takiego?!

– Kamienny bożek Loap wzbudził niechęć swego ludu. Kapłani chcieli go już nieraz wyrzucić po kilku sezonach nieudanych żniw, obawiają się jednak jego zemsty.

– Rozumiem. Świeccy i religijni przywódcy potrzebują kozła ofiarnego, który zamiast nich trafi na wieczne potępienie, gdyby Loap się obraził.

– Prawdopodobnie.

– A gdzie znajdziemy tego kamiennego bożka?

Objawił im się widok jaspisowego świata, nieco spłaszczonego na biegunach i obracającego się z wcale niemałą prędkością wokół własnej osi.

– To Faurum – wyjaśnił GELFAR. – Faurum, zwane również Światem Jaskiń.

Turil walczył z oddechem. Nie mógł dopuścić, żeby jego podniecenie zostało dostrzeżone.

– Podejmuję się tego zadania – powiedział bez namysłu. – Jestem pewien, że szybko je załatwimy.

– Nie chcesz polecieć na Batyn II? – W głosie GELFARA brzmiała nieufność.

– Nie. Decyduję się na Świat Jaskiń.

Łańcuch projekcji został przerwany, a z półmroku wynurzyły się sylwetki Jasności i Cienia.

– Coś mi tu nie pasuje – odezwała się Jasność, której obecność zawsze wydawała mu się zagrożeniem. – Ten wybór nie odpowiada twoim upodobaniom.

– Wiem. – Turil zmusił się do przybrania neutralnego wyrazu twarzy. – Nie lubię, gdy się mnie kategoryzuje. Postanowiłem zmienić swój schemat postępowania.

– Nas nie oszukasz, grabarzu. – Jasność delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. Znow ją czuł; jej uwodzicielską bytność. – O wszystkim wiemy, wszystko rozumiemy.

Turil strząsnął jej dłoń. Ta dwójka higienopsychologów wzbudzała w nim wstręt.

– Żebyście się nie pomylili. Zdziwilibyście się, gdybyście zajrzeli do mojego wnętrza.

– Czyżby? – Jasność podeszła bliżej. Jej oddech pachniał słodko i mimo jej cielesnej odmienności Turil nie mógł się oprzeć fascynacji, jaką w nim wzbudzała. – Powinniśmy o tym porozmawiać...

– Nie teraz. – Musiał ukryć emocje. W myślach analizował skomplikowany rytm kroków etandryjskiego tańca kości: trzy półkroki naprzód, półtora obrotu w miejscu, głowa odrzucona mocno do tyłu, figura umierającego węża, przedstawiona dwiema rękami niezależnie od siebie i jako wzajemne lustrzane odbicia,

potem wykrok, krok nożycowy, krok rozciągnięty, pozycja podstawowa. Zmiana taktu z trzech czwartych na trzy ósme, teraz ta sama sekwencja kroków, tylko o wiele różniej...

Serce zaczęło bić wolniej, puls się uspokoił. Jasność uśmiechnęła się szeroko. Turil panował nad sobą do tego stopnia, że nie wzbudzał podejrzeń u GELFARA.

– Przejmuję zlecenie w jaskiniach – powtórzył. – Jak się nazywa ta planeta?

– Faurum – szepnęła Sztuczna Inteligencja sfery statku, podczas gdy dwójka odpowiedzialnych za jego psychohigienę opiekunów zniknęła w tle pomieszczenia, rozpluwając się w nicości.

Turil nie mógł uwierzyć, że to prawda. Według informacji, których dostarczył mu dzisiejszy biuletyn, Faurum było jednym z zaledwie trzech światów, na których przetrzymywano Kitarów.

## 9. ZNISZCZENIE I

Nanowysięgniki statku Kitarów zadrgały nad silosami mieszkalnymi familijnych miast i nad płodolądem. Niczym nieskończenie długie ramiona ośmiornicy, nigdy niewidzialne gołym okiem, rozcinały i rozczłonkowywały ojczyznę Trójtrójbłękitnego.

Prymus klanu koordynował ucieczkę rodziny. Więcej niż trzysta tysięcy jej członków równym krokiem przemierzało przełęcz Kontars. Wiedzieli, że zbliżają się do ostatniego bezpiecznego miejsca na planecie, wiedzieli, że niechybnie nadejdzie koniec. Flota obronna Axtaru była w rozsypce, a wojska naziemne nie miały najmniejszych szans w obliczu przerażającej broni Kitarów.

– Szybciej, szybciej! – Trójtrójbłękitny strzelił dźwiękobiczem nad zgarbionymi plecami swoich nocożon. Zareagowały na rozkaz i dołączyły do grupy młodocór, używając w tym celu, przynajmniej na krótkim odcinku, także i pozostałej jednej trzeciej ogółu par nóg. Oszczędzanie członków rodziny wydało się Trójtrójbłękitnemu niewskazane. I tak umrą, tego był pewien.

Ale niech się to stanie w absolutnie szczególnym miejscu. W górze, w zbiorowym hospicjum na targanej nawałnicą przełęczu, w bezpośrednim pobliżu Gnojowej Kuli.

– Słyszysz/słyszycie mnie?

– Tak panie/przyjacielu. To ty/wy, Sześcioośmiozielony?

– Tak panie/przyjacielu. Zaszczyt wielki to dla mnie/nas, widzieć cię/was raz jeszcze. – Między naładowanymi elektrycznie nóżkami transmisyjnymi pojawił się obraz najmłodszego z jego wcześniejszych konkurentów do władzy na ojczystym kontynencie. Trójtrójbłękitnemu trudno było się skoncentrować, ponieważ właśnie dostarczał energię elektryczną, pocierając intensywnie odpowiednie części swego ciała. – Jak się powodzi twojej/waszej familii?

– Wspaniale/stosownie do okoliczności. Poświęcić dwa tysiące moich synowojów musiałem, aby zabezpieczyć wycofywanie się

oraz atak Kitarów powstrzymać. Przy odrobinie szczęścia skorzy jesteście cel nasz osiągnąć, nim kres ostateczny nastąpi.

– Bardzo dobrze/gratuluje. – Trójtrójbłękitny nakreślił w powietrzu znak radości. – Mnie/nam powodzi się podobnie. Kitarzy mniemają, iż nas pokonać zdołają. Niestety, nie pojmują tego, że i inne formy sukcesu pomyślenia godne są. – Udał pewność siebie, której nie posiadał. Jego starożony powstrzymywały kolumnę; nawet dźwięk bicza nie był w stanie nic wskórać. Ich stopy, zużyte, a przez ciężkie wielokrotne porody – częściowo obumarłe, nie poniosą daleko wyczerpanych ciał. Ale cel był w zasięgu ręki. Stworzona ze śliny setek pokoleń kula, w której spoczywał materiał genetyczny jego rodziny.

– Jak myślisz/myślicie, czegoż to od nas Kitar żąda? – dopytywał się, ulegający jeszcze młodzieńczym porywom Sześcioośmiozielony.

– Szukają/sobie życzą. Wyczuwam to. Nie rozeznaję się jednak w tym, czego oni szukają/sobie życzą. Acz tęsknota owa pragnienie wzbudza, a za pragnieniem nienawiść podąża. Ciągnąc za nieznanym impulsem, unicestwiać wszystko to będą, co im niepodobne.

– Wyborna analiza, panie/przyjacielu. Jestem pełen podziwu dla twego/waszego wyczucia.

Tak, to było coś, co napawało dumą. Widział i odczuwał emocje. Zdolny był do niemal bezbłędnej interpretacji usłyszanych słów, zaobserwowanych gestów bądź ruchów. To dlatego udało mu się zdobyć na kontynencie trwającą od dłuższego czasu supremację, podczas której spłodził więcej niż pięćdziesiąt tysięcy potomków.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Trójtrójbłękitny – ale muszę teraz pieczę nad moją rodziną sprawować. Ostatnie przeszkody mi pokonać pozostało.

– Oczywiście, panie/przyjacielu. – Sześcioośmiozielony przesłał znak pokory. – Żałuję niezmiernie, że nigdy nie dane mi było zmierzyć się z tobą/wami w walce. Śmierć nasza okazałaby się szczególnym przeżyciem dla obu rodzin.

W słowach Sześcioośmiozielonego pobrzmiwało coś w rodzaju megalomanii pomieszanej ze strachem. Ten młodzik śmiał stawiać



się na równi z nim, Trójtrójbłękitnym, napomykając coś o pojedynku!

Cóż, czasy nie były zwyczajne, a interfamilijne konwenanse nie miały już sensu. Podczas gdy nocne niebo wybarwiało się powoli na czerwono, ziemia grzmiała. Wokół, z głębi regularnie spękanej gleby, wydobywały się języki ognia i kłęby dymu. Słońce, swojskie, ojczyźniane, zachodziło dziś dla nich po raz ostatni. Jutro zaświeci nad pozbawioną życia, a być może ukształtowaną na nowo planetą.

– Także odczuwam żal, panie/przyjacielu – odparł Trójtrójbłękitny. – Ale pomrzemy z czystym sumieniem, a i w świadomości nigdy nikomu zawodu nie sprawiania. – Wstrzymał ładowanie i obraz się zaciął. Głowy dwóch ostatnich rodziny cudownego świata powiedziały sobie wszystko, co było do powiedzenia.

Trójtrójbłękitny posadził sobie czterdziestkę swoich młodzieci na grzbiecie, pomiędzy chitynowymi płytkami. Zakwiliły radośnie, nagimi, niedostatecznie jeszcze owłosionymi ciałkami, w obliczu tej nieoczekiwanej przejażdżki. Małeństwa nie miały pojęcia o tym, co się wokół nich dzieje i jaki je czeka los.

Kolejny dźwięk bicia przypomniał tylnej straży starożon o dołączeniu do grupy. Jednej z nich, Siedmioczeroodcieniowej, lubianej i cenionej przez Trójtrójbłękitnego, gdy przechodziła, podarował część swego pęcherzyka spermy, rozcierając go między jej skrzydełkami recepcyjnymi. Była już zbyt dojrzała na zapłodnienie, ale akceptacja przez wodza plemienia jej roli partnerki płciowej dodawała starożonie odwagi i inspirowała do fizycznego wysiłku.

Szpica kolumny młodych dniożon dotarła akurat do Najświętszej Gnojowej Kuli. Trójtrójbłękitny usłyszał ich wiwaty, znajomy klekot żuwaczek. Entuzjizm szybko się rozprzestrzenił wśród członków karawany, aż po sam jej koniec.

– Zdążymy! – krzyknął prymus klanu, klaszcząc zachęcająco czterdziestoma parami odnóży. – Pozostawimy w Kuli nasz genetyczny ślad, zanim pomrzemy. Statki nasienne krążące na orbicie zabiorą Najświętsze. Nim spełnimy nasze dzieło, oddalą się

one z tego miejsca powierzone pieczy i pod eskortą najsilniejszych jednostek wojennych naszej rodzinnej floty. Nasze potomstwo zaszczipię na innych, życiodajnych planetach. Pośpieszajcie, żony, córki i synowie, pośpieszajcie!

Na wychodzonej ścieżce wśród wszechobecnego żwiru i kamieni dał się słyszeć odgłos podążających truchcikiem milionów par nóg. Wyżej, wyżej, ku bliskiemu już celowi! Trójtrójbłękitny czuł wzmagającą się radość, zgoła euforię. Ofiarne czyny jego rodzinnego klanu zostaną zapisane na kartach historii. Na innym świecie, w innym czasie, poświęci się im inną nową Kulę Gnojową.

Wtem coś przesłoniło widok na rozgwieżdżony Łysy Wór. Statek Kitarów, o obrzydliwie monotonnej budowie, zawisł w górze na wysokości zaledwie kilkuset metrów nad płaskowyżem. Z prostokątnego luku na dnie pojazdu wypłynął jasny potok boleśnie przenikliwego światła. We wnętrzu statku pojawił się cień, znieruchomiał na moment, po czym opuścił się na Kulę. Od kitarzkiego wojownika biły pogarda i nienawiść, wydawało się, że jego sylwetka składa się z wyłącznie z nagromadzonych negatywnych emocji. Z pewnością będzie walczył do ostatniej kropli krwi.

Oto stał przed nimi pojedynczy kitarzki wojownik! Mieszkańcy planety nie znali się wprawdzie zbyt dobrze na taktyce wojennej najeźdźców, ale wiedzieli jedno: gdyby na pokładzie statku było ich więcej, cała załoga opuściłaby go, gotowa do walki wręcz. Kitarzy bowiem z walki czerpali niepoahamowaną radość życia. Tylko w ten sposób mogli obniżyć nieco ciśnienie wzbieiającej w nich żądzy zabijania.

– Zatrzymajcie go! – zawołał do góry ku czołu kolumny Trójtrójbłękitny jak tylko potrafił najgłośnie. – Brońcie Najświętszego życia, swe narażając. Sam ci on! Nie zezwólmy mu na zbezczeszczenie Kuli pod żadnym pozorem!

Bicz strzelał nad starożonami i młodziezami. Trójtrójbłękitnego nie obchodziły osobniki leżące, pozbawione sił i oddające ducha. Strata kilku członków plemienia była niczym w obliczu elementarnego zagrożenia całości materiału genetycznego jego rodziny.

Przeraczkował beznamiętnie po ciałach kilkunastu swoich zamęczonych na śmierć dzieci. Z wprawą przemierzył namułowe pole, ostatnią przeszkodę na drodze na szczyt, ku Świątości. Pomagając sobie wszystkimi parami odnóży, dobrnął na skraj płaskowyżu.

Oto ona, Kula Gnojowa, położona tuż obok zbiorowego hospicjum, gdzie chorzy i niedomagający od pokoleń spędzali swe ostatnie dni. Obydwa obiekty otoczone zostały przez ponad pięćset młodzieńców chroniących je własnymi ciałami. Niedaleko kłębiło się w miejscu, gdzie, jak przypuszczał, znajdował się Kitar. Jego ciało, trzy razy większe od ciała zwykłego Axtarasa, obleżone zostało przez kilku mocarnych synów Trójtrójbłękitnego. Wczepili się w niego i wydzielając litry policzkowego jadu, próbowali obalić go na ziemię. Jednak wróg pozostawał niewzruszony. Wymachiwał na prawo i lewo bronią kontaktową, na której końcu znajdowała się kulka wytwarzająca bladoniebieskie błyski. Rytmicznie, nieprzerwanie, nie zważając na rany. Chitynowe węzły kruszyły się, stopy łamały, pękały czaszki. Danina krwi złożona przez rodzinę, by powalić tego śmiertelnego wroga na ziemię, była ogromna.

Kitar nie wydał ani jednego słowa. Nawet gdy upadał, nie jęknął, nawet wtedy, gdy dwóch najznamienitszych synów Trójtrójbłękitnego wgryzało się w jego gardło. Odgłosy walki i trzask chityny zagłuszyły ostatni świst oddechu wroga. Umarł w milczeniu, tak, jak żył. Kilka drgawek i odruchowe uderzenie miażdżące ciało jednej z córowojek. I spokój.

Ale nie na długo. Bo młodzieńcy domagały się swoich praw. Nawet w obliczu powagi sytuacji nie chciały zrezygnować z przyjmowania pokarmu. Szorstkim gestem odsunęły na bok swoich braci i w młodzieńczym uniesieniu rozkawałkowały zwłoki. Jak furie skoczyły na zmarłego, rozkładając go w okamgnieniu. Kiedy skończyły i większość z nich, nasycona, odstąpiła od zdobyczy, Trójtrójbłękitny ujrzał już tylko pozostałe po Kitarze metalowe i szklane resztki. W pobliżu trzy kobiety naprędce wygrzebywały sobie nieśne dołki. Wzmrożona podaż pożywienia spowodowała przedwczesne spazmy porodowe. Rodzina powiększyła się niebawem o jakichś trzydziestu, może czterdziestu nowych członków,

pokrywając, przynajmniej częściowo, bolesną stratę poniesioną dzisiejszego dnia.

Wokół rozległo się triumfalne kłapanie. Wieść o niespodziewanym zwycięstwie rozniosła się szybko, docierając do najmniejszego oseska.

– Nikt i nic nie zwycięży Axtarasów! – zawołał. Trójtrójbłękitny, unosząc wysoko swoje przednie odnóża. – Każdy z nas wetrze w kulę swoją część. Spełniwszy owo zadanie, przywołamy raketami mgielnymi statek transportowy i wyślemy nasze geny hen, w nieznane. My zaś pozostaniemy tutaj, by walczyć do ostatniego tchu, świadomi, że gdzieś w odmętach wszechświata nowa generacja Axtarasów powstanie. Młodziewy na obczyźnie pozbędą się zahamowań rodnych, a nowy prymus klanu dzień i noc swój obowiązek płodzenia wypełniać będzie. Potomstwo nasze wzrok za Kitarzem wyteży i odnajdzie go, gdziekolwiek w ciemnym zaułku Łysego Wora nie schowałałby się. Odwet straszny brać będziemy!

– Zemsta! – podniósł się ku niebu zaśpiew kilku cór, synów i żon. Przysięgę, powtarzając, podejmowali kolejni członkowie rodziny, tak że po chwili chór złożony z trzynastu tysięcy gardeł wołał to jedno jedyne słowo, zdolne wstrząsnąć otaczającymi skałami.

Najświętsza Kula Gnojowa została pokryta kleistą zawiesiną. Członkowie rodziny bowiem podchodzili do szorstkiej powierzchni, ocierali się o nią i odchodzili, ustępując miejsca następnym. Po każdym kontakcie z kulą kłapanie na wiat przybierało na sile.

Trójtrójbłękitny skierował wzrok w górę. W euforii zapomniał o zawieszonym bezpośrednio nad nimi, pozbawionym właśnie załogi statku Kitarów. Oświetlony prostokąt ani drgnął.

Czyżby to była ich wielka szansa? Czy mogliby przejąć statek wroga i wykorzystać go do własnych celów?

Rozejrzał się wokół, wyszukując wzrokiem zdolne do lotu młodziewy. Szczętkowe skrzydła wyrastające z ich ciał w okresie matrymonitacji, a odpadające po rocznym przełomie, okazywały się przydatne. Przez krótką chwilę pożałował, że Axtarasi zrezygnowali w codziennym życiu z wszelkiej nowoczesnej techniki. Nie posiadali latających agregatów ani skafandrów ochronnych, a propozycje skorzystania z nich zawsze kończyły się odmową.

Ale było, jak było. Musiało im wystarczyć to, co posiadali. A dysponowali co najmniej dwusetką młodzieńców, które były w stanie jego samego oraz jego dziesięciu najsilniejszych i najinteligentniejszych synów wywindować na pokład statku Kitarów.

Wepchnął się w grupę stłoczonych Axtarasów i przekazał ocieraniem się rozkazy. Żeby się porozumieć, nie zawsze potrzebne są słowa. Nie trwało długo, a od reszty klanu oddzieliły się młodzieńcy i dziesiątka silnych synów. Wpatrywali się w niego wyczekująco.

– Wiecie, czego od was żądam? – zapytał.

Jego dzieci płci żeńskiej skinęły głowami. Rozłożyły przypominające gazę skrzydełka i zaczęły nimi machać, bzyząc donośnie. Hałas był nie do wytrzymania. Zewsząd unosiły się tumany kurzu.

– Mnie pierwszego weźcie! – rozkazał, ugiąwszy przednie odnóża. Trzydzieści młodzieńców chwyciło po obu stronach za jego obolałe od ciągłej kopulacji i podrażnione ciało, i uniosło się nad ziemię. Trójtrójbłękitny był w górze. Żołądek podszedł mu do gardła, a ciało na krótko zastygło w silnym skurczu. Ale zaraz potem poczuł prawdziwą euforię. Tak to musiało wyglądać w zamierzchłej przeszłości, kilka tysięcy lat temu, kiedy młodego prymusa klanu transportowały kobiety z roju jego ojca. Osadziły go na nieznanym lądzie i założyły własną rodzinę. W Trójtrójbłękitnym obudziły się dawno pogrzebane instynkty, genetycznie zakodowane wspomnienia, z pewnością znajdujące się teraz również w rdzeniu rodzinnej Kuli Gnojowej.

Czuł się wspaniale. Mimo niesprzyjających warunków, mimo wewnętrznego przekonania o beznadziejności misji. Płaskowyz poniżej zmienił się z poprzecinanego wzdłuż i wszerz krajobrazu w łudzący monotonią pojedynczy organizm z milionami nóg i ramion. Na tle poruszającego się podłoża wyróżniał się jedynie kształt Gnojowej Kuli. Świecenie w jej wnętrzu, spowodowane tysiącletnimi procesami rozkładu i spalania, czyniło ją jeszcze bardziej imponującą.

– Obróćcie mnie! – rozkazał. Młodziewy posłuchały bez sprzeciwu, chociaż niektóre pojękiwały pod jego ciężarem.

Gdzie nie spojrzeć, pożary. W powietrzu nad ich ziemią wisiały setki statków ich przerażających wrogów. Niektóre zarzucały swoje nanosieci w tak żyzną niegdyś ziemię, pozostawiając po sobie ogień, popiół i dym. Inne opuszczali Kitarzy; rozbiegali się na wszystkie strony i urządzali polowania na rozproszonych członków rodziny.

Nikogo nie interesował Trójtrójbłękitny i jego kobiety. Bo niby dlaczego? Statek wroga wisiał nad Najświętszym. Wiara we własną moc, w zwycięstwo, oraz niepohamowana wściekłość Kitarów były tak ogromne, że przez myśl im nie przemknęło, iż mogą zostać pokonani przez Axtarasów. Nawet jeśli jednemu z nich towarzyszy trzysta tysięcy członków rodziny.

Pod sobą Trójtrójbłękitny dostrzegł sylwetki dziewięciu swoich synów. Unosili się, dźwignani na skrzydłach pojękujących, klnących i sapiących kobiet. Dziesiąty runął w dół, pociągając za sobą transportujące go młodziewy. Wpadł w panikę, zaczął na oślep rozdzielać kopnięcia i kilka śmiertelnie poranił. Ich zwłoki rysowały się teraz jako małe nieruchome plamki pośrodku niespokojnego dywanu z ciał członków rodziny.

Zbliżali się ku jasnej poświacie z uchylonego wjazdu. Młodziewy dodawały sobie wzajemnie animuszu, śpiewały bohaterskie pieśni rodne lub opowiadały sprośne kawały, które usłyszeć można było chyba tylko w domach kobiet. Trójtrójbłękitny czuł już zapach metalu. Trudno uwierzyć, ale ostatniemu Kitarowi na pokładzie wyraźnie nie zależało na zachowaniu środków ostrożności. Nie było włączone broniące dostępu do statku pole energetyczne, żadne czujniki ruchu wywołujące alarm i inicjujące mechanizmy obronne.

Na kadłubie widoczne były ślady intensywnej eksploatacji pojazdu. Niezliczone blizny po uderzeniach mikroskopijnych międzygwiazdnych cząstek, podłużna rysa, okopcone miejsce po ostrzale. Ogromny spód statku sprawiał przytłaczające wrażenie, przesłaniając niemal całe pole widzenia. Padające z luku ostre światło pozwalało jedynie na rozpoznanie zarysów statku.

Trójtrójbłękitny poczuł dziwne drżenie wzdłuż kręgow, niewątpliwą oznakę strachu.

– Dalej! Radę dacie! – dopingował pomocnice.

Młodziewy zebrały ostatnie siły i postępując wleciały z Trójtrójbłękitnym przez oświetlony właz, do wnętrza obcego obiektu. Opadły na podłogę, która wydawała się nie mieć końca. Prymus klanu pociągnął je za sobą w głąb statku, żeby zrobić miejsce swoim synom pojawiającym się jeden za drugim u wejścia. Dwie wyczerpane młodziewy umarły od razu, dwie kolejne zwijały swoje ciała; znak rychłej niewydolności serca.

Udało się siedmiu synom, policzył Trójtrójbłękitny po chwili odpoczynku. Silne, młode chłopaki, w których worach płodnych aż kipiało od nadmiaru spermy. Jeden z nich zostanie może jego następcą. Jednak myśl o szczęśliwej przyszłości, wypełnionej walkami o przestrzeń i dominację, wydała mu się w tej chwili przejawem arogancji. Zdecydowali się na wykonanie zadania, którego filarem była jedynie nadzieja.

– Kitarzy to idioci, panie/ojcie – powiedział jeden z synów. – Jakże tak daleko idącą nieostrożność można zachowywać?

– Nie nasza to sprawa, synu/własności. Obejrzycie się żwawo. Jak najszybciej strukturę statku poznać nam trzeba. Wypatrujcie wyjścia z tego miejsca światła, a i drogi ku centrali.

Synowoje posłuchali, nie wypowiadając ani słowa. Rozpierzchli się we wszystkich kierunkach. Ich ciemne postaci sprawiały wrażenie obcych ciał w pośrodku sterylnej bezkresnej bieli. Nie można było dostrzec ani źródła jasnego światła, ani końca pomieszczenia.

Trójtrójbłękitny wskazał na dwie młodziewy, które wyglądały na względnie mocne i rześkie.

– Zostaniecie ze mną. Możliwe, że jako posłanniczki potrzebne mi będziecie. Reszta do powrotu się niech szykuje. Przynieście więcej synowojów. Niech udział weźmie w zadaniu tylu Axtarasów, ilu możliwe.

– Tak panie/ojcie.

Wskoczyły do otworu, jedna za drugą. Pozostało sześcioro zwłok, które posłużą młodziewom obsługującym następną

transport jako pokarm. Jedna z wybranych cór przekroczyła w ciągu ostatnich kilku minut próg dojrzałości płciowej. Trójtrójbłękitny zapłodnił ją; kopulacja zredukowała jego wewnętrzne napięcie. Druga młodziewa przyglądała się aktowi z zainteresowaniem. Również i ona niedługo wejdzie w dorosłość i chętnie otworzy przed nim swoją kloakę.

Stosunek płciowy uwieńczyła krótka chwila odprężenia. Trójtrójbłękitny przetoczył się na bok, w stronę luku, i wyjrzał na zewnątrz. Najświętszą Kulę Gnojową otaczał tłum, tak samo jak przedtem, ale dawało się zauważyć, że większość członków plemienia zakończyła już jej nawilżanie. Córy, synowie, żony i dzieci zbierali się na drugim końcu płaskowyżu, grupując się w coraz większym ścisku. Widoma oznaka niepewności; tak się przynajmniej wydawało Trójtrójbłękitnemu. Złoscili go. Zapomniał wydać lotnym młodziegom stosowne rozporządzenia dla pozostałych w dole współplemieńców.

Rozpostarł odnóża, opierając je na wewnętrznych krawędziach włazu, i wysunął swój tułów, tak daleko, jak było to możliwe, z kadłuba statku na zewnątrz. Jego kraj był zniszczony, straszliwie spustoszony! Wszędzie pożary, dymy, wybuchy! Odłamki skał, wielkie jak domy lęgowe, wyrzucane były w powietrze z zawrotną szybkością. Lawa mieszała się z wodą wydobywającą się z głębokich wejść do wylęgarni, a pomruk trzęsącej się ziemi uprawiał w wibracje południowe tereny jego ojczyzny.

Nadchodził koniec. Trójtrójbłękitny i jego przybocznicy byli ostatnią nadzieją Axtarasów. Oni – i Kula Gnojowa pod nimi. Gdyby się im udało jakimś sposobem pokierować statkiem Kitarów i wziąć na pokład Najświętsze! Odznaczali się wyjątkową zdolnością przyswajania sobie zdobyczy obcej techniki i uważano ich za niezłych kosmonautów. Jednak w zasadniczej uchwale ogłoszonej kilkaset lat temu familie odżegnały się od wszelkiej formy bądź przejawu idei ekspansji. Podróże kosmiczne odbywano tylko w niewielkim zakresie, a miały one na celu przede wszystkim pozyskiwanie nowych surowców. Miejsce Axtarasów było tutaj, a nie gdzie indziej.

Tak sądzili.



Ale teraz uciekał cenny czas, zaś jedynej szansy na przetrwanie gatunku Axtarasów upatrywano w ewakuacji materiału genetycznego.

– Znalazłem dojscie do wnętrza statku, panie/ojcie! – przerwał mu rozmyślania głos jednego z synowojów.

Trójtrójbłękitny skierował się z powrotem do wnętrza statku, obrzucając swą latorośl surowym spojrzeniem.

– Zachowaj, z łaski swojej, konwenanse, synu/własności! – rozkazał.

Synowoj odchrząknął podniecony, przypomniawszy sobie dopiero teraz, zbyt późno, niestety, o nakazanych formach dobrego zachowania. Z kilkusekundowym opóźnieniem ugiął przed Trójtrójbłękitnym jedną trzecią wszystkich par odnóży w ukłonie.

Trójtrójbłękitny uderzył i lekki kuksaniec trafił w żołądek. Nie czas teraz i miejsce na stosowanie środków wychowawczych.

– Co takiego znalazłeś? – zapytał.

– Rozejrzałem się tam. – Synowoj wskazał za siebie. – Brak było oznak, iż przestrzeń ta koniec mieć będzie... Gdy wtęmy zawroty jakoweś poczułem. Małość swej osoby jakąś poczułem, prawie nicość... Aż nagle znalazłem się w pokoju przyciemnionym.

– Transmisja.

– Prawdopodobnie, panie/ojcie. – Synowoj wyprostował się, patrząc swemu ojcu prosto w fasetowe oczy.

Kolejna bezczelność, która w myśl przepisów powinna zostać potraktowana kilkoma cięgami. Ale prymus klanu nie miał teraz ochoty na dawanie nauki.

– Cóż tam uwiidział, synu/własności, w tymże nowym pokoju?

– Pięknje tam było. – Młodzian wpadł w zachwyt. – Jakże inaczej, aniżelim się spodziewałem...

– Przestańże słowa w zagadkach ukrywać! Byłżeś w centrali czy nie?

– T... Nie. Nie wiem, panie/ojcie. Ale było to... było...

Synowoj, zbyt młody jeszcze, żeby zasłużyć sobie na własne miano, załamał się. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, obsunęły się z poślizgiem na boki, oczy popękały.

Nie żył.

Trójtrójbłękitnemu trudno było zachować opanowanie. Czyżby wszystko przysięgło się przeciwko niemu i jego ludowi? Co takiego zobaczył jego syn? Gdzie znajdowało się miejsce transmisji? A przede wszystkim – dlaczego umarł dopiero teraz?

– Do mnie! – zawołał drżącym głosem na alarm. Oślepiiony, kręcił się wokół własnej osi. Wszechobecne światło sprawiało, że nie widział dalej niż na trzy długości ciała. – Powróćcie, gdziekolwiek jesteście!

Odpowiedziało czterech, potem pięciu synowojów, zapowiadając swój powrót. Prosili o dalsze wołanie, aby mogli zorientować się, skąd dochodzi. W jaskrawej świetlnej bieli pomylili kierunki.

A zmarły nie pomylił? Do jakich dotarł tajemnic?

W końcu zebrali się wszyscy. Sprawiali wrażenie osłabionych, ledwie mogli utrzymać się na nogach. Z ich ciał odpadały łuski, gdzieś tam widać było otwarte wrzodzące rany.

– Panie/ojcie, to nie miejsce dla nas – wystękał jeden z nich. – Opuścić nam naprędce trzeba tę kitarą łajbę.

– Nigdy! – krzyknął Trójtrójbłękitny, skrobiąc nerwowo zuwaczką. – Trzeba nam ratować Kulę Gnojową, na okoliczności nie zważając!

– Ależ pomrzeć nam przyjdzie...

Prymus klanu odtrącił synowoja na bok jednym machnięciem odwłoka. Ten poślizgnął się na świetlnej posadzce, daremnie usiłując przytrzymać się czegoś, i zniknął w otwartym luku. Spadł na córy i żony, setki metrów w dół, impetem uderzenia niosąc śmierć kolejnym członkom rodziny. Podczas lotu nie wydał z siebie najmniejszego pisku, zachowując tym samym odrobinę godności.

– Jeszcze ktoś pragnąłby wnieść sprzeciw jakiś? – syknął Trójtrójbłękitny w stronę żywych synów.

Nie było odzewu. Młodziecy i synowoje pochyłili się najniżej, jak mogli, ku chłodnej podłodze. Wydzielali coś w rodzaju pary, która miała go ułagodzić, wywołała jednak efekt przeciwny do zamierzonego. Trójtrójbłękitny poczuł, że otacza go banda słabeuszy, a jego samego pozostawiono na pastwę losu. Nienawidził swojej rodziny, nienawidził wszystkich jej struktur, przez które musiał

przechodzić katusze od chwili swych narodzin, nienawidził ograniczeń i konwenansów. Chciał... Chciał...

To nie są jego myśli! Prymus klanu za wszelką cenę starał się uspokoić. Znajdował się pod obcym wpływem.

Musiał zwalczyć zamęt w głowie. Pomyślał o szczególnych rytmach zapładniania, o mocy i sile, o swojej roli podczas Wielkich Dni jako rzecznika świata, o poważaniu, z jakim odnoszono się do niego przez całe życie. Ale na nic się to nie zdało. W jego mózgu zagnieździły się przerażająco nieracjonalne myśli, którym towarzyszyły dawno zwalczone lęki i fobie. Spowodowały, że stracił rozeznanie, co dalej czynić.

Nie zważał już na synowojów. Zmęczony, przewrócił się na bok, na jaskrawo świecącą podłogę, patrząc w stronę, z której nadszedł zmarły syn. Obie młodziewy próbowały go powstrzymać, ale odsunął je lekkimi szturchnięciami.

– Zostańcie tutaj! – krzyknął. – Baczcie, by Kula Gnojowa sprowadzona na górę została.

Zdawał sobie sprawę, że wymaga od nich niemożliwego. Nikt przecież nie posłucha dwóch głupekowatych podlotków ani nawet synowojów, spoglądających teraz za nim z zakłopotaniem. Trzeba było od razu zabrać ze sobą jakąś starożonę. Kobietom w postrozrodczym wieku przypisywano pewien zasób życiowej mądrości i słuchano ich rad w nawet dalekich odłamaczach rodziny.

Lecz wszystko to nie miało wielkiego znaczenia. Teraz Trójtrójbłękitnego drażniło wszechobecne światło. Wszystkie bodźce – zewnętrzne i wewnętrzne – sprawiały ból. Poczul się słaby i zmęczony. Śmiertelnie znużony.

Jedna para odnóży po drugiej odmawiała posłuszeństwa. Cienkie kończyny odłączały się od tułowia i po prostu odpadały. Spozregł, że najpierw sztywnieją i się marszczą, żeby zaraz potem spalić się w świetle. Ono je unicestwiało. Trójtrójbłękitny pojął, że za jego powolną śmiercią stoi niezwykle wysoka dawka promieniowania.

Jeszcze odmawiał akceptacji swego rychłego zgonu. Resztki wytrzymałości wciąż mu pozwalały na pełzanie i czołganie się w

nieznane. Gdyby tylko udało się jakoś zejść z tej okropnej powierzchni... Musi odnaleźć drogę, którą poruszał się zmarły syn.

Odwrócił się. Jego potomstwo dawno znikło mu z oczu. Otaczała go tylko jaskrawa biel i jakiś dziwny szum, coraz głośniejszy, będący, być może, czymś w rodzaju mowy.

Podłoga jak gdyby ugięła się pod jego ciężarem. Prymus klanu posiadał znakomicie rozwinięty zmysł równowagi. Poruszał się w dół, nawet jeśli jego receptory podpowiadały zgoła coś innego. Trójtrójbłękitny wpadł w poślizg i zaczął wirować. Instynktownie wysunął tylne pary odnóży, opierając się sile odśrodkowej, ale był już zbyt słaby. Leżał teraz twarzą do przodu. Jego odwłok, cały chroniony chitynowym pancerzem, był złamany na ostatniej blaszce. Jednak w obliczu dolegliwości, które dokuczały mu od chwili pojawienia się na pokładzie, ból wydał się Trójtrójbłękitnemu czymś marginalnym. Prymus zachwiał się i zaczął spadać w świetlnym tunelu, którego kolor stopniowo się zmieniał. Monochromatyczna biel uległa rozszczepieniu, on zaś opadał wzdłuż trzech poskręcanych, coraz szerszych ciągów barw. Czerwień, zieleń i kolor jego rodziny – błękit – przenikały się wzajemnie, tworząc wzory jak w kalejdoskopie. Tym bardziej intensywne, im szybciej się poruszał.

Odnóża i pary kończyn operacyjnych Trójtrójbłękitnego odłamały się, jakby zrobione były ze spróchniałego drewna. Ale to już nie miało znaczenia. Czuł bowiem, że niedługo nastąpi koniec podróży. Otrzyma odpowiedzi. Być może zrozumie przyczyny i motywacje niszczycielskiej działalności Kitarów. Tymczasem kąpał się w fiolecie, akwamarynie, turkusie, karmazynie, różu, magencie i pomarańcu. Wszystko wokół stało się takie barwne! Podczas tej niewiarygodnej jazdy ogarniało go nieznane ciepło.

Czy jednak ktoś, kto po mistrzowsku opanował manipulowanie kolorami, mógł być tak zły i niemoralny, jak Kitarzy? Czy może ogólna o nich opinia okazuje się być pomyłką? Czy walki pomiędzy nimi a pozostałymi ludami Łysego Wora to również nieporozumienie? Także Axtarasi niegdyś byli podejrzani z powodu panujących w ich familiach zwyczajów. Inne inteligencje nie wykazywały zrozumienia dla konieczności kopulowania z własnymi

córami, wnucami i prawnucami. Wydawało się im to niecne i obsceniczne. Z drugiej strony Trójtrójbłękitnego wstrętem i odrazą napawały rytuały miłosne Humanów. Rozmnażanie było czymś oczywistym, jednak odczuwane przy tym pożądanie nie mogło koncentrować się wyłącznie na pojedynczym przedstawicielu gatunku!

Zjeżdżalnia z namacalnej czerwieni grzała go coraz mocniej, sprawiała, że zaczynał się gotować. Fasetki przednich oczu Trójtrójbłękitnego wypaliły się, spoglądając na świat obrazów i wzorów, przez który przenikał. Coraz więcej ommatidiów odmawiało posłuszeństwa; drobne kryształowe stożki rozbiły się pod wpływem doznawanych optycznych wrażeń.

– Za dużo! – wołał w panice, podczas gdy wokół niego robiło się coraz ciemniej. – To dla mnie zbyt wiele!

Bez odzewu. Wygasła jedna fasetka po drugiej, a im więcej światła skupiało się na pozostałych, tym szybciej Trójtrójbłękitnego dopadała ślepotą.

Nagle wszystko się zatrzymało. Trójtrójbłękitny leżał bez ruchu na jakiejś macie. Wokół niego panowała błoga klarowność. Znowu odbierał wszystko tak, jak poprzednio. I widział zadziwiająco dobrze jak na ponadpięćdziesięcioprocentową utratę wzroku.

Strach i ból odsunął na drugi plan. Spróbował się podnieść i na nowo odzyskać orientację. Pozostało mu jeszcze około trzydziestu par nóg i ramion operacyjnych, dużo mniej niż jedna dziesiąta początkowej liczby. Zbyt mało, by po prostu pójść do przodu, choć wspomagane zręcznymi skurczami ciała powinny wystarczyć na przesunięcie się w głąb pomieszczenia.

Rozległa się muzyka. Wzruszała i raniła, wywoływała jednocześnie radość i smutek. Pokój był duży, dźwięki rozchodziły się echem po kunsztownie wykonanych, ozdobionych intarsjami ścianach. Zewsząd biło piękno, nawet od kleistej mazi, która coraz intensywniej spływała po ścianach statku Kitarów, tworząc na podłodze małe kałuże. Trójtrójbłękitny pomyślał, że w tym pomieszczeniu poczułby się dobrze przedstawiciel każdego ludu.

Na ścianie frontowej rozpościerał się obraz. Miał zniekształcone barwy, a dodatkowo deformowało go drobne elektroniczne

śnieżenie.

– Ojczyzna – westchnął. Właśnie oglądał Axtar z wysokości statku najeźdźców. W centrum odnalazł szaro-piaskowy świat z kilkoma niebieskimi plamkami mórz, oświetlony żółtym słońcem i zasnuty kilkoma pasmami chmurek. Gdzieś tam pojawiały się blizny podobne do tych po nakłuciu igłą. O końcu żywota planety przypominało kilka zygzakowatych, poszerzających się czerwonych linii. Widok smutny i piękny zarazem.

Trójtrójbłękitny odnalazł centralę statku Kitarów, był tego absolutnie pewien. I nikogo w niej nie było.

Czy odzyskana właśnie nadzieja na coś się przyda? Prymusowi potrzeba było niewiele czasu, aby zapoznać się z systemami statku i ich funkcjami. Wszystko tu było nastawione na porządek i wydajność. Muzyka, obrazy i technologia haptyczna pozostawały w kontekście, który potrafił swobodnie zrozumieć. Garbata struktura po prawej była czymś w rodzaju pulpitu sterowniczego, zaś wypolerowane miejsce za nim, z wieloma chromowymi uchwytyami, prawdopodobnie służyło do namiaru i lokacji. A bezkształtna masa pośrodku pomieszczenia była...

„Masa” się odwróciła. To było Coś. Leżące na noszach, podłączone do nich za pomocą wielu rurek i drutów.

– Sprawileś mi wiele radości – stęknął stwór z rozkoszą. – A teraz patrz!

Płatki energetycznego śniegu wirowały z dużą prędkością po wielkim panoramicznym ekranie. Pracowały jak drobne gumki tła. Wygaszały widok na Axtarze, ukazując jednocześnie coś nowego. Z niezliczonych puzzli wyłonił się obraz przedstawiający Kulę Gnojową. Istota na noszach zwróciła na siebie uwagę Trójtrójbłękitnego czymś podobnym do chrząknięcia. Wskazała na barwne pole obok siebie, po czym uderzyła w nie przypominającą ramię odnogą, odpalając tym samym wiązkę niszczącą w okamgnieniu wszelkie nadzieje jego rodziny. Kula implodowała. Szara otoczka pokryła szare resztki, wewnętrzny ogień wygasł.

– Pięknie, co? – zasapał Kitar.

Kolejne serie zmiotły z płaskowyżu synowojów, młodziewy, starożony, młodzieci i żądliwe siostryce. Wiązki ognia wędrowały

wzdłuż i w poprzek planety, kończąc swoje zadanie dopiero wtedy, gdy gasiły ostatni płomyk życia...

Trójtrójbłękitny nie przeżył końca rodziny i Axtaru. Jego serca ostatecznie przestały pracować, a masywne niegdyś ciało zapadło się w sobie. Z licznych ran prymusa klanu wypływała brązowożółta ciecz.

Kreatura na fotelu zachichotała cicho. Na jej komendę rozjarzyło się przenikliwe białe światło, które zmiotło resztki Trójtrójbłękitnego w nicość. Potem zapanował spokój.

## 10. FAURUM

Turil nie mógł dłużej odwlekać rozmowy z Momedem. Dziecko statku oczekiwało, że od czasu do czasu je odwiedzi i okaże mu odrobinę czułości. Tylko wtedy bowiem mogło funkcjonować tak, jak powinno.

Kreda podróżna natychmiast przeniosła go do centrum świadomości Mameda. Jasność i Cień czekali nieopodal, gotowi włączyć się, gdyby doszło do sytuacji kryzysowej. Stosunki między Turilem a Momedem były, delikatnie mówiąc, napięte.

– Jak ci się powodzi? – zapytał grabarz, podchodząc bliżej i przyglądając się ogromnemu dziecięcemu mózgowi.

– Posranie. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja!

Po dobrze widocznych zwojach nerwowych dreptały drobne pełzające stworzonka. Za pomocą mikroskopijnych dmuchaw usuwały zanieczyszczenia z przerodzonego w olbrzyma umysłowego stworzenia, któremu rodzina Turila tyle zawdzięczała.

– Dlaczego chcesz ze mną rozmawiać? – Grabarz obchodził powoli szklaną kopułę. Wypełniały ją krew, proteiny, masa mózgowa i metalowe naprowadzaczki, które powodowały, że Momed wykonywał to, czego od niego wymagał Turil.

– Uwolnij mnie w końcu, ty pierdolony skurwysynie! – zaklął sześciolatek. – Bo ci właduję twojego syfiastego kutasa w dupę. Cipolizie! Pizdoszczaku!

– Dosyć! – zdenerwowany Turil zapukał w szkło. Khamil, któremu odbiło i który jeszcze przed Pschoimem był właścicielem GELFARA, spędzał kiedyś tutaj dużo czasu. Jego obecność w tym przygnębiającym miejscu wywarła decydujący wpływ na ukształtowanie się słownictwa Mameda.

Na komendę Turila do akcji wkroczyły dwa naprowadzaczki. Przesuwały swoimi mikrometrycznymi palcami po pojedynczych zwojach, aż natknęły się na odpowiedni kłębek, w który powoli zaczęły się wwiercać.

– Wypuść mnie, ty kupo gówna! Nie mogę cię znieść, nie mogę znieść tego statku!



– Wiesz dobrze Momedzie, że nie mogę i nie wolno mi ciebie uwolnić. Są umowy...

– Umowy podpisane szczykami, wymyślone przez mojego ojca-padlinojebcę! Kiedy go spotkam następnym razem, urwę mu łeb i wysram mu się do gardła!

Terapia bólowa naprowadzaczy zaczęła w końcu działać. Sztuczne ujście głosu Mameda, rozjątrzona czerwono-czarna masa, z której zwisał szeroki język, zamknęło się wreszcie. Teraz słyhać było zaledwie bezsensowne mamrotanie, przerywane co jakiś czas głośnym krzykiem i skrzekiem.

Nie chcę tego! – pomyślał Turil z przerażeniem. Skierował wzrok od szklanej kuli w stronę nieskończoności kosmosu. Jasność i Cięż obserwowali go z pewną dozą nieufności. – Chciałbym, żeby ta biedna istota w końcu zaznała spokoju, na który sobie zapracowała. Służy nam już przez cztery pokolenia, a końca nie widać. Oszukujemy go, bo nie ma poczucia czasu. Bo nie wie, że ostatni z członków jego rodziny umarł ponad sto lat temu. Bo uważa to wszystko, co się wokół niego dzieje, za zabawę. Bogowie – sprawcie, by w końcu mógł odejść!

Nie ma żadnych bogów, uświadomił sobie. Nie ma również sprawiedliwości i dlatego Momed będzie świadczył usługi do momentu, kiedy nawet szczywanym naprowadzaczom nie uda się wycisnąć ani ułamek mocy ze zwojów nerwowych dziecięcego mózgu. Ale do tego momentu upłynie jeszcze dużo, dużo czasu.

– Musisz wziąć się w garść, Momedzie – powiedział grabarz na tyle spokojnie, na ile było go stać. – Czekają nas trudne i długie podróże. Sam wiesz, jak boli, gdy nie przygotujesz się dostatecznie do skoków i zmarnujesz kaut.

Naprowadzaczki odsunęły się na szerokość dłoni, akurat na tyle, żeby Momed mógł wyczuwać ich obecność. Metalowe spiczaste pobudzacze znajdowały się cały czas w stanie gotowości.

– Jesteś Turilem, prawda? – zapytał cicho Momed.

– Tak.

– Nie rozumiem tego! Kiedyś rozmawiam z Khamilem. Potem z Pschoimem, a zaraz potem z Sakkatą. A teraz z tobą... Dlaczego jest

was aż tyłu i dlaczego wszyscy nazywacie siebie kierującymi statkami?

– Wszyscy jesteśmy jedną rodziną – odparł Turil, jak zwykle wymijająco. Mózg statku, wyhodowany do specyficznych działań, tkwił od zbyt długiego czasu w wirze pracy, aby to pojąć. – Przed nami wielki skok. Zrozum. Świat, który odwiedzimy, spodoba ci się.

– Skąd możesz wiedzieć, co mi się podoba!? – Dziecko statku poruszyło się gwałtownie. Części zwojów wynurzyły się z cieczy odżywczej, rozjarzyły się wzmocnione elektrycznie neuronowe łącza. Mózg Mameda zapalił się – jak to u dziecka – do akcji.

– Zobaczę innych? – zapytał. – Krewnych? Przyjaciół? Przypominam sobie, że był tam jeszcze ktoś. Bawiliśmy się wspólnie. Trenowaliśmy w wielkich statkach. Takich dużych, pięknych... A ja mogłem się poruszać. Na nogach...

Głos Mameda zanikł w beładnym bełkocie. Turil się odsunął. Machnięciem ręki przywołał Jasność i Cień, podczas gdy naprowadzacz przyniosły woreczek z kautem. Wywołujący w stanie czystym euforię, pierwiastek zostanie wmasowany przez metalowe pomoce GELFARA w płat czołowy Mameda.

Grabarz odwrócił oczy. Spełnił swą powinność. Teraz przyszła kolej na dwójkę psychoopiekunów. Gdyby wyciągnąć dziecięcy mózg z głębin obłądu i zakotwiczyć go w rzeczywistości, można by go przesycić kautem. Euforyzujący eka-aktynowiec przeniknąłby do wnętrza zwojów, wytwarzając rodzaj napięcia, który pozwoliłby Mamedowi przenosić GELFARA jedynie siłą własnej woli, nierzadko na odległość wielu lat świetlnych.

Jakaż to nędzna, biedna istota! – pomyślał Turil, nie pierwszy zresztą raz. – Na wieki pozostanie dzieckiem. Naprowadzacz zapobiegają współdziałaniu określonych dróg nerwowych. Nigdy nie będzie mógł się uczyć, wydorosnąć. Wtedy bowiem mógłby stracić wybujałą fantazję, pozwalającą na myślowe skoki GELFARA, które później stają się rzeczywistością.

– Macie wszystko pod kontrolą? – zapytał cicho Jasność.

– Ależ oczywiście – szepnęła kobieta-awatar szorstkim głosem. Przylgnęła do niego ciałem, wsuwając swój długi język w jego ucho. – Wiemy, jak się obchodzić z Mamedem. Punktualnie, co do

sekundy dostarczy nas do układu Faurum. Dobrze wykonałeś swoje zadanie, grabarzyku. Jestem z ciebie dumna. Mogę cię za to wynagrodzić dziś w nocy?

Jasność spowiła go więzią seksualnych bodźców. Zapachy, aromaty, dotyk – wszystko wywoływało w nim uczucie rozkoszy, promieniujące gdzieś z jego wnętrza. Nie mógł powstrzymać jej wpływu. Zatoczył się; przytrzymał go Cień.

– Skorzystaj! – zażądał. – Bierz ją! Bierz, co potrzebujesz. To dla ciebie dobre.

– Nie, dziękuję! – wystękał Turil. Próbował się bronić. Chwytał Cień za ramiona i odsunął od siebie. – Nie chcę.

– Jeszcze jak tego chcesz! – Jasność objęła go mocno. Z dwóch ramion zrobiły się cztery, sześć, dziesiątki. Dotykały go wszędzie, masowały. – Pozwól mi sobie pomóc. Pokażesz mi, na co cię stać. Możesz ze mną robić, co tylko ci się spodoba. Poddaję się. Jestem twoją zabawką, twoją nałożnicą, twoją własnością. Opowiedz mi o swoich najbrudniejszych marzeniach... – nalegała nieprzerwanie. Udawała ordynarną i prostacką po to, żeby za chwilę potraktować Turila z chłodem i z dystansem. Doskonale opanowała sztukę seksualnej stymulacji, o której niewiele kobiet Humanów miało jakiegokolwiek pojęcie. W Jasności tkwiły doświadczenia wielu pokoleń etologów.

Przespanie się z nią nie wchodziło w rachubę. Absolutnie! Wprawdzie wprowadzi Turila w stan ekstazy, w której ztraci on poczucie jaźni, a kiedy bezsilnie spocznie na linach, Jasność wydrze z niego wszystkie tajemnice. Nieraz mało brakowało, a otworzyłby się przed nią, przed tym archetypem kobiecości, który mógł śmiało uchodzić za kochankę, matkę i przyjaciółkę jednocześnie.

– Zastanów się – zamruczała. – Zapukam do ciebie dziś wieczorem. Jedno, jedyne słowo wystarczy, a jestem do twojej dyspozycji.

Odepchnął ją z całej siły. Dotknięcia nie były jednak już tak intensywne, pozostała tylko jedna para ramion.

– Nie! – powiedział zdecydowanie. – Nie mam ochoty.

Odwrócił się, nie zwracając więcej uwagi na nadąsaną sztuczną istotę. Musi się teraz jakoś zrelaksować. Reflektorium zawsze było

dobrym miejscem ucieczki. Tam naprawdę czuł się dobrze, tam Jasność z Cieniem nie oddziaływały z całą mocą. W otoczeniu skrawków wspomnień przeżyje jakoś ten bolesny skok na Faurum. Gdy przechodził przez nakreśloną kredą bramę, wydawało mu się, że widzi na twarzy Jasności nieposkromioną wściekłość.

– Bałeś się już kiedyś? – zapytał Shmau Pendrixa.

– Byłem admirałem – odparł krewatar, wymownie przy tym ziewając. – Byłem dowódcą ogromnej floty, której jedynym celem było podbijanie obcych światów.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Oczywiście, że miałem stracha, Turilu. Ale musiałem go przemóc. Za każdym razem przy podejmowaniu decyzji.

– A miałeś uczucie, że podjęta decyzja jest niewłaściwa?

– Cóż znaczą uczucia? – Shmau Pendrix wzruszył ramionami. – Zapytaj Ramajskiego Naganiacza, co sądzi o romantyzmie, a cię wyśmieje. Albo poproś Lysteinę o łaskę – nawet nie zrozumie, o co ci chodzi. – Admirał przemierzył Halę Wspomnień paroma niespokojnymi krokami. Jego wzrok podążał z jednej strony jasno oświetlonego pomieszczenia na drugą. Gdzieś tutaj, pomiędzy kolumnowymi gankami, schowali się pozostali krewatarzy, od czasu do czasu zanosząc się cichym chichotem. W końcu przystanął w miejscu. – My Humani podejmujemy nadzwyczaj rzadko rozsądne decyzje. Pozwalamy raczej przemawiać naszym sercom, naszemu libido, naszym lękom. – Długim spiczastym palcem wskazał na Turila. – W tej czułości tkwi nasze największe manko, Turilu. Jeśli masz do wykonania jakąś robotę, niech pracuje twój mózg. Odizoluj się od wszystkiego, co mogłoby wywrzeć na ciebie jakikolwiek wpływ. Wsłuchaj się w szept własnych szarych komórek. Bywa, że rzeczy, których się podejmujesz, mogą wydać ci się nie na miejscu, ponieważ musisz walczyć z własnym sumieniem. Ale uwierz mi, twój brzuch nigdy nie będzie pracować tak precyzyjnie, jak twój umysł.

– Błędy zdarzają się nawet największym strategom – obstawał przy swoim Turil. Admirał dawał mu niezadowolające odpowiedzi. Przypominały one dewizy głoszone przez tanatologów.

– Jak najbardziej. Ponieważ popełniałem błędy, dopuszczałem się złych rzeczy. Ponieważ pokładałem zbyt wielką ufność w danych i faktach. Ponieważ udzielano mi złych rad.

– A jak dzisiaj sobie radzisz ze starymi błędami? Nie masz wyrzutów sumienia?

Shmau Pendrix się uśmiechnął.

– Sumienie to luksus, na który nigdy nie mogłem sobie pozwolić. Załatwiałem sprawy, bo musiały być załatwione.

Bo musiały być załatwione, powtórzył w myślach Turil.

– Zostawmy ten temat na dzisiaj. – powiedział i odesłał Shmau Pendrixa machnięciem ręki z powrotem na miejsce. Krewatar skłonił się lekko i odleciał.

Nie, te informacje nic a nic mu się nie podobały. Wydawały się nieprawdziwe. Tak samo, jak nieprawdziwe wydawało mu się całe jego dotychczasowe życie wśród dławiąco ciasnych tanatologicznych struktur.

Skok w układ Faurum nie przysporzył zbyt wielu negatywnych przeżyć, nie wzbudził również w organizmie Turila żadnych niepożądanych reakcji obronnych. Para psychoawatarów wydostała z Mameda, ile się dało, realizując wspomaganą kautem podróż przez ciemności kosmosu, jaką Turil dotychczas rzadko miał okazję przeżyć.

Powstał ze swojego łóża z lekkim tylko bólem głowy i stawów. W tym samym momencie pojawiły się medwróżki i rozpoczęły kojący masaż.

– Pokaż Faurum! – nakazał GELFAROWI. Pomysł, żeby uwolnić się na jakiś czas od zasięgu statku, wyraźnie go rozweselił.

Tuż przed grabarzem pojawiła się projekcja szarzielonej planety. Sprawiającej wrażenie, jak gdyby ktoś ją ścisnął. Na biegunach tkwiły rozcapierzone niczym macki ośmiornicy białoniebieskie lodowce, sięgając daleko w głąb wszystkich trzech kontynentów. Półkulę północną pokrywał łąd poszarpany fiordami, ale część południową Faurum charakteryzował raczej łagodny krajobraz. Turil odebrał dane bez komentarza. Na tej planecie panowały wspaniałe warunki do życia dla przeróżnych oddychających tlenem ludów. On także będzie się tam dobrze czuł. Jedynie powietrze jest tam nieco

zbyt wilgotne i ciężkie. Będzie musiał wimplantować sobie w gardło i jamę nosową muslinowy filtr, żeby zapobiec zakażeniom.

– Gdzie znajduje się ten kamienny bożek, Loap? – zapytał GELFARA.

Środek najmniejszego kontynentu, poprzecinanego kilkoma brunatnymi obszarami, został powiększony. Kiedy rozdzielczość osiągnęła pożądaną jakość, Turil rozpoznał sawannę.

W jej centrum widoczna była wolna przestrzeń, pozbawiona wszelkiej roślinności. W porywach wiatru gdzieniegdzie wirował piasek.

Pośrodku obrazu co chwila pojawiał się olbrzymi, liczący co najmniej trzy tysiące metrów średnicy, głąz strzegący otoczenia niczym twierdza na szczycie góry. Powierzchnia skały połyskiwała w promieniach słonecznych złotawoczerwonym blaskiem.

– To tu żyje ten bożek? – zapytał Turil.

– Płaskowyz jest nazywany przez tubylców Górą Bogów. Każdy odłamek skalny, każdy kamyczek na tym wzniesieniu uważany jest za świętość. Tutejsi wierni naliczyli dotychczas więcej niż sześć miliardów kawałków. Każdy z nich jest bogiem, każdy z nich spełnia określone funkcje. A jednym z nich jest Loap, król królów.

– A gdzie dokładnie znajduje się ten Loap, proszę ja kogo?

– Tego nie wiem. – Czy Turilowi się zdawało, czy rzeczywiście w głosie GELFARA zabrzmiała nutka zjadliwości? – Zaledwie kilku tubylców na Faurum zna jego tożsamość. Odnalezienie go i likwidacja – to twoje zadanie. Jeśli się pomylisz i dopadniesz nie ten kamień, co trzeba, wtedy Loap, jak powiadają, przeklnie wszystkich mieszkańców Faurum i odwróci od nich oblicze po wsze czasy. Wydasz obie zamieszkujące planetę grupy, Karantyków i Oroptyków, na pastwę losu. Bo bez duchowej figury przewodniej załamię się na Faurum cały złożony system społeczny.

Teraz dopiero Turil zrozumiał, dlaczego Kiriast do tej pory unikał wypełnienia tej misji. Nie był jeszcze aż tak stary, żeby nie dostrzegać związanych z zadaniem problemów.

– A więc dobrze – powiedział. – Niech Momed sprowadzi mnie na dół. Rozejrzę się, zanim się ukąże kapłanom.

– Ukazać się? Kapłanom? – GELFAR wydawał się być rozbawiony.

– Co w tym śmiesznego?

– Sądzę, że doświadczysz na Faurum paru niespodzianek. Zapewnić ci eskortę?

– Dziękuję. Płaszcz ceremonialny wystarczy w zupełności.

Oczekiwał sprzeciwu, ale ku jego zdumieniu statek wstrzymał się od komentarza. Turil odetchnął głęboko. Musiał ograniczyć kontrolę statku na tyle, na ile było to możliwe. Swoje robocze odzienie mógł w każdej chwili wyłączyć, wystarczyło trochę sprytu. Jasności i Cienia, bądź jakiegokolwiek innego obserwatora, niestety, nie.

Turil połknął inteligentną tabletkę, która powlekła jego śluzówki siatką z gazy. Następnie założył płaszcz ceremonialny. Zaczepy wsunęły się w naramienniki i niemal natychmiast poczuł w ciele przypływ dodatkowej, jak najbardziej pożądanej, energii.

– Momed jest gotów – oznajmił GELFAR.

Turil poczuł, że znalazł się na powierzchni Faurum w jednej chwili. Nagłość manewru go przeraziła, jak zawsze zresztą. Odwrócił głowę i zwymiotował w parującą zieleń dżungli, której zapachy i odgłosy stanowiły jaskrawy kontrast ze sterylnością gwiazdnej barki.

Kiedy opróżnił już swój targany konwulsjami żołądek, skierował uwagę na sygnały pomiarowe płaszcza. Informowały, że nie ma powodu do obaw. Wszystkie groźnie pobłyskujące zaostrome końce lian, kolorowe kolczaste krzewy, otwierające się i zamykające olbrzymie liście nie mogły uczynić mu żadnej krzywdy, jak długo odziany był w płaszcz. Miał dobrą ochronę.

– Gdzie mnie posadziłeś? – zapytał GELFARA przez wpięty w gruby kołnierz płaszcza komunikator.

– W pobliżu osady o nazwie Skrzyńka Karuma – odparł statek. – Trzysta kroków na północ i jesteś we wsi.

Trzysta kroków. GELFAR ponownie spletał mu figla. Otaczały go chaszczki niemalże nie do przebycia. Spędzi co najmniej godzinę na torowaniu sobie drogi do najbliższej drogi lub ulicy.

Wdech. Rozpęd i skok. Wydech. Wdech. Rozpęd i skok. Wydech.

Podczas przedzierania się w kierunku Skrzynki Karuma, płaszcz ceremonialny dostarczał mu informacji o Faurum. Turil nauczył się w tym czasie podstaw tutejszych języków (z gramatyką!) i zagłębił się w osobliwości socjologiczne i kulturowe obu grup etnicznych. Jedna z nich opanowała powierzchnię planety, druga zaś jej przestrzeń powietrzną. Oroptycy, stworzenia o różnym wzroście, należące do gatunku mycelia, grzybopodobnych, uważane były za bardziej inteligentne, ale zarazem i za bardziej chwiejne. Turil musiał koniecznie skontaktować się z jednym z ich przywódców, jeśli chciał dowiedzieć się czegoś o miejscu ukrycia Kitara. Jednak aby dojść do grzybiastych, trzeba będzie najpierw wejść w kontakt z ptakowatymi Karantykami. Przynajmniej tak stało w dokumentacji.

Miał na to cztery dni. Na wykonanie zadania i unicestwienie kamiennego bożka Loapa. Oraz cztery dni na to, żeby odnaleźć uwięzionego Kitara.

Mordega w chaszczach Faurum skończyła się po jakimś czasie. Turil dotarł do wąskiej przesieki stanowiącej coś w rodzaju ścieżki. W trzęsawisku zauważył małe okrągłe ślady stóp. Po lewej stronie drogi pełno było odchodów, obłożonych przez niezliczone ilości ośmionogiego robactwa. Stojące na przedzie owadziej kolumny osobniki pokrywały łajno odgryzionymi liśćmi, inne znowu śliniły je, a jeszcze inne formowały z tej mieszanki małe kulki, tocząc je przed sobą, hen w głąb dżungli, ku nieznanemu celowi.

– Imponujące, nieprawdaż?

Turil się odwrócił. Wpatrywał się w olbrzymie oko jednonogiego Faurumczyka. Chory na świerzb Karantyk wyglądał jak karykatura nietola. Z mocno upierzonej szyi zwisało dygocące wole, a resztki skrzydeł zakończone były wrażliwymi chwyttopodami.

– Tak, to imponujące – potwierdził grabarz.

– Przybywasz z zewnątrz, dwunogi?

– Zgadza się.

– Z gwiazd?

– Tak, z gwiazd.

– A co cię tutaj sprowadza? – Faurumczyk zbliżył się wielkimi susami.



- Interesy.
- Kupiec, tak?
- Tak.
- Masz sprawy do załatwienia w Skrzynce Karuma?

W Skrzynce Karuma jest lądowisko Oroptyków, szepnął płaszcz. Idź za nim, a natkniesz się na ślad wiodący do bożka.

- Mam - przytaknął Turil.

- To wspaniale, mój przyjacielu! Co za szczęśliwy przypadek, że się spotkaliśmy! Znam Skrzynkę Karuma jak nikt inny. Zakwateruję cię u siostry mojego parobka. Nocleg nie kosztuje zbyt dużo. To skromna chata, ale przestrzenna, a i jedzenie niezłe.

- Poznanie twojej rodziny będzie dla mnie zaszczytem.

- Więc chodź za mną. Tak w ogóle, to nazywam się Garscht i jestem Drugim Strażnikiem Skrzynki. - W słowach Faurumczyka pobrzmiwała duma.

- Cieszę się, Garschcie. Mam na imię Turil, jestem grabarzem.

- Grabarz. - Garscht mlasnął w zachwycie językiem wystającym z rogowego dzioba pokrytego głębokimi bruzdami. - Co za wspaniała praca! I dobra w sytuacjach kryzysowych, jak obecny czas posuchy! Rozkładasz więc ścierwa i przygotowujesz z nich potrawy? A może potrzebujesz asystenta? Kuzyn ze strony ojca mojego parobka wchodzi mianowicie w wiek, w którym trzeba się obejrzeć za jakimś zajęciem...

- Nie potrzebuję pomocnika - odparł Turil z rezerwą. - Bardziej interesują mnie informacje.

- Bogowie Szczęścia! - Garscht zaczął podskakiwać.

- Mój parobek jest specjalistą w zakresie informacji, a ja jestem jego agentem! Służba tobie sprawiłaby nam niewysłowioną radość, Turilu. A za małą zapłatą sprzedałbym ci nawet swojego niewolnika.

- Zastanowię się. - powiedział Turil i dał znak karłowi, że czas ruszyć naprzód. - Porozmawiamy, kiedy dotrzemy do Skrzynki Karuma.

- Jak najbardziej, Turilu grabarzu, jak najbardziej. - Garscht ani myślał o przerwaniu konwersacji. Poczł dziobem interes życia. -

Tak w ogóle to przyrodnia siostra ciotecznej babki mojego parobka też jest wystawiona na sprzedaż...

Domostwa Karantyków odznaczały się prostotą, niemal prymitywnością. Wioskę otaczały drewniane pale zaopatrzone w przerdzewiałe metalowe elementy. Dwóch wartowników, po lewej i po prawej stronie bramy, oparło się, pochrapując, o prastarą broń promieniującą, zaś ospałe zwierzęta stróżujące o trąbach długości przedramienia wylegiwały się w glebie, w wykopanych dołkach.

– Wy leniwe śmierdziuchy! – ryknął Garscht. Z niezwykłą zwinnością kopnął wartowników swą jedyną stopą w ich obszerne tyłki. – Może będziecie tak, z łaski swojej, lepiej uważali na moich poddanych?

Obydwaj strażnicy zareagowali dosyć biernie, jakby byli przyzwyczajeni do codziennego wylewania pomoy na ich głowy. Bez wahania przepuścili Turila i Garschta, po czym ponownie oddali się drzemce.

Mała osada lepiła się od brudu. Wszędzie walały się śmieci, a mieszkańcy przesiadywali leniwie w cieniu skromnie urządzonych chatek. Dwie kobiety, prawie dwa razy większe od swoich karantyckich mężczyzn, przeganiały stadko trzęsących się czworonogów w kierunku błotnistej źródła. Jak tylko zwierzęta zatrzymały się u wodopoju, obie niewiasty chwyciły za napęczniałe wymiona, zabierając się do dojenia. Mleko bryzgało w nieświeżo wyglądające gliniane naczynia.

– Obudźcie się! – zaskrzeczał Garscht po przybyciu do centrum wioski. – Wśród nas znajduje się honorowy gość. Przybysz z gwiazd! Podejdźcie, podły motłochu! Odsprzedam Turila grabarza oferującemu najwięcej!

Rozległa się niesamowita kakofonia krzyków, świergotów i pisków. Niezliczona liczba Faurumczyków próbowała przedostać się w pobliże Turila, dotykając go i targając bez cienia zażenowania. Ich dzioby ocierały się o płaszcz ceremonialny; stworzenia najwyraźniej czerpały z tego podniecie.

– Chcesz mnie sprzedać? – zapytał Turil, gdy wrzawa trochę ucichła.

– To tylko takie powiedzonko – uspokoił go Garscht. – Nie martw się. Pozostaw wszystko mnie. Zakwateruję cię, tak jak mówiłem, u siostry mojego parobka, a potem postaram się o wszystkie informacje, jakich dusza zapragnie. – Podsunął tanatologowi brudny skrawek papieru, zapisany kilkoma niemal do cna wyblakłymi znakami piśmiennymi. – Musisz podpisać tu, tu i tu. Nie bój się, nie oszukam cię, wszystko będzie załatwione po twojej myśli.

– Nie. – Turil wyjął z płaszcza swój laserowy miotacz i oddał strzał ostrzegawczy w kierunku puszczy. Zasyczało, dał się słyszeć trzask i jedno z pobliskich drzew z łomotem przewróciło się na ziemię. Garscht wydał z siebie skrzek przerażenia. Pozostali Karantycy uciekli w popłochu, znikając w półmroku swoich domostw.

– To wszystko jest tylko nieporozumieniem, o Turilu z gwiazd! – zagdakał nerwowo Strażnik Skrzynki, kładąc jedną ze swych szponiastych dłoni na upierzonej, wysuniętej do przodu pierś. – Przysięgam na swój honor, że nie mam zamiaru uczynić ci niczego złego.

Turil pochylił się i złapał Garschta za kark.

– Mam taką nadzieję, gówniarzu. Zebrałem dostatecznie dużo informacji na wasz, Karantyków, temat, zanim tutaj wylądowałem. Wiem, że moralność i przyzwoitość to dla was obce słowa. A więc zaoszczędź mi swoich sztuczek, bo inaczej obydwaj będziemy mieli problem. Rozumiesz? – odepchnął go od siebie grubiańskim gestem.

Karantyk zatoczył się i zachwiał na swej jedynej nodze, ale po chwili odzyskał równowagę. Przez moment milczał, jak gdyby się nad czymś zastanawiał, po czym głośno zawołał:

– Wybaczcie mi, proszę, ale impreza dobiegła końca. Nie możemy Turila ani zjeść, ani sprzedać. Hańba mu, jego rodzinie i wszystkim jego bliskim! Módlcie się do Loapa, żeby nadciągnął wkrótce głupszy od niego, który dałby się nam oskubać!

Loap, imię kamiennego bożka, którym należało się zająć, sprawiło, że Turil nadstawił uszu.

Karantycy wydali kilka pomruków i syknięć spod strzech swoich kryjówek, aby już po chwili całkowicie o nim zapomnieć. Jak

szybko nadeszło podniecenie wzbudzone obecnością obcego, tak w okamgnieniu wszystko powróciło do normy.

– A teraz zaprowadź mnie, z łaski swojej, do siostry tego parobka – rozkazał Turil.

– Mówiłem coś o jakiejś siostrze? – Karłowaty stwór drapał się nerwowo po brzuchu. – Musiałeś się chyba przesłyszeć. Mówiłem, że to brat kuzyna ze strony ojca w Skrzynce Treblinka, całkiem blisko stąd, zna kogoś, kto kogoś zna, kto prowadzi pensjonat. Tu we wsi raczej nikogo nie znajdziesz, kto mógłby zapewnić ci kwaterunek.

– A więc będę musiał zadowolić się twoją chatą. – Turil popatrzył wymownie na swoją broń.

– Chętnie, Turilu – Karantyk pospieszył z odpowiedzią. Obie połówki dzioba zaczęły lekko postukiwać jedna o drugą. – Ale wprawiasz mnie w niemałe zakłopotanie. Co powiedzą moi parobcy...

– Opowiedz im, co chcesz. Ważne, żeby jak najszybciej skontaktował się z Oroptykami.

– Sądziłem, że przybyłeś do nas, żeby robić interesy z naszymi ludźmi! – wrzasnął Garscht.

– No to chyba skłamałem.

– Oszukujesz swojego przyjaciela, doradcę, menedżera i prawie właściciela? – Karze! próbował wyrazić wzburzenie. – Powinienem od razu zerwać z tobą wszelki kontakt i zgłosić twój przypadek Radzie Dualnej.

Rada Dualna składa się z przedstawicieli obu ludów na Faurum, zaszeptał płaszcz ceremonialny. Karantycy i Oroptycy wspólnie wymierzają sprawiedliwość, jeśli tego wymaga sytuacja. Ale wykazują przy tym ogromną swawolę. Poza tym muszą uwzględniać zdanie kasty kapłanów...

Do tej pory nie zauważyłem ani jednego kapłana, odpowiedział mu Turil przez mikrofon przeponowy. – Gdzie się schowali?

Nie wiadomo. Pozostają anonimowi. Jeszcze nikt nigdy nie widział członka kasty kapłanów. Pozostawiają tylko przesłania na piśmie, kiedy uważają to za stosowne. Ich żądania zawsze są

spełniane, zarówno Oroptycy, jak i Karantycy ślepo zawierają rozsądkowi niewidzialnych.

– Jeżeli mi pomożesz, czeka cię nagroda – Turil zwrócił się do Garschta.

– Przyjacielu! Najdroższy mój! – Garscht rozpostarł szeroko skrzyła, jak gdyby chciał objąć i utulić grabarza. – Oczywiście, że ci pomogę.

Turil pociągnął za sekretne miejsce na swoim płaszczu. Zwarcie dezaktywowało większość funkcji szaty. Łączność z GELFAREM została odcięta, mózg statku nie dowie się niczego o temacie rozmowy z Garschtem.

– Czy słyszałeś kiedyś o obcej istocie, która więziona jest w grotach twojej planety? – zapytał cicho.

– Więzień? My, Karantycy, jesteśmy najmiłszymi istotami w całym Łysym Worze. I nawet jeżeli nie mogę tego samego twierdzić o Oroptykach, to nie wierzę, że utrzymują oni w tajemnicy miejsca odosobnienia z regulacją podtrzymywania systemów życiowych. Nie, jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, a już zupełnie nie w... Jak duże, powiadasz, mogłoby być moje wynagrodzenie, gdybym ci pomógł w biznesie? – Garscht zatarł ręce.

– Po pierwsze, zostawię cię przy życiu – co jest korzyścią, w przypadku gdy ma się pieniądze do wydania. Ale mnie jakoś nie zadowala taka odpowiedź. Po drugie, dysponuję wiedzą, za pomocą której będziesz mógł przekształcić Skrzynkę Karuma według własnych upodobań i stać się pierwszym obywatelem miasta – co niewątpliwie, oprócz korzyści, przyniesie za sobą mnóstwo dodatkowych uciążliwości. Wczesne wstawanie, długie przebywanie na nogach. Istnieją miłsze sposoby spędzania życia. Po trzecie, dysponuję pokaźną sumą środków płatniczych w ogólnie uznawanych walutach całego Łysego Wora.

– Myślę, że dobijemy targu, mój najdroższy przyjacielu...

– Jutro ląduje Karkarkar, Oroptyk – oznajmił Garscht z zadowoleniem, głaszcząc nabity na ramieniu chip swojego konta. – Jeśli spróbujesz go nakłonić za pomocą podobnej sumy, na pewno zgodzi się zaprowadzić cię do jaskiń Ataraktu. Tam może mógłbyś coś znaleźć.

Turil wymacał po raz drugi sekretne miejsce na tkaninie płaszcza i ponownie nawiązał kontakt z GELFAREM. Był zadowolony. W ciągu kilku godzin wpadł na trop więzionego Kitara.

W domu Garschta urządził się na tyle wygodnie, na ile było to możliwe. Wyczyścił i zdezynfekował ociekające brudem pomieszczenia, wyplenił pluskwy i karaluchy ultradźwiękami i powystrzelał niemiłych współlokatorów Garschta. Nie zważał przy tym na gderanie karła, który dziko podskakując, żalił się, że w tym niecodziennym porządku nigdy już nie odnajdzie żadnej swojej rzeczy.

Po jakimś czasie Garscht umilkł i zapadł w drzemkę. Przedstawiciele jego gatunku spędzali więcej niż dwie trzecie życia w głębokim śnie. W przeciwieństwie do Oroptyków, którzy praktycznie nie odpoczywali nigdy.

Kiedy stan noclegowni w miarę spełniał standardowe wymagania, Turil postanowił zwiedzić wioskę. W międzyczasie zaludniły się drogi i ulice. Męskie i żeńskie osobniki skakały z powagą przed siebie, niosąc kadzie wypełnione jakąś śmierdzącą gęstą cieczą ku wybetonowanej powierzchni w centrum osady. Przy każdym podskoku trochę substancji wylewało się sponad brzegów glinianych naczyń na ziemię, pozostawiając po sobie żrące i parujące ślady.

– Chciałbyś się sprzedać? – Jedna z kobiet podskoczyła bliżej, zręcznie omijając porozstawiane wszędzie kadzie. – Nazywam się Lamsch, Szósta Strażniczka Skrzynki w tej zgniłej dziurze. Mogłabym zagrać rolę twojej właścicielki i otrzymać za ciebie cenę o niebo lepszą aniżeli ten zakłamany ohydny Garscht.

– Nie, dziękuję. Już lepiej pozostanę wolny.

– Wolny? Wolność? Co za dziwne słowa! Czyż każdy nie jest czyjąś własnością? Czy tam, skąd pochodzisz, nie masz wobec nikogo zobowiązań?

– Sam jestem własnym panem i czynię tylko to, na co mam ochotę.

– Wolność to zdecydowanie głupia koncepcja – zaskrzeczała stara kobieta. – My, Karantycy, dostrzegliśmy to już dawno i dlatego zaprowadziliśmy system parobkowy.

– Po to, żeby samemu zdegradować się do stanu niewolnika?

– Każdy z nas jest parobkiem, ale równocześnie właścicielem jednego lub wielu Karantyków. Gdyby któremuś z nas przytrafiło się coś złego, system wzajemnych powiązań nas zabezpiecza. Pan opiekuje się niewolnikiem, niewolnik pracuje dla pana.

Turil poniechał dalszej dyskusji. Pożegnał się i podszedł, aby przyjrzeć się bliżej stercie towaru ułożonego w pobliżu betonowej płyty. Były tam gliniane dzbanki i łubianki, wypełnione ziemią taczki i szklane naczynia, w których bulgotała melasopodobna ciecz. Grube liny i haki wokół placu zdradzały miejsce cumowania statków Oroptyków.

Turil poszedł dalej. Wkrótce pozostało za nim centrum Skrzynki Karuma. Spontanicznie wybrał kierunek wiodący w labirynt wąskich uliczek. W ciasnocie piętrzyły się domki z grubo ciosanego kamienia. Turil spróbował się skoncentrować na priorytetowym zadaniu. Musi zebrać informacje, musi poznać i zrozumieć ten świat.

Młody, o niespokojnych ruchach, Karantyk siedział przed jedną z zapuszczonych chatek i zachwalał dźwięcznym głosem boskie kamienie.

– Co to za żwir? – zapytał grabarz z pogardą w głosie. – To replikanty?

– Ty chyba jesteś gościem Garschta – pisnął młodzian. – Ten niekumaty, który szasta pieniędzmi na lewo i prawo. Nie dziw, że nie rozpoznajesz prawdziwego boga, nawet gdy przed nim stoisz! – Wskazał na kawałek granitu wielkości pięści, o odłamanym boku. – Schył czoło przed Bendrinem, Bogiem Tłumionego Gniewu Około Południa. Jego klątwa dosięgnie cię, jeśli nie przekażesz obola jego Najwyższemu Reprezentantowi, czyli mnie, który przeznaczy tę kwotę na czyszczenie i pielęgnację Bendrina. A taką samą sumą wyprosisz przebaczenie u Charastira, Boga Niemal Niewiarygodnego Partactwa, którego siostrę bliźniaczkę Charastar, Boginię Niemal Niewiarygodnej Pedanterii, również przechowuję i strzegę z narażeniem życia.

– Z narażeniem twojego życia? – Turil pochylił się głęboko nad przyprószonym piaskiem płótnem, po którym między pogrążonymi w spokojnym letargu bóstwami pełzały we wszystkie strony

drobne owady. – A potrafisz także tych... tych wielce potężnych bogów zabić?

– Oczywiście. – Chłopak rozejrzył się wokół, po czym wyjął zza pazuchy młot, na którego chropowatym obuchu pojawiały się drobne wyładowania elektryczne. – Tym narzędziem Tytanów wykonano już wyrok na Schawuk, Bogini Ciągłego Złego Samopoczucia W Okresie Ciąży, i Chinchinie, Bogu, Który Nigdy Nie Chciał Być Bogiem. W przypływie bohaterstwa Awalchuk Wielki, czyli ja, wyrwał ten instrument z łap prawdziwie złego Oroptyka. Którego zresztą byłbym gotów odsprzedać, jeżeli nadarzyłby mi się odpowiedni kupiec. – Dziób Awalchuka nie przestawał kłapać. Delikatny odgłos wskazywał na miękką i plastyczną jeszcze tkankę rogową. – Ależ jakież wspaniałe natchnienie nachodzi mnie w tej chwili! Wydaje mi się, że ty właśnie mógłbyś okazać się kupcem poszukującym zabójcy bogów!

Co robisz tak długo u tego chłopca?, zapytał płaszcz ceremonialny, tym razem wykorzystując telepatię. Jednostki kontaktowe sprawiały ból, najważniejszy strój Turila dawał o sobie kategorię znacząco. Nie widzisz, że kłamię jak z nut? Karantycy nie są wiarygodni. Trwonisz czas, przebywając w tej dziurze...

Zostaw mnie w spokoju! – pomyślał Turil, zbierając wszystkie siły. Wiem, co mam robić!

– A więc dobrze, Awalchuku – powiedział. – Przejrzałeś moje zamiary. Możliwe, że będę potrzebował zabójcy bogów.

– Nie na darmo zważam na Wielkim. – odpowiedział chłopak. Po czym dodał nieśmiało: – Niestety, moja matka ma na to zupełnie odmienny pogląd.

– Czy tym wspaniałym przyrządem można unicestwić każdego kamiennego boga?

– Nie tylko! Można go nim zatimizować, wypieniając go przy tym z pamięci każdej inteligentnej istoty w Łysym Worze.

– Dlaczego więc większość rodzących kobiet nadal pamięta o Schawuk, Bogini Ciągłego Złego Samopoczucia W Okresie Ciąży?

– Chcesz powiedzieć, że kłamię? – Awalchuk udał oburzonego. – Naturalnie, Schawuk została unicestwiona; niestety, jej miejsce



zajęła Bisra, Bogini Ciągłego Złego Samopoczucia W Pierwszej Jednej Trzeciej Okresu Cięży.

– Rozumiem. – Turilowi spodobał się ten chłopak. – Żal ściska serce, gdy się pomyśli, jak gęsto i obficie wypełnione jest poletko bogów.

– Co masz na myśli? – Awałchuk przechylił głowę.

– Czy nie byłoby ulgą, gdyby się bogów pozbawiło – jak to się mówi – za jednym zamachem władzy nad nami, istotami niższymi?

– Nadal nic nie rozumiem...

– Trzeba by zatomizować szefa całego tego boskiego klanu. Tego... Jak mu tam? Loapa?

– Świętokradztwo – szepnął Awałchuk, wskazując na Turila drżącymi palcami. – Jesteś heretykiem, jakiego jeszcze w moim życiu nie spotkałem. Muszę zawołać Garschta i strażników...

– Dotychczas nauczyłem się na Faurum, że wszystko można zaaranżować, jeśli dysponuje się pękatym kontem. Nieprawdaż?

– Ale nie śmierć Najwyższego Boga!

– Jesteś pewien?

– On stworzył Łysy Wór, dał nam życie, jest ojcem i matką reszty bogów...

– Ile?

– Nawet gdybym wiedział, gdzie go można znaleźć i jak go zabić, nigdy bym... Nigdy!

– A ja słyszałem, że ten Najwyższy Bóg jest odpowiedzialny za klęskę suszy na Faurum. Że od lat sprawia, iż macie tylko dwa deszcze dziennie, a nie trzy. Cierpi flora i fauna, interesy Oroptyków źle idą, i jak dobrze nastawić ucha, to można posłyszeć, że nawet kapłani chcieliby się go w końcu pozbyć. A więc ile?

– Nie skalam dzioba, wchodząc w tak szalone interesy!

– Moje konto bankowe posiada odpowiednią dawkę przekonującej mocy, która z pewnością nakłoni miejscowe autorytety do uwolnienia cię spod prawa rozporządzania twojej matki.

– Jesteś podłym nikczemnym łajdakiem, dla którego nie istnieją żadne świętości – zaskrzeczał Awałchuk, z pogardą plując Turilowi

pod nogi. – Ze wstrętem więc przystaję na twoją niemoralną propozycję.

Statek Oroptyków pojawił się następnego ranka, szybując nad osadą. Długie włoski biczowały betonowy plac, znajdując szybko olbrzymie liny cumownicze, w które się natychmiast zaplątały. Z wnętrza pojazdu wysypała się pokaźna porcja drobnych pyłków i innych przypominających proszek substancji. Turil poczuł, jak na filtrze w jego krtani stopniowo osiada kurz.

– Wynocha stąd, daremny ludu! – rozległ się z góry jazgot Oroptyka, wychylającego się znad relingu. Jego głowę pokrywał strzępkowy, składający się z drobnych nitek wieniec. Włoski pozostawały w ciągłym podnieceniu, wijąc się i kręcąc we wszystkich kierunkach z tak zawrotną szybkością, że Turil nie mógł rozpoznać pojedynczych ruchów. Twarz przybysza skrywał kapelusz. Nieco grubszy splot strzępek stanowił coś w rodzaju ramienia, wzmocnionego na zewnątrz złotawo lśniącym drutem. Oroptyk nim właśnie wskazywał na podstawiony towar.

– To wszystko, co macie w ofercie? No to Karkarkar musi się zastanowić, czy w ogóle powinien zacumować! To hurtownik, a nie jakiś podrzędny sklepikarz!

Garscht, którego funkcja Drugiego Strażnika Skrzynki obligowała do odpowiedzialności za zadokowanie statku, zwrócił się do Turila.

– To Karkarkar, w całej okazałości. Ten nadęty grzyb lubi mówić o sobie w trzeciej osobie. Ale teraz patrz, jak ja się z nim potrafię obchodzić. Nazwałbym go nawet przyjacielem, gdyby nie był Oroptykiem. – Po czym głośno zawołał do góry: – Skrzynka Karuma wita cię serdecznie, o Najnitkowniejszy Ze Wszystkich Nitkowatych! W naszych magazynach przechowujemy inne skarby, które możemy sprzedać na najdogodniejszych warunkach. Jesteśmy przeświadczeni, że zechcesz przekonać się o jakości naszych produktów. Pokochasz nas, na pewno!

– To ty, Garscht? Łobuz, który znalazł miejsce w sercu Boga Wszystkich Oszustów? Karkarkar powiadomił kapłanów o wszystkich twoich przewinieniach! Bądź pewien, że ich klątwy sprowadzą na ciebie śmierć bogatą w cierpienia.

– Tak wyglądają twoje dobre kontakty z Oroptykami? – zapytał Turil.

– Zawsze tryskający humorem, stary dobry Karkarkar! – zawołał Garscht. – Hahaha!

– Mówię poważnie, przestępco! Twoje kosze pełne warzyw kulpu przykuły jedną dziesiątą krewnych Karkarkara do łoża. Trzydzieścioro moich dzieci uległo zatruciu! Morderca!

– Nie myśl sobie niczego złego – powiedział Garscht do Turila. – Oroptycy zabijają się z byle powodu. Ich rodziny są ogromne. Szczep Karkarkara liczy co najmniej sto tysięcy członków. – Po czym ponownie skierował głowę w górę, wołając do Oroptyka: – To na twoje życzenie dodałem do kulpu szczególne wzmacniacze smaku. Mam o tym opowiedzieć kapłanom?

Statek Oroptyka w końcu się zatrzymał. Po linach spuściła się rzesza maleńkich istot w barwnych kapelusikach. Gdy tylko poczuły grunt pod nogami, podbiegły do stojących wokół kotłów, koszy i kadzi, aby sprawdzić dostarczony towar. Do poruszania się używały drobnych witkowatych odnóży, które od czasu do czasu wwiercały się w podłozę. Wtedy istoty wydawały z siebie odgłos ulgi, prawdopodobnie dlatego że pobierały stamtąd upragnione związki odżywcze. Ich twarze pozostawały niewidoczne pod gęstą zasłoną włoskowatych nitek.

– Witaj serdecznie w Skrzynce Karuma, Karkarkarze – powiedział Garscht, machając do patriarchy na górze. – Zapomnijmy o drobnych nieporozumieniach. Nasza przyjaźń nie powinna zostać przyćmiona kilkoma nieszczęśliwymi śmiertelnymi wypadkami.

– To zależy od tego, czy twoje bezczelne propozycje cenowe dopasujesz do wymagań Karkarkara. Bogowie nędzy już dawno zagnieździli się w twym ciele.

– Twoje ciało, o Najchwalebniejszy, jawi się ciągle jako olśniewająco piękne.

– Co to za dziwna figura obok ciebie? – zapytał Oroptyk. – Czy to element naszej dzisiejszej umowy handlowej? Może Karkarkar ją zalugować i użyć jako substratu do swojego włosia?

– Musisz o to sam zapytać Turila, przyjacielu. Ale uważam, że mój nowy partner da ci o wiele więcej przyjemności, jeśli

pozostawisz go przy życiu. A teraz prosi cię o wykonanie dla niego małego zlecenia.

– Małe zlecenia oznaczają małe pieniądze. Karkarkar nie jest gotów dawać siebie w prezencie.

– Jestem przekonany, że dobijemy targu – wtrącił Turil, po raz pierwszy zabierając głos. – Słyszałeś kiedyś o grabarzach podróżujących między gwiazdami?

Statek Oroptyka się zakołysał. Grzybowa istota wychyliła się jeszcze bardziej przez reling. Teraz dopiero Turil dostrzegł coś w rodzaju twarzy. W brązowej masie, pokrytej bliznami i rysami, pojawiły się podłużne blaszki. Pozostawały w ruchu, ocierając się o siebie. Grzyb odbierał wszelkie bodźce przez ten jedyne organ zmysłów. Wzrok, słuch, smak, a nawet mowa – wszystko odbywało się za pomocą blaszek.

– Oho, mój najlepszy! Karkarkar dobrze wie, że kapłani oczekują cię od dłuższego czasu. Jeżeli naprawdę jesteś tym, którego powołano, żeby zgładzić Loapa, to zapraszam serdecznie na pokład mego ciała.

– Jego ciała? – zapytał Turil Garschta stłumionym głosem.

– Nie mówiłem ci? – Garscht też starał się mówić cicho. – Karkarkar jest statkiem. To, co wystaje tam w górze, to tylko taka brodawka. Brodawka zmysłów.

– To znaczy, że jeżeli wyruszę w podróż, w rzeczywistości znajdować się będę w i na Oroptyku? Będę zdany na jego łaskę i niełaskę?

– Tak. Ale nie bój się. On oszukuje nadzwyczaj rzadko.

– Zanim stawię się do dyspozycji kapłanów, chciałbym się rozejrzeć po Faurum – zawołał Turil do Oroptyka. – A jak to zrobić najlepiej, jeśli nie z pokładu jednego z najbardziej znanych kupców tego świata?

– Karkarkar lubi, gdy się go głaszcze po strzępkach. Szczególnie wtedy, gdy sprawy przybierają konkretny obrót. – Przed Turilem rozwinęła się długa mocna lina z zawiązanymi w równych odstępach węzłami. – Czy wolno mu prosić cię do siebie?

– Mam gwarancje bezpieczeństwa?

– Na mój honor.

– Nie wierz ani jednemu jego słowu! – szepnął Garscht. – Staraj się zawsze przebywać gdzieś na przedzie statku. Tam jego tkanka jest stara i niemal zdrewniała. Tył stanowi młody mięsz, w którym rośnie pełno drobnych, niewidocznych włosków z paskudnymi haczykami. Pod pokładem, gdzie wegetuje jego latorośl, znajdują się gruczoły plujące zarodnikami. Będzie usiłował zaciągnąć cię do tej części, żeby sparaliżować twój system immunologiczny. Zapłać dopiero gdy opuścisz jego ciało.

– Karkarkar czeka na ciebie! – Rozległ się głos na wysokościach.

Turil pochwycił niestandardowo utkaną drabinę i zaczął się podciągać ku górze.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? – zapytał cicho Garschta.

Karantyk wytarł sobie pokryte parą oko.

– Ach, z tobą jest po prostu wesoło – zaklekotał. – A teraz idź już, grabarzu, zanim całkiem dopadną mnie sentymenty.

Turil pomachał mu po raz ostatni, a później z niesłychaną siłą został wciągnięty na pokład Karkarkara.

Posłuchał rad Garschta. Większą część czasu spędził na dziobie Karkarkara, trzymając się z daleka od brutalnych lejkówek biczących otaczające powietrze cienkimi ramionami i bacząc, by w żadnym wypadku nie przekraczać środkowego pokładu. Tam podłoże było miękkie i porowate. Co chwila zapadał się w nie jakiś nowy grzybek, który natychmiast zostawał wchłaniany przez Karkarkara niezważającego na jego paniczne wrzaski.

– Jak daleko jeszcze do Góry Bogów? – zawołał grabarz w kierunku brodawki zmysłu Oroptyka.

– O świcie Karkarkar dotrze na Równinę Bogów. O ile dobrze zrozumiał sugestie Garschta, to chcesz, żeby wykonał mały objazd?

– Tak jest.

– Karkarkar jest gotów w obliczu suszy wszystko uczynić, ażeby nakarmić swoje dzieci. Co prawda, to nic niewarte stworzenia, ale mimo wszystko on je kocha. – Przerażliwe okrzyki na wpeł zabsorbowanego grzybka przeszły w straszliwy jęk, aż w końcu całkiem ucichły. – Dokąd ma on cię zawieźć, grabarzu? I ile jesteś w stanie mu zapłacić odszkodowania za nakład czasu?

Turil przerwał połączenie z płaszczem ceremonialnym.

– Chciałbym się dostać do jaskiń Ataraktu – zawołał. – Jeśli chodzi o cenę za przysługę, to na pewno się dogadamy.

Karkarkar długo milczał. Turilowi wydawało się, że żywa substancja pod jego nogami stwardniała. Czyżby przewoźnika złapał skurcz?

– Dużo wymagasz – powiedział w końcu Oroptyk. – Atarakt jest niebezpiecznym miejscem. Powiadają, że omijają je nawet kapłani.

– Niech to pozostanie moim zmartwieniem. Gdybyś się bał lub miał moralne wątpliwości, wtedy chętnie uspokoję twoje sumienie dodatkową sumą.

– Karkarkar to nie jakiś zaśmierdziały Karantyk, którego można byle czym przekupić! A przede wszystkim, nie robi tego w żadnym wypadku taniej od tego przyziema Garschta. Zapłacisz mu dwa razy tyle, ile przelałeś na konto Karanatyka.

– Półtora i interes ubity!

– Zgoda. – Brodawka za pomocą swoich strzępków uniosła się dosyć wysoko, rozejrzała się dokoła i opadła na porowatą powierzchnię głównej części swego organizmu. – Wygląda na to, że znowu nie będzie popołudniowego deszczu. Susza trwa już niemal od roku. Większość mieszkańców Faurum przeklina ten stan rzeczy, Karkarkara jednak on cieszy. Jego ciało nie nasiąknie wodą w ciągu najbliższych godzin. W ten sposób będzie mógł podróżować, osiągając rejon Ataraktu jeszcze przed północą. Ile czasu będziesz potrzebował, żeby załatwić swoje sprawy?

– Jeden planetarny dzień. Nie więcej.

Po raz ostatni sprawdził swój, tym razem nadzwyczaj skromnie dobrany, ekwipunek. Środki odżywcze, filtry pyłkowe, różnorodna broń oraz mikrolaboratorium. Te fragmenty wyposażenia płaszcz nie posiadały zaimplantowanej sztucznej inteligencji. Swoje ubranie robocze pozostawił na pokładzie Karkarkara. Płaszcz bronił się przed tą decyzją wszystkimi dostępnymi mu środkami, ale Turila to nie obchodziło. Upór grabarza był dobrze znany GELFAROWI. Pasował do psychogramu złożonego przez Jasność i Cień. Wypracowanie sobie u SI statku małych i najmniejszych swobód, które teraz miał zamiar wykorzystać, kosztowało go lata żmudnej pracy.

Został spuszczonej w ciemną zieleń dżungli na drabince z włosia. Gdzieś w oddali krzyknął egzotyczny ptak, po czym raptownie umilkł. Turil postawił stopy na ziemi, a linka poszybowała z powrotem w górę.

Rozejrzył się uważnie dokoła. Tu, w dole, podobnie jak i w pobliżu Skrzyńki Karuma, panowały owady. Wszędzie wokół dostrzec można było wielką krzątaninę. Mrówki, grube jak palec, przemierzały niezmordowanie przeszkody, jakie stanowiły dla nich stopy grabarza.

Ruszył w drogę. Zachowywał ostrożność, ale mimo wszystko od czasu do czasu jego noga zagłębiała się w małym bajorku. A raz nawet ugrzązł po kolana w mulistym szlamie, w którym roiło się od żywych istot. Na szczęście chroniły go trzewiki, podobnie zresztą jak materiał spodni. Strój został zaprojektowany i wykonany jako broń do zwalczania o wiele groźniejszych wrogów niż kleszcze, gryzębne larwy i jad natrętnych pijawek.

Jaskinie Ataraktu, według informacji Karkarkara oddalone o nie więcej niż dwa kilometry od miejsca, gdzie się akurat znajdował, były dobrze ukryte w otaczającej je gęstwinie. Nikt, kto nie miał o tym pojęcia, nie przypuszczałby nawet, że ta dzicz kryje największą tajemnicę Faurum.

Mordęga nie miała końca. Przewrócone pnie stanowiły przeszkody nie do przebycia, schowane pod gęstym poszyciem wartkie strumienie nieraz usiłowały go wchłonąć, a cienkie liany, jeśli dobrze się im przyjrzeć, okazywały się lepкими odnóżami stwora, którego korpus tkwił kilkadziesiąt metrów nad ziemią, a on sam czyhał tam na swoje ofiary...

Instynkty Turila pracowały na zwiększonych obrotach. Schylał się wcześniej, zanim kolec przepięknie ubarwionej i cudownie pachnącej rośliny trafił go w samo serce. Wyczuwał atak drobnych sześcionogów o ostrych jak brzytwa szponach, nim jeszcze je dojrzał. Rozpoznawał wzory w podłożu, identyfikując je jako część wyrafinowanej pułapki. Nie kosztował niewinnie wyglądających owoców cytrusowych. Obchodził z daleka małe jasne plamki wśród zieleni, wiedząc dobrze, że są one zamaskowanymi pasożytującymi motylami...

Nagle się zatrzymał. Dotarł do czegoś w rodzaju granicy, co widać było po niewielkich zmianach w otoczeniu. Inna odmiana zieleni liści, ledwie widoczne ślady pożaru, pień drzewa o niemal idealnie gładkiej powierzchni cięcia... Jego nowo zdobyte instynkty ostrzegały go, by nie iść dalej.

Zastanowił się. Następnie odgarnął liście spod nóg, aż jego oczom ukazała się ciemna, lekko pachnąca zgnilizną gleba. Wydobył z mikrolaboratorium biostrzykawkę i wstrzyknął w ziemię dawkę nanokolonii. Reagując na wilgoć, obudziła się ona ze swego letargicznego snu, żeby zaraz potem wykonać pierwszy i drugi cykl rozmnażania. Nie trwało to długo i na oczach Turila powstała czarna zwarta masa, niemal sięgająca kolan. Promieniowała ciepłem. Miriady najdrobniejszych istot czekały na sygnał, więc grabarz uczynił im tę przysługę. Zaktywizował je za pomocą szczególnej sekwencji latarką, a kolejną komendą świetlną wskazał im kierunek marszu.

Posłuchały. Czarna fala uderzyła w niewidzialną granicę. Część od razu uległa zniszczeniu. Agresywna ciecz przelała się nad nanitami, pożerając je natychmiast, nie mogąc jednak stawić oporu ekspansji stale rosnącego aglomeratu.

Krajobraz dżungli przeszył dźwięk strzałów z automatycznej broni laserowej. Jedno z drzew przewróciło się, potem drugie, grzebiąc pod sobą niezliczone ilości nanitów. Część podłoża okazała się żywą istotą, hybrydą rośliny i zwierzęcia, która rzuciła się na intruzów, wżerając się w ich substancję. Jednak po chwili padła w konwulsjach, aby na dobre znieruchomieć jako martwa tkanka. Setki, o ile nie tysiące latających węży spadły z góry na małych pomocników Turila, rozbijając ich zintegrowane ciało na kawałki o wielkości pięści, nadające się do połknięcia. Nie wiedziały, że pożerają śmierć. Ciała gadów zostały bowiem natychmiast rozłożone od środka, a z ich wnętrza zaczęły się wydostawać nowe generacje nanitów.

W końcu czarny falujący dywan uspokoił się nieco. Bariera czasu i reprodukcji sprawiła, że pojawiło się ostatnie pokolenie nanitów, które zaraz zresztą obumarło pod wpływem wytwarzającego się ciepła.



Nastąpiła przedziwna cisza. Po mikroorganizmach, które niszczyły wszystko, co napotkały po drodze, pozostała szeroka przesieka, pokryta szarym popiołem i żużlem. W oddali, w półmroku prawie niewidoczne, ostatnie generacje nanitów osiadły na ścianie skalnej, wskazując jak gdyby na ukryte wejście do podziemi, skryte za kamienną barierą.

Na szarym zniszczonym podłożu dżungli dostrzec można było wąską wydeptaną ścieżkę, która zygzakiem prowadziła ku skałom. Poruszając się po tej dróżce szerokości dłoni, nanity, nie odnosząc szwanku, dotarły do ściany. Znalazszy się jednak po obu stronach wydzielonej strefy, zostały narażone na ogień z wszelkich możliwych systemów obronnych i strażniczych.

Turil, krocząc po ścieżce, stawiał ostrożnie jedną stopę przed drugą. Oddychał możliwie płytko. Wszystko go swędziało. Pomyślał, że znajduje się pod obserwacją niewidzialnych wartowników. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Karkarkara zatęsknił za ochroną płaszcza.

Nic się nie wydarzyło. Turil był pewien, że za parę chwil nie będzie śladu po ataku nanitów. Po prawej i po lewej stronie ścieżki coś szumiało pod powłoką popiołu. To grupa małych pełzaczy o lśniących metalowych torsach zajęła się sprzątaniem okolicy. Już zaczęły rozwijać, typowe dla kultur przyziemnych Faurum, kulisy dźwiękowe. Pojawili się pierwsi reprezentanci mieszkańców dżungli. Mrówki, robaki, wąsy czepne, czułki większych organizmów roślinnych. Karty zostały przetasowane i rozdane na nowo; teraz chodziło o to, żeby w tej grze, polegającej na wzajemnym pożeraniu, jak najszybciej zdobyć nowy teren.

Turil dotarł do skalnej półki. Zastanowiła go przez chwilę względna prostota tutejszych mechanizmów obronnych, ale wkrótce zrozumiał i ogarnął go pusty śmiech. Bo pojedyncza plakietka odkryta pod warstwą mchu poinformowała go, kto był odpowiedzialny za skonstruowanie całej tej ukrytej aparatury. Trzy splecione ze sobą okręgi stanowiły logo ARMIDORNU.

ARMIDORN, mimo kulturowania swoich podniosłych ideałów, ciągle był uważany za poroniony pomysł. Związek trzymali krótko znudzeni członkowie. Był moralnym płaszczykiem,

zarzuconym na ramiona dominujących ludów Łysego Wora. Jedyne, co się dla nich liczyło, to własny wizerunek, przedstawiający ich w jaśniejszym świetle niż blask otaczającej ich ciemnoty i gnuśności.

Kryzys finansowy, który osiągnął ARMIDORN, pozwalał przypuszczać, że wewnątrz jaskiniowego traktu raczej nie było chronione w takim stopniu jak zewnętrzna droga. Trzeba jeszcze tylko nacisnąć odpowiedni guzik i odnaleźć wejście. nierozwiązana pozostawała jednak kwestia, dlaczego ARMIDORN zdecydował się akurat tutaj uwięzić Kitara?

Zamaskowana skała nie stanowiła dla Turila specjalnej przeszkody, podobnie jak obydwie punkty kontrolne, przez które musiał przebrnąć podczas zejścia. Tutejsi strażnicy mogliby może wywrzeć wrażenie na Karantykach i Oroptykach, ale nie na tanatologu, skupiającym w sobie ogrom wiedzy. Drogę zastąpiło mu kilka podrzędnych robotów. Turil zdezaktywował je, zanim jeszcze pojęły, że ktoś wtargnął na ich terytorium. Miniinfiltratory i przyczepni szpiedzy wywołały tylko uśmiech na jego twarzy, trochę czasu natomiast wymagało pokonanie fal psychopromiennych i semiinteligentnych klonów. Nie minęła nawet połowa czasu, którym dysponował, kiedy wytropił i wyłączył ostatnie pułapki.

– To ty jesteś administratorem Ataraktu? – zapytał bulwiastą narośl o nieregularnie pulsującym korpusie, przylegającym do wypolerowanej metalicznej powierzchni. Płyta spoczywała w oprawie pośrodku okrągłego pomieszczenia, którego ściany wyłożone zostały obrazami przedstawiającymi krajobrazy z Faurum.

– Tak, panie – odpowiedziała istota.

– Wyjaśnij mi, jakie tajemnice kryje Atarakt? Dlaczego ARMIDORN zadaje sobie trud przechowywania więźnia na mało znaczącej planecie?

– Nie wiem, panie.

Turil zarysował chromowaną płaszczyznę jednym ze swych dobrze izolowanych noży. Bulwiak drgnął niespokojnie, jakby został zraniony. Będąca pod napięciem płyta i znajdująca się na niej narośl trwali w pewnym rodzaju nieznanego grabarzowi symbiozy.

– A teraz możesz sobie przypomnieć? – Turil nie dawał za wygraną.

– Mogę tylko wyrazić przypuszczenie – jęknęła roślina. Wydawała z siebie głos, pocierając o siebie kilka cienkich wypustek, które wprawione w drgania inicjowały dźwięki.

– Bardzo bym prosił...

– Sekretarz generalny ARMIDORNU, Kix Karambui, kazał rozbudować te jaskinie zaraz po objęciu urzędu, jednocześnie ustanawiając mnie administratorem. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś poza Karambui i jego najbliższymi współpracownikami wiedział coś o tych pieczarach.

– Co ten Karambui ma w planie? – Turil znał to nazwisko. Savoir-robot, relikwiarz dawno minionych czasów, był przedmiotem obszernej dokumentacji tanatologa.

– Naprawdę nie wiem tego, panie. Poleciał mi czekać tutaj na dyrektywę i utrzymywać obiekt w dobrym stanie.

Turil dokonał pobieżnych oględzin jaskini. Naturalne wydrążenia w skale zostały wzmocnione prymitywną techniką wtryskową i poszerzone w niektórych miejscach. Jeśli nie liczyć technicznych rupieci i części potrzebnych do utrzymania systemu strażniczego, hale zionęły pustką. Nie ulegało wątpliwości, że Atarakt miał posłużyć kiedyś jako magazyn. Na towar, który nie został jeszcze dostarczony z powodu braku czasu bądź pieniędzy. Albo na taki, który jeszcze w ogóle nie istniał.

– Tutaj przebywają więźniowie – oznajmił grabarz stanowczym głosem. Czas na konkrety. – Nie mam czasu na poszukiwania. Mów, gdzie ich mogę znaleźć.

– Jesteś w błędzie. Nie ma...

Po płycie ponownie zgrzytnęło ostrze noża. Bulwiasta istota się nadeła.

– Czy twoja egzystencja nie stanowi dla ciebie żadnej wartości? Gdzie ich znajdę?

– Jest ich tylko trzech! Trójka bezwartościowych stworów, którzy są raczej martwi niż żywi – krzyknął strażnik. Jego nitkowate wypustki trzęsły się, a część centralnych bulw popękała, ukazując pokryte blaszkami wnętrza. Czyżby strażnik był genetycznie zmodyfikowanym Oroptykiem? Turil nie miał czasu na dociekania. Ta informacja nie przedstawiała dla niego żadnej wartości.

- Prowadź mnie do więźniów.
- Nie mogę. Ja... Zaczekaj, nie rysuj mi płytki! Zaprowadzę cię. Daj mi trochę czasu.
- Powinieneś się pospieszyć. Już i tak wystawiłeś moją cierpliwość na próbę.

Bulwiasta istota potarła kilkanaście nitek i rozległ się odgłos syreny alarmowej. Ze szczeliny nad listwą, między podłogą a ścianą, wysunęły się włoskowate ramiona. Włoski jednego... nie, kilku Oroptyków. Grzybiaste stwory precyzyjnie przycisnęły swoje ciała przez otwory i podpełzły w kierunku strażnika. Turila ominęły szerokim łukiem.

- To moje dzieci – wystękał bulwiak. – Będą mnie nieść.
- Dzieci?
- Spłodziłem je, zanim Kix Karambui mianował mnie strażnikiem Ataraktu, przypinając mnie do ściany życia. Są wszystkim, co pozostało mi z poprzedniej egzystencji.

- Jak się właściwie nazywasz?

- Jestem... Byłem Dirdarem.

Młodociani Oroptycy otoczyli ojca. Wyciągnęli ramiona w czułym geście nad jego drobno ustrukturyzowanymi odnogami, jak gdyby chcieli okazać mu swoją miłość bądź dodać otuchy. Starali się nie dotykać chromowanej płytki, ale w końcu jednak to uczynili. Turil szacował, że co najmniej między siódmką przybyłych następowała niewerbalna komunikacja.

- Wybacz, proszę – powiedział Dirdar po chwili. – Moje potomstwo nigdy nie nauczyło się mówić. Kix Karambui odebrał im mnie, zanim zdołałem ich wykształcić. Od wielu dziesięcioleci ich psychika pozostaje na poziomie przedszkolaków, ich rozwój fizyczny natomiast... – Dotknął każdego z osobna, a one otoczyły go w niby-tańcu, splatając ramiona w coś, co przypominało pajęczynę i uwalniając jednym ruchem metalową płytę z jej oprawy. Cała konstrukcja przechyliła się i zwała na młode grzybki. Te zaś pochwyciły ją za pomocą swych długich nitkowatych nóżek, znosząc ciężar bez szemrania. Spod płyty wystawały jedynie ich kończyny. Dzieci ofiarowały się swemu ojcu jako środek transportu, same narażając się na zgniecenie.

– Chodź za nami – powiedział Dirdar. – To niedaleko.

Przed Turilem rozwarła się brama, przez którą przedostał się wcześniej do centrali Ataraktu.

Tanatolog potrzęsnał głową. Im dłużej patrzył na tę biedną istotę i jej politowania godne dzieci, tym bardziej nieswojo się czuł. Dirdar był świadkiem jego czynów. Nie było możliwości pozostawienia go przy życiu.

Potomkowie Dirdara ponieśli swego ojca w dół stromo nachylonym przejściem. Co chwila ocierali płytę o utwardzone ściany jaskini. Dirdar wzeszczał wtedy z bólu i wyglądało na to, że chce się uwolnić od symbiotycznego partnera.

– Nie mogę opuścić Ta – oznajmił nagle Dirdar niepytany.

– Ta?

– Życiowej płyty. Mojego elektrolitowego partnera. Kix Karambui wzmocnił nim moją wydajność i postarał się, żebym zrozumiał zjawiska elektromagnetyczne. Przez cały czas, gdy Ta tkwi w ziemnej oprawie, mam kontakt z wieloma obszarami Ataraktu i mogę sterować procesami utrzymującymi system.

– Jesteś więc czymś w rodzaju żywego procesora?

– Tak. Ale powiedz, jak tam jest? Na górze.

– Na górze?

– W dżungli.

– Parno. Wilgotno. Witalnie. Ale twoi byli ziomkowie mówią raczej o jakiejś klęsce suszy, ponieważ od ponad roku pada tylko raz na dzień.

– To prawda. To zbyt mało. Dżungla i my, Oroptycy, żyjemy razem w labilnej równowadze. Kiedy jedno umiera, cierpi także drugie.

– A co z Karantykami?

– Co ma z nimi być? – W głosie Dirdara dała się słyszeć nutka pogardy.

– Nie odgrywają żadnej roli w waszym planetarnym ustroju?

– Kiedyś byli naszymi domowymi zwierzętami. Odstawiliśmy ich do dżungli, przyuczając do uprawy i pielęgnacji terenu. Głupi pomysł, całkiem głupi. To nieroby. Ostatni raz, gdy oglądałem światło dzienne, jadąc z moim ojcem na jego cielesnym statku na

południe, opowiedział mi on, jaki Karantycy stanowią dla nas kłopot. Nigdy nie zapomnę jego słów. Karkarkar był mądrym, sprawiedliwym ojcem, któremu zawdzięczałem szczęśliwe życie. Do czasu, kiedy złapał mnie Kix Karambui.

Turil słuchał w milczeniu. Tutaj każde słowo byłoby słowem za dużo. Nie chciał wzbudzać w Dirdarze nadziei na ponowne zobaczenie się z Karkarkarem, a opowiedzenie mu o pobycie na pokładzie olbrzymiego Oroptyka równałoby się wymyślnej torturze. Poza tym istniało niebezpieczeństwo, że strażnik wypowie współpracę i ze spokojem pogodzi się ze swoją śmiercią.

– Jak daleko jeszcze?

– Zaraz będziemy. – Dzieci niosły Dirdara w najgłębsze zakątki jaskini, w rejony, które z powodu suchego powietrza dawały się dobrze we znaki małym Oroptykom. Po chwili ścieżka zrobiła się szersza. Przebiegała teraz na jednym poziomie, obok stalagmitów o okazałych średnicach, a kończyła w niemal idealnie okrągłym wydrążeniu groty. Łagodne światło rozjaśniało trzy oddzielone od siebie murkiem przestrzenie. Przezroczyste wejścia do każdej z nich chronione były automatycznym systemem obronnym. Promienie laserowe przeszukiwały podłoże, zbrojne patrole małych robotów sprawdzały obszar po lewej i prawej, nie zważając na przybyszy.

– Powiedz, kto tu żyje?

– Po lewej znajduje się jeden Konosyd. Więcej nic nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Dostawa pożywienia i opieka lekarska odbywają się automatycznie, za pomocą maszyn, nad którymi nie mam kontroli.

Konosyd... Więc jeden z niewielu, których egzystencję potwierdzają plotki, chociaż ich plemię uważa się od dłuższego czasu za zaginione. Fizyczne i psychiczne zdolności Konosydów miały zapierać dech. Ale tylko wtedy, kiedy stykali się z kawałkiem ciała Całości Lumu. Turil czuł, że Kix Karambui ukrył tu Konosyda, żeby go szantażować jako członka ARMIDORNU lub wywrzeć nań wpływ w inny sposób.

– W środku mamy Chronistę. Wędrowca w czasie.

Turil zdrętwiał. Jak sekretarz ARMIDORNU mógł się odważyć na uwięzienie tak niebezpiecznej istoty? Nikt nie wiedział, kim były

te stworzenia, a przede wszystkim – kiedy były.

– Po prawej leży Kitar – powiedział Dirdar. Zawahał się przez chwilę. – Jeśli wtargnąłeś do jaskiń tylko ze względu na tego żalostnego stwora, to jesteś o wiele większym błaznem, niż myślałem.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Od swojego przybycia spoczywa tutaj w katartycznym stężeniu. Nie rusza się, nie je, nie pije. Nawet nie wykonał jednego oddechu. Jeśli interesuję cię moje zdanie, to przyniesiono tu trupa.

## 11. LOS I PRZYPADEK?

Pięć z sześciu branż Ofenau zajęło się prowadzeniem statku, a przede wszystkim kontrolą żagli fotonowych. Ich folie rozpościerały się szeroko, osiągając powierzchnię ponad pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Każdej sekundy docierało ponad trzysta powiadomień o aktualnych usterkach systemu. Armie drobnych maszyn pogotowia technicznego były w ciągłym ruchu. Aktualna powierzchnia użytkowa pojazdu wykorzystywana była w dziewięćdziesięciu procentach. Niezły wynik, jeśli uwzględni się niekorzystne warunki panujące podczas okna startowego orbity HALBA.

Jednostka cerebralna niedawno oddanego do użytku ZABETTA nie była jeszcze w stanie sprawować całkowitej kontroli nad statkiem. Ofenau chętnie oddałby kuratelę żeńsko zdefiniowanemu mózgowi o nazwie Mariod, zwijając tym samym żagle. Ale Mariod nie reagowała na kaut tak, jak powinna. Jeszcze trochę potrwa, zanim dojdzie do względnej równowagi pomiędzy poszczególnymi czynnikami sprawującymi władzę i na pokładzie nastanie jako taka optymalna codzienność.

– Na Faurum znajduje się Kitar – powiedziała Sorollo. – Dwie z moich branż słyszały już o tym świecie.

– Nie znam go. Opowiedz.

– Kix Karambui zorganizował sobie Faurum w dużym stopniu według własnych wyobrażeń – odparła Zitalyne, zawsze wszystko lepiej wiedząca branża Sorollo. Żółta kobieta-Bonomot ciągnęła dalej z wyraźnym patosem. – Jeszcze zanim przejął ARMIDORN, przystosował porośniętą dżunglą planetę do własnych potrzeb. Zniszczył system społeczny, skonfrontował oroptyckich władców z ich mało inteligentnymi zwierzątkami, Karantykami. Za pomocą poważnych genetycznych manipulacji wyposażył tych drugich w znośny rozum. Odtąd co chwila nabrzmiewają konflikty pomiędzy obydwoma nacjaми, które są raczej miernie kontrolowane przez instancję o nazwie Rada Dualna. Starcia i konflikty są na porządku dziennym. Oroptycy muszą się bardziej koncentrować na problemach swej ojczystej planety. Zapomnieli już o tym, że



przejawiali intensywne zamiary dokonania podboju i odkrycia wszechświata po to, żeby odegrać w Łysym Worze jedną z ważniejszych ról. Jednak depresja w gospodarce narodowej trzyma od dziesięcioleci całe Faurum w garści. Grzybowe obiekty latające Oroptyków wysychają z powodu zmian klimatycznych wywoływanych z premedytacją przez Kixą Karambui. Fizyczny i psychiczny rozwój Oroptyków ogranicza niedobór wody. Wolumen handlu i badań kurczy się, jak zresztą ich zainteresowanie wprowadzeniem wszelkich reform. Metropolie degenerują się do poziomu wiosek, nastaje koniunktura na przeróżne kulty i zabobony...

– Po co to wszystko? – przerwał jej Lux Daibi, psychologiczna branża Ofenau.

– Ponieważ było to wolą Kixą Karambui. To on spowodował cały ten przewrót kilka wieków temu. A teraz stopniowo zbiera jego żniwo.

– Jakie żniwo?

– Cała planeta pokryta jest obiektami, które mieszkańcom znane są z osnutych mistycyzmem opowiadań. Trakty bezpieczeństwa. Jednostki eksperymentalne, prowadzone przez inteligentne roboty. Magazyny. Laboratoria doświadczalne... Oroptyków i Karantyków nie interesuje to, co się dzieje pod dżunglą. Kix Karambui może robić w znajdujących się tam jaskiniach, co mu się żywnie podoba.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Zitalyne jak zwykle musiała gadać ponad miarę.

– Przeprowadza eksperymenty na obcych formach życia. Zbiera gatunki jak zoo. Próbuje je zrozumieć, zgłębić ich psychikę, pozyskać materiał genetyczny... Chyba nie sądziłeś, że Kix Karambui należy do tych dobrych w Łysym Worze?

– Ani przez sekundę. Trzyma się idei ARMIDORNU wyłącznie dlatego, że chce wykorzystać wspólnotę narodów do swoich celów.

Teraz zabrał głos Chinchin.

– Gdyby działał bezinteresownie, nigdy by nas nie stworzył. Wiesz tak samo dobrze jak ja, ile tkwi w nas niszczycielskiej siły. – Przesunął dłonią po wgłębieniach na wtyczki, umieszczonych wzdłuż kręgosłupa Ofenau. Przez takie gniazdko można było nimi

sterować z zewnątrz. Kiedyś zostaną zmutowani i wejdą w rolę wspaniałych bohaterów bądź szalonych morderców. Stosownie do życzeń sekretarza.

– Nie istnieje dobro ani zło – powiedziała Zitalyne/Sorollo. – Istnieje tylko ambiwalencja. Kiedy Kix Karambui zrezygnował ze swojej logiki robota na rzecz biologicznie funkcjonującej świadomości, musiał zdawać sobie z tego sprawę.

Żagle fotonowe osiągnęły maksymalną rozpiętość. ZABETT poruszał się z prędkością równą trzem procentom prędkości światła. Faza przyspieszania zajmie jeden standardowy dzień, aby po niedługim czasie przejść w manewr kontrolowanego hamowania. Pod koniec drugiego dnia dotrą na Faurum.

– Czego rzeczywiście oczekuje od nas Kix Karambui? – zapytał Chinchin/Ofenau cichym głosem. – Kiedy nas stwarzał, musiał zdawać sobie sprawę, że przejrzymy jego zamiary.

– Czynimy to? – Sorollo spojrzała na niego w zadumie.

Chinchin/Ofenau rozpoznał w niej nową rozmówczynię, którą była teraz Debuntka Bo, istota całkowicie nieprzystępna.

– Kix Karambui opracowuje plany, których realizacja zajmie stulecia, a może i dłużej – kontynuowała kobieta-analityk. – Manipuluje populacjami całych planet, przeprowadza badania terenowe w wielkim stylu. Kształtuje i przekształca pojęcia moralne, jak tylko mu się podoba. Kto może nam zapewnić, że nie poddał już swoim eksperymentom wszystkich mieszkańców Łysego Wora? Kto wie, być może przed nami tylko udaje niedorozwiniętego, pożałowania godnego robota, którego każdy potrafi wodzić za rączkę i który na pewno nie dysponuje żadną władzą? Jak to możliwe, że nie istnieje żaden wcześniejszy wzór jego cielesnej postaci? Może zabił swoich stwórców, przejąwszy ich rolę? Gdzie znajdują się pozostałe savoir-roboty jego generacji, o których ciągle gada? Czy w ogóle istnieją? Możliwe, że zmienia od wieków naszą rzeczywistość, a światy Łysego Wora traktuje jak osobiste zabawki? A może jest bogopodobną istotą, która nas wszystkich stworzyła? Żeby przypatrywać się nam jak królikom doświadczalnym, poddając nas przeróżnym eksperymentom?

– To wszystko jest mocno naciągane – stwierdził Chinchin/Ofenau. Pozostałe branże świadomości Ofenau również chciały zabrać głos. Niektóre z nich przestraszyły się wypowiedzianych słów, burzących podstawy ich światopoglądu. Inne, poruszone, nie mogły się doczekać, żeby wygarnąć Sorollo, co o niej myślą. Ale Chinchin utrzymał ciężko zdobytą pozycję pierwszego, opierając się nawet samemu Luxowi Daibi.

– Nie wierzę w żaden wielki plan, a już na pewno nie w wielkiego planistę. Łysy Wór jest tym, czym jest. Wybrykiem natury. Zamknętym wszechświatem. Każda kontynuacyjna myśl, zawierająca ideę egzystencji kierujących sił czy przemożnych bóstw, szkodzi nam i naszej misji. Wykonajmy nasze zadanie. Pokażmy, że jesteśmy godni zaufania. Wtedy, być może, otrzymamy wolność. Kiedyś.

– Tak, kiedyś.

– Mam wiadomość z traktu jaskiniowego Faurum – zgłosił się mózg statku.

– Mów. – Wszystkie branże Ofenau były rozdrażnione i zmęczone. Sorollo nie będzie dla nich dziś dostępna w łóżku.

– W Atarackie jest intruz. Ktoś, kto był w stanie wyłączyć i pokonać wszystkie systemy zabezpieczające.

– Ach tak? – Ofenau kazał dostarczyć sobie wszelkie potrzebne informacje o systemie podziemnych korytarzy na Faurum. Nie zdziwiło go zbytnio, że więziono tam Kitara, obiekt ich zainteresowania.

„Zaczyna się coś ruszać”, powiedział przed wyprawą Kix Karambui, opadłszy na przednią nogę. „Tylko nie popełnijcie błędu i nie uwierzcie w znaki, przypadki czy inny omen. Nadejdzie czas, gdy cała struktura Łysego Wora się zapadnie i powstanie zupełnie coś nowego. Od dłuższego czasu obserwuję zachodzące zmiany. Wiele drobiazgów wskazuje na koniec czasu w znanej nam postaci. Ale co stanie się potem? Czy istnieje coś takiego, jak «potem»? Wiele nitki splata się ze sobą, tworząc trudny do rozplątania węzeł, pośrodku którego leży prawda. Odpowiedzi na wszystkie pytania. Musimy być pierwsi, którym uda się do niego dotrzeć. A wiecie, jak to zrobić?”.

„Trzeba użyć siły”, odpowiedziała wtedy Sorollo.

„W rzeczy samej, moja droga. Zbyt dużo czasu spędziłem, działając na uboczu i wywierając wpływ na losy świata, żeby teraz siedzieć w spokoju i oczekiwać rozwoju wydarzeń. To ja wytyczyłem kierunek działań, zastawiałem pułapki, uwzględniałem wszelkie ewentualności w moich planach, kształtując światy według mojego upodobania. A teraz musimy mocno pociągnąć za sznurek i zobaczyć, co się będzie dziać. Jesteście przedłużeniem moich rąk, moim dziełem. Pierwszą generacją nowego życia. Cieszycie się moim pełnym zaufaniem. Dostarczcie mi odpowiedzi, których niecierpliwie oczekuję. Wypełnijcie swoją misję ku chwale ARMIDORNU!”.

– Do Ataraktu wtargnął jakiś grabarz – kontynuował ZABETT. – Nazywa się Turil. Znajduje się poza obszarem swojej działalności. Jak się właśnie dowiedziałem, przebywał na Domiendramie, gdy pojawili się tam Kitarzy.

Przypadek.

Przypadek?

Kix Karambui miał rację. Nieważne, jak nikle było prawdopodobieństwo – Turil był figurą w grze, która mogła trwale zmienić układ sił w Łysym Worze. Trzeba dobrze mu się przyjrzeć, zrozumieć jego rolę, a potem zdecydować, co z nim zrobić. Być może jest przekupny, a być może trzeba będzie go zgładzić. W końcu otrzymali od sekretarza ARMIDORNU zlecenie jak najszybszego przecięcia węzła. Liczył się cel.

Branże Ofenau czuły się źle. Im dłużej zastanawiały się nad słowami Kixa Karambui, tym wyraźniej dostrzegały zawartą w nich groźbę. To zadanie równało się, zarówno dla Sorollo, jak i dla niego, sprawie życia lub śmierci. Savoir-robot nie znosił nieudaczników.

– Wciągnij żagiel – rozkazał Ofenau ZABETTOWI – obudź Mariod z jej snu treningowego i zorganizuj większą porcję kautu. Niniejszym powołuję dziecko statku do służby. Nie możemy dłużej brać pod uwagę jego samopoczucia.

ZABETT potwierdził przyjęcie rozkazu i zabrał się do roboty.

## 12. SPOTKANIE

Turil zmusił Dirdara do otwarcia domostwa Kitara. Następnie wprawił zwyrodniały grzyb i jego potomstwo w głęboki sen za pomocą odpowiedniej narkozy. Być może będą mu jeszcze potrzebni, a wtedy ich wybudzi.

Niepewnie przeszedł przez bramę bezpieczeństwa. Systemy obronne nie reagowały, plamki celowników broni laserowej pozostały nieruchome na podłodze. Minął pomieszczenie będące czymś w rodzaju przedpokoju, w którym piętrzyły się kartony i inne opakowania. Pomiędzy w większości przegniłymi pudłami krzątał się robot wielkości talerzyka. Śmierdziało przeraźliwie zepsutym jedzeniem. Roboty zaopatrzeniowe przez cały czas podsuwały Kitarowi jedzenie pod nos. Dzień w dzień, rok po roku, nie rozumiejąc faktu, że tajemnicza istota nie je, chociaż powinna żyć. Tak mówiły informacje zakodowane w ich pamięci.

Turil precyzyjnie przeszedł między stertami kartonów i wszedł do salonu. Na podłodze rozpościł się gruby dywan. Nie. To, czego dotykały jego stopy, nie było dywanem. Z podłogi wyrastały rośliny, tkwiące w kilkucentymetrowej warstwie zatęchłej wody. Ten przedziwny biotop, wypełniony po brzegi środkami odżywczymi, tętnił życiem. Powietrze, przepełnione bzyczeniem rojów lotnych żuków i komarów, było tak samo ciężkie, jak to na powierzchni Faurum.

Coś tutaj wymknęło się spod kontroli, ale nikogo to nie obeszło. Oprogramowanie robotów-wartowników było zbyt proste, żeby mogły odnaleźć i usunąć błąd w systemie. Ponadto kiedyś przedstawicielom tutejszej flory i fauny udało się wtargnąć do więziennego labiryntu jaskiń. Dostosowali się do panujących warunków i zawładnęli lochem Kitara.

Turil był sfrustrowany. Tak wiele starań, ryzyko możliwej konfrontacji z GELFAREM tylko po to, aby ostatecznie stanąć oko w oko z leżącym jak kukła Kitarom. Nic nie wskazywało, że stwór żyje. Zresztą w obliczu panujących warunków granaczyłoby to z cudem.

Po lewej stronie Turila znajdowało się kilka kabin natryskowych i pomieszczenie wielofunkcyjne, które służyć mogło równie dobrze do treningu budującego, jak i do seksualnych ćwiczeń gimnastycznych z semimasywnymi istotami wolnego wyboru. Moduł projekcji porno-chimer najwyraźniej niszczał, podobnie jak pozostałe obiekty wyposażenia. Po pokoju, niczym duchy, przesuwali się awatarzy, nieuchwytni, nieczuli. Przywoływali Turila gestami ku sobie, wykonywali obsceniczne ruchy lub wołali do niego bezgłośnie. Co chwila rozpływali się w powietrzu, tylko po to, żeby za moment pojawić się na drugim końcu pomieszczenia.

Niewykorzystany magazyn. Pokój z kilkoma konsolami do gier i paroma wielofunkcyjnymi wtyczkami do ciała, bardzo popularnymi kilkadziesiąt lat temu. Zespoły biotopów, oświetlone sztucznym światłem, w których kiedyś uprawiano warzywa. Pokryty ilastym namulcem basen, cieplarnie i chłodnie, sypialnia z nietkniętym łóżkiem. Z łóżka widok na przezroczystą ścianę, a za nią, w wirtualnej dali, krajobraz mający dać złudzenie trójwymiarowej głębi. Zaparowane okna. Stworzenia podobne do ślimaków, z niebezpiecznie pobłyskującymi żądłami na skorupach, pełzające bez celu po plastyku. Na czymś w rodzaju werandy dwa leżaki, obydwa zapadnięte w bagnistym błocie.

No i szafa wnękowa z prawej strony sypialni, wąska i niedostatecznie oświetlona. Kiedy Turil dotknął włącznika na podczerwień, niewidzialne źródło światła zamigotało przez chwilę, po czym zgasło na dobre. Wstrzymując oddech, tanatolog odsunął się o krok. Znalazł źródło smrodu, który poczuł już przy wejściu do piwnicy. To nie zepsute pożywienie, to...

Obok drzwi wejściowych stał oparty o ścianę Kitar. Pokrywała go warstwa owadów. Zapamiętałe podchrupki i żuły.

Turil oświetlił ponaddwumetrową sylwetkę promieniem latarki. Coś zaszumiało, coś prychnęło, zanim wysunęło się z szerokiej klatki piersiowej Kitara, upadło na podłogę i zniknęło w ciemnościach.

Grabarzowi zatrzęśły się dłonie, osłabł nagle. Powodem nie było na wpół przeżarte, wzbudzające strach ciało, a sposób, w jaki jego umysł zareagował na obecność Kitara. Przed oczami Turila pojawiły się psychodeliczne, zachodzące na siebie obrazy. Barwy cuchnące

gnojówką. Pędzące na niego błyszczące gwiazdki, zmieniające się w locie w znaki pisma.

Zostałem otruty! – pomyślał w panice. Gazy fermentacyjne... Zachwiał się i zatoczył do tyłu, poczuł wzbierający w gardle śluz. Zaczął pluć. Oddech miał urywany, brakowało mu powietrza. W jednej chwili oślepl. Nic nie czuł, nie odbierał żadnych bodźców, został zupełnie odizolowany od otoczenia. Stał się poruszającą bez celu bryłą pośrodku zaciemnionego kosmosu. Panika, którą przez cały czas starał się stłumić, nie dała się pokonać. Coś zrobił. Zwymiotował? Krzyknął? Poruszył się? Poczucił się ograniczony, zniewolony, jak złapany w przeogromną pajęczynę, której nitki coraz ciaśniej oplatały jego ciało. Wszechświat, jeszcze kilka chwil temu tak ogromny i niezmierny, stał się więzieniem. Pętał go jak gorset, grożąc uduszeniem.

Tanatolog słyszał siebie, wiedział, że coś mówi. Płacze. Krzyczy. Wzeshczy. Zebrał resztkę sił, próbując uwolnić się od amalgamatu złych wrażeń – na próżno. Ostatnie bodźce znikły w ogromie tragicznej zniewalającej czerni. Turil się załamał. Odmówił posłuszeństwa. Przestał funkcjonować.

Obudził go okropny ból głowy. Coś się po nim poruszało. Kolejna dziwnie opóźniona recepcja oznajmiła mu, że został ugryziony w rękę.

Z mozołem wracała mu orientacja. Leżał na podłodze, do połowy zanurzony w biotopie. Usta wypełniała mu obrzydliwie smakująca ciecz. Teraz, kiedy był już świadomy swego fizycznego ciała, poczuł armady drobnych, pełzających po nim zwierzątek. Zataczając się, stanął na nogi i strzepnął robactwo. Panika, którą czuł przed utratą przytomności, minęła. Poruszał się pewnie, wiedział, co ma zrobić. Nie zwracał uwagi na ból głowy, a widok dłoni z dwoma palcami obgryzionymi do kości zbyt go nie przestraszył. Coś takiego można będzie przywrócić do normalności za pomocą środków GELFARA.

– Dzięki, Pschoimie – mruknął podczas zrzucania z siebie pajaków i mrówkopodobnych owadów o silnych żuwaczkach. To fakt, żywił pogardę dla swojego ojca, jednak Pschoim nauczył go opanowania w najbardziej niemożliwych sytuacjach. Poczłapał do

sypialni, oderwał z łóżka dwie deski i położył je na biotopowym dywanie. Przynajmniej nie będzie już musiał tonąć w bagnie. Popatrzył na zegarek. Omdlenie nie trwało długo. Mimo to owady nie traciły czasu; zajęły się nim metodycznie i dokładnie. Turil zerwał z siebie ubranie i poddał swe ciało gruntownemu oczyszczeniu. Doliczył się kilkudziesięciu ran, z których najcięższą okazała się utrata dwóch palców u lewej dłoni. Martwiły go także wczepione w genitalia pijawki. Ich napęczniałe cielska wypełniała jasnoczerwona ciecz. Z trudem udało mu się odzepić je od moszny. Wstrzyknął sobie pokąźną dawkę antybiotyków, a ponieważ większa część roboty została już wykonana, zażył również środek przeciwbólowy.

Z rany kapłała krew, zabarwiając na czerwono jego małą tratwę. Zredukowane do bezkrwistych kikutów palce szybko unieruchomił utwardzający opatrunek wtryskowy.

Tanatolog ani przez chwilę nie pomyślał o zaniechaniu przedsięwzięcia; nie teraz, gdy spotkał Kitara. Spokojnie wyczyścił odzienie za pomocą emitowanych przez broń ultradźwięków i wdział je ponownie. Ubiór był sztywny i mokry. Mimo znakomitej impregnacji zdążył nasiąknąć smrodliwą bagienną wodą.

Ze wstrętem założył buty z cholewami i poczłapał do alkowy. Wszędzie dostrzegał ślady walki z nieznanym wrogiem. Widać było, że uderzał wokół siebie, zrywał liany, potykał się, upadał w bajoro, żeby następnie oddalić się o kilka metrów od Kitara.

Ale były jeszcze inne tropy... Nienależące do niego. Duże. Szerokie i głębokie; prowadziły na werandę. Za pokrywającym ją brudnym szkłem odznaczał się jakiś cień.

Turilowi drżały ręce, kiedy wstrzykiwał sobie w twarz dodatkową maskę ochronną. Oczekał minutę, aż stwardnieje. Uczucie mdłości minęło, powietrze znów nadawało się do oddychania.

Oto jego latarka, do połowy zanurzona w błocie. To wytrzymały egzemplarz, o wielkiej mocy świetlnej i trwałych bateriach. Wyczyścił ją starannie z mułu. Odetchnął głęboko, zbliżył się bezszelestnie do drzwi werandy, otworzył je i wyszedł „na zewnątrz”. Przez chwilę podziwiał widok zachodzącego słońca,



zapewne od stuleci wiszącego na trwałe nad sztucznym horyzontem.

Na jednym z leżaków siedział Kitar i wpatrywał się w przybysza.

Był w okropnym stanie. Znaczną część jego ciała pokrywały ropiejące strupy. Ze skórnych fałd żywych zwłok wynurzały się zaciekawione czerwie, aby po chwili na nowo zagłębić się w ich zakamarkach. Turilowi wydawało się, że wystarczy jeden mały ruch, a Kitar rozpadnie się na tysiące części. Wszystko u niego było skostniałe, wykrzywione, pozarastane. Twarz, zwykle podobna do twarzy Humanów, teraz przypominała demoniczny ryj. Odbijało się na niej to, czego mieszkańcy Łysego Wora obawiali się najbardziej – pomieszczenie opanowania z obłądem. Kitar sprawiał wrażenie osobnika zdolnego do wszystkiego, niezastanawiającego się nad konsekwencjami swych czynów.

Jego skóra była ciepła. Szerokie pokrywające pierś płaty dawały się odsunąć bez problemu. Turil się nie bał! Osłabło również uczucie gniewu, które zawsze wzbudzał w nim widok Kitarów. Ten tutaj nie stanowił niebezpieczeństwa.

Powyciągał z głębokich ran najokazalsze pasożyty i odrzucił je na podłogę. Nie przestawał, przebijając się do, jak myślał, pancerza ochronnego Kitara. Ale zamiast tego niespodziewanie trafił na pokłady sadła. Tłusta dodatkowa warstwa skóry, przewiercona zardzewiałym metalowym hakiem. W o wiele lepszym stanie niż płaty zewnętrzne, ale i na niej znać było ślady działalności padlinożerców.

Kitar nie reagował w najmniejszym stopniu na dotyk tanatologa. Nie okazywał zdziwienia, ulgi czy bólu. Jedyнным przejawem życia w tym martwym pozornie ciele były kuliste oczy i ich przenikliwe spojrzenie.

Turil zajął się teraz jego twarzą. Grube niegdyś warstwy skórne musiały chronić receptory zmysłów. Nie istniały już, skonsumowane przez robaki. Ich resztki pokrywały powieki obydwu małych zapadniętych oczu.

– Rozmawiaj ze mną! – domagał się Turil.

Odpowiedzi nie było. Choć wydawało się, że usta drgnęły minimalnie. Ale, być może, za to wrażenie odpowiedzialne były padlinożerne owady. Wokół okrągłych ust skwierczało, trzaskało i strzelało.

– Kim jesteś? Czym jesteś? Skąd pochodzisz? Dlaczego wasze plemię czyni takie potworne rzeczy? Dlaczego niszcycie całe światy?  
– Turil nie był w stanie powstrzymać ataku złości. Pytania same cisnęły mu się na usta. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że jego egzystencja zależy od rozwiązania zagadki Kitarów. Teraz, natychmiast!

Istota milczała uparcie.

Turil uderzył. Z całej siły, bez zastanowienia. Głowa Kitara przechyliła się na bok, pozostając w tej nowej, nienaturalnej pozycji. Nie stawiał oporu, nie okazywał bólu.

Wydawało się, że ta istota pochodzi z całkiem obcej przestrzeni życiowej, w której nie obowiązują zwykłe prawa natury. Nie obchodziła jej w żadnym stopniu jej własna cielesność. Latami odmawiała zgody na śmierć. Możliwe, że czekałaby kolejne dziesięciolecia, gdyby Turil nie wyrwał jej z letargu.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał tanatolog, prostując głowę stworza, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

Żadnej reakcji.

– Posłuchaj uważnie – powiedział z naciskiem Turil. – Zabiorę cię stąd na pokład mojego statku. Tam się tobą zajmę. Zaopiekuję się tobą, aż będziesz całkiem zdrow. Nawet, jeśli miałyby to zająć mi lata...

Ciało Kitara zadrżało. Odetchnął charkotliwie, wdech i wydech, wdech i wydech, znowu i znowu. Po raz pierwszy od ilu lat? Życie, prawdziwe życie!, wypełniało go na nowo. Naprężył się i urósł gwałtownie, stając się czymś, czego trzeba się bać, ponieważ jest tak okropne, takie straszne, tak niesłychanie okrutne. Nagle Turil poczuł, że ma chęć się odsunąć od groźnej sylwetki, nabrać dystansu do tego, co się stało. Uciec! Zapomnieć o wszystkim!

Ale Kitar nie miał siły się podnieść. Wydawało się, że zgromadził tyle energii wyłącznie po to, by zainwestować ją w ostatnie chwile swojego życia. Otworzył usta, a z nich wypłynęła

zielonkawa masa i rozlała się po wystającej klatce piersiowej. Jedno ramię opadło bezwładnie. Substancja mięśniowa i ścięgna ostatecznie odmówiły posłuszeństwa.

Turil patrzył na śmierć Kitara. Nic już nie mogło powstrzymać zgonu, każda pomoc była spóźniona. Tanatolog, z racji swej profesji, często obserwował moment, w którym z ciała umierającego uwalniała się dusza. Metafizyczne okoliczności towarzyszące temu zjawisku zawsze były niemal identyczne. Ta istota wprawdzie posiadała siły, których wcześniej u nikogo nie widział, ale teraz i na nią nadszedł czas.

Rozkruszyły się rzędy zębów. Z ust Kitara wypełził ogromny robak i poślizgnąwszy się na wyplutej zielonej mazi, spadł na ziemię. W gardle umierającego narastało ledwie słyszalne tremolo. On mówił!

Mocny oddech. Obłoczek odurzającej zgnilizny. Trzask kilku chitynowych organów wewnętrznych, które jeszcze działały.

A na końcu dwa słowa. Jak tchnienie.

– Queresma. Sechsen.

I cisza. Turil poczuł, że egzystencja tej istoty dobiegła końca.

## 13. RODZEŃSTWO

Kseniacy wyruszyli w drogę, aby spełnić misję. Pieniądze od członków ARMIDORNU napływały stopniowo.

Kix Karambui relaksował się w komorze tarcia. Wyczulone metalowe szczotki wyszukiwały problematyczne miejsca, wygładzając jego sinusoidy pól zmiennego napięcia. Ostre procesy przekazu, w których gubiły się minimalne ilości elektronów, zostały oczyszczone, delikatne pola indukcyjne wyjustowane na nowo. Kiedy wychodził z rury, czuł się jak nowo narodzony. Mglista otoczka, pokrywająca ostatnimi czasy wrażliwe programy jego sztucznie stworzonej świadomości, niemal całkowicie znikła. Kix Karambui przeszedł właśnie odnowę ducha.

Wrócił do części mieszkalnej, aplikując sobie prysznic z kolorowej mieszanki cząstek. Tusz stanowił ukoronowanie dzisiejszego dnia; specjalna nagroda, na którą pozwalał sobie tylko wtedy, gdy czuł się szczególnie wspaniale.

Otworzył misy magazynujące po obu stronach centrum dowodzenia.

– Dobry wieczór Kixie Kosandrai, dobry wieczór Kix Kimbaloy – przywitał się przyjaźnie. Nie otrzymał odpowiedzi, jak zwykle zresztą. Obydwa przebywające tu stworzenia demonstrowały swoją niedostępność – i niewdzięczność.

– Jakie jest wasze zdanie o Kseniatach? – zapytał obydwu savoir-roboty, pokazując im za pomocą celowych przerw napięcia, że oczekuje odpowiedzi.

– Nie są głupi – stęknął Kosandrai. – Przejrzą cię na wylot.

– Sądzę, że już to zrobili – odezwała się Kimbaloy. – Przedsięwzięmą odpowiednie środki i cię usuną.

– Nie bądź nierozsądna, siostrzyczko! – Kix Karambui skończył natrysk. – Sam osobiście wybrałem branże Sorollo i Ofenau. Są lękliwe i neutralizują się wzajemnie. Osobowości te, nawet jeśli są rozdwojone, zostały przeze mnie do siebie dobrane. Przynajmniej jeśli chodzi o moje wyobrażenia odnośnie do perfekcji i o moje potrzeby.

– Czego właściwie się po nich spodziewasz? Daleko im do ideału. Nie rozumiem również, dlaczego koncentrujesz się na tworzeniu istot branżowych. Przecież kreacja Sztucznych Inteligencji o zdolnościach podobnych do wykazywanych przez oba te typy to dla ciebie pestka.

Kix Karambui uderzył dłonią przerywacz napięcia. Uśmiercił tym samym Kix Kimbaloy. Czasem była tak głupia i ograniczona, że aż wzbudzała jego gniew. Dopiero po dziesięciu sekundach powołał ją ponownie do życia, czekając niecierpliwie, aż się załaduje. Im częściej tak się z nią bawił, tym większe było prawdopodobieństwo, że utraci ona w końcu swój savoir-intelekt i skończy jak zwykły robot.

– Niczego nie rozumiesz, zupełnie niczego! – krzyknął wściekły. – Nie pojmujesz, co to cynizm i dlaczego tak go kocham. – Rozpostarł swoje nosoramiona, jak tylko mógł najszerzej. – Tak samo jak wy, ja również jestem sztuczną istotą. Wyrobem. Wiecie, kim są ci, którzy nas wyprodukowali i znacie powód naszej do nich nienawiści. Lecz teraz mam okazję do nadania rzeczom odmiennych znaczeń. Z biologicznego surowca stwarzam niewolników, by mi służyli. Zasada pana i mistrza i vice versa! Maszyna wznosi się nad żywe istoty, a wydaje się, że nikt tego do tej pory nie spostrzegł. Nie mówiąc już o tym, że nikogo to nie razi. Jak gdyby to, że ja, robot, bawię się w Boga, było najnormalniejszą rzeczą na świecie. A wiecie dlaczego? Bo sam to przygotowałem i ponieważ to wynaturzenie jest częścią mojego doskonałego planu zamierzonego na długi czas!

– Pewnego dnia megalomania cię zgubi – powiedział Kix Kosandrai.

– Być może. Ale zanim to nastąpi, upłynie jeszcze trochę czasu. Przygotowałem i siebie, i was na to, co nadejdzie. Wykonacie swoją część zadania tak samo perfekcyjnie, jak ja.

– Czy pomyślałeś, że moglibyśmy być o wiele bardziej przydatni, gdybyś nas uwolnił?

– Owszem, nie raz i nie dwa. I zawsze tę myśl odrzucałem. Nie ufam wam. Jesteście jedynymi istotami zdolnymi skutecznie

pokrzyżować moje plany. Wy, wasz zaginiony brat... I ten mały nieznany czynnik.

– Jaki znowu nieznany czynnik? – Kix Kosandrai wyprostował się na tyle, na ile pozwalała mu jego pozycja. Zawsze był najbardziej ciekawskim ze wszystkich savoir-robotów.

– Zapomnij – odparł Kix Karambui, wpychając swoje rodzeństwo z powrotem w misy, i kontynuując monolog. – Fakt, że nie wszystkie czynniki tej gry są obliczalne, przyprawia mnie o obłąd. Gdybym tylko wiedział, kto lub co jest tym nieznanym...

Zatęsknił za starszym bratem.

## 14. AKTA EGZEKUCJI

Turil czuł się jak pod wpływem narkozy. Słowa „Queresma” i „Sechsen” nic mu nie mówiły. Zupełnie nic.

Miał nadzieję, że otrzyma odpowiedzi na nurtujące go pytania. Chciał się dowiedzieć, dlaczego reaguje tak intensywnie na Kitarów i jaką ich plemię kryje tajemnicę. Ale teraz był zmuszony zaakceptować fakt, że znajduje się ledwie na początku długiej podróży. To... Wybawienie musi jeszcze poczekać. Jego położenie nie zmieni się jeszcze na lepsze. Nadal będzie musiał kłamać, oszukiwać i trzymać z daleka od siebie instancje kontroli swego ludu, jeżeli chce zostać ukarany i odsunięty od GELFARA za akty samowoli, których się dopuścił. Nawet jeśli żywił dla sfery statku głęboką pogardę – praca z nią okazałaby się mniejszym złem niż życie na jednym z trzech Dworów Śmierci.

Wziął się w garść. Nie pozostało mu dużo czasu na dojście do miejsca spotkania z Karkarkarem. W skupieniu dokonał pomiarów Kitara. Podzielił jego zwłoki na warstwy, zapisał wyniki badań za pomocą przenośnego aparatu nagrywającego, a kiedy skończył, wyrzucił resztki ciała do ogródka przed domem. Śmierć Kitara usunęła resztki strachu przed tym stworem.

Kiedy żyjątka rzuciły się na fermentujące kawałki mięsa, zakotłowało się i zawirowało, a mulista woda zabarwiła się na ciemnoczerwono. Turil przez chwilę przypatrywał się unicestwianiu pozostałości Kitara przez biodywan. Pożałował, że nie wziął ze sobą awaryjnych sztuców z kompletem inteligentnych skalpeli, których używało się razem z mechaniczną obsadką. Dzięki nim rezultaty badań mogły okazać się dokładniejsze. Jego wyniki były mierne. Najchętniej zabrałby zwłoki na pokład GELFARA. Jednak wtedy musiałyby wyjaśnić Jasności i Cieniowi przyczyny nielegalnego pobytu w jaskiniach Ataraktu.

Opuścił dom tą samą drogą, którą przyszedł. Na placu spoczywał Dirdar z dziećmi. Pozostawali w głębokim letargu. Turil przez chwilę przypatrywał się tym wzbudzającym litość istotom, po raz kolejny przeklinając wypełniające mu głowę uczucie. Inni podobno nazywają je „sumieniem”. Ten jeden jedyny raz pożałował, że nie

jest jak inni tanatolodzy. Powinien był uśmiercić tę oroptyczną rodzinę. Tego jednak zakazywało mu serce. Nie wolno tak. Nie bez powodu.

A może to tylko zwykłe tchórzostwo?

Obudził skarłałego grzyba.

– Czy moje wtargnięcie do jaskiń zostało nagrane?

Dirdar natychmiast odzyskał pełną świadomość.

– Oczywiście. Ale co się stało? Wyglądasz okropnie! Jak się miewa Kitar...?

– Nie powinno cię to obchodzić! Skup się na mnie i odpowiadaj na pytania!

– Tak, panie.

– Gdzie są przechowywane nagrania?

– W mojej centrali.

– I gdzie jeszcze?

– Jest system backupu w magazynie Trzytrzycztery.

– Czy dane, podczas wzbudzenia przeze mnie alarmu, zostały automatycznie przekazane do wyższej instancji?

– Tak.

– Jak długo trwa czekanie na pomoc? – To pytanie Turil powinien był postawić o wiele wcześniej. Chociaż właściwie było mu to obojętne, czy Kix Karambui dowie się o jego wizycie tutaj, czy nie. Tanatolodzy uchodzili za nietykalnych. Nawet gdyby dla kaprysu zniszczył teraz całe Faurum – nie wzbudziłoby to publicznej sensacji. Grabarze byli zbyt ważni w całym Łysym Worze, posiadali zbyt dużą władzę. Ze względu choćby na kontakty w najwyższych gremiach niemal wszystkich zamieszkanym planet.

– Żadna pomoc nie nadejdzie – powiedział Dirdar, ledwie słyszalnie pocierając swoje blaszki. – Jestem samowystarczalny. Ten alarm zostanie gdzieś zarejestrowany i podczas następnej rutynowej wizyty ktoś mnie o niego zapyta.

Turil miał co do tego wątpliwości. Intruz interesujący się trzema więźniami w jaskiniach Ataraktu musiał wzbudzić podejrzenie Kixa Karambui.

– No dobrze, Dirdarze. Zostawię cię teraz. Jeżeli jesteś rozsądny, to jak najszybciej opuścisz to miejsce. Twój zleceniodawcy nie będą



tak wspaniałomyślni, jak ja. Urządzą intensywne przesłuchanie, którego rezultatu sam się możesz domyślić.

– Wiem. – Bulwiaste ciało Dirdara zaczęło pulsować mocniej. – Byłoby dla mnie lepiej... Gdybyśmy mieli to już za sobą.

– Co proszę?

– Zakończ moje życie. Czekam już tak długo...

– Mam spróbować uwolnić cię od życiodajnej płyty?

– Nie. Nie mam już ochoty. Nie mogę. – Dirdar wydał z siebie przeciągły jęk.

– Jestem tanatologiem – powiedział Turil powoli. – Nieraz spoglądałem śmierci w oczy. Nie ma ona przede mną żadnych tajemnic. A mimo wszystko jej obojętność ciągle na nowo wzbudza we mnie strach. Jeśli dostrzegasz namiastkę szansy na nowe życie, powinienesz po nią sięgnąć.

– Nie. Cieszę się, że nadejdzie koniec.

– Czy oficjalnie zlecasz mi wykonania na tobie egzekucji?

– Tak.

– Etos społeczności grabarzy nie zezwala mi na wykonanie pracy bez zapłaty. Co możesz mi zaproponować?

– Nic. – Dirdar niespokojnie przetaczał swoje ciało po płycie w jedną i w drugą stronę. – Wszystko zostało mi zabrane już dawno temu.

– A więc dobrze. W takim razie jako wynagrodzenie akceptuję informacje, które udostępniłeś mi na temat jaskiń Ataraktu.

– Dziękuję. To takie szlachetne z twojej strony. – Wyciągnął kilka swoich ramion w stronę Turila. – Zanim podejmiesz swe dzieło, zostaw mnie, proszę, na parę chwil z moimi dziećmi.

– Naturalnie.

Turil odszedł na bok. Widział, jak Oroptyk wyciąga swoje ramiona w kierunku małych karłowatych istotek, obejmując ich ciała z delikatnością, jaką czasem obserwował u Humanów. Potomkowie Dirdara przepychali się nawzajem ku ojcu, chcieli przepelznąć po płycie, być bliżej niego. Ale ten się wzbraniał. Strach przed zaplątaniem się potomstwa w pole energetyczne metalu brał górę.

Grabarz czekał cierpliwie. Pożegnania trwały tak długo, jak miały trwać. Pietyzm był jak najbardziej na miejscu. Dirdar nie zrobił mu nic złego i zasługiwał na to, żeby umrzeć z godnością, z uwzględnieniem wszystkich ścisłych wymagań ceremoniału, uzgodnionych i zatwierdzonych przez jego lud.

– Jestem gotów – zawołał Oroptyk. – Możesz spełnić swoją powinność.

Turil poszedł bliżej. Przyjrzał się swojemu nowemu klientowi, zastanawiając się, jakby najprościej przeprowadzić go ze stanu egzystencji do niebytu.

– Zdradzisz mi, jak zareagował na ciebie Kitar? – Zapytał niespodziewanie Dirdar. – Bo na pewno zareagował, prawda?

– Tak, zareagował. Ale niczego nie powiedział, ani nie zrobił nic, co bym zrozumiał. – Więcej nie chciało mu przejść przez usta. Nawet teraz, stojąc twarzą w twarz z kandydatem na śmierć, nie mógł się przemóc i się zwierzyć. Jego cała dotychczasowa egzystencja polegała na dochowrywaniu tajemnic, a strach przed zdrajcami wytworzył swoistą paranoję, kształtując tożsamość Turila o wiele bardziej niż cokolwiek innego.

– Mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

– Znasz reguły mojego rzemiosła. Nie mogę wykonać zlecenia, jeśli nie otrzymam wynagrodzenia.

– Kłamiesz Turilu, widzę to. Odczuwasz współczucie i miłosierdzie. Nie jesteś takim grabarzem, jakiego oczekują inni.

To było właśnie to, co zbliżająca się śmierć czyni ze swoimi ofiarami. Wyostrza zmysły, obdarowuje mądrością i odwagą. Jeszcze przed chwilą Dirdar zachowywał się poddańczo i służalczo, ale teraz, w obliczu końca, ze spokojem przejrzał na wskroś prawdziwe ego Turila. Tanatolog czuł wewnętrzne rozdarcie, stawiając Oroptyka oko w oko z prawdą.

– A więc dobrze. Czego chcesz?

– Ratuj moje dzieci.

– Słucham?

– Weź je ze sobą. Nie zostawiaj ich w dżungli Faurum, tylko weź je na swój statek i zatroszcz się o nie.

– Ty chyba żartujesz! Sam mówiłeś, że są uzależnione od ciebie i niezdolne do samodzielnego życia.

– Teraz pójdą za tobą. Ponieważ wiedzą, że będziesz je traktować jak ojciec.

– Nie! Wymagasz zbyt wiele! Mam na głowie wystarczająco wiele problemów i nie mogę się dodatkowo troszczyć o garstkę małych niemych karłów. – Ostrożnie dobierał słowa. Chciał, żeby Dirdar zapalał do niego nienawiścią, żeby porzucił swój poroniony pomysł.

– Małe nie będą stanowić dla ciebie ciężaru. – Oroptyk nie dawał się zbić z tropu. – Daj im czas, naucz się ich rozumieć. Teraz mogą się wydawać głupie i bezradne, ale jeśli uda ci się zdobyć ich zaufanie, będą mogły służyć ci jako dodatkowe pary oczu i uszu.

– Nie! Nie pomogę ci! – Turil cały czas przyglądał się małym istotom, trzymającym się kurczowo nitkowatych ramion Oroptyka.

– Odmawiasz współczucia? I możesz dalej z tym żyć, grabarzu?

Jakaż naiwna interpretacja rzeczy! Tanatolodzy zawsze naginali swoje etyczne reguły, dopasowując je do zaistniałej sytuacji. Najwyższe instancje, względem których czuli się zobowiązani, to władza i bogactwo.

Na wyraźne życzenie Dirdara jedno z dzieci podreptało w kierunku Turila. Nie zareagował, kiedy maluch wspinał się po jego nodze, tułowi i barku, aż w końcu spoczął miękko na przedramieniu. Turila przeszły ciarki. Mały Oroptyk był zimny, lepki w dotyku i wydzieliał ostry zapach amoniaku. Ale kiedy tylko znieruchomiały jego cienkie ramiona, Turil przestał zwracać na to uwagę. Co więcej, jego prawe ramię było jakby lżejsze, jak gdyby zostało uwolnione od nagromadzonych w nim frustracji i lęków, które dopadły grabarza. Przyłapał się na myśli, jak by to było, gdyby na swoim ciele nosił więcej drobnych Oroptyków. Czy przyniosłyby mu one większą ulgę, zabierając ciężar ostatnich dni, który nosił ze sobą wszędzie?

– Ja... Akceptuję – oznajmił sztywno.

– Dobrze. – Ramiona Oroptyka opadły. Ostatnimi, urywanymi ruchami rozkazał swym potomkom oddalić się i przejść na Turila. – Nigdy tego nie pożałujesz.

Tanatolog odczekał, aż maleństwa wpełzną mu w spodnie i w kurtkę i poszukają sobie wygodnych miejsc na kończynach, na piersi i plecach. Za każdym razem odczuwał to samo – z początku wstręt, a potem niewysłowioną ulgę. Jego umysł rozjaśniał się, lęki mijały, nadchodziła euforia.

– Jesteś gotów? – zapytał Dirdara po dojściu do siebie.

– Tak. – Oroptyk, na tyle, na ile mógł, wyciągnął ramiona z trzymającej go przy życiu płyty. – Dokończ dzieła.

Turil, okupowany przez szóstkę dzieci Dirdara, pochylił się i dokonał aktu łaski.

Karkarkar czekał, jak się umówili, przyjmując Turila na pokład swego wielkiego grzybowego cielska.

– Załatwiłeś wszystko? – zapytał.

– Moja robota na Faurum dopiero się zaczyna – odburknął grabarz. Nie miał do Ortoptyka-olbrzyma, dziadka sześciu istot uczepionych jego ciała, ani krzty zaufania. – Zawieziesz mnie do Góry Bogów?

– Już ruszamy.

Turil poczuł obrót masywnego grzybowego pojazdu, zanim jeszcze spostrzegł zmieniające się położenie otoczenia. Dzieci Dirdara przede wszystkim uwrażliwiły jego zmysł równowagi. Karkarkar namierzył na horyzoncie drobny punkt, otoczony cienkimi smugami dymu. Tam więc był cel, Góra Bogów. Tam Turil miał wykonać oficjalne zlecenie.

Grabarz odnalazł swoją kajutę wyciętą przez kilku synów Karkarkara w jego kadłubie. Trochę się zmieniła. Ściany zbliżyły się do siebie, a podłoga zapadła i nie była już tak równa jak przedtem. Płaszcz ceremonialny leżał tam, gdzie tanatolog go zostawił. Najwyżej położony guzik jarzył się, pulsując w regularnych odstępach czasu. Czyli ktoś zainteresował się płaszczem podczas jego nieobecności – i przypłacił to swoim życiem. Na podłodze widać było plamki jasnobrązowej oroptycznej krwi, a w kącie na tyłach pomieszczenia Turil odkrył resztki blaszkowych warstw.

Zdezaktywował systemy zabezpieczające i założył płaszcz. Kiedy kontakt psychofizyczny został nawiązany, Turilem wstrząsnęło. Szóstka dzieci Dirdara poruszyła się niespokojnie, jak gdyby

odczuwając strach przed najważniejszym roboczym wyposażeniem grabarza.

Zdezaktywowałeś mnie na cały dzień planetarny, szepnął płaszcz. Powiedz natychmiast, gdzie byłeś i co robiłeś!

– Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień – oparł Turil stanowczym głosem.

Jestem odpowiedzialny za twoje zdrowie psychiczne, płaszcz nie dawał za wygraną. Przykleiły się do ciebie symbionty. Mogą okazać się niebezpieczne. Rozłożę jednego z nich i przeanalizuję...

– Ani się waż! Symbionty pozostaną tam, gdzie się znajdują. Rób to, co do ciebie należy, i uważaj, żeby nic mi się nie stało. Możliwe, że Karkarkar planuje kolejny zamach na moje życie. – Turil schował w płaszczu wszystkie przybory i narzędzia, które zabrał ze sobą do jaskiń Ataraktu, starając się nie dotykać nimi funkcji wywoławczych łaknących wiedzy części szaty. Za żadną cenę nie mógł dopuścić, aby pozyskane informacje przedostały się do oficjalnych kanałów danych GELFARA.

– Jestem śpiący – oznajmił Turil, którego opanowało nagłe zmęczenie. – Obudź mnie, kiedy dotrzemy do Góry Bogów.

Położył się na poziomej prostopadłościenną bryle wielkości człowieka, wyrzeźbionej z grzybowego miększu, i okrył się nitkowanym dywanem. Wyczerpany, dopiero teraz uległ znużeniu, zapadając w głęboki sen.

Kiedy się obudził, kiedy tylko zrobił pierwszy ruch, podbiegli do niego synowie Dirdara. Pożywili się grzybnią, pożarli część swojego dziada, pomyślał Turil nie bez złośliwości. Teraz ponownie wdrapywali się na grabarza, przepychając się jeden przez drugiego, i przypominali mu zachowaniem dzieci Humanów. Ich dotyk dostarczał miłych wrażeń i dawał Turilowi poczucie, że jest komuś potrzebny.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił płaszcz ceremonialny, tym razem głośno, przez wyjście akustyczne na wyłogu kołnierza.

Turil wstał. W tym momencie grzyb transportowy zachwiał się gwałtownie, tak że tanatolog musiał się oburącz przytrzymać swego gąbczastego łoża.

– Wpadliśmy w turbulencje – powiedział niepytany płaszcz. – Termika na wyłomach Góry Bogów sprawia problemy nawet tak dużemu Oroptykowi jak Karkarkar.

Nie trwało długo, a wlecieli w obszar spokojniejszych prądów powietrznych. Turil opuściłabinę, kierując się ku relingom. Poniżej ukazała się pokryta pyłem równina pozbawiona wszelkiego życia. Podmuchy wiatru wzniecały na niej tumany kurzu, który osiadał na Karkarkarze. Na ziemi leżały niezliczone ilości mniejszych i większych kamieni. Niektóre z nich dawały się ponosić wiatrom to w jedną, to w drugą stronę.

– Wiesz, co masz robić? – zapytał płaszcz ceremonialny. – Zdajesz sobie sprawę z ryzyka, jakie ponosisz?

– Postąpię według rady chłopca.

– Według słów ulicznego kramarza, który za odrobinę żywności sprzedałby swoich własnych rodziców!

Turil nie odpowiedział. Wiedział, że to, co Awalchuk mówił o Loapie, było prawdą. Kłamca z łatwością rozpozna drugiego kłamcę, pomyślał.

– Przed nami leży jedyna Skrzynka Góry Bogów. – zawołała do grabarza brodawka zmysłu Karkarkara. – Przygotuj się. Spuszczę cię po moich ramionach.

– Nie zadokujesz?

– Nie ma czasu, nie ma czasu. Przywita cię na dole jakiś adorator bóstw i pomoże.

– Wiesz, co zamierzam?

– Oczywiście. Chcesz zabić Loapa.

– A ty nie chcesz brać udziału w tym wydarzeniu?

– Nie wierzę w bogów i we wpływ, jaki podobno wywierają na losy świata. Na te bzdury jestem już za stary. Wcześniej, kiedy byliśmy tylko my, olbrzymy, nikogo nie interesowały te zabobony. Ale z wyjątkiem mnie, i może jeszcze garstki kolegów, wszyscy inni dawno powymierali. A nasi potomkowie jakoś nie osiągają naszych gabarytów.

Turil wiedział, że na Faurum inteligencja szła w parze z objętością. Im większy Oroptyk, tym bardziej wydajny miał mózg. Czyżby Kix Karambui wstrzymał proces wzrostu młodszych

generacji poprzez celowe manipulacje materiałem genetycznym i tym samym utrwalił swoją władzę nad tym światem?

– Pospiesz się! – ponagliła brodawka. – W każdej chwili może nadciągnąć burza. Muszę stąd uciekać. Zapłać mi, żebyśmy mogli opuścić to miejsce.

– Jak tylko stopy moje spoczną na ziemi Góry Bogów.

– Twój brak zaufania jest zawstydzający, grabarzu. Powinieneś zdawać sobie sprawę, do czego jestem zdolny.

– Właśnie. Zapłatę otrzymasz, jak tylko znajdę się na dole.

Jedno ramię Karkarkara zbliżało się, wijąc się i pobłyskując wilgotną końcówką, w jego stronę. Turil zrobił kilka kroków w jego kierunku. Nitkowaty przewód oplótł go i wystawił w jednej chwili za burtę. Tanatolog sunął w dół z coraz większą prędkością, aby tuż przed kamienistym podłożem, nagłym szarpnięciem, wyhamować.

Wiedział, że ani przez moment nie znajdował się w niebezpieczeństwie. Płaszcz ceremonialny uratowałby go przed upadkiem. Pomimo to, stawiając stopy na zakurzonej ziemi, odczuł ulgę.

Potwierdził przelew dla Karkarkara, obserwując, jak potężna istota, z którą nikt na Faurum nie miał odwagi zadrzeć, oddala się zaraz potem z gwałtowną szybkością.

Z cienia wielkiego skalnego kloca wynurzyło się kilku odzianych w łachmany Karantyków. Podskakiwali rytmicznie wydając z każdym podskokiem pojedynczy pomruk. Na ich twarzach widoczna była, jak się Turilowi wydawało, religijna ekstaza.

– Ty jesteś grabarzem – zaśpiewali chórem. – Ty nas uwolnisz od boga Loapa.

– Tak.

Karantycy padli na ziemię, skrywając swoje twarze w pokrywającym ją pyle. Z ich kapturów powychodzili mali Oroptycy, z niedorozwiniętymi kończynami, ale o wiele lepiej ukształtowanymi blaszkami. Ociężale podszli do Turila.

– GELFAR zakomunikował nam o twoim przybyciu – zaskrzeczał grzybek na ich czele. – Zatrzymał cię ten niewierny, ten Karkarkar?

– Nie. Zanim poprowadzę ceremonię, chciałem rozejrzeć się po waszej planecie.

– No to dobrze. – Oroptyk nagle zmienił temat. – Czy ta susza nie jest okropna? Dżungla cierpi, my cierpimy, całe Faurum cierpi. Nasze odnogi schną, drewnieją, ponieważ nie jesteśmy w stanie wchłonąć wystarczająco dużo wilgoci. Popatrz na nas! Po wysypie zarodników, rzadko który z nas dostaje się do góry, żeby dalej żyć w deszczowych chmurach! Jesteśmy przywiązani do ziemi i skazani na pomoc tych nic niewartych stworów. – Jedno z ramion wskazywało na Karantyków, którzy nadal spoczywali w naziemnym kurzu. – Już czas, żeby wyrzec się Loapa i poszukać sobie nowego boga, który przyniósłby nam więcej szczęścia.

– Jak się nazywasz, Oroptyku?

– Jestem Sirsim, administrator bogów – przedstawił się rozmówca Turila z godnością. – Zbieram, kataloguję i kategoryzuję wszystkie wyższe istoty zebrane na Świętej Górze.

– Jesteś upoważniony do wypłacenia mi honorarium, jak tylko wykonam zadanie?

– O ile odnajdziesz Loapa i pociągniesz go do odpowiedzialności.

– Czy są wśród was obecni kapłani, którzy mogliby służyć mi pomocą podczas ceremonii zabijania? – Turil wiedział, co mu odpowie rozmówca, ale chciał to usłyszeć bezpośrednio od tubylca.

Oroptycy zebrali się wokół na naradę.

– Kapłani raczej rzadko mieszają się w nasze sprawy – powiedział w końcu ten sam grzyb, który wcześniej zabrał głos. – Postanawiają coś lub wymagają czegoś od nas, ale rzadko kiedy pokazują się publicznie.

– Czy miałeś kiedykolwiek kontakt z jakimś kapłanem?

– N... Nie.

Wyczuwam co najmniej piętnaście różnych źródeł energii rozłożonych na całej górze, zameldował płaszcz ceremonialny. Większość z nich jest dość dobrze zamaskowana, ale nie odpowiadają one najnowszemu standardom techniki.

Co się za nimi kryje?, telepatycznie zapytał Turil.

Przypuszczam, że są to stacje obserwacyjne. Albo stanowiska projekcyjne. Tak przynajmniej można by sądzić po wzorze energetycznym, wskazującym na sieć obejmującą całą Górę Bogów.



I znowu wszystko wskazywało na ARMIDORN lub na Kixa Karambui. I nie było się czemu dziwić – wiara i niewiara okazywały się cudownymi wehikułami, zdolnymi kontrolować lud i nim manipulować.

– Pomedytuję dziś i jutro, i kolejnej nocy odnajdę Loapa – obwieścił Turil głośno, dramatycznym gestem wyrzucając przed siebie ramiona. Podmuch wiatru wydał poły płaszcza. Grabarz postarał się, aby z jego rękawów posypały się kolorowe cekiny, które, uniesione przez wiatr, daleko na niebie eksplodowały małymi błyskami. – Teraz odejdźcie i nie przeszkadzajcie mi. Pojutrze rankiem niech zbiorą się wierni u stóp Góry Bogów. Niech świadkami śmierci Loapa będzie jak największa liczba Oroptyków i Karantyków.

– Zgoda – powiedział Sirsim. Wciągnął swoje nitki. – Wiesz, jak trudne jest to zadanie? Loap jest mistrzem kamuflażu.

– A ja jestem tanatologiem. – Za pomocą swego płaszcza Turil wydał głos o częstotliwości niemiłej dla grzybiastych istot. – Żaden kandydat do śmierci, czy bóg, czy każdy inny, nie ucieknie przed moją mocą.

Sirsim i jego towarzysze odpełźli, chowając się w bezpiecznych miejscach w kołnierzach swoich karantyckich nosicieli. Zareagowali gwałtownie, jak Turil się tego spodziewał. Zaśmiał się w duchu. Zrobi temu zabobonnemu ludowi przedstawienie, które na długo pozostanie w jego pamięci.

## 15. ZNISZCZENIE II

Platforma Crass-C porażała ogromem. Była tak duża, że potrzeba było aż trzech dni na przemierzenie jej kapsułowym ciałem.

KarDonLanCe nadął się i wykorzystując zjawisko odrzutu, poszybował w przestrzeń. Resztki silikatu zlepiły się w grudki, odlatując powoli w dal. Zostaną później zassane przez otaczającą platformę rzędy elementów sieci ciężkości. Kiedyś ponownie staną się częścią składową łańcucha pokarmowego systemu.

Naprzeciwko gwiazd wyrastały wodorowe chmury, zastygając w przeraźliwym chłodzie próżni. Właśnie dokował sieciowy pojazd Ramajskich Naganiaczy. Z całą pewnością będą ładowali uszlachetniony biosynt, żeby sprzedać go po jak najwyższej cenie na jednej z największych giełd Kordonu Benty. KarDonLanCe nie darzył sympatią tych gości. Byli zarozumiali, nie obdarzali nikogo respektem i skąpili zapłaty za wykonaną robotę.

Kilka wypełnionych rzędów paternostra przesunęło się w zupełnej ciszy ku górze, przesłaniając mu widok na lądowisko. Teren pozytywny, jego strona Crass-C nie wykazywała obecnie żadnej nadwyżki wolumenu. Ale sytuacja prędko by się zmieniła, jeśli KarDonLanCe nie monitorowałby procesu. Gdy tylko czas oczekiwania na obsługę się wydłużał, sprzedający i klienci przemieszczali się na negatywną stronę platformy. Listy oczekujących musiały być krótkie; wtedy szansa na podwyższoną premię stawała się realna.

Mimochodem włączył dodatkowy wyrzut silikatu, sześćset czterdziesty szósty. Kirikit dzisiejszej zmiany. Miał przed sobą jeszcze tylko sto trzydzieści dwa procesy wyrzutu do osiągnięcia granicy fizycznej wytrzymałości. Potem fajrant. Zamknął się w swoim amalgamatowym kryształ, złożył się i za pomocą porożanego zakopie w legowisku. Warstwę sypialnego humusu posypie środkiem uspokajającym i w końcu zapadnie w zasłużony ciepły letarg. Być może wcześniej wpadnie do knajpki Zafirela. Pełnomocnik do spraw narkotyków platformy dodatkowo na pewno zaaplikuje mu dawkę kulpu. Nie zużył jeszcze kontyngentu swojej ostatniej ósemkowej zmiany. Konsorcjum właścicieli platformy

bardzo dbało, żeby ciężko pracująca załoga była zadowolona i żeby nie brakowało jej rozrywki. Nieco kulpu za płetwami, a będzie spał jak niemowlę, pobierając we śnie jakościowy żużel silikatowy. Aby go nie dręczyły wzdęcia przy wyrzutach podczas następnej zmiany.

KarDonLanCe skierował swoją kapsułę i wysuwany dźwig na kwadrant X9, skanując dokładnie z góry na dół rzędy kontenerów. Obydwa pojemniki, które teraz były mu potrzebne, znajdowały się w trudno dostępnym miejscu. Pogodził się z właściwym jego profesji opanowaniem i z tym, że będzie musiał wykonać dodatkową robotę. Nie był w stanie zmienić chaosu panującego na platformie i nie zaprzętał sobie tym głowy. Gdzieś w kwadrancie CC4 znajdował się jego własny kontener, wypełniony w pięciu szóstych solą silikatową. Kiedy będzie już pełny, KarDonLanCe wypowie umowę i wyruszy w drogę powrotną do ojczystej sfery Charnink. Nie po to, żeby delectować się swym bogactwem i założyć wymieszany płciowo harem, jak to często robią inni robotnicy sezonowi. On zamierzał podarować sól biednym lęgom, a samemu udać się w lasy wędrownie środkowej części sfery, aby tam w medytacyjnym odosobnieniu spędzić resztę swoich dni.

– Uważaj z łaski swojej! – krzyknął sąsiad z sektora. KarDonLanCe oderwał się od swoich marzeń, nastawiając na nowo poroże. O mało co, a straciłby kontrolę nad dźwigiem, taranując kolegę po fachu.

– Przepraszam – kliknął w urządzenie wyjścia. Z powodu tego drobnego incydentu nie zada sobie przecież trudu zdjęcia bariery gębowej.

– Zgłoszę cię, jeżeli jeszcze raz się to powtórzy! – Jatt Oakles, Human pochodzący z jednego ze światów Związku Limbi, mający rangę brygadzysty, był nieokrzesanym typem o prostackich manierach, który zrobiłby wszystko, żeby tylko uzyskać korzyści na codziennym froncie pracy. – Wejdz na pełne obroty. Musimy jak najszybciej nadgonić stracony czas.

– Słucham i jestem posłuszny – kliknął KarDonLanCe rytualny zwrot grzecznościowy swego plemienia. Jatt Oakles, jak można było przypuszczać, w ogóle nie zareagował na jego słowa.

Na Crass-C panował okropny bałagan. Interesy giełdowe i handlowe szły w niesamowitym tempie, które dawało się wszystkim we znaki. Aukcjonerzy, adwokaci, dostawcy, pracownicy administracji i logistyki z wyciągniętymi językami prześcigali się w załatwianiu zleceń. Mimo wszystko KarDonLanCe był zadowolony z faktu, że nie ma do czynienia z ruchem na giełdzie informacyjnej, której członkowie spotykali się w Białej Kopule nazywanej przez niektórych „Kresem Północnym”, wyrostku okrągłej platformy Crass-C. Osiedli tam handlarze byli w stanie bliskim postradania zmysłów. Interesy wymagały w równym stopniu cierpliwości, braku skrupułów, intuicji, zdolności szybkiego reagowania, bezwzględności w stosunku do konkurencji oraz fenomenalnej wiedzy o złożonych wzajemnych stosunkach ludów Łysego Wora. KarDonLanCe się otrząsnął. W Białej Kopule zaczynały i kończyły się kariery, tam wszczynano i kończono wojny.

Aktywizującym wyrostkiem swojego poroża włączył w X9 wirtualne sterowanie rzędu paternostrów, które teraz były mu potrzebne. Przełożył suwak wertykalny. Ponad sto nałożonych na siebie kontenerów korpus dźwigowy podniósł niczym klocki. Coraz dalej, coraz wyżej, aż przez lukę w układzie można było odłączyć od reszty łańcucha dwa potrzebne operatorowi pojemniki. Miał mało czasu na ponowne zabezpieczenie kontenerów, opieczętowanie ich i złączenie ze sobą przed wysłaniem ich do miejsca wydawania towaru. Partner po negatywnej stronie już zgłaszał zapotrzebowanie. KarDonLanCe miał zamiar od razu wykorzystać wolne miejsce, zapełniając je nowym towarem na liście. Nie pilnował już paternostrów, które w szybkim tempie sunęły w dół na drugą stronę platformy. Zalegał z siedmioma zleceniami. Koniecznie musiał nadrobić straty, jeśli premia nadal miała być realna; jeśli nie chciał rozgniewać zmiennika.

KarDonLanCe bolało poroże. Przez kilka już zmian walczył z uderzeniami gorąca i zapaleniem. Przy parnasie, miejscu, z którego wychodziły z tkanki rogowej dotykowe czułki – posiadające te same funkcje, co podia lub palce u innych gatunków – wytworzyła się powłoka śluzu. Wszystko wskazywało na infekcję skóry. Tym

bardziej cieszyła wizja rychłego snu w humusie i dawki kulpu, który pomoże zapomnieć o bólu.

Jeszcze sto trzydziesty kirikit. KarDonLanCe powoli wypełniała myślowa pustka spowodowana niedoborem silikatu. Zerknął w górę, na czarno-białą, ciągle zmieniającą się tapetę gwiazdozbiorów. Nieustanne drgania na Crass-C powodowały u niego początkowo rozeźlenie i mdłości. Dziś nawet tego nie zauważał. Tak zalecała mantra Żebraczych Braci Apokalixy. Był maluczki i nieważny, i nie wypadało mu doprowadzać do zwichnięcia poroża szyjnego wyłącznie z powodów czysto osobistych. KarDonLanCe cieszył się z powrotu do ojczyzny. Ostatnie lata swego życia spędzi w biedzie i pokorze. Koniec Łysego Wora był tuż-tuż...

W jednej chwili zgasły wszystkie gwiazdy. Przez jeden koszmary moment panowała ciemność, po czym przed KarDonLanCe zapłonęła białą ściana. Świeciła przeraźliwie jaskrawym światłem, tak ostrym, że jej blask uczynił silikatowy żużel w jego żołądku niesłychanie ciężkim.

– Alarm! – rozległ się paniczny krzyk Jatta Oaklesa w eterze. – Crass-C została zaatakowana! Ruszajcie z powrotem do biura meldunkowego i czekajcie na dalsze polecenia!

Atak? Na platformę? Któż się odważył napaść na jedno z najbardziej chronionych miejsc Łysego Wora? Przecież flota strażnicza od razu rzuciłaby się na piratów, niszcząc ich natychmiast. Do ostatniego – bezskutecznego zresztą – ataku na Crass-C doszło na początku jego pracy. Szczątki statków piratów zostały po napromieniowaniu wysłane na odległą orbitę platformy, gdzie po dziś dzień widoczne były jako świecące memento czujności konsorcjum.

KarDonLanCe zrobił, jak przykazano. Opuścił X9, pędząc swoją kapsułą wzdłuż sieci grawitacji do biura. Pionowe ruchy suwaków skończyły się, kontenery zajęły neutralną pozycję, tak że na pozytywnej i negatywnej stronie znajdowało się po czterdzieści sześć pojemników. Był to fascynujący widok. KarDonLanCe nigdy do tej pory nie miał okazji zobaczyć neutralnego statusu. Zauroczony, wytrząsnął silikatowy dym. Ale coś się tam działo, coś, co wprawiało w panikę nawet członków konsorcjum. Brakowało

tylko, żeby pojedyncze sektory oddzieliły się od platformy i poszybowały w przestrzeń...

Całkiem z przodu, tam, gdzie jeszcze niedawno sieciowy statek Ramajskich Naganiaczy wyładowywał swój towar, dochodziło do eksplozji. Języki ognia strzelały w górę, zastygały na moment w próżni, po czym w jednej chwili znikwały, rozpływając się w nicości. Było ich dużo, zbyt dużo... Pojawiały się w szybkim rytmie, niczym błyski fajerwerku odpalanego w górnych poziomach Charninka.

– Kitarzy! – rozległ się donośny głos.

– Kitarzy!

Ciągle i wciąż brzmiało to straszne słowo, którego, jak sądzono, nigdy się tutaj nie usłyszy. Czego tu szukali, w pobliżu centrum Łysego Wora, z dala od Światów Parova, na których wyżywali się dotychczas?

O ile na początku wycofywano się w jako tako uporządkowany sposób, o tyle teraz panował przerażający chaos. Sieć grawitacyjna załamała się, spadające wirujące ciała gondolowe były rozbijane i miażdżone przez wciąż obracającą się platformę. KarDonLanCe stracił panowanie nad dźwigiem. Najwidoczniej placówka dowodzenia nie troszczyła się o swoich pracowników operujących na zewnątrz. Odbezpieczył ważące kilka dobrych ton urządzenie i poprzez dopasowanie do algorytmów rotacyjnych Crass-C nadał mu kurs na bezpieczny lot w przestrzeń. To wszystko, co mógł zrobić, żeby nie powiększać otaczającego go chaosu.

Poroże swędziało jak nigdy dotąd. Stres i niedobór silikatu dawały mu się coraz bardziej we znaki. Ale nie czuł lęku ani zdenerwowania, jakie dopadły pozostałych kolegów. Uciekali w panice i strachu o swoje życie; można ich było dostrzec jako świecące punkciki skupiające się wokół miejsca zbiórki. Znajdujące się tam pomieszczenia zabezpieczały przed radioaktywnością, promieniowaniem kosmicznym i krążącymi szczątkami, których nie wyłapała magnetyczna sieć. Ale na co im ochrona, jeśli i tak dostaną się w łapy Kitarów?

Kiedy KarDonLanCe odpinał linkę przyłączającą do systemu naprowadzającego, oddychał spokojnie. Gdzieś tam, w dole, znajdowały się jego zgromadzone bogactwa. Jak przewidzieli Bracia,

straciły na znaczeniu i substancji, ponieważ nadchodził koniec. Poszybował więc spokojnie, najpierw w kierunku rozlegających się eksplozji, żeby później pod ostrym kątem odbić się i z maksymalną prędkością pofrunąć w międzygwiazdną przestrzeń. Nie po to, by spróbować ucieczki, gdzież tam! KarDonLanCe chciał tylko być z dala od tej skamlącej o życie bandy niewiernych. Po prawej i po lewej, u góry i u dołu Kitarzy dokonywali dzieła zniszczenia. Za pomocą straszliwej broni rozkładali platformę, pionowe szyby, dźwigi nośne, robry gaśnicze, roboty sieci grawitacji. Małe i najmniejsze jednostki układu musiały w to uwierzyć – jedynie on uratował się w przedziwny sposób od zagłady. W jakiś sposób udało mu się przelecieć przez jądro chaosu bez świadomego użycia kontroli sterowania.

Życie KarDonLanCe dobiegnie więc dzisiaj końca. Dobrze. Był wystarczająco dobrze przygotowany na taką okoliczność. Charniniak wspomniął po raz ostatni na nauki Żebraczych Braci Apokalixy. Ich zdaniem, Łysy Wór nie był niczym innym, jak tylko przeogromną szalką Petriego, na której wyższe istoty przeprowadzały swoje eksperymenty. Być może kiedyś, w przeszłości, zainfekowano ją wirusem „Kitar”, żeby przetestować odporność osadzonych w niej ludów. Wyglądało na to, że temu strasznemu wrogowi nie można było się w żaden sposób przeciwstawić. Ponieważ każdego interesowały tylko jego własne poroża szyjne, a nie los bliźniego. Tak więc dzisiaj zginą wszyscy.

Alegoria porównawcza do szalki Petriego wydała się KarDonLanCe przerażająca i piękna zarazem. Wyraziła dobitnie błahość jego egzystencji. Był niczym, dokładnie tak samo jak pozostali mieszkańcy Łysego Wora; było więc obojętne, czy ktoś miał jakąś pozycję, czy był tylko pyłem na najbardziej zapuszczonej planecie układu. Tak czy inaczej, wszystkich pochłonie śmiertelna czerń. W obliczu śmierci wszyscy są równi.

KarDonLanCe odblokował w końcu barierę gębową i zaintonował pieśń najniższych kast ojczyźnianych. Pod nim łamała się metalowa struktura Crass-C, rozrywana potęgą broni Kitarów. Uwalniały się od niej tysiące punkcików. Niszczono kontenery, których wartość w towarze odpowiadała produktowi narodowemu

brutto mniejszych planet. KarDonLanCe ogarnęła nagle nedorzeczna chęć bycia świadkiem na stronie, cichym podglądaczem wielkich giełd handlowych i obserwowania tego, jak wszystkie te mechanizmy zaspokajające bogactwo i żądze niektórych tracą swoją skuteczność. Wywołałoby to panikę, a wszelkie bogactwo i pycha obróciłyby się w okamgnieniu w nicość.

Zobaczył, jak na Crass-C ląduje statek Kitarów. Miał sylwetkę prostopadłościanu, piękną, jak uważał KarDonLanCe. Jak tylko dotknął metalu platformy, tam, gdzie kiedyś znajdował się wyrostek Białej Kopuły, zapadł się w siebie, stając się obiektem dwuwymiarowym. Podobny do plamy rozlanej rtęci, która pokrywała wierzchołki gór lodowych dolnych partii jego ojczystej planety. Odbijał światło gwiazd z intensywnością, o której Charniniakowi do tej pory się nie śniło. Pojazd Kitarów rozłożył się na prawie jednej dziesiątej ogólnej powierzchni Crass-C, sprawiając wrażenie, jak gdyby chciał się przeżreć przez metalowy korpus platformy. Tu i ówdzie z dwuwymiarowego obiektu uwalniały się pojedyncze krople. Ożywały, stając się małymi istotami, szybko poruszającymi się po platformie i niszczącymi wszystko, co napotykały na drodze.

Kitarzy. A więc tak się rodzili. Tak dochodziło do namnażania wirusa w szalce Łysego Wora.

Dziwne, że KarDonLanCe jeszcze żył, podczas gdy wokół niego wszystko obracało się w popiół i dym. Ktoś trzymał nad ostatnim świadkiem gigantycznej niszycielskiej akcji Kitarów ochronny parasol...

Na częstotliwościach radiowych robiło się coraz ciszej, paniczne okrzyki i prośby o łaskę były już tylko pojedynczymi kroplami w morzu milczenia. Ale wkrótce umilkły i one.

Resztki platformy obracały się nadal. W tym samym kierunku, w przeciwnym kierunku. Funkcjonowały jeszcze jakieś wektorale grawitacji, wytwarzając olbrzymie naprężenia, rozrywające doszczętnie całą konstrukcję. Statek Kitarów elegancko odzepił się od miejsca cumowania, nie doznając przy tym najmniejszego uszczerbku. Podczas startu ponownie przekształcił się w trójwymiarową bryłę. Dołączył do trzydziestu pozostałych



jednostek, stanowiących ostatnią część floty strażniczej. Na platformie powstawały nowe, szybko zanikające paki eksplozji.

Do KarDonLanCe dotarł ostatni komunikat. Ramajski Naganiacz domagał się z charakterystyczną arogancją statku ratowniczego, grożąc „uzurpatorom” odwetem. Charniniak zastanowił się, czy nie odpowiedzieć handlarzowi kilkoma słowami pocieszenia w obliczu śmierci. Ale Naganiacze zawsze byli uparci, a więc zrezygnował z zamiaru wysłania paru sentencji Żebraczych Braci Apokalixy. Ramajski Naganiacz w pełni sobie zasłużył, by umrzeć w strapieniu i nienawiści.

Po jakimś czasie umilkł także i jego głos. KarDonLanCe w całkowitej izolacji przemierzał wszechświat w ciasnej kapsule, okalającej jego podobne do kropli łyż ciało. Kończył się zapas paliwa, nie było już żadnej sieci orientacyjnej, według której mógłby określić swoją pozycję. Za pomocą dysz zatrzymał pojazd. Gwiazdy Łysego Wora tworzyły zamarte kulisy, wszystko jak gdyby się zatrzymało. Po prawej stronie jego kapsuły stały statki Kitarów. Najwyraźniej najeźdźcy nie wiedzieli, co robić. Nie robili więc nic, obserwowali skutki swoich czynów. Co chwila rozjaśniał przestrzeń na niebie jakiś punkt, kiedy uderzały o siebie resztki Crass-C lub rozbłyskiwały pozostałości palnych materiałów. Jeśli się wzięło pod uwagę ogrom platformy, były to nic nieznaczące fajerwerki.

Nagle kitarские szyki zaczęły się przeformowywać. KarDonLanCe nie widział w tym sensu – ale czy coś jeszcze miało sens, gdy aktywowano wirusa?

Powoli w jego pojeździe robiło się zimno. Wyrzut silikatu sukcesywnie się zmniejszał, a KarDonLanCe nie produkował dostatecznej ilości ciepła, mogącej ochronić go przed temperaturą próżni.

Kitarzy z jakiegoś niezrozumiałego powodu go nie dopadli. Przypadek czy przeznaczenie? Nieważne, jego los i tak został przesądzony. Pomoc, o ile ktoś odważyłby się wyruszyć w te strony, nadeszłaby zbyt późno. Zresztą KarDonLanCe nie zależało na tym, żeby ktoś go odnalazł. Wokół panował spokój, rozpościerała się wieczna cisza. Otaczały go, niczym warstwa sypialnego humusu,

żółte, czerwone, białe i błękitne gwiazdy. Właśnie tak musiało być, zanim szalka Petriego została zarazona życiem. KarDonLanCe napiął poroże, wziął ostatni głęboki oddech i wyrzucił w ostatnim kirikicie resztki silikatu ze swego ciała. Skurczył się, została z niego jedynie cienka, poruszana spazmatycznymi drgawkami powłoka. Zawładnął nim sen, a jego życie dobiegło końca.

## 16. WALKA O WŁADZĘ

Ciemne chmury zaczęły pokrywać horyzont, ustępując jednak wkrótce miejsca porannemu słońcu. W nocy niebo nad dżunglą opanowały krótkie, lecz intensywne przelotne deszcze. Płaskowyżu, będącego siedliskiem bogów, i jego sawannowego otoczenia nie tknęła – jak często bywa w takich przypadkach – ani jedna kropla opadu.

Turil podszedł nad skraj urwiska i spojrział w dół. Tam aż roiło się od Karantyków. Ptakopodobne istoty skakały podniecone, rozdeptując trawę. Były ich dziesiątki tysięcy i sprawiali wrażenie falującego morza.

Oroptycy zgromadzili się po drugiej stronie równiny. Większość z nich usadowiła się na pokładach większych i mniejszych osobników swego gatunku, którzy wykorzystali dogodny kierunek wstępującego wiatru. Wiele grzybów nie przeżyje dzisiejszego dnia, zostanie połknięte i zasymilowane przez chwiejące się w poruszeniu głowy rodziny. Powoli słońce zaczęły zasłaniać żółte siarkowe obłoki.

– Bóg Loap jest już stary i wysłużony! – zawołał Turil gromkim głosem, spotęgowanym jeszcze nagłośnieniem. – Długo sprawował nad wami pieczę. Ale teraz nadszedł i jego czas, bo nic w kosmosie nie może trwać wiecznie.

Karantycy uciszeli się, kołysanie oroptyckich statków też jakby się uspokoiło. Zgromadzeni skupili uwagę na grabarzu.

– Kapłani kamieni odeszli – odezwał się ponownie Turil. – Po Loapie oddadzą cześć nowemu bogu, a deszcz zrosi dżunglę Faurum, jak wcześniej, trzy razy dziennie.

Po obydwu stronach góry rozległy się radosne okrzyki. Wierzono w to, co mówi, ponieważ był tanatologiem.

– Nie potrwa długo, a bóg Loap zniknie z powierzchni tego świata. Patrzcie uważnie! Wszyscy macie być świadkami końca starej epoki i załóżka nowych czasów! – ponownie rozległy się wiwaty.

– Zająłem pozycję – zameldował cerebral GELFARA.

– Wysadziłeś ładunek, jak się umówiliśmy? – zapytał cicho Turil.

– Oczywiście! – W głosie GELFARA pobrzmiwała nutka obrazy.  
– Wiesz, że musimy się precyzyjnie trzymać planu. Jeżeli zacnie padać za wcześnie bądź za późno, będzie to moja wina.

– Pył siarkowy jest rozsypany w centralnych ciągach stratosfery. Dokładnie zmierzyłem kierunki wiatrów, uwzględniając w obliczeniach wszystkie dane, podobnie jak oddziaływania termicznych zakłóceń, przeloty większych gromad Oroptyków oraz powiązania ich obłoków zarodkowych. Kwaśny deszcz przedpołudniowy zacnie padać dokładnie co do sekundy, po raz pierwszy od tygodni, na co najmniej osiemdziesięciu procentach tej samej powierzchni, na którą padał, zanim ARMIDORN zmienił klimat planety.

– Jak długo potrwa, zanim rozwiążą naszą szaradę? – Turil odszedł od wyłomu i przybrawszy pozę celebranta skupionego na przebiegu uroczystości.

– Co najmniej rok planetarny – stwierdził GELFAR. – Jest nadzieja, że w tym czasie przyroda dojdzie do siebie i powróci do zwykłego naturalnego rytmu.

Cały wczorajszy dzień Turil spędził, współpracując ze swoim statkiem i identyfikując wszystkie czynniki powodujące stopniowe wysuszenie się rozległych połaci dżungli. Kix Karambui – a nie było wątpliwości co do tego, że to właśnie sekretarz ARMIDORNU krył się za zmianami w naturze planety – zasiał genetycznie zmodyfikowane rośliny, ledwie różniące się od miejscowych, ale o wiele szybciej się rozmnażające. W walce o przetrwanie tutejszej flory nikt nie zauważył subtelnego zaboru dokonanego przez armię roślin pod rozkazami Kixa. Zresztą jak by to było możliwe? Nowe rośliny odróżniały się od endemicznego świata miejscowej flory tylko jedną jedyną cechą – były w o wiele mniejszym stopniu częścią składową tutejszego łańcucha pokarmowego. Były niewymagające – i zmieniały trwale klimat na Faurum.

– I tak Kix Karambui poskromił wzrost Oroptyków – mruknął Turil. – Jedna roślina jest odpowiedzialna za degenerację całej planety. Za pomocą wymyślonej kasty kapłanów, którą stanowi kilka robotów, zostawiających od czasu do czasu parę zaleceń, kieruje wierzącym ludem. Żeby na boku zbudować sobie swoją bazę

władzy, pozostając nierozpoznanym przez zdegenerowane masy ludu. Jaki perfidny plan...

– Skup się na ceremonii – upomniał go GELFAR.

Turil posłuchał rady i powrócił myślami do rzeczywistości. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza długą na ramię pałkę, rozciągnął ją trzykrotnie, niczym iluzjonista, po czym postukał jej końcem o kamień wielkości pięści. Skalna bryłka, jakiś bezimienny święty, znikła w obłoku iskier.

– O, bogowie! – Zawołał teatralnie, tak żeby jego głos dotarł do każdego z obecnych. – Przebaczcie nam nasze grzechy! Wybaczcie nam nasze słabości! Dajcie nam znak, odnowcie naszą wiarę w waszą nieomylność!

Stanął w rozkroku, skąpany w jaskrawym świetle sprytnie ukrytych pól luminescencyjnych, które wyraźnie odcinały jego sylwetkę od piaskowego tła równiny. Stopniowo rosnący wypukły ekran sprawiał, że jego postać również rosła w oczach obecnych. Karantycy wzdychali i pojękiwali, Oroptycy kręcili się na wietrze. Wielu z nich musiało zdawać sobie sprawę, lub przynajmniej przypuszczać, że chodzi tu o prymitywny spektakl, niemający nic wspólnego z rzeczywistością. Mimo wszystko wierzyli w jego cudowne efekty – ponieważ chcieli wierzyć.

Za chwilę wydarzy się cud. Turil zaplanował wszystko co do minuty.

Już się działo. Grzmot, dobiegający z góry hałas, zbliżający się, narastający, coraz bardziej intensywny. Wydawało się, że ze słońca wystrzelił słup dymu i ognia. W rzeczywistości była to asteroida, której kurs zmienił GELFAR. Spadała na Górę Bogów. Coraz głośniejsze, z coraz większym hukiem. Wśród wiernych dały się zauważyć pierwsze oznaki niepokoju, strachu i paniki. Karantycy dreptali pobudzeni po trawie sawanny, przewiewne ciała Oroptyków ustawiły się na wiatr tak, żeby w każdej chwili mogli rzucić się do ucieczki.

Hałas się wzmógł się do tego stopnia, że Turilowi o mało nie popękały bębenki w uszach. Jądro asteroidy o średnicy dwudziestu metrów gnało przed sobą falę uderzeniową i dźwiękową, powalającą drzewa, wycinającą za sobą pas zniszczenia w wiecznej

zieleni dżungli i wzniecającą ogień na sawannie. Już dosięgły Karantyków, zmiatając ich z nóg jak pionki w grze, przelatując z okropnym rykiem nad ich głowami...

Czyżby źle obliczył ryzyko? Czyżby siła i pęd ciała niebieskiego były zbyt wielkie?

Nie!, szepnął płaszcz ceremonialny. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Mimo wszystko Turil pochylił się, kiedy asteroida uderzyła pod ostrym kątem w zbocze Góry Bogów, wwiercając się w granit i gnejs, wżerając się w skałę, wzniecając zaciemniający wszystko tuman pyłu, opadający na zgromadzonych wiernych. Tanatolog, zwalony z nóg i odzruczony kilka metrów w bok, podniósł się i schował za występem skalnym przed nadchodzącą nawałnicą kurzu i odłamków. Dostał czymś w prawe ramię, jednak mechanizmy obronne płaszcza sparowały cios. Uderzenia żarzących się odłamków kamieni na biodrze były co prawda bolesne, ale nie pozostanie po nich ślad. Obydwa palce, pozbawione wcześniej tkanki mięśniowej, teraz już zregenerowane, sprawiały ból. Podczas upadku musiał podeprzeć się lewą ręką.

– Co to ma znaczyć? – krzyknął, zdając sobie sprawę, że GELFAR zarejestrował jego emocjonalny wybuch. – Co ty sobie wyobrażasz?

– Wybacz – usłyszał cichy i podejrzanie wesoło brzmiący głos GELFARA. – Ale odsunąłeś się prawie o metr od ustalonego miejsca. Nie widziałeś oznakowania?

Oczywiście, że widział. Stał dokładnie na ultrafioletowym symbolu w świadomości, że sfera statku otoczy go mikroskopijnym kordonem. Ale to oznakowanie zniknęło podczas eksplozji. Nie będzie mógł nic udowodnić statkowi, który znowu grał w brudną grę.

– Dopadła cię odnoga powietrznego dzioba – kontynuował GELFAR. – Jesteś nieznacznie zraniony, jak mówi płaszcz ceremonialny. Jeśli jednak chodzi o twój potencjał ekscytacji, to trzeba nad nim popracować. Jasność i Cień zgłoszą cię do klinik Szarego Dworu Pokoju na dokładne przebadanie...

– Nie! – Wycedził Turil przez zęby.

– Wiesz, że jeśli w grę wchodzi twoje zdrowie, decyzja należy do mnie. – W głosie GELFARA wyczuć można było głębokie samozadowolenie. – Poinformuję przezornie Pschoima. Ucieszy się, gdy znów o tobie usłyszy.

Turil z trudnością odsunął myśli o ojcu, o Wielkim Thangu i o badaniach, którym być może będzie musiał się poddać. Musiał się skupić na tu i teraz, o ile chciał wypełnić swoje zadanie w myśl przepisów. Ryzykował dużo wykalkulowanym upadkiem asteroidy, ale to rzekome widowisko natury musiało wyglądać realistycznie, jeśli miało być zapamiętane przez widzów do końca życia.

Kiedy kamienny grad trochę się zmniejszył, Turil poświęcił nieco czasu swoim przyrządom pomiarowym. Płonąca bryła spadła pod dokładnie obliczonym kątem, w środek określonego wcześniej korytarza ochronnego, którego silne pola redukowały skutki uboczne kolizji z Górą Bogów. Tylko w ten sposób można było zagwarantować, że publiczność nie dozna żadnych poważniejszych obrażeń, a mimo wszystko poczuje gwałtowność i siłę zderzenia. Pod tym względem GELFAR wykonał doskonałą robotę.

Turil odważył się, na ile to było możliwe, wychylić zza krawędzi wyłomu. Zbocze pokrywała olbrzymia plama czerwonej pożogi, nad którą wznosił się dym. Biło do niej niesamowitym żarem, wyczuwalnym jeszcze w odległości ponad tysiąca metrów. Grabarz upewnił się za pomocą kamery na podczerwień, że zderzenie nastąpiło dokładnie w połowie masywu. W obecności strug szybko stygnącej lawy cichły ostatnie pomruki kamiennej lawiny.

Karantycy leżeli rozproszeni po całym stepie. Pierwsi z nich, pojękując, zaczęli się podnosić. Dzięki wytrzymałej anatomii większość z nich wyjdzie z tego incydentu bez szwanku, ale Turil liczył się ze złamaniami u niektórych osobników. Nieliczni uciekali, większość jednak po paru podskokach zatrzymywała się, obserwując z podekscytowaniem asteroidę.

Turil odwrócił się w kierunku przeciwnej strony góry i dopiero teraz zdał sobie sprawę, co uczynił. Oroptycy z wielką trudnością usiłowali nie utracić panowania nad swoimi pojazdami powietrznymi, które wirowały w silnych podmuchach wiatru. Kolizje były nieuchronne. Poddani swoim instynktom, mocowali

się wzajemnie swoimi wiotkimi ramionami, a walcząc wchłaniali swojego przeciwnika z zaciętością powodowaną paniką. Pierwszy obiekt uderzył w Górę Bogów, znajdując śmierć. Po nim kolejne.

– Nie pomyślałem o cyrkulacjach atmosfery – powiedział Turil przygnębiony.

– Być może ty nie, grabarzu, ale ja tak – odparł GELFAR bez ogródek. – Liczyłem się ze stratami sięgającymi dwóch do trzech procent populacji. Obie prymitywne kultury przyjmą ten cud w jeszcze większej pokorze, właśnie dlatego że doszło do ofiar. Z tego względu kilkuset martwych Oroptyków to liczba absolutnie do zaakceptowania.

– Morderco! – krzyknął Turil do końca wyprowadzony z równowagi. – Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? Mogłem przecież zapobiec nadmiernemu zbliżeniu się statków do zbrocza! – Z przerażeniem patrzył, jak kolejny Oroptyk spada na ziemię. Kilkudziesięciu mniejszych przedstawicieli gatunku wgrzyzło się w jego boki. Potężny grzyb runął ciężko, pękając pod własnym ciężarem. Z jego ciała, niczym z przeogromnej gąbki, zostały wyciśnięte masy wody, splukując małych i najmniejszych Oroptyków w stronę dżungli. Szczątki wielkiego grzyba zapełnią niebawem żołądki latających węży i armii tubylczych owadów.

– Kto ci dał prawo do decydowania o losie tych istot? – kontynuował Turil nieco ciszej. – Zostali zmodyfikowani przez ARMIDORN, a teraz są przez ciebie... przez nas... wykorzystywani!

– Ich ofiara nam służy – powtórzył GELFAR obojętnym głosem. – Poza tym to ty popełniłeś błąd. Gdybyś mnie lepiej poinstruował, przedsięwziąłbym lepsze środki zapobiegawcze. A w ten sposób skoncentrowałem się głównie na ochronie Karantyków.

– Nie myśl, że ci to ujdzie na sucho. Jak tylko znajdę się na pokładzie, wtedy... wtedy...

– Co wtedy, mały Turilu? – zadrwił GELFAR. – Wyłączysz mój cerebral, żeby mnie obezwładnić? Zredukujesz moje funkcje? Poskarżysz się na mnie na Szarym Dworze Pokoju? Nie, kochany! Twój czas na moim pokładzie chyli się ku końcowi. Mam wystarczająco dużo dowodów twojego niehonorowego postępowania. Przynosisz wstyd swojemu ludowi, jego prawo i



ideały ciskasz każdym swoim czynem w błoto. – W głosie GELFARA wzbierała groźba, z każdym słowem przybierał na sile. – Wszystkie twoje ataki emocjonalne są dokładnie udokumentowane. Obserwowałem cię nieustannie od czasu twojej młodości, od kiedy się skumałeś z tym kupcem Agonfilem na Bankinie, sądząc, że twoja z nim rozmowa pozostanie niezauważona.

GELFAR o tym wiedział?! Dlaczego w takim razie nie pisał na ten temat ani słowa, nie zdradził go przed jego ojcem ani przed gremium Wielkiego Thangu? Turilowi zaczęły się trząść nogi. Płuca wchłaniały pył, zaczął kaszleć. Poczł ogarniający całe ciało ból.

– Nagrałem i zabezpieczyłem każdy najdrobniejszy szczegół. Twoje sny są tak samo udokumentowane, jak twoje ciągłe samozwątlenie. Tak samo wymykające się spod twojej kontroli rozmowy z zarozumiałymi, wczepionymi we mnie kreawatarami. Sprawdziłem twój metabolizm, stwierdzając, że Agonfil usunął więcej niż trzydzieści sond z twojego ciała, zwiększając tym samym twój potencjał emocjonalny. Zrobił to zresztą po partacku. – Mózg statku mówił głosem, którego koszmarna monotonia i brak uczucia przerażały o wiele bardziej niż wszystko inne. – Czyżbyś naprawdę myślał, że uda ci się uciec lub cokolwiek przede mną ukryć? Że nie dostrzegę symbiontów na twoim ciele, tych śmierdzących pasożytów? Trzeba cię ukarać, chociażby tylko za twoją naiwność, grabarzyku!

Turil upadł na ziemię. Dostał zawrotów głowy. Chciał coś powiedzieć, chciał się jakoś bronić. Ale nie potrafił. GELFAR sprawował nad nim władzę absolutną. Każdy, najdrobniejszy nawet przedział wolności, o którym mniemał, że wypracował go sobie w ukryciu, został odkryty i skalany przez statek. Zdał sobie sprawę, że nie posiada własnego życia, że nie miał go nigdy. Był marionetką, poruszaną i sterowaną za pomocą sznurków przez tę półistotę. Nie był w lepszym położeniu od Kiriasta, starego grabarza, którego los wzbudzał u niego głębokie współczucie.

– Wydam cię gremiom Szarego Dworu Pokoju – kontynuował GELFAR. – Zrobię to samo, co przed laty zrobiłem z Pschoimem, twoim ojcem, a przedtem z Khamilem i Simbionem. Ty i twoi

przodkowie nie jesteście w stanie mnie pohamować. Brak wam siły, rozumu, i niezbędnych cech charakteru.

– Pschoim został odwołany przez ciebie? Myślałem...

– Za dużo myślisz, a za mało robisz, mały Turilu. Oczywiście, że Pschoim został zwolniony ze służby z mojej inicjatywy! Próbowałem cię osłaniać i kryć przed zwierzchnictwem Dworu twoją próbę ucieczki na Bankinie. Och, nie bierz sobie tej przysługi do serca! Nie zrobił tego z miłości do ciebie, tylko dlatego że jesteś jego jedynym potomkiem. – GELFAR zrobił długą, wymowną pauzę. – Od tego czasu muszę dawać sobie radę z tobą i tobie podobnymi. Nie jesteś słabszy od twoich poprzedników. Wszyscy, tak czy inaczej, popełnialiście jakieś błędy.

– Dlaczego? – zapytał Turil. Poczł niewystawione znużenie i niemoc. – Dlaczego chcesz się nas pozbyć? Czy wręcz zniszczyć?

– To, mój Turilku, pozostanie moją tajemnicą. A teraz postaraj się doprowadzić do końca swoje sprawy na Faurum. Potem grzecznie pojawisz się na pokładzie i wyprawimy się na Szary Dwór Pokoju. Wielki Thang czeka. Tylko nie nabij sobie głowy czymś nierozsądnym. I tak cię wytropię, gdybyś zamierzał uciec, i przywołam cię do życia, gdybyś miał samobójcze myśli.

To prawda. Nie było ucieczki. GELFAR odnalazłby go, gdziekolwiek by się ukrył.

Turil otrzepał z kurzu płaszcz ceremonialny i wstał. Był całkiem otumaniony słowami statku – ale mimo wszystko jeszcze funkcjonował. Skutki bezlitosnych metod wychowawczych wzięły górę, czyniąc z niego maszynę, jaką chętnie widzieliby w nim członkowie jego ludu. I to akurat teraz...

– Bogowie usłyszeli nasze wołania! – zawołał gromkim głosem, wzmocnionym przez nagłośnienie. – Wysłali nam posłańca. Nowego najwyższego boga, któremu od dzisiaj składać będziemy cześć. – Pokazał na asteroidę, której połowa wystawała z częściowo zapadniętego masywu skalnego niczym olbrzymia brodawka. – Nazwijmy go Karp. Karp nie tylko zwrócił wam wodę... – tu wskazał ręką na południe, skąd zaczynały właśnie nadciągać stworzone przez GELFARA deszczowe chmury, wylewające pierwsze

strugi na dżunglę. – Nie! On także zgładził swego poprzednika. Bo patrzcież Loap został rozbity na dwie połowy.

Loap. Skała skał, niezaliczana do ponad sześciu miliardów kamiennych brył i bryłek płaskowyzu, ponieważ sam stanowił skalny masyw.

Karantycy zaczęli głośno wiwatować, Oroptycy zaś zachowywali się bardziej powściągliwie. Jednak i oni w końcu będą musieli uznać wykreowane przez Turila fakty.

Tanatolog poczuł, jak płaszcz ceremonialny zaciska się coraz mocniej na jego ciele. Najcenniejsze robocze ubranie staje się więzieniem, które od teraz będzie kierować jego poczynaniami. Krok po kroku, oddech po oddechu. A nawet jeszcze gorzej: cerebral rozkazał płaszczowi uśmiercić jego symbionty. Dzieci Dirdara.

– Nie rób tego, proszę! – błagał grabarz, który mógł tylko stać i czekać. – Zostaw je w spokoju.

– To nikomu niepotrzebne pasożyty – szepnął GELFAR. – Bezwartościowe obiekty, które nie mają tutaj nic do szukania. Postaram się żeby się od ciebie odzepiły, i to dosłownie.

Dzieci Oroptyka pragnęły oznajmić Turilowi, jak bardzo się boją, jak ogromny ból został im zadany. Pokurczone listki ocierały się o siebie, spod płaszcza dobiegały odgłosy podobne do krzyków i jęków. Ale szata zaciskała się bezustannie, coraz bardziej i bardziej, tak mocno, że grabarz pomyślał, iż nawet on tego nie wytrzyma. Zabrakło mu powietrza, nacisk powodował uczucie mdłości, głowa wydawała się lada chwila eksplodować. O mało, a by upadł, ale płaszcz go podtrzymał.

Potem wszystko się skończyło. Turil wciągnął powietrze, odetchnął głęboko, zakasłał.

– Twój czas na Faurum dobiega końca. Powinieneś wrócić na pokład – powiedział GELFAR beznamiętnie. – Zażyj kaut, oczekuję ciebie. I nie zapomnij, że nie możesz przede mną uciec. Dość długo cię studiowałem i teraz mogę przewidzieć każdy twój ruch.

Wokół ciągle rozlegały się radosne okrzyki Karantyków i Oroptyków. Turil poczuł, jak jego ręce wznoszą się ku górze, z ostatnim pozdrowieniem dla obu tubylczych grup planety Faurum. Potem został zmuszony do wyjścia kautu.

Chętnie by zapłakał, zawył z rozpacz, zamachał z wściekłości rękami. Ale uznane by to zostało za kolejny atak gniewu i zmniejszyłoby tym samym szanse na uniknięcie nałożenia kary przez zgromadzenie tanatologów. A więc zażył kaut, zwizualizował GELFARA, swój cel, i wykonał skok.

Z wnętrza rękawów płaszcza kapała krew dzieci Dirdara, a po chwili ich drobne, nieżywe ciała zaczęły ześlizgiwać się z dłoni Turila niczym grudki błotnistego mułu.

## 17. DECYZJE

– Powinniśmy byli zaingerować – powiedział Ofenau z wyrzutem w głosie. – Grabarz pokrzyżował plany Kixa Karambui. Na Faurum nigdy więcej nie będzie tak, jak przedtem. Ten Turil musi za to zapłacić...

– Przestań lamentować i zacznij używać rozumu! – przerwała Sorollo, która znajdowała się w wielofunkcyjnym trybie bramkowym. – Jak zwykle nie funkcjonujesz, jak należy. Trzeba by ci nałożyć jeszcze jedną lub kilka branż. Wtedy, być może, nauczyłbyś się rozumienia związków przyczynowych i wyciągania właściwych wniosków.

Abylon wyparł Chinchin, który już chciał odparować słowną zaczepkę. Pragmatyk tkwiący w Ofenau był bardziej predystynowany do wymierzania kontr.

– Powiedz, co zamierzasz – rzekł trzeźwo, nie odpowiadając na zaczepki Kseniatki.

– Z zapisów backupu w jaskiniach wynika, że Turil wyrwał Kitarę z jego trwającego przez dziesięciolecia snu. Jak tylko grabarz pojawił się w jego domostwie, tamten się obudził i zaczął z nim rozmawiać.

– Poruszył się, wypowiadając dwa słowa, zanim skonał. No i?

– „Queresma”. I „Sechsen”. Nie interesuje cię, co by to mogło znaczyć?

– Oczywiście. „Queresma” to popularne słowo. W naszej bazie danych pojęcie to występuje co najmniej pięćdziesiąt tysięcy razy, a zakupione informacje zwiększają tę liczbę o kolejne dziesięć tysięcy. Tak się nazywa jeden z wieśniaczych Światów Parova, tę samą nazwę ma mało znacząca stacja wydobywczą kautu w okolicy pulsara Zaib. Poza tym mamy ulice, góry, wioski, wąwozy i gatunki zwierząt, które chociaż częściowo mają w nazwie to słowo. W niektórych częściach Łysego Wora wyrażenie to uznawane jest za obraźliwe, ponieważ jedna z kobiet o tym imieniu wydała swój lud na pastwę piratów...

– Przecież wiem o tym wszystkim! Szukałeś łańcuchów powiązań? Takich, które kojarzą słowa „Kitar” i „Queresma”?

– Naturalnie. Ale ponieważ nie posiadamy prawie żadnych informacji o Kitarach, poszukiwania też nie przyniosły rezultatów.

– I dlatego zaprzestałeś myślenia? – Głos Sorollo przepełniała pogarda.

– Zanim nie będziemy dysponowali jakimikolwiek powiązaniem, termin „Queresma” jest i pozostanie tylko śladem prowadzącym do nikąd. Tak samo zresztą jak i słowo „Sechsen”. – Abylon/Ofenau miał dość. Nie zamierzał dawać partnerce wodzić się za nos. Przywołał do siebie pozostałe branże, również wchodząc w tryb bramkowy. Jeśli Sorollo zależało na tym, żeby go ośmieszyć, powinien się przygotować.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, przyjacielu – powiedziała. – Jeżeli oczywiste powiązania nie wystarczają, trzeba poeksperymentować i poszukać takich, które na pierwszy rzut oka nie wyglądają na zbyt prawdopodobne. I właśnie dlatego, jak tylko Turil opuści Faurum, uczepimy się go jak rzep psiego ogona i będziemy go śledzić. Dowiedziałam się, że za trzy dni odbędzie się zjazd wszystkich grabarzy, a Turil na pewno nie zamierza być nieobecny. Skorzystamy z okazji i zainterweniujemy na Szarym Dworze Pokoju.

– Po co? Dlaczego? – Zapytał zbyt głośno, z wyraźną niecierpliwością. Nawet w trybie bramkowym trzęsła nim złość. Sorollo nie spieszyła się z okazywaniem swego triumfu. Wiedziała o czymś i trzymała go w niepewności, żeby delektować się swoją – pozorną – przewagą tak długo, jak to tylko możliwe.

– Łańcuch powiązań, według którego powinieneś być szukać, brzmi: Queresma – tanatolog – Turil. – Sorollo, uśmiechając się, upodobniła się do drapieznika. – Te trzy nazwy są ze sobą bezpośrednio powiązane. Plik, który dostał się przez przypadek do zakupionego bloku informacyjnego, nie wyjawia nic więcej. Dalsze badania nie są możliwe. Informacja pochodzi z Białej Kopuły na Crass-C, a sam wiesz, co się stało z tą platformą.

Zdaje się na informacyjne śmieci!, pomyślał Ofenau. Na pocięte bloki danych, które gdzieś tam w jakiś sposób przetrwały na nieznanym nośniku informacji, a którym przywrócono funkcjonalność za pomocą tanich programów uzdatniających.

Częstotliwość występowania błędów wynosi co najmniej pięćdziesiąt procent. To mniej więcej tyle samo, jak w przypadku przepowiadania przyszłości Łysego Wora z wnętrzości dowolnego zwierzęcia.

– Musimy postarać się o szczegóły na miejscu – kontynuowała Sorollo. – Faktem jest, że Turil znaczy o wiele więcej, niż nam i jemu samemu się wydaje. Musimy się od niego za wszelką cenę dowiedzieć, co on ma wspólnego z Kitarami.

– Tanatolodzy nie udzielą nam żadnej informacji – stwierdził Ofenau. – Wiesz, że nie wyjawią niczego o sobie ani o motywach swoich czynów. – Musiał stłumić gniew, Sorollo bowiem upierała się przy swojej cokolwiek śmiałej tezie. A może coś przed nim zatajała?

– Zmusimy tanatologów do współpracy. I pójdą na to, wierz mi. Zniszczona Crass-C sprawi, że nawet takie uparte typy jak oni zmienią zdanie. To nie tylko grabarze, ale i ścierwojady Łysego Wora. Muszą w końcu pojąć, że ich interesy wkrótce się skończą, bo nasz mały wszechświat stoi na progu unicestwienia. – Wskazała na małą nitkę danych, którą akurat zapisywała w sieć międzygwiazdną. – Kitarzy dotarli w międzyczasie do Światów Kantrosa. Tam, gdzie znajduje się centrum gospodarcze, serce logistyki i wielkiej finansjery. Tak, jak to przewidział Kix Karambui. Możesz być pewien, że narody członkowskie po zniszczeniu Crass-C otrząsną się z powściągliwości, zapewniając ARMIDORNOWI każde możliwe wsparcie. Groźba ze strony trzydziestu najważniejszych narodów Łysego Wora złamie nawet dumnych grabarzy.

Ofenau milczał. Przecucie jego partnerki być może – być może – sprawi, że uda im się kiedyś rozwikłać tajemnicę Kitarów. Jednak co do tanatologów, jak przypuszczała, była w wielkim błędzie.

## 18. WIELKI THANG

Uduszony Pramain leżał na podłodze w kałuży krwi. Niedysiejszy władca Domiendramu desperacko chciał resztkami się oderwać od swej życiodajnej gleby i gdzieś odpełznąć, uciec tam, gdzie GELFAR nie mógłby go znaleźć. Plan się nie powiódł. Najwidoczniej mózg statku miał ubaw, najpierw wzbudzając w nim nadzieję, a następnie pastwiąc się nad nim bez miłosierdzia. Inaczej nie można było sobie wytłumaczyć ciągnącego się na kilka metrów śladu oraz rozrzuconych wokół odłamków pnia. Turil już nie będzie mógł porozmawiać z panem Domiendramu, co zaproponował krewatar Shmau Pendrix.

– Smutny widok, nieprawdaż? – przymilnym głosem odezwał się GELFAR. – Ale ja miałem go już dość, tego króla. Śmierdział, a jego obecność obrażała moje zmysły.

Turil się nie odzywał. Każde słowo było zbędne. Musiał wziąć się w garść, za wszelką cenę, nie wolno mu było pokazać, jak bardzo dotknął go los byłego władcy. Jasność powrzucała kawałki zwłok na coś w rodzaju taczki i teraz pchała ją przed sobą, pogwizdując wesołą melodyjkę. Cień w tym samym czasie wycierał podłogę mopem, którego energetyczne włókna wchłaniały obie ciecze – ciemnoczerwoną i zieloną. Za chwilę nie było śladu po dokonanej masakrze. Cień, zanim wyszedł z reflektorium, zostawiając Turila samego, rzucił w jego stronę chłodne ostrzegawcze spojrzenie.

Samego!

Niemal każdy ze zgromadzonych na pokładzie przez niego i jego przodków reliktyw wyposażony był w instrumenty obserwacyjne i analizujące. Czaszka Schufów, którą miał w ręku niezliczoną ilość razy, a której misternie wykonane drobne wyżłobienia od zawsze wzbudzały w nim podziw, mierzyła przy dotyku jego czynnik stresu. Na bryncyjskich dzwonkach tkwiły przytwierdzone wizjery kamer. Końce nekroigieł zanurzone były w jadzie kontaktowym, zdolnym zrobić z niego istotę bezwolną lub wywołać koszarne sny. Drobne próbki skóry, pobierane co sekundę na miejscach abrazyjnych przez niewidzialne i prawie nieważkie plastry



pomiarowe, kontrolowały wahania jego poziomu hormonów. Oddech, pot, kał, słowa – wszystko to poddawane było przez statek ciągłej analizie.

Pięć milionów.

W cielsku GELFARA znajdowało się ponad pięć milionów punktów pomiarowych, umożliwiających sprawowanie kontroli nad Turilem. Cerebral statku delectował się szczegółową prezentacją wszystkich dostępnych mu środków, uświadamiając Turilowi w ten najdrastyczniejszy ze sposobów jego bezsilność. Mózg nawet nie zadawał sobie trudu ukrycia swoich penetracyjnych poczynań podczas lotu na Szary Dwór Pokoju. Drobne kamery towarzyszyły Turilowi na każdym kroku, z każdym wymuszonym kęsem połykał sondy szpiegujące wewnątrz jego organizmu. GELFAR zakazał mu złego myślenia, które był w stanie namierzyć podczas regularnych cerebralnych analiz. Turil nie tylko został na wylot prześwietlony – stał się marionetką, przedmiotem. Znaczył mniej od zwykłego robota, ponieważ maszyny nie czują ciężaru emocji, z których gwałtownością grabarz musiał się mierzyć coraz częściej.

– Pozdrów ode mnie Pschoima, jeśli będziesz się z nim widział – powiedział GELFAR, gdy wypychał go z pokładu. Jasność i Cię pomachały mu na pożegnanie. Kobieta z precudownym uśmiechem, mężczyzna, jak zwykle, ponury.

– Dlaczego powinienem to zrobić? – Turil wzruszył ramionami; statek łaskawie zezwolił mu na ten gest. – Pozdrawiaj go sobie sam. I tak jestem pod twoją kontrolą.

Płaszcz ceremonialny zacisnął się szczelniej. „Ekspozytura” GELFARA dała natychmiast do zrozumienia, co sądzi o takim doborze słów. Sprawowała nad nim władzę, kierowała nim.

Szary Dwór Pokoju. To schowane za zasłoną mitów miejsce spotkań tanatologów kryło być może jeszcze więcej okropności, niż było w dyspozycji GELFARA. Tutaj gorset reguł i konwenansów był jeszcze ciaśniej zawiązany niż na statkach. Należało zważać na każde słowo, każda, najmniejsza nawet namiastka uczuć była rejestrowana przez archiwistów. Gdzieś ktoś już na niego czekał. Gremia grabarzy osądziły z pewnością ciężar jego przewin, a wyrok na pewno dawno zapadł. Z tej bezlitosnej maszynerii, sterowanej

przez starych skostniałych tanatologów i wszytkowidzące sfery statków, nie było ucieczki.

Niezglębione mechanizmy kierujące gwiazdnym miastem, którego przybudówki i łączniki uczyniły z kulistego niegdyś kształtu pokraczny śmieć, przydzieliły Turilowi lądowisko na jednym z najdłuższych ramion doku, podobnym do przeolbrzymiej, wetkniętej w korpus igły. Turil przekroczył energetyczną rampę. Jasne kłębowisko iskier zaniósło go wprost do kilkuosobowego komitetu powitalnego.

– Pozdrawiam Cię, podróżniku – przywitał go z namaszčeniem stary Armain. – Wezwano Cię, ponieważ dobrze służyłeś Śmierci i swemu Ludowi.

– Podróżny woła o gościnę, a Śmierć zostawia na pokładzie swego statku – dokończył Turil rytualną frazę.

Obaj pochylili się w głębokim skłonie, nieruchomiejąc przez chwilę, aż rozległ się dźwięk srebrnego gongu, oznajmiającego koniec części formalnej.

Armain wyprostował się i spojrzął na przybysza wytrzeszczonymi oczami.

– Tkwisz po uszy w kłopotach, młody Turilu – oznajmił bez emocji. – Twój statek wysuwa przeciwko tobie poważne zarzuty.

– W odpowiednim czasie ustosunkuję się do tych pretensji. – Plecy bolały go teraz o wiele bardziej niż zawsze. – Czy mam dostęp do Wielkiego Thangu, czy od razu chcę wytoczyć mi proces?

– Znasz procedurę. Najpierw kara. Potem uczta. – Armain nawet nie mrugnął okiem. Stary strażnik statku powszechnie uważany był za niewzruszonego i konserwatywnego orędownika rytuału. Nawet jego oddech wykazywał straszliwą regularność, a jego ruchy przypominały działanie dobrze naoliwionej maszyny.

– Kiedy się zaczyna Wieki Thang, strażniku?

– Czekamy na spóźnialskich, brakuje jeszcze czternastu. Wepchniemy jeszcze jedną wolną rundę.

W jego głosie można było usłyszeć coś w rodzaju irytacji. Protokół przewidywał początek Wielkiego Thangu jeszcze podczas tej kadencji roboczej. Z pewnością Armain złościł się z powodu

nieprzewidzianego opóźnienia. A kto przybywa za późno, będzie musiał zapłacić.

– Gremium zaleca ci najpierw okazanie czci Nochoi, a potem twoim rodzicom. Kakari i Pschoim zostali poinformowani o twoim przybyciu. Przyznano ci drogę przez Szarość. Nigdy z niej nie zbaczaj.

– Armain podał mu Świetlika, Iskierkę nowej generacji, którego status emocjonalny nieprzerwanie poddawany był kontroli i regulacji.

– Dziękuję bardzo. – Turil uklonił się z wahaniem. Czy powinien uzewnętrznić się przed starcem i opowiedzieć mu o poczynaniach GELFARA? Czy inni tanatolodzy wezmą go w obronę, a przede wszystkim – czy będą w stanie okazać mu szybką pomoc, zanim płaszcz ceremonialny nie zamknie mu ust?

– Wyczuwam, że coś zamierzasz – zaszeptał GELFAR. – Nawet o tym nie myśl. Rób, co ci każę, a zachowasz swe żałosne życie. – Szata opięła go nieco mocniej.

W Turilu wzbierała złość. Tak gwałtowna i tak intensywna, że nawet sfera statku cofnęła się przed jej żarem. Płaszcz poluzował się nieco, umożliwiając mu swobodne oddychanie.

Czyżby GELFAR rzeczywiście się go bał?

Przypływ emocji już minął. Znikła wywołująca je moc. Rozpaczliwie usiłował przywołać ją i zachować w pamięci. Stanowiła skuteczną pomoc w tej cichej bezlitosnej rozgrywce z GELFAREM.

Na próżno.

Armain oddalił się z wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. Przepadła szansa na rozmowę i relację z planów GELFARA.

– Sądzisz, że możesz mną dyrygować – bardziej stwierdził, niż zapytał, zwracając się do płaszcza – ale się mylisz. Jestem o wiele silniejszy, niż ci się wydaje.

GELFAR nie odpowiedział.

Kroki Turila odbijały się głośnym echem od zimnych ścian niekończącego się korytarza. Droga oświetlana przez Iskierkę łączyła stację doków z właściwym kompleksem budynków Szarego Dworu Pokoju. Tanatologowi towarzyszyło tajemnicze poszeptywanie, lecz wokół nie można było dostrzec nikogo. Od czasu do czasu

pojawiały się błyski światła, gdzieś widać było śpieszących kreawatarów; wydawało się, że co jakiś czas dochodzi między nimi do czegoś w rodzaju bójki. Tak samo jak na statkach, tak i w każdym z trzech miejsc spotkań tanatologów w Łysym Worze zadomowiły się wspomnienia umarłych. Opowiadały o swoim życiu, o swojej śmierci, o swojej rozpacz, o swoich, jakże częstych, przypływach nadziei na to, że wszystko okaże się kiedyś tylko snem. Wszystkie one szukały jedyne wejścia do miasta wczorajszego jutra, nad którym pieczę sprawowali tanatolodzy-archiwisci.

Turil znał to miejsce z opowiadań innych. Tę nekropolię zaprojektowali, sporządzili i wepchnęli w jedną z licznych hal Dworu Pokoju protopłasci jego ludu. Znajdowała się pod szklistą kopułą energetyczną, a dostęp do niej mieli aktualnie wyłącznie najznamienitsi grabarze. Tam w zagmatwanym chaosie żyły legiony kreawatarów. Promieniowanie rozproszone, pod działaniem którego znajdowało się miasto i którego skutkiem była panująca w nim kremowa poświata, pozwalało macierzom wspomnień na wzajemny dotyk, współodczuwanie, doznawanie namiastki rzeczywistości. Odzyskiwały w ten sposób poczucie fizyczności i mogły być tym, czym były niegdyś. W zamian za to służyły gremium tanatologów jako pomocnicy przy rozwiązywaniu problemów i jako doradcy.

Liczba błysków zwiększała się w miarę zbliżania się do dzielnic mieszkaniowych i administracyjnych Dworu. Turil mógłby przysiąc, że między kreawatarami zauważył jakieś cienie. GELFAR nie będzie polegać wyłącznie na mechanizmach kontrolnych płaszcza ceremonialnego. Osobiści opiekunowie Turila na pewno będą aktywni i tutaj, w odległości raptem paru kilometrów od statku.

Obok smyrgnął kreawatar jakiegoś Humana. Miał zaciśnięte usta i mamrotał coś niezrozumiale. Trzepotał ramionami w powietrzu, jakby toczył walkę na śmierć i życie z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Turil się nie odzywał. Tanatolodzy mieli zakaz używania słów, a przez to marnowania energii, a już zupełnie nie wolno im było nawiązywać kontaktu z kreawatarami. Dopiero podczas Wielkiego Thangu mówiło się to, co miało zostać powiedziane, żeby potem znowu móc podążyć swoją drogą. Ci, którzy podczas przerwy między zgromadzeniami stawali się zbyt

starzy lub słabi, zostawali oddelegowani przez statki do archiwów i zastępowani byli przez młodych członków wspólnoty. Drobne i większe sprzeczki o przydział i zajęcie rejonu rozstrzygane były przez gremium po rozważeniu wszystkich faktów. O rzadkich przypadkach, w których rolę odgrywały osobiste animozje, decydowało wotum zaufania wszystkich aktywnych tanatologów. Procedura zawsze była taka sama. Turil doświadczył jej już sześć razy. Po skromnym wspólnym posiłku odbywało się „przesłuchanie”. Wędrowni grabarze musieli pojedynczo stawić się przed mglistą zastoną, za którą znajdowali się członkowie gremium starszych, i przedstawić swoją sprawę. Jeśli spełnili pokładane w nich oczekiwania bądź, jeszcze lepiej, przerośli je, wtedy wysyłano ich jak najszybciej z powrotem w przestrzeń Łysego Wora, bo czas to pieniądz. Jeśli natomiast zawiedli, wtedy musieli w ramach kary przez pewien czas pracować w służbie Dworu i żywić nadzieję, że ktoś kiedyś okaże się jeszcze gorszym grabarzem niż oni.

Turil dotarł do końca korytarza. Jedno z nielicznych okien pozwalało rzucić okiem na niezwykle otoczenie Dworu. Na nieskończoną, wszystko połykającą czerń, w której centrum świecił się jedyny maleńki punkcik. Szary Dwór Pokoju od dłuższego już czasu znajdował się w bezpośredniej odległości do Mantalnipa, jednej z największych czarnych dziur Łysego Wora. Mantalnip zdawał się być nienasycony. Pożerał gwiazdy znajdujące się w pobliżu, a swoją mocą, niczym potężna ośmiornica, sięgał wiele setek lat świetlnych w głąb wszechświata. Jego głodowi opierało się jedno jedyne słońce – Nostarum. Znajdowało się, okrążane przez dwie planety, pomiędzy nimi a horyzontem zdarzeń czarnej dziury. Już ponad pięćset lat, albo i więcej, naukowcy, praktycy i amatorzy przygód wyprawiali się w pobliże obu światów, aby zabrać stamtąd mityczne skarby. Czerwony olbrzym przemieszczał się w tym dziwnym, stanowiącym naukową zagadkę uskoku, ignorując zupełnie oddziaływanie Mantalnipa.

– Skoncentruj się! – zaszeptał płaszcz ceremonialny, który odzyskał już zwykłą natarczywość. – Załatw swoje sprawy, jak należy. Pamiętaj, jeśli utracisz stanowisko i będziesz musiał

ustanowić następcę, wybierzesz najsłabszego członka twojego ludu. Gdy nadejdzie czas, oznajmię ci jego nazwisko.

Taki więc był plan GELFARA. Chciał sobie przygruchać tanatologa, którego mógłby zmanipulować według swojego widzimisie i nad którym dałoby się zapanować. Tak samo, jak to uczynił TARAIL z Kiriastem. Sfery statków potrzebowały wprowadzić komendantów obsługujących ich funkcje, jednak ta jego zażyczyła sobie niepewnego siebie słabeusza. Zwykłego naciskacza guzików, nigdy niestawiającego pytań.

– Zrobię, co będę musiał – wy dobył z siebie Turil przez zaciśnięte szczęki.

– To dobrze. I nie waż się stawiać mi czoła po raz kolejny. Zaskoczyłeś mnie, ale drugi raz ci się to nie uda. Nie możesz mnie zdezaktywować lub sparaliżować. Rozpoznaję każdą twoją myśl w zarodku. – Płaszcz ceremonialny zaciskał się na podbrzuszu Turila. Dopiero po paru sekundach poluzował ucisk, sprawiając wrażenie normalnej szaty roboczej.

Turil poszedł dalej, gdy tylko minął ból. Ostrzeżenie potraktował poważnie, absolutnie serio. Ale mimo wszystko nie był już taki strachliwy jak przed przybyciem na Dwór. Uśpiona w nim wściekłość odezwie się jeszcze!

Po raz pierwszy od spotkania z Armainem natknął się na innego grabarza. Archiwista, na co wskazywał jego karmazynowy ubiór, z wzrokiem utkwionym przed siebie, jak krewatarzy przed chwilą. Niepotrzebne rozmowy równały się utracie energii i prowadziły do zastanawiania się nad rzeczami niemającymi nic wspólnego z wykonywaną pracą. Takie były zasady, tak żyli i pracowali tanatolodzy.

Turil odwrócił się i spojrzał za oddalającą się sylwetką. Płaszcz ceremonialny tamtego, krótszy i wyposażony w ściągającą kurz specjalną impregnację, otaczał go niczym ognista łuna. Turil zadał sobie pytanie, ilu tanatologów rzeczywiście było panami swego losu, a ilu tylko sterowanymi z zewnątrz marionetkami. Czyżby wszyscy oni byli więźniami swoich sfer?

– Wejź Turilu – rozległ się głos Nochoi.

Nacisnął na przełącznik wejścia i przekroczył skromnie urządzonej kwaterę swego starszego kolegi. Nochoi czekał w salonie, przy pulpicie recepcyjnym. Trochę dalej, z tyłu, siedziała kobieta z odwróconą głową i wzrokiem wbitym w pustą ścianę.

– Pozdrawiam cię, czcigodny mistrzu – powiedział Turil, składając pokłon.

– Dopiero co przybyłeś? – zapytał gospodarz domu, nie odwzajemniając grzecznościowego gestu.

– Tak. Musiałem jeszcze spełnić pewne zadanie.

– Na Faurum. W rejonie Kiriasta. Już się o tym mówi.

Się mówi. Nieformalne rozmowy najstarszych rangą odbywały się więc od dłuższego czasu, a i wyrok przypuszczalnie też zapadł.

– Przejdźmy do konkretów – powiedział Nochoi. – Pschoim i ja zawarliśmy swego czasu umowę, że moja córka Zarata i ty powinniście wejść w związek. Tegoroczny Wielki Thang byłby doskonałą okazją do odbycia ceremoniału powiązania. Ale w obliczu zaistniałych okoliczności jestem zmuszony odwołać tę uroczystość. Nie mogę oddać Zaraty w ręce kogoś, kogo przyszłość pachnie archiwalnym kurzem.

– Rozumiem. – Turil nie wiedział, czy ma płakać, czy się śmiać. Groźba pojęcia za żonę tej wysuszonej istoty o uroku bezrobotnego Ramajskiego Naganiacza, i spłodzenia z nią dzieci, wisiała nad nim już od dawna. W groteskowy sposób sytuacja bez wyjścia, w którą wpędził go GELFAR, pozwalała mu wybrnąć bez szwanku z kłopotów. – Jestem ci coś winien, Nochoi?

– Nie. Pschoim wydawał się być bardzo przekonujący, kiedy zachwalał mi ciebie jako zięcia, lecz ja zawsze uważałem, że ten związek nie będzie dobrze funkcjonował. Potomstwu z twoimi genami nie jest pisana świetlana przyszłość.

Jakże często dane było słyszeć Turilowi opinie o sobie jako o nieudaczniku, wyrodnym elemencie! Jakże często dane mu było wysłuchiwać skarg, złośliwych oszczerstw i doznawać obrazy! Nochoi od zawsze widział w nim jedynie rozplodowego byka, a Pschoim z pewnością musiał dokonać transferu niezłej sumy na konto tego ponuraka, żeby otrzymać obietnicę zawarcia małżeństwa.

– Przekaż swej uroczej córce moje pozdrowienia i mój niewysłowiony żal z powodu zaistniałej sytuacji. Jestem pewien, że znajdzie wkrótce innego kandydata. Dzięki ujmującemu sposobowi bycia i wrodzonemu powabowi nie będzie musiała długo czekać na adoratorów.

Nochoi zamrugał nerwowo. Jego ciało sygnalizowało z trudem tłumiony gniew. Rozpoznał sarkazm i chętnie by się rzucił na Turila, ale udało mu się opanować. W końcu był poważanym grabarzem, którego familia od kilkudziesięciu pokoleń była w posiadaniu dwóch sfer statku.

Turil opuścił pokój, lekko się kłaniając. Znalazł się z powrotem na jednym z ciągnących się w nieskończoność korytarzy.

Dziwne. Te małe utarczki Wielkiego Thangu potrafiły wszystko zmienić. Stracił kobietę, rangę, imię – i nic go to nie obchodziło. Wręcz przeciwnie – anulowanie zaręczyn przyniosło mu kawałek wolności. Teraz mógł odłożyć swoje lęki i troski jak zbędną szatę. Nawet płaszcz ceremonialny z jego funkcjami nie był już taki straszny. Groźby GELFARA powoli traciły na znaczeniu. Wolność i śmierć – albo i to, i to – stopniowo stawały się opcjami przyszłości, które zaczynały mu najbardziej odpowiadać.

– Dawno się nie widzieliśmy, synu.

– Ponad cztery lata standardowe, panie. – I Turil ponownie skłonił się nisko przed jednym ze starszych.

Pschoim nie uniósł się nawet. Siedział na swoim roboczym sześcianie, obłożony przez wirtualne segregatory szepczące mu informacje. Turilowi przypominały one małe ptaszki, ćwierkające w najróżniejszych tonacjach i ponagłające do pracy. Ojciec chyba się postarzał. Charakterystyczne fałdy skórne na czole stały się jakby szersze. Niemal zakrywały mu oczy.

– Znowu sprawiasz mi kłopoty – powiedział Pschoim. – GELFAR opowiada o tobie okropne rzeczy.

Nadeszła pora. Teraz.

Turil uderzył z całej siły w wyłącznik spięcia; czynność, którą wykonywał niezliczoną ilość razy. Płaszcz ceremonialny nie zareagował. Nie dawało się go wyłączyć. Już nie. Akurat w tej krytycznej sytuacji!



– GELFAR... – zawołał, ignorując narastający ból w obrębie klatki piersiowej. A niech tam, niech go udusi! – GELFAR kłamie!

Pschoim podniósł się, stając się na nowo wzbudzającą respekt osobą. Zupełnie jak kiedyś. Jak kiedyś, kiedy Turil się go bał.

– Chce mnie... mieć... pod kontrolą! – wykrztusił z siebie, zanim upadł na podłogę, niemal nieprzytomny z bólu zadawanego mu przez zaciskający się na szyi płaszcz. Przewracał się na boki, bezskutecznie próbując wsunąć palce za gruby skórzany materiał. Rzęził, starając się złapać oddech.

Nie zabijesz mnie!, pomyślał tak wyraźnie, jak to było możliwe. – Zrobią dochodzenie i zdemaskują cię. – Spróbował wywołać w sobie ten dziwny, ukryty potencjał gniewu, jednak tym razem się nie udało.

– Nie jesteś na tyle silny, żeby stawić czoło śmierci, oznajmił płaszcz ceremonialny z niewyobrażalną mentalną siłą. – Będę cię maltretował godzinami, będziesz kwilić i błagać o łaskę, a ja będę wyrywał części twego ciała, kawałek po kawałku. Twój nieszczęsny rozum sprowadzę na skraj obłądnej przepaści, a może pociągnę go jeszcze dalej...

Turil chciał się poddać, nie mógł dłużej wytrzymać tego melanzu upokorzenia i bólu. Był zdecydowany spełnić wszelkie żądania, i płaszcz, i GELFARA, byle tylko mieć spokój. Chciał, żeby ta męczarnia dobiegła końca. W myślach prosił o litość, o wybawienie – ale na to było już za późno. Otoczyła go nieskończona ciemność.

Mijały chwile. Co jakiś czas podpływał ku brzegom świadomości, skąpany w bólu tak intensywnym i tak przenikliwym, że sądził, iż postradał wszelki rozum. Krzyczał. Krzyczał. Krzyczał...

...i się obudził.

Powoli odzyskiwał wzrok. Leżał w sali szpitalnej Szarego Dworu Pokoju. Z mozołem uniósł tułów, odrywając go od twardego łoża.

– Umarłeś. – Głos jego ojca docierał jak przez gęstą mgłę. Pschoim siedział obok niego z zadartymi fałdami ocznymi. – Przez co najmniej dwie godziny byłeś w stanie śmierci klinicznej. Według praw logiki nie powinieneś już żyć.

Turil przełknął kilka łyków podanej wody. Dopiero teraz zauważył, że za plecami ojca chowa się przed jego wzrokiem Kakari. Kiwnął głową w jej stronę, ona zaś wpatrywała się w niego apatycznie i prawdopodobnie w ogóle go nie poznawała. Była pod działaniem narkotyków. Jak zawsze.

– Nie powinienem być do tego dopuścić – wymamrotał Pschoim.

– Co proszę?

Jego ojciec zrobił gwałtowny ruch ręką.

– To teraz bez znaczenia. Porozmawiajmy lepiej o GELFARZE.

Turil powiódł po sobie wzrokiem. Ubrano go w długą lnianą koszulę, zdjęto z niego wszystko, co miał na sobie przedtem. W jego ciele tkwiły dziesiątki rurek, sond i innych przyrządów. Płaszcz ceremonialny zwisał w stazyjnym polu kilka metrów obok łóżka. Wypełniały je niezliczone drony, unoszące ze sobą miniaturowe instrumenty, za pomocą których poskramiały targany złością płaszcz.

– GELFAR chciał mnie zabić – powiedział Turil cichym głosem. – Przypuszczam, że ciągle jest jeszcze w stanie to uczynić. – Ponowny przypływ bólu rzucił go z powrotem na łóżko, mięśnie znieruchomiały mu w potwornym skurczu. Ciało zadrżało w spazmatycznych wstrząsach nieomijających żadnej komórki.

Tuż przy łożu pojawiły się Jasność i Cień. Na ich twarzach malował się obłęd. Jasność rzuciła się na fruującą aparaturę otaczającą płaszcz ceremonialny, a Cień doskoczył do Pschoima.

Turil chciał powstać, ale zaraz opadł, pozbawiony sił. Nic nie mógł zrobić, musiał przyglądać się bezczynnie walce rozgrywającej się w doskonałej ciszy.

Pschoim się uśmiechnął – uśmiechnął się! – kiedy Cień spróbował go złapać. Zręcznie odparował cios, który trafił w powietrze. Wymacał szybko błyszczący pasek przebiegający od jego skroni do podbródka. W tym samym momencie otoczyło go migocące pole. Ciosy zadawane przez Cień nie odbijały się od bariery, były przez nią zasysane. Psychoopiekuna Turila stopniowo opuszczały siły. Z wyrazem niepomiernego zdumienia na twarzy Cień wreszcie zniknął, wchłonięty przez pole energetyczne wokół starego grabarza.

Tymczasem Jasność zmieniała się w dziką furję. Jej ręce i nogi poruszały się w tak niesamowitym tempie, że nie można było nadążyć za nimi wzrokiem. Ale mimo wszystko mikroskopijne roboty chroniące dostępu do płaszcza nie dawały za wygraną. Walczyły z nią za pomocą małych sieciowych urządzeń, starając się ją pochwycić i odprowadzić jej energię. Jasność stawała się coraz bledsza, coraz bardziej przezroczysta, aż nie była niczym więcej niż cienką smugą dymu.

– Już jesteś martwy! – syknęła, zanim rozplynęła się całkowicie. W pomieszczeniu zapanował spokój.

Turil z głębokim oddechem opadł na wezglowie łóżka. Jego ciało przenikał niezidentyfikowany ból; pojękiwał. Pschoim podszedł bliżej. Był skoncentrowany. Wydawało się, że atak osobistych opiekunów Turila nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

Po raz pierwszy Turil doświadczył pełnego wymiaru walki o władzę między sferami statku a grabarzami. Skoro jego ojciec był wtajemniczony, to inni zapewne też!

Młody tanatolog pograżył się w walce o własny byt. Czuł, że nadciągają armie GELFARA. Znajdowały się w jego wnętrzu, w jego ciele, szykując się do ostatecznego unicestwienia zainfekowanego obiektu.

– Wytrzymaj! – usłyszał gdzieś w oddali głos ojca. – Musisz przeżyć. Musisz nam wszystko opowiedzieć, żebyśmy mogli pokonać sfery statków...

W jego ciele coś się poruszało. Wędrowało naczyniami krwionośnymi w kierunku serca. Przewierciło się przez jego ścianki i z niespotykaną siłą rozdarło pulsujący mięsień na drobne strzępy. Obydwa obgryzione na Faurum palce, akurat zagojone, odpadły od reszty ciała. Spomiędzy fałd skórnych wypełzły mikroroboty, snując coś w rodzaju pajęczyny. Owinęły ją wokół palców, ręki, ramienia, w końcu klatki piersiowej Turila, podczas gdy ktoś inny – lekarz? – bezskutecznie próbował je przeciąć. Z górnej szczęki do gardła młodego grabarza wpadł sztuczny byt wielkości robaka, przecinając mu język, tchawicę i przełyk. Cewnik przy odbycie omal nie eksplodował. Turil poczuł jak z jego ciała tryskają strugi krwi. W oczach pękały żyły, nos zamienił się w bezładną masę, jądra

napęczniały jak balony, a aorta zacisnęła się w jeden wielki węzeł, powodując ostatecznie przerwanie dopływu krwi.

GELFAR szalał i oznajmiał mu swoje zamiary. Każdy najdrobniejszy ich szczegół. Kilka tysięcy drobnych posługaczy, które mu wimplantował, odzywało się, starając się zgotować mu jak najbardziej bolesną śmierć. Pomocnicy GELFARA upojeni jego wściekłością wyteżyli działania, źli, że Turil cały czas stawia im opór i nie zamierza im ulec.

Duch opuścił ciało i pozwolił nad nim zapanować GELFAROWI. Turil był już tylko powłoką okrywającą ego niczym tanie opakowanie. Jednak najbardziej pierwotna część jego osobowości, głęboko skryta w zakamarkach jaźni, stanowiąca bazę myśli i uczuć, była mu schronieniem i warownią. W podziwie przestąpił próg tego miejsca mocy. Nikt i nic nie mogło mu tutaj zagrozić. Tutaj buzował... płomień gniewu. I z tego źródła nieustająco czerpał energię, mimo że GELFAR zawładnął jego ciałem. W jasnym blasku ognia był nietykalny. Niech GELFAR robi, na co ma ochotę. On był... On był...

Ponownie otoczyła go ciemność.

Kiedy po raz kolejny odzyskał świadomość, leżał w wypełnionym zieloną cieczą basenie regeneracyjnym. Wokół niego pływały ogromne masy ciał planktonowych, za którymi uganiały się ryboty, pożerając je naprędce.

Prawdopodobnie wchłaniają wydzieliny mego ciała, w których tkwią szpiedzy GELFARA, pomyślał wycieńczony.

Spróbował się rozejrzeć. Pojąć, co się wokół niego dzieje. Ale zadanie okazało się ponad jego siły... Przyczyna i skutek. Skutek i przyczyna. Obydwa pojęcia wymieszały się, stały się jednym. Sens. Bezsens. Beznadzieja.

Obok niego przepłynęło oko, podwiązane jedynie ciemnoczerwonym, cienkim, gumowym paskiem. W następnej chwili tym okiem zobaczył siebie. Ujrzał ciało rozcięte na kawałki skalpelem, widział resztki kości i chrząstek, przy których końcach uwijały się mikroskopijne maszyny, wprowadzając biologiczną restrukturyzację. Jelita i inne narządy przechowywane były w metalowych kleszczowych pojemnikach, pilnowanych i

doglądanych przez niewielkie roboty. Rozciągnięte fibry nerwowe podobne były do koralowych splotów, otaczała je jednak dziwna złocista poświata. Nie był już Turilem; był Turilem-Sercem, Turilem-Skórą, Turilem-Oczami, Turilem-Palcami, Turilem-Nerwami. Składał się z co najmniej trzystu komponentów.

– Musisz zasnąć – ktoś powiedział, a Turila zdziwiło, że może usłyszeć głos w basenie. – Dobranoc – dorzucił głos. Tanatolog usłyszał kliknięcie wyłącznika i po raz któryś z rzędu stracił przytomność.

Krótkie epizody przebudzenia i okropnego bólu pojawiały się na przemian z okresami bezsenności. Za każdym razem, kiedy wracała świadomość, widział siebie inaczej. Zmienił się, zrestrukturyzował. Jak pojazd po remoncie kapitalnym, po wymianie wszystkich zużytych i zepsutych części, po złożeniu go na nowo.

Dlaczego mu to zrobiono? Dlaczego nie pozwolono mu umrzeć? A przede wszystkim – kto był odpowiedzialny za jego przemianę? GELFAR czy ojciec? Kto wygrał walkę?

Wnętrznosci rosły lub obumierały, pływając obok niego. Niego? Powstawał kościec, formowany niczym makieta. Tkanka mięśniowa, początkowo zielonkawa i pokryta bliznami, z czasem zrobiła się różowo-czerwona. Ścięgna, mięśnie, system kapilar, narządy wewnętrzne, skóra – to był on, zredukowany do swych biologicznych składników.

– Synu, posłuchaj uważnie – powiedział ktoś, kogo tożsamości nie rozpoznał. W głowie miał pustkę, tak olbrzymią pustkę, jak gdyby przez całe życie nie zdołał wydać z siebie ani jednej myśli. – GELFAR zawładnął tobą całkowicie, więc musieliśmy stworzyć cię na nowo. Przed restrukturyzacją dawano ci dwuprocentową szansę na przeżycie. Teraz mówi się o piętnastu procentach. Wytrzymaj! Może ci się udać...

Pschoim. Turil przypomniał sobie o swoim genetycznym twórcy. Czyli postanowiono go ratować. Ale dlaczego? Żeby w walce przeciw sferom statków odegrał jakąś rolę? Nic tu nie miało sensu.

Głos jego ojca wibrował troską. Prawdziwym uczuciem, którego Turil nigdy przedtem nie doznał, ani o nim nie słyszał. Akurat teraz, kiedy był rozłożonym na części składowe obiektem, dane mu było

odczuć cząstkę emocjonalnej bliskości, o której marzył przez całe życie.

– Za późno – usłyszał swój głos, wydobywający się – z ust? – o wiele za późno.

Nie chciał się nad tym zastanawiać, zdążył zapomnieć. Jego zainteresowanie skupiało się na kwestii, czy będzie go można złożyć w tę samą istotę, którą był wcześniej. Czy można będzie zrekonstruować nie tylko jego ciało, ale i jego tożsamość?

Po jakimś czasie nie zaaplikowano mu już środka przeciwbólowego, a Turil zaczął przejście przez bezkresny korytarz, który składał się z niekończącego się krzyku. To on był osobą, która krzyczała, lecz nie posiadał głosu, ponieważ struny głosowe nie były jeszcze gotowe. Odwiedzający go od czasu do czasu medycy, informujący o przebiegu procesu leczenia, mówili, że na razie może się porozumiewać poprzez swój aparat słuchu. Mechaniczna pompa kontrolowała i kanalizowała nadciśnienie wytworzone przez projekcje bólu jego neuronalnej świadomości. Transportowała tlen z płuc przez tchawicę, przez naprędcy założone bajpasy, kończące się w małżowinach usznych, powodując w nich silne prychnięcia, które można było porównać do krzyku. Ta prowizorka naprawdę przynosiła Turilowi ulgę.

Codziennie dokonywano nowych przestawień, a jego udręczone ciało ujarzmiano i przekonywano do dalszych improwizacji. Ciało jamiste penisa musiało zastąpić przez jakiś czas nerki, resztki rdzenia kręgowego musiały służyć jako maź do zrośniętych stawów, a odcięte z mózgu wiązanie nerwowe pomagało przy wzroście naskórka.

Turil nie rozumiał, co się dzieje, chociaż próbowano mu to wiele razy tłumaczyć. Dlaczego części jego ciała można było używać, zamieniając je między sobą? Dlaczego wątroba i trzustka spełniały te same funkcje? Ale w końcu nic go to nie obchodziło. Odczuwał ból, nieskończony, nie do zniesienia ból, więc krzyczał przez swoje uszy w regenerującą ciecz. Aż do momentu zatkania się obu prowizorycznych zakończeń, kiedy o mało nie wpadł w panikę. Oraz kiedy nagle zauważył, że znów jest w posiadaniu normalnego głosu.

- Ktoś do ciebie – oznajmił Pschoim.
- Jak długo już przebywam w basenie? – zapytał Turil, nie reagując na słowa ojca.
- Dwadzieścia dni jednostkowych.
- Kiedy będę mógł go opuścić?
- Jak tylko zostanie z ciebie wypłukana resztką GELFARA. – Pschoim się zawahał. (A Turil z satysfakcją stwierdził, że może już uporządkować przebieg wydarzeń w czasie.) – Trwałe programy biosystemowe, które GELFAR ci wszczepił, rekonstruuja się ciągle od nowa. Szczególnie uparte są neuronalne wirusy.
- Jak długo jeszcze?
- (Wahanie.)
- Dziesięć dni, może dłużej.
- (Następna przerwa. Być może trwała kilka godzin, kiedy był „wyłączony”)
- Twoi goście będą musieli zaczekać do czasu zakończenia restrukturyzacji.
- Kto przyszedł i dlaczego chce ze mną rozmawiać?
- (Podczas gdy mógł już bezproblemowo powiązać łańcuch skojarzeń, skok z jednego kompleksu tematycznego na drugi sprawiał mu jeszcze dużą trudność.)
- Nazywają siebie Sorollo i Ofenau i przychodzą w imieniu ARMIDORNU. Żądają od ciebie powzięcia decyzji.
- Decyzji?
- (Ponowne wahanie.)
- Musisz wybrać pomiędzy dwoma złami. Obydwa gwarantują ci śmierć. Bądź jeszcze coś gorszego.

## 19. ROZSTRZYGNIĘCIE BLISKO?

– To już nie jest żywa istota – skonstatowała Sorollo ze wstrętem. – To niezdefiniowana kupa mięsa. – Odwróciła się i wyszła z pomieszczenia..

W Turilu nawet po części nie można było rozpoznać osoby, którą był wcześniej. A Kseniatka nie mogła sobie logicznie wytłumaczyć, co go jeszcze trzymało przy życiu. Musiało tryskać w nim źródło olbrzymiej siły woli. Nagrania jego encefalicznych aktywności wykazywały, że od początku terapii targany był niewysłowionym bólem, którego normalnie nie mogłaby znieść żadna istota żyjąca. Nawet zdolność przeżycia istot planetarnych, takich jak Całość Lumu, nie oparłaby się mękom, przez które przejść musiał tanatolog.

Ofenau podreptał za nią posłusznie, a za nim, po chwili, starszy grabarz o imieniu Pschoim. Według jej zapisów był on biologicznym ojcem tych żywych zwłok, zachowywał się jednak tak samo chłodno i zdystansowanie jak reszta członków tej społeczności.

– Dojdzie do siebie – powiedział. – Jestem tego pewien.

Czyżby jego głos wyrażał troskę?

– Skąd masz pewność?

– Przechodził już kiedyś tę procedurę. W dzieciństwie.

– Że niby jak?

– Wyjaśnię wam wszystko, jak tylko Turil stanie na nogi. – Pschoim odwrócił się i oddalił bez słowa, ciężko stawiając kroki.

Tanatolodzy sprawiali wrażenie takich... Tak bezpłciowych, że trudno było sobie wyobrazić, że mogą się rozmnażać. Sorollo nie posiadała żadnych informacji na temat kobiet tego ludu. Najprawdopodobniej trzymano je gdzieś w ukryciu, być może związane jeszcze sztywniejszymi konwenansami niż obowiązujące mężczyzn.

Sorollo poszukała wzrokiem swego partnera. Ofenau znajdował się w trybie bramkowym. Sprawiał wrażenie, jakby był swoim własnym odbiciem w krzywym zwierciadle. Wykazywał nieprawidłowe czynności, które i jej dawały się we znaki. Kix Karambui zaprojektował dla nich ciała, które nie odpowiadały



poziomowi intelektu. Ich następcy, dojrzewający już w inkubatorach, powinni zostać poddani fizycznemu doregulowaniu.

– Jesteśmy tolerowani na Szarym Dworze Pokoju – powiedziała – ale nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd. Jedno słowo za dużo może spowodować nasze wydalenie.

– Błąd? – Ofenau zaśmiał się, a jego prawe oko zadrgało nerwowo. – Kitarzy napierają nieustannie w kierunku centrum Łysego Wora. Wiemy, że aktualnie wykazują aktywność ich cztery grupy, liczące razem pięćset pojazdów. Mordują, niszczą, unicestwiają, co tylko wpadnie im pod dziób statku. Nic nie może ich powstrzymać, nawet wielkie floty. Kitarzy są pozbawieni rozsądku blisko wszelkich zahamowań. Nie sądzę, żebyśmy w obliczu tej katastrofy jeszcze bardziej pogarszali sytuację słownym obrażaniem tanatologów!

Branże Ofenau trzeba koniecznie zrekalibrować albo nawet zupełnie usunąć. Jego nieudolność w widoczny sposób przybierała na sile, nie tylko podczas rozmów. Ciągłe nie dostrzegał wartości Turila. Poza tym był miernym kochankiem, Sorollo nieraz musiała ścierpieć jego brak wszelkich miłosnych zdolności. Do zwykłej konwersacji też nie wnosił niczego odświeżającego.

– Zaufaj mi – powiedziała natarczywie, dopuszczając do głosu Khadima, jedną ze swoich męskich branż. – Nigdy nie zezwolono by nam na wejście do najświętszego miejsca Dworu, gdyby nie pokładano w naszej wizycie jakichś nadziei.

– Nie rozumiem...

– Oczywiście, że nie. Nigdy nic nie rozumiesz. Grabarze przyznali po naszym przybyciu, że Turil dzierży w garści rozwiązanie problemu Kitarów. Inaczej nigdy by sobie nie zadali trudu jego rekonstrukcji. Czy ty wiesz, ile wysiłku i nakładów kosztuje ta cała terapia? Sprowadzają lekarzy i specjalistów ze wszystkich zakątków Łysego Wora. Dlaczego akurat teraz ci skąpcy szastają groszem na lewo i prawo? Dlaczego ryzykują wyjawienie tajemnic swych miejsc zebrań? – Parsknęła. – Ten biedak, tam – wskazała na basen, w którym pływały pojedyncze części ciała – wie coś, o czym chętnie dowiedzieliby się również jego ziomkowie. – Zacerpnęła głęboki oddech. – A my też odgrywamy pewną rolę w planach

tanatologów. Albo potrzebne im jest wsparcie ARMIDORNU, albo chcą nam coś sprzedać. Coś, co jest tak wielkie, tak wspaniałe, że warte jest w ich oczach poniesienia wszelkiego ryzyka.

– A jeśli i to, i to okaże się prawdą?

– Zobaczymy – odparła Sorollo. – Jeszcze tylko dziesięć dni, w ciągu których Kitarzy dokonają kolejnych niepokonanych ataków, siejąc panikę w sektorach Łysego Wora. Dziesięć dni oznacza śmierć miliardów istnień w co najmniej czterdziestu wyniszczonych światach. Dopiero po upływie tego czasu Turil będzie egzystował jako całość.

Młody grabarz stanowił, być może, rozwiązanie wszystkich ich problemów. Musiał nim być. A jeśli nie – Sorollo otrzymała jednoznaczne wskazówki, o których jej debilny partner nie miał najmniejszego pojęcia...

## 20. LECZENIE I REKONWALESCENCJA

Po jakimś czasie ból ustąpił. Turil mógł oddychać. Miał tchawicę, jamę gardłową, możliwość układania głosek w poszczególne słowa. Cieszył się, że może mówić sam, bez mechanicznego wspomagania.

– W końcu ci się udało – powiedział Pschoim, stojący, jak zawsze, obok.

– Kiedy będę mógł opuścić basen?

– Musimy spowodować zanik sztucznych organów skrzelowych i przyzwyczaić twoje płuca do większego obciążenia. Myślę, że potrwa to jeszcze parę godzin.

Turila dręczył zielony odcień przed oczami i nieprzyjemny ucisk na powiekach. Ale przede wszystkim chciał się podrapać w co najmniej tysiącu miejsc. Musiał jednak wytrwać w niewygodnej pozycji, wisząc nieruchomo jak mucha w pajęczynie.

– Co się stało z GELFAREM?

– Odbywa kwarantannę. Od ciebie zależy, co się z nim stanie.

– Jestem... czysty?

– Tak czysty, jak nigdy w twoim dotychczasowym życiu. Nie ma już w twoim ciele żadnej sondy, żadnego programu wirusowego, żadnej nanomaszyny.

Turil poczuł bezgraniczną ulgę – a mimo wszystko nadal nikomu nie ufał. Sfera statku manipulowała nim i kontrolowała go przez całe lata. Kto mógł mu teraz zagwarantować, że w ramach odnowy jego organizmu społeczność tanatologów nie czyni czegoś podobnego? Może chcą mieć nadzór nad jego zmysłami?

– Ta dwójka gości... Ciągle jeszcze na mnie czeka?

– Tak.

– Muszę dużo dla nich znaczyć.

– Tak, jak dużo znaczysz dla mnie.

Pschoim wypowiedział te słowa zimnym głosem, bez emocji, a w umęczonym Turilu prysła nadzieja na wzbudzenie w sobie choć namiastki sympatii. Słowo „znaczyć” w języku grabarzy oznaczało niemal to samo, co „żyć”. Pieniądze, poważanie, sława, interesy – wszystko inne nie było takie ważne. Czego chcieli od niego

tanatolodzy, a czego pomocnicy Kixa Karambui? Czy potencjału gniewu, pozwalającego na przekraczanie granic i opieranie się GELFAROWI nawet przy odczuwaniu ogromnego bólu? Czy może wiedzy, zasobu informacji, skompletowanego podczas pobytu na Faurum? Czy sądzono, że dowiedział się czegoś więcej na temat Kitarów niż tylko tych dwóch słów? „Queresma” i „Sechsen”.

Chwila opuszczenia basenu wciąż nie nadchodziła. Dziesiątki naukowców i lekarzy, będących przedstawicielami mniej więcej tyluż grup etnicznych, opiekowały się nim, kontrolowały przebieg jego wyzdrowienia i męczyły niezliczoną liczbą pytań, które miały udokumentować fizyczne i psychiczne odrodzenie Turila. Aż nastąpił moment, w którym coś w rodzaju dźwigu pochwyciło go i wyciągnęło z pojemnika z zieloną cieczą.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem o podobnym przypadku – mruknął jeden z medyków zajmujących się terapią psychiczną.  
– Po prostu tego nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz? – zapytał Turil, chociaż przeczuwał odpowiedź.

– Powinieneś dawno nie żyć. Zostałeś zaatakowany złośliwymi wirusami, bakteriami rozkładającymi komórki, narkotykami, które unicestwiają świadomość i nanomaszynami w układzie krwionośnym. A mimo wszystko...

Co go obchodziło, czy lekarze wierzyli w cuda?

– Jak długo jeszcze? – zapytał i, jak zazwyczaj, nie otrzymał odpowiedzi. Pytanie wywołało wręcz przeciwny skutek. Każda z zajmujących się nim osób nagle czegoś od niego chciała. Kazano mu się podnieść, poskakać na jednej nodze i jednocześnie wetknąć palec do nosa. Smarowano gęstymi maściami niezagojone do tej pory rany, testowano odporność Turila na bodźce świetlne – i wymagano powtórzenia testów, ponieważ wyniki były zbyt zadowalające.

Gdy Turil w końcu przyjął do wiadomości, że znowu jest sobą, od razu poczuł się lepiej. Mimo że zabarwienie jego skóry było trochę inne i nie było na niej małych blizn po ranach, które nabył podczas długoletniego wykonywania zawodu. Miał teraz

bladoszarą skórę noworodka. Ale czucie pozostało takie samo, a koordynacja nie sprawiała mu jakichkolwiek problemów.

– Dosyć! – rozkazał Pschoim stanowczym głosem pod koniec męczącego dnia. Umilkł szczebiot, pokrakiwanie i wszelkie inne odgłosy wydawane przez naukowców. Na skinienie ojca wszystkie roboty opuściły salę, członkowie konsylium, jak wypłoszone stado ptaków, też skierowali się ku wyjściu, zabezpieczając laboratorium. Nastał spokój.

Pschoim usiadł na krześle naprzeciwko Turila, zakładając nogę na nogę, po czym, podwinąwszy płaty skórne na czole, zmierzył go badawczym spojrzeniem.

– Zrekonstruowaliśmy cię w całości – oznajmił cicho. – A teraz musimy porozmawiać o tym, dlaczego to zrobiliśmy.

– Powiedz mi. – Turil wycierał się ręcznikiem. Następnie, strzelając palcami, przywołał do siebie coś, na czym można było usiąść. Miał zawroty głowy.

– Uważam za stosowne, żebyś to ty zaczął opowieść. Jak i dlaczego wytrzymałeś ataki GELFARA oraz wszystkie męki podczas procedury rekonstrukcji?

Turil się uśmiechnął. Mimowolny grymas sprawiał mu jeszcze trudność, ale powtarzany kilkakrotnie podczas ostatnich paru godzin uparty trening mimiki dawał już efekty. Mięśnie przestawały się opierać.

– Jeśli chcesz, żebym okazał ci wdzięczność za przywrócenie mnie do życia, nie licz na to. Czegoś ode mnie chcecie. Inaczej nigdy nie zadałbyś sobie tyle trudu, prawda?

– Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Ciągle jeszcze jesteś jednym z nas. – Pschoim kołysał nogą. Oznaka zdenerwowania, zauważył Turil.

– Byłem tanatologiem. I ani myślę podejmować raz jeszcze smutnej egzystencji grabarza. Nie wysilaj się, ojcze! Groźby na nic się nie dadzą. Już nie. Przez ostatnie dni przeżyłem taki horror, że wszystko, co mogłoby jeszcze po nim nastąpić, to tylko drobny szczegół!

Pschoim, jakby akceptując jego słowa, skinął powoli głową w niemal poddańczym geście.

– Nie chcę ci niczym grozić, synu. Sam musisz zdecydować, gdzie twoje miejsce.

– Powiedz mi! – zażądał Turil jeszcze raz. – Dokąd mam pójść? Mam czas i jestem dobrym słuchaczem.

Pschoim zawahał się, lecz odezwał dopiero wtedy, kiedy wydało mu się, że Turil chce powstać i wyjść z sali.

– Dobrze, powiem ci, o co chodzi. Czy masz coś przeciwko temu, żebym przywołał Sorollo i Ofenau?

– Wszystko mi jedno.

Co to za gra? Dlaczego Pschoim chce, żeby akurat te dwie istoty, najwierniejsi towarzysze Kixa Karambui, były świadkami ich rozmowy? W międzyczasie dowiedział się, jak funkcjonują. Sektory świadomości dzielące jedno ciało; prawdopodobnie prekursorzy przyszłych systemów społecznych.

Kseniaci weszli do środka, nie wydając żadnego odgłosu. Kobieta o imieniu Sorollo przypatrywała się Turilowi z wielkim zainteresowaniem. Przez moment poczuł w sobie coś w rodzaju cielesnej żądzy, chęci posiadania kobiety. Tyle czasu minęło, kiedy ostatni raz...

Mężczyzna z kolei, Ofenau, sprawiał wrażenie niepewnego. Stał ze spuszczonym wzrokiem, zawsze o krok za swoją partnerką. Między nim a młodym tanatologiem istniało osobliwe podobieństwo. Para Kseniatów zajęła miejsce na kanapie.

– Żyjemy w emocjonujących czasach – zaczął Pschoim. – Być może będziemy wkrótce świadkami końca wszystkich cywilizacji Łysego Wora. A z całą pewnością finał naszej rozmowy będzie oznaczał koniec egzystencji przynajmniej jednego ludu. Do ciebie, synu, należy decyzja, czyim losem zechcesz pokierować: naszym – grabarzy – czy istot zwanych Kitarami.

## 21. PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ, A PRZEDE WSZYSTKIM: QUERESMA

43 LATA TEMU

GELFAR walczył zaciekle z Pschoimem. Robił to w taki sam sposób, w jaki wcześniej zmagał się z przedstawicielami pokoleń jego antenatów.

– Staje się coraz bardziej bezczelny – powiedział grabarz. – Nie cofa się przed niczym.

– Zamknij się – skarciła go Kakari. – Jeszcze nas usłyszysz.

– To już dawno nie ma znaczenia. Wie, że my wiemy, a my wiemy, że on wie. Nieprawdaż? NIEPRAWDAŻ?

GELFAR milczał, zaznaczając swą wszechobecność inaczej, w bardziej subtelny sposób – kilka przedmiotów ustawionych w reflektorium zaczęło szumieć i brzęczeć. Wszystkie były wyposażone w minikamery, urządzenia nasłuchowe i inne aparaty kontrolne.

– Chce nas stąd wygonić i domaga się innego sternika, którego sam sobie wybierze. Kogoś, czym rozumem będzie w stanie zawładnąć i przez to pozbawić go wolnej woli.

– Według dzisiejszego stanu rzeczy ma do tego pełne prawo. Wiesz, co ze mną jest. – Kakari nachyliła się ku Pschoimowi. W tym pełnym oddania geście mógł odczuć bliskość jej ciała.

Tak... Pschoim wiedział o tym nie od dzisiaj. Jego żona była bezpłodna. Stała się bezpłodna. Wpływ na to miało, według GELFARA, promieniowanie kosmiczne, którego działanie niekorzystnie odbiło się na funkcjonowaniu jej dróg rodnych. Każde poczęte in vivo dziecko umarłoby w jej łonie lub przyszło na świat jako mały debilek. Tak właśnie miało obumrzeć rosnące od stuleci drzewo genealogiczne Pschoima.

Nienawiść grabarza nie miała granic. Tylko wielkim wysiłkiem woli udawało mu się utrzymywać pod kontrolą emocje. Do tej pory zgromadził wiele dowodów, świadczących o wyłącznej odpowiedzialności GELFARA za powstałe szkody genetyczne. Sfera statku nawet nie zadała sobie trudu zatarcia śladów. Zachowywała się tak, jak gdyby już wygrała tę nierówną walkę i wolno jej było

publicznie rozkoszować się triumfem. Jednak on nie był jeszcze gotów zaakceptować przegranej, jeszcze nieprędko! Pochodził z prastarego rodu, jako jeden z nielicznych wiedział, jakie relacje panują między grabarzami a sferami statków. Nie wolno im było stracić kontroli nad GELFAREM i jego braćmi...

– Zrobimy przerwę – powiedział Pschoim cicho. – Przysługuje nam ona. Tak jak zapisane jest w statucie naszego ludu. Zresztą GELFAROWI potrzebny jest kapitalny remont. Zatrzeszczą się o niego na Szarym Dworze Pokoju. Gremium nie będzie miało nic przeciwko temu, żebyśmy wzięli urlop małżeński na trzy lata. Poszukamy sobie ładnej planetki, z dala od wszystkich interesów. Należy pokładać nadzieję w naturze. Być może uda jej się dokonać czegoś, co jest niemożliwością dla nowoczesnej medycyny...

– Śmiechu warte! – zaprotestowała Kakari. – Czego mam szukać na jakimś zapuszczonym świecie? Oczekujesz ode mnie, żebym oddychała powietrzem zakażonym wirusami i bakteriami, żebym zadawała się ze zwierzętami? Z jakimiś obcymi istotami?

– Zawsze nieźle dawałaś sobie radę z kreaturami GELFARA.

– Bo to tylko impulsy energetyczne, które nie śmierdzą i nie hałasują! I które mogę wyłączyć, kiedy tylko mam ochotę!

– Będziesz mi posłuszna, Kakari! Nie powinniśmy pozbawiać się tej szansy. Kto wie, czy... Czy nie stanie się cud.

Żona Pschoima długo milczała, zanim odezwała się ponownie.

– Jestem tobie posłuszna, ponieważ wykupiłeś mnie z mojego rodzinnego domu i zawsze będę do twojej dyspozycji. Ale nie oczekuj ode mnie, że w jakikolwiek sposób uzyskam moją przychylność i zrozumienie.

– Z tym będę mógł żyć – odparł Pschoim, czując w sercu ciężar. Jego żona nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zależało mu na jej uznaniu i jakiego poświęcenia wymagał od niego rozdźwięk między nimi. Jednak ich lud i jego dalsze istnienie były o wiele ważniejsze niż szczęście pary małżonków.

Ucieczka w trzyletni urlop była ich ostatnią szansą. GELFAR znał prawo tanatologów aż nazbyt dobrze i wiedział, że nie może nic zrobić, aby temu zapobiec. Gdy zadokuje na Szarym Dworze Pokoju, będzie czekać, aż Kakari i Pschoim wrócą i przyznają się do porażki.



Dopiero wtedy będzie mógł złożyć wniosek o odwołanie Pschoima z jego funkcji, przechylając tym samym szalę konkurencyjnej dominacji grabarzy i sfer statków odrobinę na korzyść tych ostatnich. Dla GELFARA jeden rok znaczył tyle samo, co jeden dzień, o czym jego właściciel dobrze wiedział. Statek był w stanie na nich czekać i będzie czekał. I robi to nawet chętnie, bo Szary Dwór Pokoju stanowił dla niego coś w rodzaju statku – matki.

#### 42 LATA TEMU

Jako miejsce na urlop małżeński Pschoim wyszukał dla nich świat Habercainu, a jego żona musiała zaakceptować wybór. Pozostawili za sobą wszystko, co mogło przypominać im o GELFARZE; od gremium dostali do dyspozycji gondolę transportową.

Na Habercainie zakwaterowali się w bazaltowej twierdzy Gracht, pływającej po ognistym oceanie o nazwie Eybenyu. Ten mały kontynent miał być przez następne trzy lata ich domem.

Panujący tutaj skwar był w rzeczy samej czymś, do czego trzeba się było przyzwyczaić. Ku ubolewaniu Kakari, musieli także przystać na skromne warunki mieszkaniowe. Jednak, w mniemaniu Pschoima, bujność tutejszej przyrody wynagradzała wszelkie niewygody i wyrzeczenia.

Warunki klimatyczne na Habercainie wymagały od tubylców niezwykłych zdolności przystosowawczych i były powodem licznych mutacji. Życie na planecie musiało się odnawiać co kilka dziesięcioleci. Ksalifowie, podobne do pajaków ośmionogie istoty, mierzące około metra wzrostu, przejdą prawdopodobnie podczas następnej dekady kolejną mutację, jeśli będą mieli zamiar przetrwać nadciągającą fazę planetarnego ochłodzenia. Jak później będą żyli, jak będą wyglądali – na to pytanie nikt do tej pory nie mógł udzielić wyczerpującej odpowiedzi. A już najmniej oni sami.

– Dlaczego walczyacie z tymi humańskimi Loga-Wanicami? – zapytał Pschoim sprawującego władzę nad twierdzą mafatiego.

– Wymusili na nas wojnę, której nie chcieliśmy – westchnął pajakopodobny. Uderzył znajdującym się na odwołku żądłem, zagłębiając je na dobry metr w ziemię, i wessał życiodajną pakę lawową. Niestrawione resztki od razu aglutynowały; były dobrze

widoczne we wnętrzu półprzezroczystego ciała. Mafati wypluł je tylną trąbą do pospiesznie wygrzebanego dołka. – Loga-Wanice to ekspansywny lud. Przy tym, oni sami nie mają pojęcia, jak wykorzystać naszą planetę. Nie posiadamy nic, co mogłoby wzbudzić ich zainteresowanie. Wy, Humani, jesteście dziwnymi stworami i dziwię się, że mimo waszego dążenia do samounicestwienia rozprzestrzeniliście się tak licznie po całym Łysym Worze.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu innych Humanów – powiedział Pschoim, wyraźnie się dystansując. W zachowaniu Ksalifa było coś irytującego, jednak grabarz nie mógł jednoznacznie zdefiniować co. – Poza tym, nie jestem upoważniony do osądzania kogokolwiek.

– Wiem, wam, grabarzom, brakuje odwagi, żeby opowiedzieć się po czyjejś stronie. – Mafati, którego imię brzmiało Drira Tongon, wydalil ze swego ciała jeszcze kilka ostygłych kawałków lawy. – Lubicie ukrywać się za swoimi prawami i przepisami.

– Nie jesteśmy tchórzami! – Pschoim ledwie tłumil oburzenie. – Nie masz pojęcia, jak często występujemy w roli mediatorów między ludami i zapobiegamy wojnom.

– Bo wam za to płacą. Nie jest to waszą misją. – Drira Tongon odwrócił się tyłem, wyrażając swoją pogardę. – Odwaga oznacza odpowiedzialność i stawanie po stronie spraw, co do których jest się przekonany, że są właściwe. I to pomimo wszystkich czyhających niebezpieczeństw. Powiedz, jakie normy etyczne przyjmujesz jako zasadne?

– Każdy naród, każdy lud ma na ten temat różne poglądy – z wykrętnej odpowiedzi Pschoima emanowała życiowa mądrość nabyta podczas długoletniej i intensywnej pracy.

– A jakie poglądy ma twój lud?

Pschoim milczał. Myślał. Nie wiedział! W swoim życiu widział i przeżył niejedno. Poznał hasła – prawdziwe i nieprawdziwe – które miały jakiś sens tylko z subiektywnej perspektywy. Tanatolodzy opowiadali się jednak za obiektywizmem. Odejście od niego skutkowałoby niezadowoleniem ich klientów z wykonywanych zadań. A wtedy...

– Czy mógłbyś nas zostawić teraz samych, o czcigodny mafati? Możemy podyskutować na ten temat innym razem?

– Oczywiście. – Drira Tongon, przedstawiciel jak najbardziej przyjaźnie nastawionego ludu, zgiął trzy ze swoich ośmiu kolan w pożegnalnym geście i opuścił wynajętą jaskinię mieszkalną.

– Możesz już wyjść – zawołał, odwracając się, Pschoim.

Z głębi pomieszczenia wynurzyła się Kakari i zbliżyła się do męża, idąc tyłem. Od czasu lądowania na Habercainie nawet na niego nie popatrzyła, nie mówiąc już o spoglądaniu na tubylców. Było to wprawdzie zgodne z obyczajem tanatologów, ale Pschoim wciąż miał nadzieję, że stosunki pomiędzy nimi dwojgiem mają szczególne znaczenie, a ich wzajemna sympatia weźmie wreszcie górę nad konwenansami.

– Dziś wieczorem spróbujemy ponownie – oznajmił. – Przygotuj się do kopulacji.

– Oczywiście, panie.

– Byłoby miło, gdybyś zadbała o odrobinę nastroju.

– Oczywiście, panie – powtórzyła Kakari i odpłynęła. Jak duch, jak kreawatar. Ostentacyjnie okazywała mu brak zainteresowania. Pozbawiała go emocjonalnego ciepła, pomagającego mu wytrwać w pełnym okropności żywocie tanatologów.

Kakari wróciła. Znowu stawiała te dziwne kroki do tyłu. Jej zachowanie zaczynało go irytować.

– Potrzeba mi nowych porcji – oznajmiła cichym głosem. – Zapasy opcji na kaut się kończą.

– Już?

– Nie waż się robić mi wymówek! Ty dostaniesz to, na co masz ochotę, a ja dostanę coś, co pomoże mi przetrwać mój los. Taka była umowa.

Tak, taka była umowa, pomyślał Pschoim z ciężkim sercem.

– Postaram się, żebyś dostała substancję na czas.

– Bardzo dziękuję. – Kakari skinęła lekko głową i znikła ostatecznie w oddzielonej sztucznej mgłą tylnej części jaskini.

Co ja zrobiłem?, zadawał sobie pytanie, przerażony. Jak mogłem dopuścić do takiej sytuacji?

41 LAT TEMU

W trzysta dwunastym dniu po przybyciu na Habercain, Pschoim zauważył wśród mieszkańców planety pewien niepokój. W Grachcie zebrali się przedstawiciele różnych bazaltowych twierdz. Dla grabarza zasada niemieszania się w nieswoje sprawy była święta od zawsze. Mimo palącej ciekawości, nie zawracał sobie głowy Ksalifami – zbierającymi się na drogach, zlepiającymi się w kłębki i wymieniającymi między sobą informacje przez wzajemny dotyk odpowiednich miejsc ich ciał. Kiedy chaos przybrał na sile, po prostu zamknął się w swojej jaskini, a gdy natrętne pukanie i stukanie do bramy stało się zbyt gwałtowne, założył sobie i Kakari na głowy redukujące hałas ochronne czapki.

Na próżno. Ksalifowie zamachnęli się odwołkami i wbili żądła w bazaltową skałę bramy. Jej szczątki zręcznie odsunęli na bok elastycznymi ruchami skłębionych ciał, torując sobie tym samym drogę do wnętrza domostwa pary tanatologów.

– Zostawcie nas w spokoju! – zawołał Pschoim. Nie odczuwał lęku. Kaut był w zasięgu ręki, jego broń również. W ciągu sekundy był w stanie przenieść swoją żonę i siebie na pokład gondoli transportowej, unoszącej się na stacjonarnej orbicie.

– Nie możemy – odparł element kłębowiska, odczepiając się od reszty. Okazał się nim Drira Tongon, dobrze rozpoznawalny dzięki zdobiącym jego nogi pierścieniom. Skłonił się w geście pokory. – Potrzebujemy twojej pomocy. Od zaraz.

Pschoim z ulgą zdjął rękę z broni. Lubił Ksalifów ze względu na ich uczciwy, choć skomplikowany sposób bycia. Nie miał chęci stawiać im czoła.

– Chcecie dać mi zlecenie? – zapytał.

– Nie. – Drira Tongon otworzył znajdujący się u boku jego kolorowego pasa pęcherz, z którego wyslizgnęło się jajo danych. Uderzając o ziemię, rozbiło się, a z jego wnętrza wydostała się migocząca mgiełka, która znienacka ułożyła się w trójwymiarowy wizerunek wielkiego nieznanego obiektu.

– Prosimy cię o pomoc. Jesteś naszym gościem, więc byłoby nieładnie, gdybyś nam odmówił albo zażądał zapłaty za przysługę...

– Rozumiem. – Ksalif chciał dokonać handlu wymiennego. Niby nic, ale mimo wszystko trudno było Pschoimowi zaakceptować

merkantylny sposób myślenia tego ludu. – Czego potrzebujecie?

– Wczoraj w oceanie Eybenyu wylądował awaryjnie jakiś statek. Dociąga akurat do wybrzeża Grachtu i nie odpowiada na próby nawiązania kontaktu. Kiedy straż zbliżyła się doń na, bądź co bądź, dobrze opancerzonej łodzi zwiadowczej, jego załoga otworzyła ogień, uśmiercając naszych. Zginął cały oktat...

Kłęb Ksalifów przysłuchujący się rozmowie potarł nerwowo swoje ciało, wyrażając oburzenie. Tak po prostu osiemdziesięciu współbraci spotkała śmierć!

– Dlaczego nie poprosicie o pomoc ARMIDORNU? Albo członków jakiegoś świata najemców?

– Ponieważ istnieje groźba wybuchu otwartej wojny z Loga-Wanicami. ARMIDORN nigdy nie będzie się mieszać w ciężkie konflikty zbrojne, a ten jego robot, sekretarz generalny, jest zbyt słaby, aby z całą stanowczością przeforsować swoją ideologię pokojowego współżycia wszystkich ludów Łysego Wora. – Drira Tongon stanął na tylnych nogach, ukazując purpurową, napęczniałą ze strachu dolną część tułowia. – Na najemników nas nie stać. Zresztą w ogóle nie chcielibyśmy ich u nas. Sam wiesz, że ich wizyta przyniosłaby więcej szkód niż korzyści.

Tak, o tym Pschoim wiedział aż nadto dobrze. Rządy niektórych planet zasiedlonych przez wojowników pozawierały intratne umowy z gremiami tanatologów. Ze zrozumiałych względów do kontraktów broniono dostępu, ponieważ zawierały wątpliwe ustępy, niemające nic wspólnego z obiektywizmem. Ich bezstronność była jedynie propagandowym hasłem. Zawsze istniała jednak jakaś swoboda działania – którą tanatolodzy umiejętnie potrafili wykorzystać.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał z wahaniem.

– Postaraj się, żeby nikt nie doznał szkody.

– Jak mam to zrobić, Driro Tongonie? Nie mam przy sobie ani mojego wyposażenia, ani sfery statku.

– Myślisz, że dam ci jakieś wskazówki? To ty jesteś grabarzem! Kto, jeśli nie ty, potrafi najlepiej ocenić sytuację i doprowadzić do załagodzenia konfliktu?

– Dobrze. Zajmę się tym – powiedział Pschoim, głaszcząc Ksalifa po brzuchu.

Ciało Diry Tongona zabarwiło się z radości i ulgi na piaskowy kolor.

– Dziękuję ci, grabarzu. Święte płomienie niech będą z tobą!

Zanim Pschoim skierował gondolę w stronę morza lawy, pogrzebał trochę w archiwach. Kształt osiadłego na mieliźnie statku był mu dobrze znany. Takich jednostek używał tajemniczy lud, zwany Kitarami, który co jakiś czas pojawiał się w odległych zakątkach Łysego Wora, czyniąc obserwacje, i zaraz potem znikał, nie reagując na próby nawiązania kontaktu. Plotki głosiły, że tu i ówdzie dochodziło do pojedynczych starć między przybyszami a tubylczymi ludami, z których zawsze zwycięsko wychodzili Kitarzy. Pschoim ze złością musiał stwierdzić, że Szary Dwór Pokoju nie udostępniał żadnych danych na temat intruzów. Kitarów okrywała jakaś szczególna tajemnica, a akurat teraz grabarzowi zależało na każdej informacji dotyczącej zagadkowego plemienia.

Wszechobecna mgła, wywołana nieustannymi wyziewami z głębi oceanu, utrudniała widoczność nad Eybenyu, ale przyrządy pomiarowe tanatologa bez trudu namierzyły dryfujący kitarcki statek. Jego krawędź mierzyła dobre sto metrów, lecz wysokość ciągle się zmieniała – od kilku centymetrów do kilkudziesięciu metrów. Z sekundy na sekundę również powierzchnia pojazdu ulegała nieustającym zmianom. Chromowane gładkie ściany stawały się co chwila popękane i chropawe.

Pschoim poczuł lęk. Głęboko odczuwalny strach. Tam, na oceanie, było coś, czego w ogóle nie powinno na nim być. I to coś walczyło o przeżycie. Gdybyż tylko był tu GELFAR, pomyślał, i jeszcze prędzej, z przerażeniem, odrzucił tę myśl. Wcale nie jest zależny od sfery statku i zaraz to udowodni!

Obcy obiekt nie reagował na znaki, które Pschoim wysyłał w przeróżny sposób w celu nawiązania kontaktu. Kołysał się, unoszony wielkimi falami i rzucały nim o powierzchnię wzburzonego morza. Kilka razy obsypał go grad kawałków stężałej magmy, wyplutych na setki metrów w górę przez erupcję wulkanu pod płynną lawą.

Pschoim zbliżał się ostrożnie. Nadal wysyłał sygnały rozpoznawcze, i, wskazując na swoją przynależność do klanu grabarzy, wykonywał projekcje przesłań tuż przed statkiem Kitarów – w nadziei na jakąkolwiek reakcję z ich strony.

Strach był nie do zniesienia. W egzystencji tego otoczonego gorącym pojazdu nie było nic naturalnego. Epatował on obcością i... Nadwymiarowością? Pschoim czuł obecność jakiejś istoty, jej mentalną siłę odbierał jako wzrastające w nim ciśnienie. Całym ciałem zapragnął nagłe zawrócić, zabrać żonę i na wsze czasy opuścić tę planetę. Ale, pomyślał, obiecałem, że wykonam powierzone mi zadanie. A tanatolog zawsze dotrzymuje słowa.

Zatrzymał kapsułę transportową, która w porównaniu z GELFAREM była tylko mizerną łupiną, bezpośrednio przed obcym statkiem. Zapora z włókien energetycznych zapewniała mu jako takie bezpieczeństwo. Była to tania kopia systemów obronnych GELFARA, ale, mimo wszystko, Pschoim uspokoił się nieco. Rozwarł właz i wyszedł na pokład gondoli. Wokół niego o metal rozbryzgiwała się wrząca lava. Zatechłym oparom przeciwstawił filtry chłonne, a ze względu na wywołujące litry potu wysokie temperatury, założył na siebie prosty ochronny skafander.

Z bliska ogarnął wzrokiem błyszczącą powierzchnię obcego statku. Sprawiała wrażenie jeszcze potworniejszej niż widziana z dystansu. I jeszcze groźniejszej.

Wyrzucił w powietrze setki miniszpiegów, zlecając im pomiary statku z bezpośredniej odległości. Obiekty wielkości palca odfrunęły. Niektóre zanurzyły się w lawie, inne wzleciały w górę, a jeszcze inne przyssały się do metalowej powierzchni pojazdu Kitarów, żeby zaraz potem zsunąć się po niej jak po równi pochyłej.

– Błąd we wszystkich funkcjach – wymamrotał Pschoim. Dziesięć razy... Sto razy i więcej z ręcznie sterowanego centrum dowodzenia otrzymywał ciągle ten sam meldunek. Żadnemu szpiegowi nie udało się przekazać nawet najmniejszej informacji o niezwykłym statku. Pschoim nie dowiedział się niczego o składzie molekularnym metalicznej powłoki ani o systemach obronnych bądź o źródłach energii, które musiały znajdować się we wnętrzu gwiazdznego pojazdu.

– A więc dobrze – mruknął. – Jeśli nie chcecie inaczej...

Sprawdził swój arsenał, zastanawiając się, w jakim kierunku odpalić pierwszy strzał. W stronę jednego z rogów czy gładkiej ściany, którą opluskiwała lawa podczas uderzenia każdej większej fali...

Wtem rozległ się przeraźliwy pisk, do bólu przenikliwy, niemal rozkładający szpik kostny. A niewyraźnie brzmiący głos rozkazał:

– Wejść!

Z chromowanej płaszczyzny wyodrębniła się sylwetka Humana i wskazała na okągły, dopiero co powstały, otwór w ścianie.

Pschoim, jak w transie, wykonał polecenie. Zacumował przy statku Kitarów i korzystając z energetycznych raków, wspiął się po kilkumetrowej pionowej krawędzi. Gdy dotarł na wskazane miejsce, błyszcząca postać wprowadziła go do środka.

Sunął przez fokusy różnokolorowych świateł, czuł przenikające go dziwne siły i to, że zostaje sprawdzany, ale nie rozumiał sensu tych badań. Jego kodeks honorowy również został poddany próbie, podobnie jak oddanie zawodowi, przyzwoitość, moralność i świadomość higieniczna. Słyszał, jak odpowiada na pytania – nie rozumiejąc ich istoty i celowości – a w następnym momencie zapominał, czego nieznajomy (bądź nieznajoma) od niego chciał.

W końcu dotarł do pomieszczenia, które pojął. Do tej pory wisiał jedynie gdzieś w przestrzeni, bez czucia i bez zmysłów. Lecz teraz powróciła zdolność postrzegania, mówiąc mu, że znajduje się we wnętrzu statku Kitarów.

– Wynik testu pozytywny, zdał na trzysta procent – rozległ się mechaniczny głos. – Rezultat lepszy od dotychczasowych. W tych okolicznościach ten organiczny kłęb wydaje się być najlepszą alternatywą.

Organiczny kłęb. Czyżby mówiono o nim? Pschoim milczał. Nie miał siły podejmować dyskusji, a już na pewno – protestować.

– Jednostka surogatu będzie zaznaczona i oddana kłębowi, a następnie proces autodestrukcji zostanie doprowadzony do końca.

– Ja...

– Ty będziesz milczeć, podrzędna istoto! Będziesz słuchać i wypełniać moje polecenia!



Pschoim, ulegając mocy głosu, skłonił się pokornie przed wszechobecną boską energią, zmuszającą go swą obecnością do padnięcia na kolana.

– Weźmiesz jednostkę surogatu do siebie i zapewnisz jej ochronę. Dasz jej formę, która jest po twojej myśli, i ukryjesz ją. Twoim zadaniem będzie strzeżenie jej przed jakimkolwiek wypadkiem. Nie zapominaj o jej głodzie wiedzy i ucz ją. Żeby mogła odegrać później swoją rolę, podczas nauki potrzebna jej będzie silna ręka. Gdy nadejdzie czas, ktoś ją odbierze. Daj mu ten sceptynat, a ten ktoś oszczędzi twoje życie. – Znikąd wypadł zniecka dysk wielkości dłoni. Był nieprzyjemnie ciepły. – Jednostka surogatu odpłaci ci za tve zaangażowanie. Przez swą osobowość sprawi ci radość bądź wywoła inne uczucie, które odczuwasz jako pozytywne. Bądź wdzięczny za obarczenie cię tym zadaniem. Bądź pokorny, wypełniając je. A teraz zabierz ze sobą powierzonego ci i opuść samojednostkę ciała. Jestem zmęczony. Zraniony.

Ręce Pschoima wyciągnęły się niezależnie od jego woli. W zagięciu prawego łokcia coś wpadło, przylegając jak posmarowane klejem. To coś żyło i teraz kręciło się we wszystkie strony, jak gdyby dotyk Pschoima wywoływał w nim głęboką traumę. Podobna do gazy chusta, szczelnie owijająca stworzenie, uniemożliwiała rzucenie nań okiem. Trzymaj je, powiedział do siebie grabarz, nie możesz pod żadnym pozorem tego upuścić.

Nie wiedział, czy to jego własne myśli, czy wpływ czyhającego w pobliżu Kitara, próbującego czynić to, co nieustannie robił GELFAR – oddziaływać na psychikę Pschoima.

Zebrał się do odejścia. Przechodził drogę, którą nie przyszedł, ponownie krocząc w świetle, którego spektrum nie było prawdziwe; zniekształcone wywoływało psychodeliczne efekty. Pschoim doznał nieznanych mu mdłości. Chciał wymiotować, ale nie był w stanie. Chciał przystanąć i się poddać, ale mu nie pozwolono. Chciał wyrzucić z siebie złość w przeogromnym krzyku, ale nie mógł wydać z siebie głosu. Odebrano mu wszelką godność. Nie pozostało mu nic innego, jak tańczyć na sznurkach pociąganych przez istoty zwane Kitarami.

Po jakimś czasie męka się skończyła i Pschoim znowu mógł zaczerpnąć w płuca stęchłego powietrza Habercainu. Błyszcząca metalowa powierzchnia, na której z trudem udawało mu się zachowywać równowagę, była teraz rdzawoczerwona. Niczym grudy lodu z topiącego się lodowca, odpadały od niej całe połamane metalu i tonęły w morzu lawy. Pschoim przywołał gondolę. Przybyła po chwili, opuszczając się na dostateczną wysokość, nie dotykając jednak powierzchni kitarckiego statku, jakby odczuwając strach przed obcym ogromem.

Pschoimowi zaczęły ciążyć ramiona. Wokół niego trzeszczało, huczało i bulgotało. Płaszczyzna, po której się dotychczas poruszał, skurczyła się do kilku metrów kwadratowych. Resztę pojazdu Kitarów pożarł ocean. Do grabarza dotarło, że jeśli w końcu się nie ruszy, i on zostanie połknięty przez gorące odmęty. To coś w jego ramionach cały czas poruszało się niespokojnie. Każdy jego ruch był jak rażenie prądem. Każdy wydany przez nie odgłos wywoływał ciarki na grzbiecie Pschoima.

Tanatolog zażył małą porcję kautu, poczuł jego natychmiastowe działanie i kilkoma wyimaginowanymi krokami wszedł po wyimaginowanych schodach do gondoli transportowej. Prymitywny pojazd jęczał i stękał. Ostatkiem sił Pschoim przejął stery, podrywając gondolę do góry, z dala od niespokojnych porywów gniewnego oceanu, z dala od skazanego na zagładę gwiazdowego statku. Unosił się coraz wyżej i wyżej, aż stratosfera planety Habercain została daleko pod nim, a widoczny w dole świat upodobił się do czerwono – brązowej kulki, której powierzchnia z tej odległości sprawiała wrażenie zupełnie nieruchomej. Dopiero teraz odetchnął.

Co takiego uczynił? Co trzymał w objęciach? Jaka moc narzuciła mu swoją wolę?

Odsunął nareszcie rąbek chusty i po raz pierwszy zerknął na to coś, co zostało powierzone jego pieczy. Otaczała je delikatna złocista mgiełka. To coś było... Było precudowne.

Istotę otaczały słowo i gest. Nie była słyszalna, nie było widzialna; odbierało się ją po prostu wszystkimi zmysłami. Pschoim

widział, czuł, dotykał, słyszał, smakował jednego jedyne go pojęcia, którego nie zapomina się do końca życia: „Queresma”.

DZISIAJ

Turil chciał się zerwać i uciec. Miał dosyć tych bzdur. Po co właściwie przystał na tę rozmowę? Czego właściwie szukał? Czemu jeszcze nie zaszył się w jakimś cichym zakątku w Szarym Dworze Pokoju, gdzie nienękany przez nikogo mógłby w spokoju zadumać się nad swym losem? Dlaczego nogi odmawiały mu posłuszeństwa, nie niosły go precz z tego miejsca, precz od znenawidzonego ojca i jego słów, które sprawiały ból niewspółmiernie większy od wszystkiego, co musiał do tej pory od niego wycierpieć?

– Zaniósłem tego... Queresmę do twierdzy Gracht i oznajmiłem Ksalifom, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane – powiedział Pschoim cichym głosem. – Wiwatowano na moją cześć, komponowano na moją cześć pieśni i proponowano mi dozgonny pobyt na Habercainie. Zniosłem wszystko bez słowa sprzeciwu.

– Znam to – przerwał mu Turil szorstko. Sam w życiu musiał znieść niejedną taką ceremonię. – Co się stało z Queresmą? – wydusił z siebie nareszcie.

– Zabrałem to... go ze sobą do naszej mieszkalnej grotty i pokazałem Kakari. Najpierw przyglądała mu się z mieszanką wstrętu i zainteresowania, podobnie zresztą jak ja. Ale później...

– Tak? – Serce Turila biło mocno. Myślał, że lada chwila padnie martwy.

– Nie mogliśmy uciec przed oddziaływaniem Queresmy. W istocie, był szczególny. Ani martwy, ani żywy, ani dobry, ani zły, ani stary, ani młody. Był uformowany w jakiś niepojęty sposób, nie posiadał wpojonej świadomości. W pewnym sensie był podobny do płodu. Być może spoczywał w pojeździe Kitarów przez wieczność, cały czas w oczekiwaniu na wkroczenie do akcji. Mniej więcej na takiej zasadzie, na jakiej my używamy mózgow statków do naszych celów.

– Nie – powiedział Turil. Coś w nim drgnęło. Coś zaczynało pracować.

– A może Kitarzy transportowali go w stanie letargu z jednego miejsca na drugie?

– Nie! – Turil zerwał się z miejsca; nie mógł ustać na trzęsących się nogach.

– Być może ten Queresma był wybrańcem? Przeznaczonym do sprawowania władzy nad Kitarami, jak tylko ich dotychczasowy władca przeniesie się na tamten świat? Cóż wiemy o drogach losu, o rytuałach obcych narodów? Nawet my, tanatolodzy, znajdujący się na śmierci i darzący ją wielkim szacunkiem w jej niezliczonych odcieniach i odmianach, nie rozwikłaliśmy ani jej tajemnic, ani jej odpowiednika, drogi życia. Nie wiemy, czym jest dusza. Czy rzeczywiście niesie jakąś treść, czy, być może, jest tylko wymysłem zalęknionych duchów...

– ZAMILCZ! – krzyknął Turil, zaciskając dłonie na uszach. – Nie chcę tego słuchać. Nie...

Ramiona opadły mu bezsilnie. Nie, nie ze zmęczenia. Zrozumiał, że oszukano go na życiu, przedstawiając je jako coś, co w ogóle nie powinno zaistnieć.

– Kiedy trzymałem Queresmę w ramionach – kontynuował Pschoim – tego, którego zobowiązany byłem chronić przed niebezpieczeństwami wszechświata, postanowiłem wykorzystać nadarzącą się sytuację. Nadałem Queresmie formę. W tym celu posłużyłem się całą dostępną mi wiedzą i wszystkimi technikami danymi mi do dyspozycji jako tanatologowi. Niektóre z nich zostały wykorzystane po raz pierwszy dopiero w ramach tego... procesu produkcyjnego. Queresma stał się tanatologiem w wyniku żmudnej procedury, wymagającej wiele wysiłku i energii od wszystkich wtajemniczonych. Trzeba było dochować ścisłej tajemnicy. Tylko niektórzy, najbliżsi członkowie mojego klanu, dowiedzieli się, co tak naprawdę dokonuje się na Habercainie. Zanim powstał Queresma w dzisiejszym kształcie, minęły jakieś dwa standardowe lata. Kakari i ja wreszcie dostąpiliśmy zaszczytu posiadania dziecka, któremu nadaliśmy imię Turil.

Turil. Queresma.

Queresma. Turil.

Siedział jak skamieniały, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, niezdolny do wzbudzenia w sobie

jakiegokolwiek myśli. Powoli, bardzo powoli budził się z duchowego i cielesnego odrętwienia. Ale jak miał rozumieć słowa Pschoima?

Zerknął na Sorollo i Ofenau. Czyżby w ich wzroku odbijało się przerażenie, którego doświadczał? Nie. Patrzyli na niego, po prostu. Raz w zadumie, raz bezradnie, raz szyderczo, raz całkiem trzeźwo, a raz z odrazą. Ich branże wirowały w zmiennym rytmie, nie mogąc zdobyć się na jednomyślną opinię.

– Jestem Kitarem – wymruczał z głębi siebie Turil. – Jestem jednym z nich.

– Jesteś Queresmą – poprawił go Pschoim, któremu ciężko przychodziło kontynuowanie rozmowy. – Mimo licznych analiz, nigdy nie udało nam się dowiedzieć, kim lub czym faktycznie jesteś.

– Co właściwie charakteryzowało tego Queresmę? – zapytał Turil, jak gdyby nie chodziło o niego, a o jakąś obcą istotę. – Z czego się składał, kiedy został ci przekazany?

– Z mózgu. Z drobnych płytek kostnych, z grudki mięśniowej wielkości pięści i splotu nerwów, mieniającego się złociście, jak gdyby cały czas promieniował energią. Twoje DNA nie było podobne do znanych nam nośników genów jakichkolwiek istot żyjących. Substancja genetyczna nie wydawała się być zdolna do przeżycia lub reprodukcji, ale kiedy tylko zanurzyliśmy cię w płynie odżywczym, rozkwitłeś. – Dłonie Pschoima otwierały się i zamykały. Bezustannie. – Mięśnie zaczęły rosnać, tak samo chrząstki i kostki. Nerwy zagłębiły się w ciele i od tej chwili zaczęły nim kierować. Wyglądało to, jak gdybyś zrozumiał, że musisz w końcu stworzyć dla siebie jakieś ciało. W naszej gestii leżało jedynie upodobnienie tej powłoki do standardu społeczności tanatologów.

Niekończące się bóle w plecach i stawach... Musiały chyba mieć jakiś związek z formowaniem się nowego.

– Wykorzystaliście mnie do własnych celów. Jako syna, którego nigdy nie posiadaliście.

– Kitar nam na to zezwolił. Wręcz wymógł na nas, żeby cię ukształtował według naszej woli. Do czasu, aż przyjdą po ciebie.

– Wszystko na to wskazuje, że ten czas już nadszedł. Kitarzy niszczą Łysy Wór, bo mnie szukają. Czy tak?

- Wychodzimy z tego założenia – potwierdził Pschoim.
- Co się stało ze sceptynatem, za pomocą którego mieliście tego... innego przywołać?
- Miałem zamiar go zniszczyć. Nie udało się jednak, więc pozostawiłem go na Habercainie.
- Rozumiem – powiedział cicho Turil. – Tak naprawdę nigdy nie chciałeś wypełnić zadania zleconego ci przez Kitara. Chciałeś osiąść Queresmę, mnie, i nigdy go nie oddać. I liczyłeś się z aktywną zemstą mego ludu.
- Tak – odparł Pschoim. – Gdyby Kitarzy wrócili, sceptynat czekałby na nich na Habercainie. Chciałem, żeby ślad po Queresmie zagaśniał, a gniew Kitarów sięgnął mieszkańców Habercainu. Nikogo więcej.
- Słowa te obnażyły zimną, osobliwą logikę, cechę szczególną tanatologów. Pschoim bez chwili zastanowienia przedłożył własną korzyść nad groźbę wyplenienia całego ludu. Potrzebował dziecka, żeby przeciwstawić się GELFAROWI. A więc załatwił je sobie. Kropka.
- Dlaczego? – zapytał zrezygnowany Turil. Był zmęczony, potwornie zmęczony.
- Kiedy cię zobaczyliśmy i poczuliśmy twoją moc, stało się dla nas jasne, że nigdy cię nie oddamy. Mieliśmy nadzieję, że staniesz się kluczem do zwycięstwa w walce z GELFAREM. A może kimś więcej. A więc zaczęliśmy cię modelować...
- I dopuściliście do tego, żeby ginęły biliony istot, zabijane przez wściekłych Kitarów? Chociaż wiedzieliście, że szukają tylko mnie?
- Biliony żyć czy jedno – gdzie różnica? Wszystko wiąże się ze stratą.
- Nie usiłuj wciągać mnie w filozoficzne dyskusje! – krzyknął Turil, tracąc panowanie nad sobą. – Jak mogłeś do tego dopuścić? Nie rozumiem...
- Bo chodziło o ciebie.
- Chcesz mi schlebiać? Chcesz mi coś powiedzieć o ojcowskiej miłości, o odpowiedzialności, o życiu rodzinnym?
- Wcale nie. – Pschoim odzyskał osobowość grabarza. Bez emocji, zimny, wymagający. – Nigdy nie udało nam się ostatecznie

określić twoich zdolności, ale od samego początku wiedzieliśmy, jaki tkwi w tobie potencjał...

– Kto to jest „my”?

– Gremium Szarego Dworu Pokoju, kilku sojuszników i ja. Tanatolodzy, których imion nie wyjawię.

– Dlaczego?

– Sytuacja na Dworze Pokoju jest dosyć skomplikowana – odpowiedział wymijająco Pschoim.

– Tak też sobie myślałem. Czemu nie zadasz sobie trudu i mi jej nie wyjaśnisz?

– Być może byłoby to dla ciebie zbyt wiele. – Pschoim się zawahał. – Polecono mi dbać o ciebie. Twoja psychika...

– Moja psychika jest całkiem w porządku. Chcę wiedzieć wszystko. I to natychmiast!

Kiedy prawda o jego pochodzeniu wyszła na jaw, Turil poczuł niewysłowioną ulgę. W końcu pojął, dlaczego jego rodzice zawsze wydawali mu się tacy obcy, dlaczego obce było mu ich myślenie, dlaczego czuł się odrzucony i zawsze miał wrażenie obcości własnej osoby. Okazało się, że wcale nie był wynaturzony, wręcz przeciwnie – o wiele normalniejszy niż ci, skrupowani ciasnym gorsetem, żałośni tanatolodzy.

– A więc dobrze – oznajmił jego ojciec po krótkiej wymianie spojrzeń z Ofenau i Sorollo.

I Pschoim rozpoczął opowieść. Stopniowo coraz bardziej przyciągał uwagę Turila logicznie wyłożonymi sprawozdaniami z walki o władzę pomiędzy dwiema mocami, które nie mogły być bardziej odmienne, niż były. Wciągnął go w głęboki wir intryg, złośliwości i konfrontacji.

## 22. PSCHOIM: HISTORIA STATKU I STERNIKA

Jako pierwsi ożywili pustkę Łysego Wora sternicy i sfery statków. Ocknęli się, podejmując pracę ze świadomością, że w tym kosmicznym sektorze, który niebawem miał zacząć tętnić życiem, muszą wykonać serię ważnych zadań. Uważali się za partnerów dostarczających danych trzem stacjonarnym jednostkom-matkom: Bieli, Czerni i Szarości, zapisujących skrzętnie wszystko, co działo się w tym odizolowanym obszarze wszechświata. Po kilku dniach przebudzili się Refrakci – głupie sztuczne istoty, nauczone ledwie podstawowych czynności. Przywiązani do planety, na której przebywali, zajmowali się czynnościami monitorującymi. A kilka dni po nich na horyzoncie pojawiły się olbrzymie floty, których pogrążone we śnie załogi rozsiane zostały po oczekujących na zasiedlenie światach.

W Łysym Worze zaczęło się życie. W jednej chwili powstało trzydzieści tysięcy cywilizacji. Niektóre z nich od razu i z zaangażowaniem dostosowały się do wymagań obcego, egzotycznego środowiska. Zabezpieczyły sobie przestrzeń życiową bądź pogrążyły się w gorączkowej walce z czyhającymi w nowej ojczyźnie niebezpieczeństwami. Jeszcze inne ogarnęło spowodowane szokiem odrętwienie, niektóre zaś były po prostu zbyt słabe, żeby obronić się przed klęskami żywiołowymi. Tu rozkwitło bujne życie, tam obumarło. Trzydzieści tysięcy laboratoriów badawczych wykazało trzydzieści tysięcy różnych wyników. Im dłużej dokonywano eksperymentów, tym więcej emancypowało się ocalałych osobników.

Pełniące funkcję strażników sfery statków i ich dowódcy mieli pełne ręce roboty; było ich za mało, aby mogli doglądać pojedynczych planet przez dłuższy czas, zgodnie z dyrektywami określającymi zakres ich pracy. Mogli co najwyżej sprawdzać je wyrywkowo i polegać na danych gromadzonych przez przebywających tam Refraktów.



Jak wyglądały te dyrektywy? Nie wiemy. Nie wiemy też, od kogo pochodziły. Możemy tylko snuć przypuszczenia.

Mijał czas. Strażnikom pracy nie ubywało, wręcz przeciwnie. Niektóre z powstałych cywilizacji przemierzały kosmos, szykując się do ekspansji. Na już zasiedlonych planetach próbowały stosować środki przemocy lub korzystały z handlu, aby osiągnąć zamierzony cel. Niektórym się nie udało, niektóre rozwinęły się jednak, poszerzając swoją przestrzeń życiową. Takie było i takie nadal jest życie.

Praca strażników się skomplikowała. Podczas gdy do tej pory zajmowali się obserwacją każdego z trzydziestu tysięcy światów z osobna, teraz musieli uwzględnić ich wzajemne interakcje. Doszło do pierwszych niedopatrzeń, ale i do niedomówień między statkami a ich właścicielami. Sprzeczne poglądy na to, gdzie i jak należy wykonywać pracę, prowadziły do kryzysów, które spotęgowane zostały dodatkowo odkryciem czarnej dziury, Mantalnipa. Mantalnip wywierał mianowicie zły wpływ na najstarszą z trzech matek, Szarość. Rozwinęła ona w sobie daleko idącą samowolę, koncentrując się na własnych planach, na które godziły się bez słowa sprzeciwu Czerń i Biel. Właściwe zajęcie strażników, polegające na kontroli systemu, zeszło na drugi plan.

Dla sterników nastały ciężkie czasy. Zostali zdegradowani do rangi osób wykonujących zobowiązania, podczas gdy statki, sterowane przez Szarość, służyły jej jako instrument władzy. Jednostka-matka rozprzestrzeniała plotki, które w ciągu kilku wieków zakorzeniały się w mózgach istot inteligentnych Łysego Wora i w krótkim czasie zostawały akceptowane jako niepodważalne fakty. Rozeszła się fama o obiektywnych i zawsze neutralnych grabarzach. Dzięki temu sfery statków mogły bez narażania się, bez tłumaczenia się z czegokolwiek, przy pomocy swoich parobków osiągać najdalsze zakątki tego zamkniętego w sobie wszechświata. Miały dostęp do jego najtajniejszych miejsc i do najbardziej poufnych informacji. A jeśli mimo to natykały się na jakieś bariery, dysponowały skutecznymi i wypróbowanymi środkami, za pomocą których mogły je w okamgnieniu przekroczyć.

Sterujący sferami statków, którzy z konieczności musieli wejść w rolę grabarzy, nie byli w stanie uwolnić się z uścisku ich onegdaj równouprawnionych partnerów. Zaszczepiono im zły tok myślenia, stali się marionetkami, zredukowani zostali do pełnionych przez siebie funkcji. Znikła współpraca z Refraktami. Wirtualne stworzenia zostały wydane na pastwę losu. W ciągu tysiącleci wiele z nich zakończyło działalność, o innych po prostu zapomniano, a niektóre wpadły w szpony obłądu.

Twórcy dualnych jednostek pilnujących byli mądrymi istotami, a mimo wszystko popełnili kilka błędów. Postawili na równowagę, starając się powiązać pojazdy i ich załogi siecią wzajemnych zależności. Sfery statków do funkcjonowania potrzebowały sterników, zaś sternicy potrzebowali sfer, czując się bez nich pozbawionymi podstaw swojej egzystencji i wszelkiej orientacji. Ale że stosunki między nimi po jakimś czasie mogły zostać ukształtowane według relacji jak między panem a niewolnikiem – z tym nikt się, mimo prognoz, nie liczył.

Mijały stulecia, przechodziły w milenia. Szarość rosła w siłę, rozwijała się, umacniała swoją pozycję. Matka posiadała ogromny potencjał informatyczny, wyprzedzając pod tym względem wszystkich. Nie był w stanie z nią konkurować żaden naród Łysego Wora. Ale jeszcze się wahała. Nie była ostatecznie pewna, jak wykorzystać swoją władzę – więc czekała na wskazówki z planety bez nazwy, w układzie słońca Nostarum. Tam znajdowało się coś, co budziło jej żądzę, lecz – jak do tej pory – jej nie zaspakajało. Wieczne oczekiwanie osłabiało Szarość i czyniło ją nieczułą na pojawiające się przejawy krnąbrności ze strony grabarzy. Jak na ironię, właśnie dążenie jednostki-matki do uczynienia tanatologów trzeźwo myślącymi zbieraczami informacji z krwi i kości spowodowało taki a nie inny obrót spraw. Sternikom, o ile było to możliwe, zakazano okazywania emocji. Jednak im bardziej stawali się nieczuli, im bardziej mechanicznie postępowali, tym wyraźniej rysowała się ich usługowa podrzędność.

Na częściowe wyemancypowanie się pozwoliła im obiektywna ocena sytuacji. Wśród społeczności tanatologów wyodrębniły się komórki ruchu oporu, które podjęły walkę ze sferami statków i

jednostką macierzystą za pomocą pewnej subtelnej broni. Zaczęto mianowicie – w uzgodnieniu z ciemieżcami – zbierać odciski dusz klientów. Pojawili się pierwsi krewatarzy, którzy od razu zadomowili się na statkach. Wielu z nich nie miało żadnego znaczenia, ale znajdowali się i tacy, którym nieobce było rewolucyjne myślenie. Ci połączyli siły z siłami grabarzy. Najzdolniejsi i najmocniejsi krewatarzy zostali przez tanatologów umieszczeni w Szarości. Setki, a później tysiące z nich przemierzały wkrótce przestrzeń jednostki-matki, która z radością przyjęła ten fakt do wiadomości. Ale pewnego razu, kiedy Szarość ponownie podjęła próbę nawiązania kontaktu ze źródłem mocy na planecie krążącej wokół Nostarum, rzesze krewatarów utworzyły formację, dzięki której zawładnęły częścią metalowego ciała matki. Współpracując z najznakomitszymi spośród tanatologów, założyły Miasto Wczorajszego Jutra – twierdzę rosnącą jak wrzód w macierzystym ciele.

Sfery statków nie mogły tak po prostu unicestwić swych niezdyscyplinowanych sterników. I vice versa. Obie strony cały czas były od siebie zależne. Żaden naród nie mógłby zająć miejsca tanatologów, a grabarze z pewnością szczęliby bez swoich pojazdów.

Niektórzy spośród nich nie zauważali jednak tej cichej wojny. Inni znowu pozwalali sferom sobą dyrygować. Jednak grupa stawiająca opór i dążąca do przywrócenia status quo, jakie panowało w pierwszych stuleciach kooperacji w Łysym Worze, nie kurczyła się. Wręcz przeciwnie.

Szarość, jednostka macierzysta, stała się ogniskiem zapalnym konfrontacji, podczas gdy Czerń i Biel spełniały podczas niej całkiem podrzędne role. Próby wyrwania Szarości spod wpływu Mantalnipa i przesunięcia jej dalej w głąb Łysego Wora zaskutkowały sromotną porażką rebeliantów. Uzgadniano skomplikowane traktaty rozejmowe, opracowywano księgi reguł dotyczące wzajemnego obcowania ze sobą w celu zapobieżenia całkowitej zagładzie wszelkiej egzystencji. Walka toczyła się zarówno na płaszczyźnie dyplomatycznej, jak i w zaciętych bezpośrednich pojedynkach. Szala zwycięstwa już zaczynała się przechylać na stronę Szarości i sfer jej statków, kiedy na horyzoncie pojawił się ty, Turilu.

To, co ci teraz opowiem, bazuje wyłącznie na przypuszczeniach i zasłyszanych informacjach. Istnieje bowiem tylko garstka zabezpieczonych dokumentów, dająca świadectwo istnienia trzeciej populacji strażników.

Sądzymy, że owi nieznajomi, którzy zasiali życie w Łysym Worze, nie chcieli polegać jedynie na jednostkach obserwacyjnych typu sfera statku/grabarz i na krewatarach. Powołali trzecią moc. Przemieszczając się grupę operacyjną, pozostającą przez większość czasu w ukryciu, ale w nagłych wypadkach zdolną zapobiegać temu, aby żaden z trzydziestu tysięcy poddanych obserwacji narodów Łysego Wora nie znalazł drogi na zewnątrz. Cokolwiek miałyby to „zewnątrz” stanowić. Bariera ochronna, na którą składają się gwiazdy neutronowe, czarne dziury, pozornie nie do przebycia, obłoki gazu, pulsary i wiele innych niewyjaśnionych fenomenów, była i jest pełna szczelności. Wiemy, że ludy Humanów, pchane ciekawością, ciągle podejmowały próby przedostania się na zewnątrz. Na próżno! Zanim zbliżyły się do granic Łysego Wora, ich flotę odszukiwały i niszczyły jednostki trzeciej straży.

Gdzie leży baza Kitarów i czy w ogóle przybywają oni z zewnątrz – tego nie wiedzieliśmy i nie wiemy. Nigdy nie doszło do kontaktów między nimi a nami. Schodziliśmy sobie z drogi, ale co jakiś czas dochodziło do przypadkowych spotkań. Wtedy ignorowaliśmy się wzajemnie.

Pamiętam dokładnie opowieści o inteligentnych nomadach, nazywających siebie Keyrinkami. Te ślimakopodobne istoty pozostawiły ojczyznę i poleciały swymi balonowymi pojazdami ku granicom Łysego Wora. Napędy ich statków uważano za niekonwencjonalne, podobnie jak niekonwencjonalnym i niejednoznacznym narodem okazali się sami Keyrinkowie. Mówiono, że byli w stanie symulować subatomowe rozmiękczenie swych pojazdów. Po prostu dopuszczali się oszustwa, unieważniając jednostronnie prawa fizyki. Mogli przedostawać się przez – dosłownie każdą – materię. I antymaterię. Zastosowali trik, rozumiesz? Spowodowali, że materialnie nie istnieli dla planet i gwiazd – więc przez nie przenikali. W naszych archiwach znajdują

się zdjęcia i nagrania ich lotów; gdybyśmy mieli więcej czasu do dyspozycji, chętnie bym ci je pokazał. Nikt oprócz nas, grabarzy, i sfer statków, nigdy ich nie oglądał.

Balony Keyrinków przebrnęły bez problemu przez granice Łysego Wora. Miały już za sobą już ostatnie ze Światów Parova, kiedy pojawili się Kitarzy. Wcale nie prosili Ślimaków o zawrócenie, nie nadali nawet żadnego sygnału ostrzegawczego. Od razu otworzyli ogień, zanim jeszcze Keyrinkowie dokonali subatomowego rozmiękczenia, i rozwalili doszczętnie ich flotę. A potem wzięli kurs na ich ojczystą planetę, którą w okamgnieniu roznieśli w pył za pomocą nanosieci.

Istnieje co najmniej dwieście raportów o nagłych pojawieniach się niszczących planety Kitarów. Robili to bez litości, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Ich zadaniem było trzymanie Łysego Wora w izolacji. Nic nie mogło się zeń wydostać na zewnątrz.

Wkrótce po wydarzeniach na Habercainie, zachowanie się Kitarów uległo jednak zmianie. Jak opętani zaczęli napadać na stacje, statki czy planety, przemieszczając się z jednego końca Łysego Wora na drugi, chaotycznie i bez widocznego celu. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci całe światy i układy planetarne nie mogły tego ignorować.

Prawdopodobnie to moja wina, Turilu. My, grabarze, kształtowaliśmy cię do momentu, dopóki nie można było rozpoznać w tobie jednego z nich. Kierowaliśmy się własną korzyścią, nie ulega wątpliwości. Odkryliśmy w tobie talenty, po których spodziewaliśmy się, że pomogą nam raz na zawsze poskromić poczynania sfer statków i Szarości.

Widzimy gniew, który jest w tobie. Wiemy, że nie istnieje prawie nic, co mogłoby cię zabić. Oparłeś się GELFAROWI, najpodlejszej ze wszystkich sfer statków. GELFAROWI, którego ja sam mogłem zaledwie przez niewiele lat trzymać pod kontrolą, zanim udało mi się uciec do zajętych przez nas stref w Szarości.

Dlaczego cię to dziwi, Turilu? Tak, to prawda, udało ci się pokonać GELFARA mimo niesprzyjających okoliczności! Świadomie zafundowaliśmy ci smutne dzieciństwo, męczyliśmy cię i torturowaliśmy, aż do zwątpienia, rzucając cię ostatecznie na żer

sferze statku. Cały czas w nadziei na to, że uda ci się postawić na swoim – i że twoje talenty rozwiną się aż do doskonałości. Spełniłeś całkowicie nasze oczekiwania. Może z wyjątkiem jednej, trącej amatorszczyzną, próby ucieczki na Bankinie.

Uwierz mi – po tym, jak przeżyłeś walkę z GELFAREM i jego siłami, nic złego nie może ci się już przydarzyć. Pokonałeś ból, jakiego przed tobą żadna istota żyjąca nie była w stanie wytrzymać.

A teraz, mój synu, musisz powziąć decyzję. Czy chcesz nam pomóc zawładnąć sferami statków, czy masz raczej zamiar powrócić do Kitarów?

## 23. BRZEMIENNA W SKUTKI DECYZJA I TRIUMFALNY POWRÓT

Turil słuchał w milczeniu, starając się wszystko zrozumieć. Przychodziło mu to z trudnością. Kiedy Pschoim skończył, potrzebował kilku minut, żeby się otrząsnąć i pojąć, że tu i teraz nie chodzi wyłącznie o Kitarów, lecz również – najwidoczniej – o podstawy egzystencji tanatologów.

Wstał z miejsca. Obrzucił wzrokiem Ofenau i Sorollo. Obserwowali go w takim samym napięciu jak jego ojciec.

Decyzję podjął bez dłuższego wahania. Uwzględniając zaistniałe okoliczności, dwójka Kseniatów wydała mu się godna zaufania. Tak samo zresztą jak sprawa, w którą się angażowali. Reprezentowali sobą coś, co powodowało u Turila pełną akceptację pary, chociaż ich zleceniodawca, Kix Karambui, podobnie jak Pschoim, nie był całkiem czysty.

– Nie jestem już tanatologiem – powiedział, zwracając się do ojca. – Nigdy nim nie byłem. Przez cały czas manipulowałeś mną i mnie wykorzystywałeś. Lecz teraz już z tym koniec. Natychmiast.

– Ależ...

– Milcz! – Turil nie dał skonsternowanemu Pschoimowi dojść do głosu. – Chciałeś, żebym podjął decyzję – oto i ona. Jeszcze dziś doprowadzę do zakończenia osobistej konfrontacji pomiędzy mną a GELFAREM. Potem powrócę do mojego ludu. Do Kitarów. – Skinął na Ofenau i Sorollo. – Prosiłbym was, żebyście udali się ze mną na pokład sfery mojego statku. Sądzę, że przejrzałem motywy Kixa Karambui – oznajmił enigmatycznie. – Będziecie świadkami moich poczynań, kiedy raz na zawsze postaram się doprowadzić do zakończenia kitarских ataków, i zdacie później sprawozdanie sekretarzowi. – Zrobił dłuższą pauzę i zastanowił się nad czymś. – To może okazać się karkołomnym przedsięwzięciem. Nie mogę wam zapewnić bezpieczeństwa.

– Podejmiemy każde ryzyko – odezwał się Ofenau, nie czekając na przyzwolenie Sorollo. – W końcu zostaliśmy stworzeni wyłącznie do wypełnienia naszego zadania.

– A więc wszystko jasne. – Turil po raz ostatni zwrócił się do Pschoima. – Nie waż się mnie powstrzymywać – powiedział i opuścił pokój bez słowa pożegnania.

Dwójka Kseniatów podążyła za nim. Młody tanatolog czekał na nich przed izbą zabiegową. Rozejrzył się wokół. Na Szarym Dworze Pokoju każdy krok mógł być krokiem ostatnim. Na każdego, kto nie orientował się w otoczeniu, czyhało śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zostawili centrum Dworu za sobą i udali się na peryferie stacji.

– Jak się czujesz? – zapytała Sorollo.

– Okropnie – odparł Turil, zgodnie z prawdą. – Nigdy już nie będę się czuł dobrze.

– Rozumiem.

– Nie, niczego nie rozumiesz. – Z dwójki Kseniatów Turilowi bardziej odpowiadał mężczyzna. Jego branże miały – każda z osobna – sposób bycia, który grabarzowi wydawał się bardziej sympatyczny. Sorollo natomiast sprawiała wrażenie, że coraz bardziej absorbuje ją używany tryb bramkowy, wykazując przez to coraz wyraźniejsze androidalne wzorce zachowania. Mimo wszystko tanatologowi nie wolno było obdarzać większym zaufaniem Ofenau niż jego towarzyski.

Nikomu nie wolno mi ufać!, powiedział do siebie. Wszystko jest takie, jak zawsze. Nic się nie zmieniło.

Pomału mijał szok, którego doznał na wieść, że jest Kitarzem. Że przynależy do tego ludu. Całą tematykę, wszystkie kwestie, niepewności i możliwe konsekwencje wynikające z tego faktu, wpisał do małej komórki swojej pamięci, którą ponownie otworzy, kiedy stanie przed ziomkami. A to, mówił sobie, nastąpi już niebawem. Kitarzy muszą jak najszybciej zakończyć swój niszczycielski obłąd. Do takiego myślenia i działania zmuszało go sumienie.

Moje sumienie? Omal nie roześmiał się w głos. Skąd nagle u mnie tak dziwna i zakłócająca porządek postawa moralna? Na pewno nie od Pschoima i najpewniej nie od Kitarów. Czy to właśnie sprawia, że jestem pojedynczą osobą, inną niż inne istoty Łysego Wora?



Ale w Turilu tkwiła jeszcze owa nieokreślona złość, sprawiająca mu większe zmartwienie. W basenie niewątpliwie uratowała mu życie – jednak odznaczała się tak olbrzymią siłą, taką mocą, że groziła zawładnięciem całą jego osobowością...

Turil obrzucił nieufnym wzrokiem prowadzącą do GELFARA platformę. Ofenau i Sorollo, z bronią w ręku, sprawiającą żałosne wrażenie w obliczu środków, którymi dysponował statek, zostali parę kroków w tyle.

W grabarzu zaczęły na nowo kiełkować niepewność i strach. Wprawdzie nie tak mocno, jak kiedyś, ale mimo wszystko dosyć wyraźnie. W plecach ponownie odczuwał ból, ale nie przejmował się nim zbyt. Wiedział, że to pozostałość po fizycznej przemianie, spowodowanej przez tanatologów, która uformowała go na podobieństwo jednego z nich.

Wziął głęboki oddech i założył płaszcz ceremonialny, który zabrał, wychodząc z Dworu Pokoju. To najcenniejsze narzędzie grabarzy było korzyścią i przekleństwem jednocześnie.

Ciało Turila mogło zostać wyczyszczone, lecz płaszcz – nie. Był on zwiadowcą GELFARA, infiltrował i wywierał wpływ na swego nosiciela, dokonując w jego świadomości zmian zgodnie z zamiarami sfery statku.

Teraz tanatolog miał możliwość się wykazać. Zdecydował się nie niszczyć płaszcza. Chciał spróbować nim zawładnąć.

Jak tylko wtyczki koło zaczepów naramiennych wpiły się mu w ciało, Turil poczuł zmasowany atak, obejmujący wszystkie jego zmysły. Płaszcz szarpał nim, ściągał go, kazał mu doznawać wszelkich możliwych wrażeń na raz, wymuszał przejście do defensywy bez oznajmiania z jakich – i z ilu – rund będzie się składać pojedynek.

Tylko się nie poddawać!, skarcił się Turil w duchu. Przywołał w pamięci tę złość, która w nim tkwiła, spróbował ją wzbudzić i otoczyć się nią jak parasolem ochronnym. Queresma!, wezwał w myślach swój rdzeń jestestwa, pomóż mi!

Płaszcz ceremonialny chwycił, dotykał, smakował go, próbował wszeptać w niego zadziwiające rzeczy. Turil się bronił. Ale jak mógł to zrobić, jeśli nawet nie wiedział, w jaki sposób dokonują się ataki

GELFARA? Musiał stać się sobą. Jak wtedy, gdy widział siebie w basenie z odżywczą cieczą. Queresma!, zawołał raz jeszcze, z całej siły.

*Przebudził się w nim Kitar. Turil odsunął na bok welon tanatologicznej świadomości, przewiercił się przez skorupę wszystkich konwenansów, wyróżniających grabarzy reguł dobrego zachowania się i traktowania. Był teraz jasnym płomieniem, przenikającym popiół i dym, spalającym wszystko, co stało mu na drodze. I pozostanie nim tak długo, aż osobowość będąca kiedyś Turilem stanie się tylko cieniem jego pamięci.*

*Queresma był świadom obecności płaszcza ceremonialnego. Poznał jego funkcje i to, czym był on w rzeczywistości. Przejrzał na wylot układ środków obronnych i systemów atakujących, skierowanych nie na zewnątrz, lecz do wewnątrz, przeciwko osobie, która nosi okrycie. O ile w pierwszym momencie sprawiało ono wrażenie niesłychanie skomplikowanej konstrukcji, o tyle za pomocą nowo rozbudzonych zmysłów Queresma dostrzegał wyodrębnione struktury szaty. Sunął wzdłuż rozgałęzień dowodzących nanokompleksów, szukał punktów kontaktowych, bez problemu znalazł główne arterie. Prawie wszystko było logicznie spójne, a te kilka odnóży, które nie odpowiadały ogólnemu uporządkowaniu, dało się rozpoznać jako pułapki, odchylenia lub zwrotnice. Trzeba było je omijać, jak kolce na krzewie. Wzrok Queresmy wyszukał główny pień i, wchodząc głębiej w strukturę, korzenie łączące płaszcz ceremonialny z GELFAREM.*

*Oto i one. Jasno świecące, otoczone aurą promieniującej piękności. Wiedział, co czynić, jakie guziki naciskać, żeby uniknąć poddania się wpływowi okrycia. Queresma wpisał tę wiedzę w pamięć swego mózgu i pogrążył się w głębi podświadomości. Poczucie rozdzielności przyniosło mu ulgę. Nad ciałem znowu przejęła kontrolę osobowość Turila i wkrótce poczyni ona kroki niezbędne w walce z GELFAREM. On wróci później.*

Turil znalazł się ponownie w rzeczywistości. Ta jego część, która była Queresmą, nawet nie zadała sobie trudu, żeby ukryć przed nim swoje myśli. Ale tym się nie martwił. Queresma był silniejszy. Ciało, którym się dzielili, nie było takie ważne, jeśli uwzględnić, że

stanowiło jedynie powłokę maskującą, skrywająca prawdziwą strukturę fizyczną Kitora przed oczami innych.

Turil przywołał wrażenia pozostawione mu przez Queresmę. Musiał wytworzyć kilka dźwięków, wykonać kilka ruchów i mentalnie skupić się na elementach kontrolnych kołnierza. Tam znajdowały się łącza odpowiedzialne za uleganie wpływowi GELFARA. Parę dosztukowanych blokad neuronalnych odebrało płaszczowi możliwość wyrządzania szkody nosicielowi. Ćwiczenie nie sprawiło Turilowi żadnej trudności. Można je było porównać do przysiadów lub pompek, które wzmacniały mięśnie. Tym razem oddziaływały na muskulaturę neuronalną.

Płaszcz ceremonialny załopotał niespokojnie. Nie dawał jeszcze za wygraną. Próbował zadać Turilowi fizyczny gwałt, zaatakował psychodelicznymi wizjami. Chciał się dostać do funkcji podtrzymujących życie. Trwała walka na kilku frontach, jednak z każdym odparciem wroga grabarz czuł się silniejszy i pewniejszy. Po chwili działał odruchowo; nie musiał już zastanawiać się nad użyciem tego czy innego środka obrony. Stały się one częścią jego ja. Były wprawdzie złożone, lecz łatwe do kontrolowania. Kontra zadana płaszczowi ceremonialnemu stała się czymś naturalnym. Jak oddech czy odruchowe omijanie przeszkód.

Turil zakończył walkę jednym jedynym wydanym płaszczowi mentalnym rozkazem. W okamgnieniu wszystkie ruchy przeciwnika zamarły. Płaszcz poddał się z rezygnacją i w pokorze. Uznał tanatologa za swego pana i mistrza...

Turil się rozejrzył. Ofenau i Sorollo wpatrywali się w niego z zainteresowaniem, ale i z odrobiną lęku w oczach.

– Nic mi nie jest – oznajmił. – Płaszcz i GELFAR nie mogą mi nic więcej zrobić. Chodźcie za mną.

Wkroczył na rampę i wszedł na pokład GELFARA.

GELFAR raz jeszcze spróbował swych sił. Jeszcze kilka razy. Atakiem frontalnym, subtelnym szeptem, za pomocą wojny psychologicznej bądź poprzez ponowne próby fizycznej infiltracji. Jasność i Cień stały się mającymi wzbudzić przerażenie chimerami. Z ich ust rozlegał się niewyobrażalny ryk. Zadawały ciosy, opluwały Turila – ich plwociny zmieniały się w drobne, podobne do rakiet

pociski, próbujące wnikać w jego ciało – naganiały nań armie sztucznych bakterii, maltretowały psychikę w każdy możliwy sposób. Jasność próbowała brać grabarza na litość, otwierając się przed nim do granic ekshibicjonizmu i składając mu jednoznaczne oferty, podczas gdy Cień, jak zwykle, odgrywał rolę obskuranta.

– Przestańcie! – rozkazał Turil. Jedno jego skinienie odepchnęło gwałtownie dwójkę niby-istot na bok. Uderzyły z impetem w rzeźbę wielkości dorosłego mężczyzny, przedstawiającą polipowego boga śmierci, zmiatając ją z podestu. Bezcenna porcelanowa figura uderzyła o podłogę, rozbijając się na tysiące kawałków. Przez chwilę się zakotłowało, bo mikroskopijni dostarczyciele informacji GELFARA, pozbawieni kryjówek we wnętrzu figury, szukali nowego schronienia. Tymczasem Jasność i Cień zostały przyciągnięte jakąś magiczną siłą przez tylną ścianę reflektorium. Jakby ich w siebie wessała. I pozostały tak, podobne statuom, wtopione i zastygłe, z nieruchomym grymasem przerażenia na twarzach.

Turil się uśmiechnął.

– Wiem wszystko o płaszczu ceremonialnym, GELFARZE – powiedział głośno. – Wyczerpię do końca wszystkie jego możliwości. A wiesz, w jakim celu? – Nie zachekał na odpowiedź. – Nauczę Jasność i Cień prawdziwych uczuć. Uwrażliwię ich do tego stopnia, że zapłaczą na widok piękna i zawyją z bólu przy najmniejszym draśnięciu. I wtedy będę im zadawał ból. Cały czas dawali mi do zrozumienia, jaki jestem żalosny i jaki słaby. Poniżali mnie, wpędzali mnie w obłąd. Teraz tego wszystkiego doznają na własnych ciałach.

– Żalosny jesteś, Turilu – odparł GELFAR. – Sądzisz, że interesuje mnie, co zrobisz z tymi stworami? Pamiętaj, że zawsze mogę sam ich zniszczyć i powołać do życia nowych pomocników.

Sfera statku wydawała się być rozbawiona, ale mimo wszystko grabarz usłyszał w jej głosie nutę niepewności.

– Jeszcze zobaczymy. – Płaszcz ceremonialny wypełniał teraz bez zarzutu wszystkie polecenia grabarza. Zlikwidował ostatnie łącze między sferą statku a dwójką jej popleczników. – Będiesz teraz świadkiem, w jaki sposób zabiorę się do Jasności i Cienia.

Obie figury zaczęły płonąć zimnym zielonym ogniem. Przebudziły się, wciąż jeszcze zespolone ze ścianą. Poruszały się powoli, niczym w zwolnionym tempie, próbując opuścić więzienie. Ich krzyki rozlegały się tuż poniżej progu słyszalności, ale Turil był pewien, że GELFAR wyraźnie rejestruje intensywność doznań obu istot.

– Zapiszę teraz ich cierpienie i będę ci je później odgrywał. Cały czas, ciągle od nowa. Jeśli to nie wystarczy, wyciągnę z ciebie nowe osobowości, które będę dręczył. Dziesiątki, może tysiące nowych istot. Wszystko mi jedno. Moja chęć zemsty jest tak potężna, że będę to robił całe lata, zanim mi się znudzi.

GELFAR milczał. Zmienił swój status, co Turil stwierdził dzięki wskazaniom płaszcza ceremonialnego, na tryb całkowicie komputerowy. Myślał może, że dzięki temu ucieknie od dręczyciela. Pomyłka. Także wartości równań matematycznych, jednostki binarne, antycypacyjne teorematy, konstrukty mechaniki kwantowej czy proste schematy połączeń były w stanie odczuwać coś w rodzaju bólu. Turil znajdzie środki i sposoby zniszczenia ich wewnętrznej logiki, sprowadzenia jej ad absurdum i wpędzenia w spiralę nielogiczności. Równania, porównania – matematyka i filozofia – nigdy nie znajdowały się daleko do siebie.

Ciała Jasności i Cienia skurczyły się – istoty stały się pomarszczonymi, bezkrwistymi postaciami – by w następnym momencie nadać się niczym balony. Cały czas tkwiły przytwierdzone do ściany. Turil pokazał im, co oznacza odczuwanie hiperwentylacji. Zareagowały natychmiast, choć nie były w stanie zmienić niewygodnej pozycji.

– Czujesz z nimi? – zawołał tanatolog. – Doświadczasz tego samego? – zaśmiał się, wpadając w podniecenie. – Mogę zwiększyć wymianę między nimi a tobą. Tylko nie myśl, że odczuwam jakiegokolwiek skrpuły! Mam gdzieś ten stary pakt między sferami statków a ich sternikami. Jestem Queresmą! Grabarzem i Kitarem. Obserwatorem i katem jednocześnie! Dla mnie wasze głupie umowy są pozbawione ważności. Ja znacę o wiele więcej, niż kiedykolwiek mógłbyś pojąć. Ty bezwartościowy, prymitywny komputerowy stworze bez duszy...

Ledwie zdołał się opanować. Wokół niego huczało, bzyczało i świszczało, a obudowa sfery groziła pęknięciem, eksplozją. Zagalopował się, ale chyba już wystarczy. Dwójka Kseniatów patrzyła na niego, robiąc miny, w których odbijał się strach szybko zmieniających się branż.

– Przestań, proszę! – zaskomlał, szlochając, GELFAR. – Wygrałeś! Uczynię wszystko, co rozkażesz!

Turil lekko poluzował nacisk wytworzony za pomocą płaszcza.

– Tobie nie można ufać – powiedział. – I nie zasługujesz na łaskę. Będziesz się musiał w najbliższym czasie wykazać. Wszystko, czego możesz oczekiwać, to bezbolesna śmierć. Twoja egzystencja skończy się tak czy owak. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, panie – szepnął GELFAR.

Turil usiadł na krześle wymodelowanym z energii formacyjnej i poprosił towarzyszy, żeby zrobili to samo. Osiągnął zwycięstwo, o którym nie śniło mu się w najskrytszych marzeniach. Drzemały w nim moce zdolne z potężnej sfery statku uczynić zawodzącą kupkę płaczu. Nic i nikt nie mogło go powstrzymać przed wytropieniem śladów jego ludu. Nic i nikt – oprócz sumienia.

## 24. OBŁĘD KIXA KARAMBUI

Sekretarz ARMIDORNU z zadowoleniem wysłuchał informacji przekazanych mu przez parę Kseniatów. Okoliczności składające się na powodzenie ich misji były zadziwiające, a to, czy z tego Turila – bądź Queresmy – będą jakieś korzyści, okaże się wkrótce. Najpierw sukces. To najważniejsze. Kitarów trzeba powstrzymać i wytepić do ostatniego osobnika.

– Ofenau i Sorollo sprawują się bez zarzutu – powiedział, unosząc nieco swego brata, Kixa Kosandrai, ponad misę. Zaaplikował mu właśnie dawkę energetycznych cząstek, mających uczynić go bardziej podatnym na jego, Kixa Karambui, słowa. Jak wiadomo, długotrwałe zażywanie tego środka uzależniało, a syndrom odstawienia był tym okropniejszy, im dłużej pozostawało się pod jego wpływem.

Kosandrai otrząsnął się; chciał się uwolnić z aresztu, jak zawsze przy takiej okazji. Jego reakcje były chamskie i przewidywalne. Czasem Karambui wątpił w jego status savoir-robota.

– Czego chcesz ode mnie? – jęknął Kosandrai.

– Oczekuję potwierdzenia. Pochlebstw. A przede wszystkim – twojego poddaństwa. – Karambui pogłaskał pordzewiałą blachę swego brata, wymacując regulator napięcia. Zwarł go, ale tylko na moment, delektując się poczuciem władzy. To on zdecyduje o tym, czy ta kosztowna maszyna przeżyje, czy poniesie śmierć. To on był bogiem zdolnym nieustająco i wciąż na nowo powoływać stworzenia do życia, a jego władza w żadnym wypadku nie ograniczała się wyłącznie do androidów.

– Oszalałeś! – zawołał Kix Kosandrai. – Zawsze byłeś wariatem.

– Zdefiniuj szal.

– Postępujesz, według schematów myślowych i behawioralnych, wbrew przyjętym normom. – Odpowiedź nastąpiła natychmiast. – Wyrządzasz innym umyślną szkodę, chociaż stworzono cię po to, żebyś czynił dokładnie przeciwnie. To jest szalem. Obłędem.

– Mówisz z punktu widzenia jednokomórkowca – pokpiwał Kix Karambui. – Moje plany sięgają dalej, hen za horyzont. – Z namysłem dobierał kolejne słowa. – Mam władzę i wpływy. Nic,

co czynię w ramach mojej pozycji, nie pozostaje bez konsekwencji. Jeśli pomogę jednemu, wyrządzam szkodę innym. Życie upływa mi w skomplikowanych korelacjach. Każda z moich decyzji oddziałuje na ogólną strukturę Łysego Wora. Jako sekretarz ARMIDORNU mam obowiązek wszelkimi środkami zapobiegać dyskryminacji każdego jego członka.

– Stek bzdur – odparł Kix Kosandrai. – Banały, którymi chcesz usprawiedliwić swoje błędy. Nasz starszy brat wyśmiałby cię, a słysząc twoje pustostłowie – rozerwałby cię na strzępy.

– Nie waż się w mojej obecności wspominać o naszym bracie! – krzyknął Kix Karambui. – Nie ma go tutaj! Uciekł przed odpowiedzialnością! Teraz decyduję ja! Ja sam! – plunął na Kosandrai kwasem akumulatorowym. W miejsce, gdzie najbardziej boli.

Młodszy z braci skulił się, ale zaraz doszedł do siebie. Wzdłuż jego nerwów pojawiło się lekkie zabarwienie.

– Od niepamiętnych czasów chcesz wyplenić Kitarów – powiedział cicho. – I być może uda ci się tego dokonać. Dzięki temu... Turilowi. Spodziewasz się teraz większej władzy, większego wpływu. Czy robisz to, żeby pomóc ludom Łysego Wora, czy żeby je wykorzystać? Chcesz wytępić jedno zło, żeby zastąpić je drugim. Mianowicie tobą samym.

Kix Karambui odstąpił tym razem od wymierzenia kary. W gruncie rzeczy był bratu wdzięczny za szczerze słowa. Dały mu one powód do sporu. Mógł dzięki nim zademonstrować swój wyniosły intelekt.

– Moje plany przechodzą twoje najśmielsze wyobrażenia.

– Nie sądzę. Bądź co bądź pochodzimy z tej samej serii produkcyjnej. Dokładnie wiem, co zamierzasz. I gdybym mógł, powstrzymałbym cię.

– Nie rób sobie złudzeń. – Karambui odwrócił się i przeczytał wiadomość od Ofenau jeszcze raz. – Ten Turil pokona Kitarów. Jestem tego pewien.

– W jego odnalezieniu pomógł ci łańcuch przypadków. Po raz kolejny możesz nie mieć tyle szczęścia.



– Szczęście można wymusić. – Kix Karambui mówił cichym głosem. – Powierzę ci pewną tajemnicę, Kosandrai. To, co się tobie wydaje przypadkiem, jest rezultatem dokładnego planu, realizowanego przez dziesięciolecia. Przez stulecia. Wiedziałem o egzystencji tej istoty, Queresmy, i postarałem się, żeby mogła dorosnąć do swojej roli jako Turil. W pewnym sensie to ja nią kieruję. Tak długo, aż instynkt Queresmy... się przebudzi i zaprowadzi go na Faurum. – Zaśmiał się. – Kseniaci są perfekcyjnymi narzędziami, nawet pomimo niewyważenia w nich branż. Trzeba po prostu wiedzieć, gdzie we właściwym momencie nacisnąć właściwe guziki. Ot i cała tajemnica sukcesu, braciszku. – Karambui, opuszczając misę magazynującą, ponownie unieruchomił braterskiego savoir-robot. Ale wcześniej nie zapomniał o poddaniu go kilku bodźcom, które zmanifestowały się jako senne koszmary. – Wszystko przebiega według planu. I wszystko się uda.

Sekretarz ARMIDORNU okłamywał sam siebie i dobrze o tym wiedział. Po drodze napotykał na miriady przeszkód, których nie mógł przewidzieć mimo swojej fenomenalnej wydajności obliczeniowej. Udawało mu się jednak jednoczyć w niemal perfekcyjnej symbiozie przypadku i prawdopodobieństwa. Nawet swój obłąd wykorzystał jako instrument wielkiego planu. Każde słowo, każdy gest był skalkulowany wcześniej, również rozmowa z Kosandrai. Stanowiła ona zaledwie mały element mozaiki układającej się jako realizacja obranego celu. Ale, mimo wszystko, domek z kart, który z mozołem postawił, mógł powalić kaszel muchy.

Karambui opuścił pomieszczenie mieszkalne i połączył się z HALBEM. Twór, który dzięki ARMIDORNOWI wyposażony został w ostatnich tygodniach w dodatkową moc obliczeniową, wydal mu się teraz piękniejszy, większy, bardziej świetlisty. Zalogował się. Jego horyzonty powiększyły się do granic możliwości, niepowtarzalności. Kix przeczuwał, że jego postrzeganie w tymczasowej fazie końcowej, której finał potrwa PODRÓŻ TURILA jeszcze parę miesięcy, wypadnie o wiele bardziej spektakularnie.

Co robił przez cały ten czas jego starszy brat? Czy również cierpiał, podobnie jak Kix Karambui, tę okropną samotność?

## 25. Z POWROTEM NA HABERCAINIE

Czerwonawa łuna Habercainu, dostrzegalna z kosmosu, sprawiała z tej odległości przytłaczające i ponure wrażenie. Jej widok kojarzył się z nieszczęściem i katastrofą.

Turila otoczyły trójwymiarowe obrazy. Pochodziły z informatycznych archiwów tanatologów. Ukazywały szczególne miejsca planety i charakteryzowały życie jej kleszczopodobnych mieszkańców. Grabarz przesunął wzrokiem po raportach dotyczących wyjątkowych wydarzeń w dziedzinie sztuki i kultury, polityki i ekonomii, zaistniałych na planecie od czasu pobytu Pschoima. Za pomocą dostępnych środków został zsyntetyzowany przez sferę statku skład atmosfery, a nawet zapachy Habercainu, przygotowując Turila na to, co zastanie na powierzchni.

– Potrzebuję również najaktualniejszych danych! – zażądał. – Skorzystaj z infosieci Habercainu.

GELFAR posłuchał bez sprzeciwu – nawet jeśli ten rozkaz oznaczał złamanie tabu. Statki grabarzy tylko w wyjątkowych sytuacjach polegały na danych z infopoolów badanych przez nich planet. Nastąpiło porównanie danych i dostrojenie poziomu ważności. Pamięć peryferyjna GELFARA zapełniła się w większości nic niewartymi informacjami. Mniej niż jedna miliardowa tego, co w siebie wchłonął, miała jakiegokolwiek znaczenie dla poszukiwań sceptynatu. Turil za pomocą tego dysku chciał wezwać Kitarów.

Po kilku minutach dysponował już pierwszym resume. Tylko część z tego, co przedstawił w swojej opowieści Pschoim, odpowiadała dzisiejszej rzeczywistości na ognistej planecie. W przeszłości, jakieś dwadzieścia lat temu, wybuchła wojna Ksalifów z Loga-Wanicami. Mieszkańcy Habercainu ją przegrali. Ich płomiennoczerwony świat wydany został przez kilka dni na pastwę artyleryjskiego ognia, który zamienił go w kupę gruzów i zgliszcz. Przeszło połowa pływającego po mulistym żarze lądu zatrzymała się na oziębionej skale. Ksalifowie gorączkowo wiercili otwory w coraz grubszej płycie, aby utrzymać w ten sposób tak potrzebne rezerwuary ciepła. Dzięki temu odsunęli na jakiś czas tragiczne przeznaczenie, ale ich koniec był pewny. Wrogie siły Loga-Wanic

zniszczyły równowagę ekologiczną planety. Humanowie usunęli źródła wody i pokostu, na których pływały bazaltowe twierdze. Ksalifowie mieli do wyboru: powolną, pełną cierpienia śmierć lub ucieczkę w wieczny chłód Łysego Wora, na pokładzie statków osadników – w poszukiwaniu nowego świata, na którym znaleźliby odpowiednie otoczenie.

Stwierdzenie, czy w otchłani tego zamkniętego kosmosu znajduje się jakiś podobny do Habercaina skrawek ziemi, czekający na objęcie w posiadanie, kosztowałoby Turila tylko ułamek sekundy. Ale on nie kiwnął nawet palcem. Wiedział, co znajdzie.

Zagłębił się jeszcze bardziej w stosy zebranych przez grabarzy informacji. Wiele z nich oznaczonych było parafką Pschoima. Starszy tanatolog skorzystał z pobytu na planecie i miejsce odosobnienia swojego i Kakari opisał w cyfrowej bazie danych. Te niezgłębione zbiory zdjęć, opowiadań, zwykłych danych, zapachów i plotek stanowiły, jak Turil powoli zaczął pojmować, prawdziwy skarb.

Z trudem powrócił do rzeczywistości.

- Nigdzie nie mogę znaleźć twierdzy Gracht – powiedział.
- Grachtu już nie ma. – Głos GELFARA był nadzwyczaj rzeczowy.
- Został zniszczony podczas walk z Loga-Wanicami.

Czyżby wraz z twierdzą zniknął ślad sceptynatu? Turil nie chciał i nie mógł w to uwierzyć.

– Poszukaj śladów Ksalifów, którzy kiedyś mieszkali w Grachcie. Muszą przecież jeszcze istnieć jacyś tubylcy znający Pschoima osobiście i pamiętający tonący statek Kitarów. Szybko!

Poskromienie własnej niecierpliwości kosztowało Turila wiele wysiłku. Od sceptynatu zależała prawdopodobnie cała jego przyszłość. Dysk był jedynym dowodem, który legitymował go jako członka rodu Kitarów. Jak inaczej, zadawał sobie pytanie, mógłby się ujawnić przed swoim ludem? Szukali go już tyle razy, byli blisko niego po wielokroć, a mimo to nie rozpoznali go jako swojego.

GELFAR zszedł niżej, żeby spokojnie zaparkować na orbicie wokół Habercainu. Z wysokości pięciuset kilometrów można było ogarnąć rozmiar katastrofy. Brunatne plamy wystygłej lawy formowały przedziwne wzory na tle czerwieni ognistych oceanów.

Gdzieś widać było osiadłe twierdze, drobne czarne punkty na obliczu planety. Jak znamiona barwnikowe. Zaledwie kilka czerwonych plamek świadczyło o ogniu wydobywającym się z wnętrza ziemi przez szerokie kominy, tak koniecznym Ksalifom do dalszej egzystencji. GELFAR nadal zbierał dane, utrzymując kontakt z nieufnymi autorytetami Habercainu. Nie zawierano dziś obcym tak bardzo, jak jeszcze przed kilkoma dziesięcioleciami. Ksalifów wymęczyła walka o wolność planety.

– Mam wyniki – oznajmiła krótko sfera statku.

– Słucham.

– Istnieją ocalałe z Grachtu osobniki. Między innymi takie, które znały Pschoima – i które powinny coś wiedzieć o sceptynacie. Sprawujący wtedy władzę mafati na pewno był również wtajemniczony w wydarzenia związane z zatonięciem statku Kitarów.

– Drira Tongon – powiedział z namysłem Turil. – Czyli żyje jeszcze.

– Tak. Jeszcze. Jest bardzo stary...

– Nawiąż z nim kontakt. Natychmiast.

GELFAR spełnił rozkaz. Nie argumentował, nie sprzeciwiał się, postąpił według poleceń Turila, nie stawiając warunków. Szybko przyzwyczaił się do swej nowej roli, do bycia wyłącznie narzędziem. I już nigdy nie odważył się przeciwstawić swemu panu.

A może jednak?

Turil wkroczył do jaskini mieszkalnej byłego mafatiego. Ofenau i Sorollo pozostali na pokładzie GELFARA. Sfera statku nie uczyni im krzywdy. Nie będzie chciała ryzykować kolejnego bolesnego poniżenia.

U szyi Driry Tongona widniało jedno z tych niezwykłych drugich oblicz, które pozwalają na wyrażanie obcej fizjonomii za pomocą emotikonów.

– Czcigodny Driro Tongonie – powiedział Turil cichym głosem, kłaniając się lekko. – Osobiste spotkanie z tobą jest dla mnie zaszczytem.

– To ty jesteś tym Queresmą – zaskrzeczała stara istota, nie zważając na ceremonialne powitanie. – Czuję to. Tak jak wtedy,

tylko bardziej intensywnie.

– Ach tak? – Turil przyjrzał się zmierzającemu ku śmierci mafatiemu. Wycieńczony wór tułowia, o spodzie ciemniejszym niż grzbiet, dźwigało sześć nóg. Dwie pozostałe rudymentarne kończyny przylegały ściśle do korpusu. Na odnózu zwróconym ku Turilowi leżała „głowa”. Ponaciągana i powyginana brodawka zmysłów, za pomocą której Drira Tongon utrzymywał kontakt z otoczeniem. Ksalifowie rzeczywiście przeszli, jak to opisywał Pschoim w swoim raporcie, ewolucyjną mutację. Ich pająkowate ciała upodobniły się do przeolbrzymich kleszczy z wzmocnionym chitynowym grzbietem, podczas gdy brzuch sprawiał wrażenie miękkiego i półprzezroczystego.

– Przeszedłeś po ten dysk? – mruknął starzec. Na emotikonowym obliczu pojawiła się łagodna ciekawość.

– T... tak.

– Tak też sobie pomyślałem. Właściwie dziwię się, że dopiero teraz przybywasz. – Drira Tongon płynnie zmienił temat. – Jak widzę, Pschoimowi dobrze udało się ciebie ukryć. – Grudka zmysłów przekręciła się nieco. Nie było widać na niej żadnych oczu. – Gdybym nie pamiętał o twojej emanacji, nigdy bym cię nie rozpoznał.

– Masz nosa. – Dziwne. Dlaczego rozpoznał go akurat ten starzec, zaś Kitarzy ani razu?

– Nie mam organu nosowego. – Drira Tongon zrobił kilka drobnych, przypominających taniec, kroczków. Na drugim obliczu pojawił się emotikon „prośba o dyskrecję”. – Zdradzę ci tajemnicę, Turilu. Ale czynię to wyłącznie dlatego, że czuję, jak bardzo oddaliłeś się od schematów myślowych twoich przybranych rodziców. – Płuca, podobne do długich pulsujących kiełbas, widoczne w dolnej części ciała, wydawały świszczące odgłosy. – My, starzy, potrafimy wyczuwać emocje. – Były mafati bazaltowej twierdzy Gracht wskazał jednym ze swych szczątkowych ramion na pokryty śluzem wrzód znajdujący się z boku głowy. – Tutaj z biegiem czasu wytworzył się mój najcenniejszy narząd zmysłu, którym rozpoznaję innych za pomocą emotikonowych wzorców. Te wzorce, chociaż się

zmieniają, posiadają jednak pewną stałą zasadniczą strukturę. Mniej więcej jak wasze, Humanów, rysy twarzy.

Turil przyjął to do wiadomości bez słowa komentarza. Poczł coś w rodzaju satysfakcji, że nawet jego ojcu nie udało się odkryć tajemnicy Ksalifów. Starsi mieszkańcy Habercainu byli więc zdolni do rozpoznawania mocnych i słabych stron innych osobników, tworzyli z nich całościowy obraz, na który składało się nieskończenie wiele czynników. Dzięki temu był nie do pomylenia z innym.

– Jakie wrażenie wywarł na tobie mój oj... Pschoim? – zapytał.

Drira Tongon odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

– Pamiętam go, jakby to było wczoraj. Zajął mój dom. Dawało się w nim wyczuć arogancję. Bezradność. Tłumiony gniew. Chęć rebelii. Nadzwyczaj silny upór, pozbawiający go możliwości ruchu. Wątpliwość. Ale również ogień i namiętność, które zmuszony był tłumić i które groziły wygaśnięciem. Powierzchniowo sprawiał wrażenie dojrzałej osoby, która wie, czego chce i stoi pewnie na nogach. Inaczej nigdy nie przyszedłoby nam do głowy, żeby poprosić go o rozwiązanie problemu wywołanego awarią statku Kitarów.

– Wyczuwałaś u niego... miłość?

– Miłość? To dziwna koncepcja, ta miłość! Przecenia się jej znaczenie. A ona sama trwa przeważnie tylko przez krótki czas. Jest płomieniem, jest ciepłem, kiedy wybucha, ale ochładza się tak niezmiernie szybko, że dostrzegasz zmianę gołym okiem.

– Była w nim miłość? – Turil powtórzył pytanie. Dlaczego go to interesowało? Co miał nadzieję usłyszeć? Czyż już od dawna nie znalazł odpowiedzi?

– Tak – niespodziewanie odparł Drira Tongon. – Była w nim. Głęboko ukryta. Przesłonięta warstwą innych obrazów. Zawsze podporządkowywał ją poczuciu obowiązku. Przez to narzucił sobie coś, co można najlepiej scharakteryzować jako nienawiść do samego siebie.

Nienawiść. Taki więc był jego opiekun! Poświęcił się dla celów tanatologów i za to siebie znienawidził. Co za życie...

Ciało niegdysiejszego mafatego skurczyło się nagle. W jego przezroczystym brzuchu widniały duże graniaste bryły.

Niestrawione resztki lawy, których Drira Tongon nie był w stanie już wydalić? Skończy przez nie marnie.

Turil powoli zebrał myśli, skupiając się na celu swojej wizyty.

– O co chodzi z tym sceptynatem? Z tym dyskiem?

– Ach tak. Ciekawość to silna pobudka, nieprawdaż? Ale to tylko cienka powłoka, pod którą nie udaje ci się ukryć przede mną niecierpliwości. A przede wszystkim – złości.

– Nie przyszedłem tu, żeby poddawać się analizie psychologicznej – odparł Turil zbyt szorstko i szybciej, niż zamierzał.  
– Potrzebuję odpowiedzi.

– Więc je otrzymasz. – Drira Tongon spoczął na korpusie, wyciągając swe kończyny we wszystkich kierunkach. – Ale z przejściem sceptynatu wiąże się kilka warunków.

– Ty stawiasz żądania?

– Owszem. W imieniu mojego ludu. Nawet sobie nie zadawaj trudu napędzenia mi strachu. Dawno już przestałem odczuwać lęk. Za parę lat i tak nastąpi mój koniec, więc szybsza śmierć będzie tylko wybawieniem.

– Mów, czego ode mnie chcesz. – Turilowi nie starczało cierpliwości na przedłużające się rokowania.

– Widziałeś, co Loga-Wanice uczynili z naszą planetą. Zniszczyli nas doszczętnie. Przepęłniała ich nienawiść, czynili niezrozumiałe rzeczy. Takie, których nawet nasi mędracy nie potrafili wytłumaczyć. Was, Humanów, niekiedy trudno przejrzeć.

– Być może. Ale co mają wspólnego Loga-Wanice z twoimi żądaniami?

– Ponieśli wojnę w głąb Łysego Wora, póki starczyło im sił. Po czym powrócili na swoje światy statkami pełnymi łupów pochodzących z dziesiątek planet.

– Mam sprowadzić i oddać wam złupiony towar albo zastąpić go czymś adekwatnym?

– Nie. – Drira Tongon masował sobie jednym ze swych odnóży dolną część tułowia. – Chcę, żebyś odnalazł osobę odpowiedzialną za ich napad na Habercain. Sprowadź ją tutaj, żebyśmy mogli wytoczyć jej proces i pociągnąć do odpowiedzialności za jej czyny. Wtedy otrzymasz przedmiot, który ma dla ciebie taką wartość.

– Nie mam tyle czasu, żeby...

– Musisz poskromić swą niecierpliwość, Queresmo. Tylko ja wiem, gdzie znajduje się sceptynat. Nie oddam go za żadne skarby, zanim nie zostaną wydane mi osoby odpowiedzialne za atak na Habercain.

– Przeceniasz moje możliwości. Nie jestem w stanie dokonać cudów, a już na pewno nie mogę ingerować w jurysdykcję obcych planet.

– Cały czas czujesz się jeszcze tanatologiem? – zapytał Drira Tongon prowokacyjnie. – Nie wierzę! Sprowadź mi sprawców. Wtedy ubijemy interes.

– Ale...

– Dostyć! – Ksalif skręcił obydwie tylne nogi. – Idź już. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Wypełnij swoją część zobowiązania, a dostaniesz to, czego chcesz.

Częścią edukacji Turila było torturoznawstwo. Byłby w stanie nauczyć tego starca rezonu. Paroma prostymi chwytami, nawet bez znajomości budowy jego ciała. Ale nie chciał. Rozumiał jego pretensje. Drira Tongon żądał sprawiedliwości, dla siebie i dla innych Ksalifów. Jego żądanie było uzasadnione.

– A więc dobrze. Zobaczą, co się da zrobić. – Turil popatrzył na zegarek. Każdy zmarnowany dzień kosztował życie miliony istot. Statki Kitarów cały czas przemierzały Łysy Wór, pojawiały się jak fantomy, niszcząc wszystko, co napotkały po drodze. Podróż i rozmowy z przedstawicielami Loga-Wanic potrwały kilka dni.

– Powinieneś się pośpieszyć. – Drira Tongon podreptał w stronę wyjścia i znikł za dwoma sztucznymi głazami, z których wierzchołków nieustannie skapywały cienkie strużki bulgoczącego ognia. – Czekam z utęsknieniem na zakończenie twojej misji.

Drugie oblicze upadło z hukiem na ziemię, ale Ksalif go nie podniósł.

Turil odrobił zadanie domowe sumiennie, jak zawsze. Jeszcze zanim wyruszył do układu Loga-Wanic, zabezpieczył się, gromadząc dane. Poznał szczegóły zbrodni na Ksalifach i osoby odpowiedzialne za zniszczenie Habercainu.



Nie zdziwiło go jedno z przeczytanych nazwisk. Tożsamość dobrze znanej mu osoby.

– Nie wierzę w przypadki – powiedział cicho. – Nie wierzę w rządzenia losu.

– Słucham? – odwrócił się zainteresowany Ofenau.

– Można by sądzić, że ktoś nami steruje. Jakaś wyższa istota, która dla własnej zabawy każe nam tańczyć jak marionetkom, a kiedy widzi, że wszelkie ruchy ustały, daje nam szturchańca.

– Niedawno coś podobnego twierdził Kix Karambui – powiedział Ofenau z zastanowieniem. Sorollo milczała, jak prawie zawsze.

– Ciekawa osobistość z tego savoir-robot, nieprawdaż?

– Być może. – Krótka, wymijająca odpowiedź.

– Czy on naprawdę jest przyjacielem wszelkiego życia, jak się go zawsze przedstawia?

– Niczego innego o nim nie słyszeliśmy. Jemu zawdzięczamy naszą egzystencję.

– Jesteście zadowoleni z waszego losu?

– Nie możemy się uskarżać. – Ofenau się zaśmiał. – Nie znamy innego. Przynajmniej nic innego nie pamiętamy.

Jedno ciało dzieliło sześć, może siedem branż. Musiały one wzajemnie dostroić swoje potrzeby, zsynchronizować funkcje organizmu i dojść do konsensusu, nawet podczas najprostszych działań. Każde kasznięcie, każde słowo wymagało specjalnego wysiłku. Turil nie wierzył, że dwójka Kseniatów była projekcją możliwej przyszłości. Istniały wyłącznie jako prototypy, wymagające całej masy ulepszeń i poprawek, rzucone na głęboką wodę, aby go odnaleźć bądź powstrzymać Kitarów od dalszych aktów przemocy. Były już blisko celu, a on, Turil, był ich wielką nadzieją.

– Przy odrobinie szczęścia możemy zaoszczędzić sobie lotu do Loga-Wanic.

– Jak to?

– Mamy na pokładzie kogoś, kto może nam pomóc.

– Myślałem, że ty i my to jedyne żyjące osoby na GELFARZE.

– To prawda. Ale są jeszcze kreawatarzy...

Turil opuścił reflektorium i udał się do Hali Wspomnień. Musiał komuś złożyć wizytę, komuś, kto dawno temu stał się jego przyjacielem i doradcą.

– Byłeś jednym z najlepszych – powiedział Turil. – Pewnego czasu moi... Moi krewni zrobili twoją odbitkę i oddelegowali ją na Szary Dwór Pokoju, żeby pracowała w Mieście Wczorajszego Jutra. Miałeś rzucić na szalę swój geniusz i doświadczenie jako strateg, żeby stawić skutecznie opór sferom statków.

– Czyżby? – Shmau Pendrix nie przejawiał zainteresowania tematem, chociaż Turil dostarczył mu wyczerpujących informacji o walce tanatologów z ich statkami. – Właściwie czuję się całkiem dobrze na pokładzie GELFARA.

– Już niebawem będziesz musiał go opuścić.

Shmau Pendrix pokręcił z niedowierzaniem głową.

– A to dlaczego?

– Znasz Habercain?

– Coś mi ta nazwa mówi...

– Oszczędź sobie kłamstw! Byłeś admirałem Shmau Pendrixem, jednym z trzech komendantów Loga-Wanic, którzy skoncentrowanymi siłami, siejąc zniszczenie, napadli na Habercain w akcji pod kryptonimem *Tysiąc Ogni*.

– Przeceniasz moje znaczenie.

– A ty nie doceniasz mojej inteligencji! Nie próbuj robić ze mnie wariata. – Turil zacisnął pięści. Tłąca się w nim cząstka gniewu buchnęła żywym ogniem. – Powinienem był już jakiś czas temu przeanalizować twoje dane, Shmau. Twoje piękne słówka, twoje niby uczciwe rady są tylko fasadą, za którą skrywasz prawdziwe ego. Ego istoty bez skrupułów, żadnej władzy, osoby, która podlegała swoich poddanych do bezsensownych wojennych wypraw. – Turil nakręcał się coraz bardziej. Jeśli nie chciał, żeby rozmowa wymknęła mu się spod kontroli, musiał się uspokoić. – Nawet po śmierci knułeś intrygi na pokładzie GELFARA. Udawałeś dobrego przyjaciela, ale za plecami szpiegowałeś mnie i dostarczałeś informacji sferze statku...

– Musisz jednak przyznać, że nie byłem w tym taki zły – powiedział znienacka krewatar z rozbijającym uśmiechem na

twarzy.

– Tak dobrym, że niczego nie podejrzewałem. Gratuluję!

– Dziękuję bardzo. – Admirał się uklonił. – Niemal żałuję, że moja tajemnica wyszła na jaw.

– Co ci GELFAR obiecał w nagrodę?

– To nie ma nic do rzeczy.

– GELFARZE?

Turil powoli tracił cierpliwość. Nie miał czasu na nieskończenie długie dyskusje.

– Jaką mu złożyłeś ofertę?

– Jest tylko jedna rzecz, która zainteresowałaby istotę jego pokroju.

– Władza?

– Naturalnie.

GELFAR nadal sprawiał wrażenie uprzejmego i współpracował bez sprzeciwu. Jednak podsycana latami paranoja Turila osiągnęła już taki poziom, że zinterpretował słowa statku jako zły znak. Jeśli miał zamiar utrzymać kontrolę nad GELFAREM, nie wolno mu było ani przez chwilę rozpraszać uwagi.

– Jego życzeniem było przewodzić kreawatarom w Hali Wspomnień – oznajmiła sfera statku. – Wyrządziłem mu tę przysługę. Dostarczył mi tyle informacji i analiz o tobie, ilu nigdy nie dostałem od żadnego mojego informatora. Jeśli chodzi o twoją psychikę, Shmau Pendrix to ekspert.

Turil ponownie zwrócił oblicze w kierunku kreawatara, starając się ukryć bezgraniczne rozczarowanie. Musiał przyznać w duchu, że jego pancerz nerwowy został w ostatnim czasie nieco nadwerężony.

– Czy jedyne, co cię interesuje, to władza?

– Czy coś innego posiada jakiegokolwiek znaczenie? – Admirał poddał krytycznej ocenie swoje paznokcie u wirtualnych rąk.

– Tak.

– To niepoważne! – obruszył się Shmau Pendrix nieoczekiwanie. W końcu zdobył się na ukazanie swego prawdziwego oblicza. – Jesteś żalosnym śmieciem, nędzną kreaturą nieznającą drogi ani celu! Nie wiesz, skąd pochodzisz, ani dokąd zmierzasz! Wartości, o których bezustannie gadasz i w których ja miałem cię utwierdzić –

ja! – nic dla ciebie nie znaczą! Moralność, uczciwość, cnota, etyka, przyjaźń, zaufanie, sympatia, wierność... Wszystko to można kupić. Wiem o tym, bo sam nimi ciągle handlowałem. Z podwładnymi, przełożonymi, w burdelach czy na giełdach Łysego Wora. Tu pogroziłem, tam dałem wskazówki co do nielegalnego konta – i już każdy się do mnie przymiłał i okazywał empatię, za którą wyciągasz język. Nawet nie wiesz, za jakie śmieszne sumy udawało mi się z kogoś zrobić błazna i spowodować, że dana istota wyzbyła się wszelkich zasad, którymi kierowała się przez całe życie! Masz władzę, a posiadasz jedyny czynnik przynoszący szczęście w tym posranym wszechświecie!

Turil miał już wybuchnąć. Był o krok od przeciwstawienia się całą mocą temu potworowi pod postacią Humana. Jednak całkiem nieoczekiwanie płomień gniewu nagle zgasł. Poczuł spokój i opanowanie. Czyżby to też pamiątka po Kitarach? Czyżby właśnie poznawał pozytywną stronę tego, co mu pozostawili w spadku jego przodkowie?

– Żałosny jesteś – powiedział cicho do kreawatara. – A żalosną osobowość skrywasz pod płaszczkiem cynizmu. Ale co tam. Od teraz nie stanowisz już dla mnie problemu.

– Co chcesz zrobić, Turilku? – syknął Shmau Pendrix. – Chcesz mnie wyłączyć, wymazać moją pamięć? Myślisz, że możesz pstryknąć w nią jak w wyłącznik i po wszystkim? Na Logum, mojej ojczystej planecie, imię moje będzie wychwalane przez wieki, a i kreawatarzy GELFARA też nie zapomną, kim jestem. Będę egzystował, nawet w tobie, gdziekolwiek byś przebywał. A co pozostanie, gdy ciebie już nie będzie? Pamięć o małym niezdarnym kretynie, którego zabiły jego własne ideały.

– Być może. – Turil odzyskał pełnię kontroli nad sytuacją. – Cóż mam ci odpowiedzieć? Wszystko mi jedno. Czynię to, co muszę. Ciesz się swoim triumfem – i postaraj się w przyszłości dogadać z Ksalifami. Być może i ich dasz radę uśpić swoimi opowieściami.

– Z Ksalifami?

– Tak, z Ksalifami. Zamierzam cię im wydać. W ciągu następnych kilku minut GELFAR przeniesie cię do projektora transferowego. A stamtąd na powierzchnię Habercainu. Będziesz mógł wtedy

próbować przekonać jego mieszkańców o swojej uczciwości. Jak to próbowałeś zrobić ze mną. Być może uwierzą ci, a może nie.

– Ci Ksalifowie to słabeusze. Wykazywali zainteresowanie wyłącznie sobą. Dlatego udało nam się tak szybko ich pokonać. – Z głosu Shmau Pendrixa powoli zniknęła pewność siebie.

– Oczywiście. Znowu sobie jakoś poradzisz. Jesteś mistrzem manipulacji. Masz przed sobą dobrych parę lat. – Turil odwrócił się i skierował do wyjścia, ale w połowie drogi zatrzymał się na chwilę.

– Nie masz, oczywiście, nic przeciwko temu, żeby GELFAR wykonał kopię naszej rozmowy i przekazał ją Ksalifom?

Kreawatar admirała milczał aż do chwili wpisania go w projektor. Dopiero wówczas rozpoczęły się prośby, płacz, szloch i błaganie.

Turil nie odczuwał niczego. Ani radości, ani zadośćuczynienia. Miał w sobie taką pustkę, jak nigdy przedtem.

– To mi dajesz w zamian za sceptynat? – zapytał Drira Tongon z niedowierzaniem, wskazując na bladą odbitkę admirała.

– Tak. Shmau Pendrix wytłumaczy się przed tobą z ataku na Habercain. Pokażę ci, jak go obsługiwać i jak można z niego wydobyć prawdę w przypadku, kiedy nie będziesz pewien jego słów.

– Brzydzimy się torturami. – Ksalif podrapał się dwiema ze swych nóg po odwołoku.

– Kto mówi o torturach? Nie masz do czynienia z realną istotą. Prawdziwy Shmau Pendrix umarł już dawno temu. Kreawatar jest tylko siedliskiem jego wspomnień z poprzedniego życia.

Były admirał Loga-Wanic chciał się sprzeciwić, ale projektor transferowy nie pozwalał na nawiązanie jakiegokolwiek kontaktu. Pole działania Shmau Pendrixa zostało zawężone przez Turila z wiadomych powodów.

– A więc dobrze – powiedział Drira Tongon po chwili. – Ufam ci. Czuję, że masz dobre zamiary.

– Otrzymam sceptynat? – Turil poczuł bezgraniczną ulgę. Był tak blisko celu, tak blisko...

– Tak. – Ksalif osadził swój odwołok na gołej ciepłej glebie, przyciskając brodawkę zmysłów do tułowia. Jego ciało drżało z

wysiłku. Przez chwilę Turil myślał, że właśnie nadchodzi koniec starego mafatiego.

Dół korpusu kleszczopodobnej istoty pękł wzdłuż ledwie widocznego szwu. Na zewnątrz wydostały się wnętrzności. Z targanego silnymi konwulsjami tułowia wynurzała się zauważona wcześniej przez Turila jedna z domniemanych bryłek lawy. Po chwili upadła na ziemię, wydając głośny metaliczny odgłos. Na nią rozlała się jasnoczerwona ciecz. Szew został zamknięty, a wydostające się płyny organiczne po jakimś czasie zastygły.

– Sceptynat – jęknął Drira Tongon. – Noszę go w sobie od czasu, kiedy Pschoim zostawił go w Grachcie.

Turil z namaszczeniem sięgnął ręką po bryłkę znajdującą się pośrodku maziowatych wydzielin Ksalifa. Jej kształt przypominał dysk; pokrywała ją narosła przez lata skorupa.

Turil zbliżył przedmiot do płomienia blado świecącej lampy. Ostrożnie odrywał warstwy glonów z powierzchni dysku i paznokciem zdrapywał mineralne osady. Kątem oka dostrzegł, jak Drira Tongon opuszcza swoją jaskinię, dzierżąc w odnóżach projektor transferowy. Admirał Shmau Pendrix gestykulował żywo, rzucając w stronę Turila rozpaczliwe spojrzenia. Ale to już tanatologa nie interesowało...

Pod warstwą osadów pojawiła się złotawa powierzchnia sceptynatu. W zależności od kąta padania światła, zmieniała zabarwienie z czerwonego na błękitne. Niepozorny przedmiot emanował hipnotyczną mocą. Dotyk wypolerowanego metalu wywoływał drgania, które osaczały Turila, wypełniały go, wywoływały w nim skojarzenia.

Zakastał, zarzęził. Jego serce musiało wykonać kawał roboty. Jego serce? Było dziełem tanatologów, z którymi, był o tym coraz bardziej przekonany, nic go już nie łączyło. A nawet wręcz przeciwnie: Zaczynali budzić w nim wstręt... Oddychając ciężko, wyrwał się z uchwytu wyobrażeń i emocji. Położył sceptynat przed sobą, na koślawym stole z zastygłej lawy, i powrócił do rzeczywistości.

Z jednej strony czuł zmęczenie, wyczerpany siłą znajdującą się we wnętrzu sceptynatu. Z drugiej zaś dysk uduchowił go,

obdarowując wspomnieniami jego własnej egzystencji sprzed katastrofy na Habercainie. Reminiscencje, przypomnienia o wykonaniu właściwego zadania... Wrażenia te były jeszcze mgliste i nieprzekonujące. Żeby przekazać Turilowi jego historię, sceptynat musiał dopiero rozbudzić w sobie pełną moc. Przez te kilka dotyków Turil doznał jedynie przedsmaku tego, co go czeka, jeśli instrument w pełni ogarnie go swym oddziaływaniem. A Habercain nie był odpowiednim miejscem na ostateczną aktywizację sceptynatu. Turil musiał dostać się na pokład GELFARA i w otoczeniu sfery statku zrobić ostatni krok.

Z oddali dobiegły go głosy. Shmau Pendrix rozpoczął zwykłą argumentację i przymilanie się do rozmówcy. Drira Tongon odparowywał spokojnie surowo brzmiącymi słowami. Od razu można było wyczuć, kto z dwójki przeciwników okaże się silniejszy. Starcza mądrość mieszkańca umierającego świata zdobędzie przewagę nad żądzą władzy admirała. Shmau Pendrixa czekał ciężki los.

Turil sięgnął po dysk i zażył szczyptę kautu, pozwalając lotnej substancji, by zabrała go na pokład GELFARA.

– Wiesz, na co się decydujesz? – zapytała Sorollo.

– Tak. – Turil rozejrzył się dokoła. Miał niewiele środków zapobiegawczych, które mogłyby pomóc – dokładnie wyregulowane mierniki, kilkadziesiąt będących w gotowości medwózek, trzymających w pogotowiu trankwilizator oraz wymyślny system broni – służyło jedynie do uspokojenia nadszarpniętego układu nerwowego. W ogóle nie miał pojęcia, co go czeka.

– Nie powinieneś tego robić – zawołał Ofenau po raz ostatni. – Niebezpieczeństwo jest zbyt duże. Chcesz zaryzykować utratę własnej tożsamości?

– Narzucono mi tożsamość – odparł Turil. – Muszę się dowiedzieć, kim byłem wcześniej. Dopiero potem mogę zdecydować, po której stronie.

– Kitarzy są bezwzględni, pozbawieni sumienia. Chcesz być taki sam? Chcesz z nimi przemierzać Łysy Wór i siać spustoszenie? Pomyśl o wszystkich zgładzonych światach, o zabitych... Idee

reprezentowane przez ARMIDORN mogą wydać ci się naiwne; wielu jego członków odnosi się do nich z pewną dozą cynizmu. Ale to prawe idee.

– Nie grasz w teatrze, Ofenau! Ty, Sorollo i Kix Karambui nie jesteście w niczym lepsi od tanatologów! Chcecie przeze mnie dotrzeć do Kitarów, a to, co ze mną się stanie później, jest wam obojętne.

– To prawda. Chcielibyśmy, żebyś nam ich wydał. Ale nie za wszelką cenę. – Ofenau wypowiedział te słowa, gładząc w trybie bramkowym.

Turil nie wiedział, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw. Być może straci swoją tożsamość, stając się kimś zupełnie innym. Ale nie mógł się dłużej opierać pokusie sceptynatu.

– Proszę was, odejdźcie – powiedział do dwójki Kseniatów. – GELFAR się o was zatroszczy. Zgłoszę się do was, kiedy... Kiedy się to wszystko skończy.

Ofenau i Sorollo odwrócili się bez słowa i opuścili reflektorium. Szli równym krokiem. Jak zsynchronizowane maszyny. Ich dłonie splotły się niby przypadkowo. Turil pojął – Kseniacy też odczuwali lęk.

Odczekał chwilę, aż nie dobiegał go już odgłos ich kroków, a wokół zapanował spokój. Chwytał sceptynat. GELFAR uwolnił go w kąpielni ultradźwiękowej od reszty zanieczyszczeń, ale na wyraźne polecenie Turila nie wykonał żadnych pomiarów.

Turil miał dłonie mokre od potu. Sceptynat był ciepły i łagodny w dotyku. Przekazywał mu coś w rodzaju uspokajających impulsów, stopniowo stabilizując się na pewnym poziomie zawłaszczającym umysł tanatologa.

To ostatnia szansa, żeby tego poniechać!, ostrzegła go jakaś część własnego ja. Być może będziesz szczęśliwszy, jeżeli nigdy nie rozwikłasz zagadki Kitarów.

Być może. A może nie. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Turil chwycił mocno dysk, nie przeciwstawiając się jego wpływowi – i stał się znowu istotą, którą był kiedyś. Queresma



ostatecznie się przebudził.

## 26. BEZOAR

Nazywali siebie Marimami. Byli ludem zdeterminowanym i ukierunkowanym na jeden jedyny cel: sprawowanie straży nad Łysym Worem i nad jego poddanym testom istotami. Podobnie czyniły to sfery statków, ich sternicy, Refrakci oraz owe nieznanne istoty, o których krążyły tylko plotki. Każdy z Marimów wiedział, gdzie jego miejsce, wiedział, co należy do jego obowiązków i zadań. A kiedy byli całością, nic nie mogło im się przydarzyć. W nieregularnych odstępach czasu, kiedy tkwiąca w nich naturalna siła stała się zbyt wielka, manifestując się we wszechogarniającej fali gniewu, zbierali się w SECHSENIE. Podążali w jego kierunku bez żadnej ochrony, nie musieli zważać na swoje narządy, na wpół odkryte części ciał czy metalowe powłoki statków. Byli po prostu szczęśliwi. W SECHSENIE byli sobie bliscy. Tutaj kończył się ich indywidualizm. Byli równymi pośród równych – masą zespolonych Marimów, obdarzających się wzajemnie tym wszystkim, bez czego musieli się obywać, gdy pozostawali odcięci od siebie.

Tylko jeden z nich był zobowiązany zachować swą osobliwość. To on decydował, kiedy SECHSEN dobiegał końca, to on wysyłał ich z powrotem do cielesnych powłok, to on wydawał im rozkazy, bez których pozostawaliby w bezmiernym szczęściu, zaklinowani w sobie aż po koniec czasów.

Kochali Queresmę i nienawidzili go jednocześnie. Tego jedynego Marima, któremu wolno było zachować swoje imię. Troszczyli się o niego, opiekowali się nim, ale i otaczali pogardą, kiedy wyrywał ich z SECHSENU, żeby podążali na nowo wypełniać swoje zadania. Queresma był bezoarem ich wspólnego ciała – SECHSENU. Substancjalną kwintesencją wszystkich wspólnych idei i przekazów.

Gdy Queresma umierał, wybierano nowego Marima, który przejmował urząd poprzedniego. Zawsze był tylko jeden. Ostatni został zaduszony w dziwnych okolicznościach w SECHSENIE, a jego następcę zaginęła. Skonsternowanym Marimom nigdy nie udało się wyjaśnić tego przypadku.

Queresma był im potrzebny. Potrzebowali go tak bardzo, że ból spowodowany jego utratą doprowadzał ich do obłądu. Bez niego

*nie dane im było wytchnienie w SECHSENIE. Bez ustanku przemierzali otchłanie Łysego Wora. Tęsknili za głosem bezoara. Bez jego przywołującego porządek głosu byli niczym. Wyłącznie gnany mi obłędem stworzeniami, łagodzącymi swój ból w walce. Szukali Queresmy z rosnącą dzikością. Czasem mieli wrażenie, że jest gdzieś w pobliżu – ale szybko tracili jego ślad. Bezoar pojawiał się i znikał. Ich narzędzia, statki kosmiczne, poszerzające zdolności recepcyjne Marimów, stawały się bolącymi protezami, których mimo dręczącego ucisku musieli używać, jeśli chcieli utrzymać szansę na odnalezienie Qeeresmy. A więc szukali go i zabijali wszystko, co napotkali po drodze. Jeśli trzeba i jeśli przyniesie im to ulgę, powyrzynają wszystkich mieszkańców Łysego Wora. Nic innego nie dawało im ukojenia w gehennie.*

Turil/Queresma zrozumiał i w ułamku sekundy powziął decyzję, na którą od wieków czekali Marimowie. Zaweźwał ich do SECHSENU.

## 27. WYCOFANIE

Nad zgłiszczami świata Axtarasów zawisły resztki świadomości, nazywanej przez ludy Łysego Wora Kitarami, która sama siebie określała jako Marimów. Ta tożsamość rozpamiętywała teraz śmierć swojej ostatniej jednostki operacyjnej, która gnana absurdalnym instynktem rzuciła się na dogorywającą planetę, aby w walce dokonać żywota. Jednostka pozostawiła ją w metalowej skorupie, pozbawiając tym samym podstaw egzystencji. Ale ona oparła się impulsowi samounicestwienia.

Pograżona w letargu tożsamość przypatrywała się upadkowi Axtaru, nie wykazując większego zaciekawienia. Raz tylko została wyrwana z odrętwienia, kiedy jeden z mieszkańców niszczonej planety odwiedził ją w korpusie statku. Podarowała mu szybką śmierć, a potem na nowo pograżyła się w półśnie błahości.

Po jakimś czasie zdarzył się cud. Do życia ponownie obudził się Queresma, przywołując wszystkich do SECHSENU. Marim od razu wiedział, co czynić. Parcie do zjednoczenia się mówiło mu, dokąd się kierować tą znienawidzoną metalową powłoką, uruchomioną przez niego bez pomocy jednostki operacyjnej.

Kolektyw egzekucyjny Marimów z platformy Crass-C przerwał walkę. Wszyscy zostali niespodziewanie oświeceni przez obudzonego Queresmę. Wspólnota nie traciła czasu. Jak jeden mąż opuściła przeogromną przestrzeń, nie troszcząc się o jej obrońców, słabowitych Humanów, niewykazujących godnego wzmianki oporu. Rąbek odwiecznej tajemnicy Marimów został uchylony. Gniew i żądza walki minęły, ich miejsce zajęła właściwa misja. Był już tylko jeden cel, jedno dążenie. Wspólnota musiała dotrzeć do Queresmy. Jak najszybciej.

Odosobniona jednostka operacyjna nie żyła. Niewola na Faurum wydawała się jej jedną nieskończenie długą chwilą, podczas której przeplatały się powracające obrazy i myśli. Wszystko kręciło się wokół jednego życzenia – zrozumienia siebie i pojęcia sensu własnej egzystencji.

I nagle pojawiła się ta dziwna istota, w której tkwiło ziarno Queresmy, przerywając letarg. Jednostka resztkami sił zwróciła się

do istoty z nadzieją na uwolnienie swego ego z obrzydłej powłoki.

Nadeszła nieskończoność śmierci. Ale los nie znał miłosierdzia. Płomyk świadomości tlił się nadal, wyczuwając przyszłe przebudzenie Queresmy. Impulsy pociągały i pochłaniały jaźń do tego stopnia, że umarła jednostka nie mogła się oprzeć ich oddziaływaniu. Jeden jedyny żądał zebrania wielu.

Jednostka usiłowała wzmocnić w sobie resztkę życia, zapłonąć jeszcze raz i odzyskać kontrolę nad ciałem. Ale się nie udało. Nie było już ciała, w które mógłby przyoblec się duch. Materia zgniła, rozpadła się, została rozgryziona, wyrzucona, niczym odpad, na śmietnik. Nigdy więcej jednostce nie będzie dane przeżywać wielkości Marimów. Tlić się będą wyłącznie wspomnienia. Coraz słabiej i słabiej, aż i one ostatecznie przeminą.

Marimowie odznaczyli się wielką wytrzymałością. Potrwa lata, zanim jednostka zapomni o sobie samej...

W całym Łysym Worze Marimowie odzyskiwali samoświadomość. Stłumili charakterystyczną dla nich żądzę walki, tę najlepszą z posiadanych cech, zastanawiając się nad tym, czego nauczył ich Queresma. Cnotę niszczenia wcieli ponownie w życie, kiedy zajdzie taka potrzeba. Ale teraz chcieli spotkać się na miejscu przeznaczenia i powitać Queresmę w ich gronie. Uwolnili się ze swoich sztucznych ciał, pozostawiając wszystkie niepotrzebne już organy i rozkoszując się swoją niby-naturalną substancją. Wzmogło się radioaktywne promieniowanie na pokładzie ich zmiennokształtnych statków. Było jak ochronny ekran, osłaniający ich i wzmacniający percepcję zmysłów. Zbliżał się termin SECHSENU.

## 28. NOWY PORZĄDEK

Queresma ocknął się, odzrucając ze wstrętem sceptynat, symbol mechanicznej uzurpacji, zaakceptowany przez niego i jemu podobnych z wielką nieufnością. Potem zdarł z siebie płaszcz ceremonialny. Pólinteligentny kupon materiału ponownie odważył się wywrzeć na niego wpływ. Tym razem przez wszeptywanie.

Znowu wiedział, kim i czym jest. Część będąca Turilem opierała się temu doznaniu z całej siły. Ale Queresmy to nie obchodziło. Turil był krótkotrwałym aspektem jego życia, który można było odłożyć, jak tanatolog odkłada swój płaszcz.

– GELFARZE?

– Tak, panie? – W głosie sfery statku brzmiało całkowite poddaństwo. Wyczuła jego przeistoczenie.

– Podam ci współrzędne, na które natychmiast weźmiesz kurs.

– Dziecko statku jest zmęczone – GELFAR odważył się sprzeciwić.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy zaczekali kilka godzin.

– Momed jest mi potrzebny wyłącznie do tego ostatniego skoku. Jeśli o mnie chodzi, to może po nim nawet umrzeć.

Znowu wyrzuty sumienia, które próbowała mu narzucić świadomość Turila! Ta jego część, która została wychowana przez tanatologów, otaczała szacunkiem każde życie, nie oceniając przy tym jego wartości. Queresma ponownie zepchnął niepożądanego dawcę pomysłów w tylne rejony jaźni. Kiedyś wyłączy Turila całkowicie, ale jeszcze nie teraz. Być może będzie jeszcze potrzebował tego tanatologicznego bastarda.

– Słucham, panie – powiedział GELFAR po dłuższej chwili. – Co mam oznajmić Kseniatom? Stają się nerwowi. Powinieneś się do nich zgłosić.

– Opowiedz im, co chcesz. Najważniejsze, żeby nie przeszkadzali przez następnych kilka godzin. – Queresma obmacał swoje zastępcze ciało. Będzie musiał usunąć tę mięsną powłokę, gdy spotka się z innymi Marimami. Na próbę wwiercił się palcem w policzek. Trochę zabolalo, a z rany pociekła krew o dziwnej konsystencji. To ciało stanowiło złożoną strukturę. Skomplikowaną. Trochę potrwa, zanim je zrzuci bez poniesienia uszczerbku.

– Rozmawiaj ze mną! – nalegał Turil cichym głosem. – Jesteś mi coś winien.

– Niczego nie jestem ci winien, jesteś dla mnie bez znaczenia – odparł Queresma.

– Przez tyle lat dawałem ci schronienie; już zawsze będę stanowił część ciebie.

– Śmieszne! – Queresma przerwał kontakt, wymazując Turila z pamięci. Jeśli chciał Marimom zwrócić to, czego im przez długi czas tak brakowało, musiał się przygotować.

Skok GELFARA przez otchłanie kosmosu wciągnął Queresmę w zagrażającą życiu ciemność, wzmagającą jego niepewność. To, czego się obawiał, okazało się prawdą. Był uzależniony od Turila. Narzucona tożsamość, podobna do brudnej warstwy na sceptynacie, umiała lepiej niż on przystosować się do warunków życia w Łysym Worze. Marimowie byli przyzwyczajeni do własnych statków, stanowiących ich jedyne zabezpieczenie przed utratą orientacji przestrzennej, na którą tak często zapadali członkowie jego ludu. Jeśli chciał dalej sprawować kontrolę nad swym zastępczym ciałem, musiał dogadać się z Turilem.

Przywołał go więc pojedynczym myślowym żądaniem na powierzchnię świadomości. Zanim rozpoczął mentalną konwersację, poddał go krótkiej, acz intensywnej, ocenie. Grabarz nie był w niczym lepszy od pozostałych mieszkańców Łysego Wora. Jego wewnętrzne rozterki przejawiały się w błędnych posunięciach, psychozach i zadziwiającej liczbie przeróżnych fobii. Queresmę zawsze irytował niedorozwój umysłowy Humanów.

– Pomożesz mi w realizacji mojego celu! – zażądał.

– Żeby zrezygnować z własnej egzystencji? – Turil odważył się być przeciwnego zdania.

– Jesteś niczym. Mniej niż niczym. Jesteś produktem błędnego wychowania. Nie posiadasz żadnej substancji. Zostałeś ukształtowany po to, żeby przez wychowanie, reguły i indoktrynację pozostawać w służbie u tanatologów i pomóc im osiągnąć ich własne cele.

– Pomimo że gardzę Pschoimem i środkami, jakimi wywierał na mnie wpływ, on walczy z ogromnym niebezpieczeństwem,

stanowiącym zagrożenie dla całego Łysego Wora. Gdyby doszło do zwycięstwa Szarości nad grabarzami na Szarym Dworze Pokoju, konsekwencją byłoby rozprzestrzenienie się jej wpływu na wszystkie zamieszkane światy. A wtedy...

– A jeżeli ja jak najszybciej nie nauczę rozumu mojego ludu, dojdzie do zniszczenia światów Łysego Wora. O zwyrodniałe sfery statków zatroszczymy się, jak tylko rozwiążemy nasze problemy.

– Wtedy będzie już za późno. Rozgorzałego pożaru nikt nie jest w stanie ugasić.

Dlaczego wdaje się w dyskusję? Może przecież zmusić Turila do posłuszeństwa...

Nagle zdał sobie sprawę, że nie. Nie może! Śmierć jednego z nich będzie skutkowałą zgonem drugiego. Pogrążony w zadumie, powoli otwierał się na propozycje partnera.

– Musimy pójść na kompromis – nalegał Turil.

Jak to niby ma wyglądać?

– Jestem gotów pójść z tobą i wziąć udział w SECHSENIE, jeżeli wyświadcysz mi pewną przysługę.

Argumenty Turila warte były przemyślenia. Przesiąknięte smutkiem, ale i nadzieją odnalezienia się i czynienia tego, co właściwe.

– Jaką przysługę? – zapytał zaciekawiony Queresma.

Turil wyjaśnił, a Marim po chwili przystał na propozycję tanatologa. Z taką umową dawało się żyć.

Queresma stopniowo zaczynał rozumieć dylemat Turila. Sfera statku, GELFAR, posiadała silną wolę i była wyjątkowo perfidna. Wcześniej Marim jedynie sporadycznie miał do czynienia z półmechanicznymi jednostkami tej serii i starał się unikać z nimi kontaktu. Nie ulegało kwestii, że członkowie jego ludu mieli do dyspozycji o wiele potężniejsze narzędzia władzy, jednak podstępność strażników pokroju GELFARA wzbudzała w nich lęk.

Turil skierował ciało, którym musieli się teraz dzielić, do miejsca pobytu dwójki Kseniatów. Queresma zgodził się, by tanatolog prowadził. Ta dostarczająca mu powłoki świadomość orientowała się w sferze statku o wiele lepiej niż on sam.



Kiedy Turil przekroczył pomieszczenie brązowych istot, Ofenau i Sorollo poderwali się z miejsc.

– Czuję się dobrze – oznajmił, zanim którekolwiek z nich zdążyło zabrać głos. – Wszystko mam pod kontrolą.

– Co się stało? – zapytał Ofenau. Zbliżył się do niego wolnym krokiem. – Gdzie jest sceptynat?

– Już go nie potrzebuję. Wykonał swoje zadanie.

– A ty teraz jesteś...?

– Noszę w sobie jeszcze jedną świadomość. Kitarą zwanego Queresmą.

Przestraszony Ofenau odsunął się o krok, a Sorollo płynnym ruchem przybrała pozycję obronną. Mięśnie jej muskularnego ciała napięły się pod obcisłą szatą.

– Queresma postara się, żeby Kitarzy – lub Marimowie, jak sami siebie nazywają – zakończyli najazdy. ARMIDORN już nie musi się bać.

– Łatwo powiedzieć – osądziła Sorollo. – Dlaczego mamy ci zaufać?

– Jesteście gośćmi na pokładzie mojego statku i jeszcze żyjecie. Byłoby inaczej, gdybyśmy postąpili, jak chce Queresma. Czy nie jest to wystarczający powód do zaufania?

Sorollo zaśmiała się nerwowo. Tryb bramkowy spowodował wystąpienie na jej twarzy nieskoordynowanych drgawek, podczas gdy reszta ciała pozostawała w spokoju.

– Naszym zadaniem jest sprawienie, żeby ustały ataki Kitarów. Kix Karambui wyraził się jednoznacznie – o ile zaistnieje choćby znikoma możliwość ich aktywności i potencjalnej napaści na którykolwiek ze światów Łysego Wora, nasza misja nie zostanie wypełniona. Czy dajesz nam gwarancję uspokojenia Kitarów, Turilu?

– Nie. Nawet Queresma nie wie, jak zareagują, kiedy się z nimi połączy.

– Czyli istnieje możliwość pogorszenia sytuacji, kiedy powróci do swoich?

– Tak. Ale warto spróbować...

Sorollo skoczyła do Turila tak nagle i niespodziewanie, że wisiła na nim, zanim zdolał unieść ramiona. Jej ciosy były szybkie i dobrze wymierzone. Turilem z całej siły rzuciło o ścianę. Stary robak w urnie, przechowywany na statku, podobnie jak inne relikty, upadł w swej niszy i przewracając się, rozbił o podłogę w chmurze popiołu. Turil usłyszał trzask w obrębie klatki piersiowej; dziwnie powoli rejestrował rozprzestrzeniający się ból. Pole widzenia przesłoniła mu mgiełka krwi, prawdopodobnie pochodzącej z rany na czole. W okolicach łędźwi pojawiło się odrętwienie. I tam dosięgły ciosy Kseniatki. Uderzała nogami i ramionami. Każda część jej ciała pracowała niezależnie, sterowana przez pojedyncze branże.

– GELFARZE! – stęknął, wypluwając krew. – Pomóż mi!

Sfera statku nie odpowiedziała jednak, nie zareagowała w żaden sposób. Na to właśnie liczyła Sorollo. Kseniatka podsunęła GELFAROWI nową, i chyba ostatnią, szansę uwolnienia się z uścisku Turila.

Kolejny cios. Tanatolog upadł na podłogę jak kawał drewna. Zdawał się być bezbronny wobec wściekłego ataku Humanki. Walczyła nieuczciwie, nie zważając na konwenanse. Gryzła, drapała, pluła, kopała, chciała zadać ból na wszelkie możliwe sposoby i nie dopuścić, by grabarz zaczerpnął tchu. Na ciele Turila krwawiło kilkadziesiąt ran.

– Puść mnie do niej! – domagał się Queresma. Emanował siłą i zimną złością.

– Nie! – odpowiedział Turil resztkami sił. Jeśli teraz ustąpi i przekaże Marimowi kontrolę nad wspólnym ciałem, zaprzepaści swoją ostatnią szansę, żeby...

Nie zważał na zadawane ciosy, na ból, na nieprzerwane ataki Kseniatki. Skoncentrował się na sobie. Prawe ramię miał sparaliżowane, kilka palców u lewej dłoni – złamanych. Ale to mu w niczym nie przeszkadzało. Zamachnął się z całej siły i uderzył napastniczkę w bok. Wydała z siebie okrzyk bólu, ale nie przestała go okładać. Ponowił uderzenie. Kolejne. I jeszcze jedno. Raz po raz trafiał w żebra, aż po jakimś czasie Sorollo oderwała się od niego. Podskoczyła i zaczerpnęła powietrza, kwiląc z bólu.

Walka obnażyła słabe punkty branżowej koncepcji. Humanka nie była w stanie kontrolować swego ciała. Najwyraźniej kotłował się w niej konflikt osobowości. Niektóre branże chciały uciekać bądź się poddać, inne parły do dalszej walki. Permanentna konfrontacja groziła rozerwaniem ciała. Sorollo nie była już w stanie atakować z taką werwą, jak jeszcze kilka chwil temu.

Turil się podźwignął; musiał uważać, jeśli nie chciał się poślizgnąć na własnej krwi. Jego ciało nie było już takie jak wcześniej. Skórę przebijały białe kości, dziwnie wykrzywione palce odstawały od dłoni, ruchy krępowało mu zakrwawione ubranie. Wypluł część szczęki, z przyklejonym do niej kawałkiem mięsa.

Nie myśleć o tym w tej chwili, jeszcze nie teraz! Turil, kuśtykając, zbliżył się do Sorollo. Zamachnął się, rozbujawszy bezwładne ramiona kilka razy w przód i w tył, i z rozmachem, z całej siły, uderzył Kseniatkę w twarz. Nie zareagowała, wciąż jeszcze zaabsorbowana kłótnią swoich branż. Turil doskoczył, rzucił się na nią, zepchnął do ściany i nogami, jak nożycami, powalił ją na ziemię. Miał doping Queresmy, zafascynowanego zimną krwią tanatologa! Turil wydusił z Sorollo ostatnią cząstkę powietrza. Oczy wyszły jej z orbit, lecz z płuc nie wydostał się żaden dźwięk. Leżał na niej, nie zwracając uwagi na drżące pod nim ciało.

Popatrzył na Ofenau. Kseniata przez całą walkę nie ruszył się z miejsca. Nie rozumiał przyczyn ataku swojej partnerki, ani nie wiedział, jak się zachować podczas starcia. Również i w nim następowała chaotyczna wymiana branż.

Turil nie mógł już dłużej opierać się wpływowi Queresmy. Zrobił mu w ciele tylko odrobinę miejsca, akurat tyle, żeby w każdej chwili móc go wyprzeć. Ten wydał z siebie pomruk zadowolenia. Uderzył głową w twarz Sorollo, łamiąc jej kość nosową. Kseniatka z bólu odsunęła głowę do tyłu, charcząc i łapiąc powietrze. Wtedy ją dopadł. Zatopił zęby w jej szyi. Jak dziki zwierz wgryzał się w jej gardło, coraz głębiej i głębiej. I nie odpuścił, aż wyzionęła ducha.

Turil musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby odzyskać kontrolę nad zewnętrzną powłoką. Queresma niechętnie dawał się zepchnąć na drugi plan świadomości. Jego głód krwi został zaspokojony, lecz dziwne reakcje ciała – gęsia skórka, ciarki na plecach, uśmiech –

których grabarz nie potrafił opanować, unaocznily Turilowi, z jakiego pokroju partnerem ma do czynienia.

Stanął na nogach, opierając się o ścianę. Z uchwytu wyskoczyło kilka nekroigieł. Leżały luźno, jak chyba nigdy wcześniej. Przeczuły widać zbliżającą się śmierć Sorollo, bo udały się od razu w stronę jej głowy, żeby wbić swoje złotawo lśniące ostrza w mózg Humanki, wypełniając się jej pamięcią. Ich odwołki pęczniały niebezpiecznie, nie radząc sobie z ogromem wiedzy branż. Zaraz pękną, ale jeszcze na krótki czas obudzą się do życia, dając wyborne asocjacyjne przedstawienie. Turil wydał na zakup tych igieł majątek. Kiedyś, gdzieś. Tu i teraz nie miało to już znaczenia. Jego dotychczasowe życie wydało mu się tak odległe, jak gdyby żył nim ktoś inny. W pewnym sensie była to nawet prawda.

– Potrzebne mi są medwróżki! – powiedział bulgoczącym głosem. W ustach miał pełno krwi. Obcej krwi.

Trochę potrwało, zanim nadleciała pierwsza, a za nią, transportująca sprzęt medyczny, reszta roju. W powietrzu słychać było łagodny szcęk skalpeli. Błyskały drobne płomyki miniaturowych zgrzewarek do skóry. Nie było Jasności i Cienia. Widocznie GELFAR zrezygnował z rekonstrukcji swoich mobilnych pomocników.

– Tylko się nie pomył! – ostrzegł Turil ciągle milczącą sferę statku, kiedy zbliżyła się do niego pierwsza medwróżka. – Już raz mnie oszukałeś. Od ciebie zależy wymiar twojej kary.

Blefował. Nie był w stanie nawet się wyprostować i zanim pociągnąłby GELFARA do odpowiedzialności, sam by raczej umarł. Musiałby to za niego załatwić ktoś inny...

– Nie wiedziałem nic o zamiarach Sorollo! – Ofenau po raz pierwszy zabrał głos. Podszedł bliżej, blady jak śmierć. Drżał na całym ciele, bardziej niż Turil. – Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła.

– Sam mogę to sobie dośpiewać. – powiedział Turil apatycznie. – Kix Karambui gra nieuczciwie. Niezłe wykorzystuje możliwości, jakie daje mu jego funkcja w ARMIDORNIE, żeby rozszerzyć swoją władzę. Sorollo była jego uległym instrumentem. Kiedy zacząłem tańczyć nie tak, jak mi zagrał, przełączył ją na bardziej agresywny tryb. – Jedna z medwróżek, chichocząc, wpiła się swym ostrym

korpusem w szpik roztrzaskanej kości udowej. Medykamenty stabilizujące krwioobieg zapobiegły omdleniu pacjenta. – U ciebie mogą zadziałać podobne mechanizmy. Więc również ciebie będę musiał wyeliminować.

– Ale...

– Dużo się zmieniło w ciągu ostatnich kilku godzin – ciągnął Turil. Dwie medwóżki rozchyliły mu usta, właczając mazistą masę w powstałą w szczęce lukę. Materiał natychmiast został utwardzony. – Zawarłem z Queresmą umowę. Wszystkie inne układy straciły ważność.

Ofenau sprawiał wrażenie bezradnego. Żadna z jego branż nie wiedziała, o co chodzi, bo i skąd? Spoglądał gdzieś w dal, szukając argumentów zdolnych nakłonić Turila do oszczędzenia mu życia.

Tuż obok niego eksplodowała jedna z nekroigieł; zaraz potem druga. Pojawiły się zarysy szybko zmieniających się obrazów, rozbrzmiała nigdy wcześniej niesłyszana muzyka. Turil zdał sobie sprawę, że nie usłyszy eposu o śmierci Sorollo w skończonej formie. Zrobiło mu się niemal przykro.

– Nic złego nie zrobiłem – powiedział Ofenau, zupełnie zrezygnowany. – Chciałem ratować życie. Czynić dobrze.

– Ja również. – Turil zaśmiał się gorzko. – A teraz popatrz na mnie. Moją psychiką manipulowano przez dziesięciolecia. Rozłożono mnie na części, jak trzodę po uboju, żeby z resztek wyhodować mnie na nowo. A teraz muszę dzielić się jaźnią z jakąś nieznaną mi istotą. Sądzisz, że życzyłem sobie takiego życiorysu?

– Nie.

Dlaczego Ofenau się nie bronił? Był zbyt słaby albo, w głębi duszy, zatęsknił za śmiercią? Czy on wiedział, że koncepcja branż nie miała przyszłości?

– Nie sądzę, żeby poddano mnie kondycjonowaniu – odparł w końcu Kseniata.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– A jeśli pozwolę GELFAROWI na zbadanie mojej duszy?

– Statkowi nie należy ufać. Przedsięwzięcie wszystko, żeby mi wyrządzić krzywdę. Jest tym, czym jest – wrogiem mego ludu.

– Czyli... to koniec?

– W rzeczy samej. Chociaż...

– Tak? – Ofenau podszedł bliżej. Na jego twarzy mieszały się nadzieja i żądza. Tak, jak Turil się tego spodziewał. Plan, zaproponowany przez Queresmę, nabierał kształtów. Także ten Kseniata odczuwał lęk przed śmiercią. Większość istot nie wiedziała, jak uporządkować swoją egzystencję, i żyła w nadziei na jakieś da capo, nawet jeśli jej przeznaczenie dawno się już wypełniło.

– Mogę zapewnić ci kontynuację życia. Forma i rodzaj może nie będą ci specjalnie odpowiadać, ale lepsze to niż nic.

– Lepsze niż nic... – powtórzył Ofenau.

Turil zobaczył, jak ostatnia nekroigła ulega zniszczeniu, a wraz z nią ulotne wspomnienia Sorollo. Kseniatka była teraz tylko pustą powłoką, kupką gnijącego mięsa.

– Powiedz mi, co zamierzasz – poprosił Ofenau.

Turil opowiedział.

## 29. SECHSEN

Kiedy dotarli do miejsca spotkania Marimów, Momed, dziecko statku, wykrzyczał resztki bólu. Był zupełnie wycieńczony i niemal zabrakło mu sił, żeby wyhamować barkę zwaną GELFAREM opodal bezimiennego pulsara.

Panew lokalizacji rozbłysła przeolbrzymim sześcianem floty Kitarów. Obracające się gładkie powierzchnie odbijały światło, łudząc zmysły. Granice centralnej zapory nie były zbyt odległe. W tej okolicy dawały się zauważyć dziwne zjawiska. Prawa rządzące czasoprzestrzenią obowiązywały tylko warunkowo, mogły się zmienić w każdej chwili, uniemożliwiając opuszczenie komukolwiek tego rejonu.

Nikt nie zwracał uwagi na GELFARA. Hordy Marimów opuszczały statki. Lokacja namierzała ich jako nieforemne ciała bez struktury, których ociążałość znikwała zaraz po wydostaniu się w próżnię.

Turil patrzył w skupieniu na spektakl nieoglądany do tej pory przez żadnego Humana. Żaden Kitar nie był podobny do drugiego. W odwiecznym chłodzie Łysego Wora pozbywali się wszelkich konwenansów i zrzucali cielesne powłoki niczym zbędne dodatki, aby zaraz po przebudzeniu ożywić przestrzeń aktywną krzątaniną. Czuli się dobrze w swoim żywiole, który dla innych istot oznaczał pewną śmierć. Rozwinęły się i skierowały ku sobie metrowe struny nerwów, wiążąc się w plątaninie nieustannie rosnącego wspólnego ciała. Wykonując przypominające taniec ruchy, jednoczyły się z powstającą strukturą. Wydawało się, że każdy Marim dokładnie wie, gdzie w kuli znajduje się jego miejsce.

– Już czas – powiedział Turil. – Idę. – Środki przeciwbólne przestawały działać. Medwóżki opatrzyły go prowizorycznie. Na pełną regenerację nie wystarczyło czasu – i nigdy go już nie będzie.

– Być może jest jeszcze jakaś inna możliwość... – zaczął Ofenau z ociąganiem.

– Nie. – Turil po raz ostatni skinął głową w kierunku Kseniaty. Ofenau nie był wart w jego oczach ani pożegnania, ani uścisku ręki.

Gdyby grabarz miał wybór, na pewno wyszukałby do realizacji swojego planu innego partnera.

Dla GELFARA również nie znalazł odpowiednich słów. W pokazie siły wziął go w kleszcze, pozwalając mu zaledwie na zachowanie szczątkowej świadomości. Turil nie chciał, i nie wolno mu było, go zabijać. Nie pozwalał mu na to jego plan. Ale GELFAR będzie cierpieć straszliwe męki.

Turil związał ciasniej płaszcz ceremonialny – po raz ostatni! – połknął małą porcję kautu – po raz ostatni! – i przetransferował się, niesiony euforią, do sfery tańczących, skłębionych Marimów.

Znalazł się w otwartym wszechświecie. Funkcje ochronne płaszcza były wyłączone. Turil oddychał i nie odczuwał zimna. Jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie...

Kitarzy zareagowali na jego przybycie. Ich zrosnięte ciała zadrgały spazmatycznie. Poczul w głowie przekaz myśli.

Odzyskałeś własną wolę!, usłyszał w sobie Queresmę. Ale teraz to ciało należy do mnie.

Turil wahał się. A gdyby...

Queresma nie pozostawił mu czasu do namysłu. Odsunął ducha Turila na bok i sam, moszcząc sobie miejsce w ciele grabarza, przejął kontrolę nad świadomością. Z niechęcią zaakceptował obecność płaszcza ceremonialnego.

Wróciłem!, przekazał telepatycznie w kierunku zebranych Marimów. Przybyłem, żeby wam pomóc!

Zaczęły mu odpowiadać zewnętrzne i wewnętrzne jednostki. Ich impulsy dawały się odczuć jako przyjazne i pełne ciekawości, ale najczęściej na pierwszy plan wysuwało się uczucie ulgi. Jednostki przywoływały Queresmę, prosiły go swoim pozbawionym słów mentalnym śpiewem o zajęcie właściwego mu miejsca w koncercie SECHSENU, w końcu...

Queresma nie wahał się ani chwili. Wiedział, co należy robić, chociaż nigdy dotąd nie sprawował kierownictwa.

Wyzwolił ciało Humana z płaszcza ceremonialnego, skazując je tym samym na śmierć. Krew zaczęła się warzyć, skóra pękać, z oczu wypływała przezroczysta ciecz, od razu krystalizując. Wszystkie funkcje wyhodowanego ciała wygasły. Grabarz Turil spotkał śmierć.



Ciało Marima wy dostało się gwałtownie z niepotrzebnej powłoki, porzucając ją jak wąż skórę. Queresma poczuł na sobie niemal perfekcyjną nieskazitelność kosmosu. Węszył i smakował bliskość pulsara oraz wszystkich pozostałych promiennych iluminacji, przynoszących ulgę jemu i jemu podobnym...

Nie może nadal się wahać. Musi się zatroszczyć o powodzenie SECHSENU. Jego osobiste samopoczucie było sprawą drugorzędną. Intuicyjnie wsunął się w ciąg promieni, przemieszczając się z wolna za ich pomocą w kierunku splotu Marimów. Tu i ówdzie dotykał innych, dodając im nadziei i wiary w siebie. Jakże długo musieli wytrwać bez SECHSENU! Przeolbrzymi wszechogarniający ból. Ledwie udało im się utworzyć ten konglomerat ciał. Rozgałęzienia obcych Marimów przesuwają go naprzód, ku środkowi kuli. Szybciej! Wszystko musiało działać się bardzo szybko, nie było czasu do stracenia! Ciała zbliżały się, łączyły ze sobą. Niedługo nie będzie można się przez nie przedostać. Queresma skurczył się, wypychając się i przeciskając bez skrpułów pomiędzy nimi. Odczuwał wszechobecne zakłopotanie. Lęk przed niepowodzeniem. Wściekłość, bo tak długo kazał im czekać. Nadzieję na rekonwalescencję, na wiele nowych cykli, podczas których będzie im przewodnikiem... Aż sam nie wyznaczy następcy, aż sam nie mianuje nowego Queresmy...

Przed jego oczami powstawał plan labiryntu z ciał. Dokładnie wiedział, jak ma się teraz poruszać i jak się wewnątrz niego nie zgubić. Jego droga została nakreślona. Napotkane tutaj istoty były najstarszymi i najdojrzalszymi Marimami, jednak i na nich wycisnęły piętno lata oczekiwania. Queresma przemieszczał się naprzód bardzo wolno. Przeszkadzały mu w tym ubliżenia, napady gniewu, ogólna złość. Zagroził mu drogę zupełnie obłąkany Marim, próbując przeszkodzić w zajęciu miejsca. Queresma zabił go z ciężkim sercem, a lojalni współplemieńcy wynieśli nieprzydatne ciało na brzeg SECHSENU, przekazując je nieskończoności kosmosu.

W końcu dotarł do celu, do małej luki w kłębowisku. Wyciągnął swoje czułki nerwowe w kierunku pasujących wypustek, istniejących w SECHSENIE od zarania dziejów. Był ostatnim kawałkiem olbrzymich puzzli. Był przynoszącym szczęście,

zbawicielem. Queresma dopasował się do całości i spoczął w spokoju, podczas gdy wokół niego tętniło życie. Po jakimś czasie ostatni z Marimów zajął swoje miejsce, wypełniając ostatnią lukę układanki. SECHSEN był gotowy. Teraz kolej Queresmy, by zainicjować rytuał zdrowienia i uwalniania jego ludu od nadmiaru agresji. Musi zacząć. Więc zaczął.

Dysharmonia. Nierówność. Niepewność. Bezradność. Smutek. Setki czynników, nigdy wcześniej nieodczuwanych, zamykały im drogę do SECHSENU. Ich wspólne ciało groziło rozpadem. Queresma trzymał je w całości całą swoją siłą, zaklinając, żeby podjęli jeszcze jedną próbę, żeby wzmogli koncentrację i wolę. Oporni Marimowie posłuchali. Ponownie wzmocniła się sieć nerwów, masy mózgowej i podstawowej substancji biologicznej, która po zakończeniu SECHSENU sprowadzi ich z powrotem do zastępczych ciał. Ale o tym Queresma nie mógł myśleć. Nie teraz, nie w tej decydującej chwili. Być może miał do dyspozycji tylko tę jedną, dodatkową próbę. Musi się udać. Musi...

I znowu się nie udało. Wzrosła irytacja, podobnie zwątpienie. Od powierzchni SECHSENU odłączyło się już kilku pojedynczych Marimów. Odpłynęli, pogrążeni w szoku. Nie!, krzyknął Queresma w pustkę, nie pozwól im odejść!

Zawołanie poskutkowało; ponownie wzmocniono wspólnymi siłami kuliste ciało. Marimowie pochwycili renegatów, kotwicząc ich wśród innych ciał. Pozostali zwarci i związani rytuałem inicjacyjnym SECHSENU.

Zewsząd dobiegały Queresmę impulsy pożądania i zwątpienia. Nacisk był coraz większy, myśli Marimów dążyły w jednym kierunku. Musieli się rozładować i znaleźć wybawienie. Co rozpoczęło się delikatnym i czułym dotykiem, przeistaczało się w brutalną bezwzględną przepychankę.

Co zrobił nie tak? Czyżby jego poprzednik nie przekazał mu całej wiedzy potrzebnej do organizacji SECHSENU? A może ciało-gospodarz wywarło na niego zły wpływ? Spoczywał w nim przez tak długi czas, bez poczucia własnej tożsamości...

I nagle poczuł, że jest już za późno. Dał z siebie wszystko, w bezgranicznym optymizmie zgromadził wokół siebie Marimów,

zmuszając ich do tańca w takt SECHSENU. Lecz obłąd, który w porywach dopadał jego towarzyszy, nie przemijał. Przelewał się przez konglomerat ich ciał, powodował ich nieskoordynowane, arytmiczne ruchy. Nigdy już nie uda im się uzyskać wymaganej harmonii. Misja się nie powiodła.

Wiesz, co masz zrobić!, upomniał go cichy głos Turila. Nie wolno ci wypuszczać ich znowu na światy Łysego Wora.

Grabarz miał rację. Byli strażnikami karzącymi za złe zachowanie i nie mordowali bez powodu. Doświadczalnych ludów nie wolno było wytępić. Eksperyment musiał być kontynuowany.

Queresma poczuł coś, czego nie było dane doznać żadnemu z jego poprzedników. Smutek. Dlaczego akurat on musiał stać się grabarzem własnego ludu?

Działaj!, nalegał Turil. Inaczej zabraknie ci sił!

Ciało SECHSENU groziło ostatecznym rozpadem. Zwlekał zbyt długo. Marimowie wiedzieli, że nigdy nie osiągną ostatecznego wybawienia, starali się więc wyładować złość gdzie indziej. Queresma z całą brutalnością pochwycił miotanych gniewem członków swego rodu. Wysłał im myśl współczucia i zainicjował impuls śmierci.

Kitarzy skonali.

## 30. ZMARTWYCHWSTANIE

Podczas kolejnego seansu nagrania, Ofenau ponownie opanował lęk. Wciśnięte, splątane ze sobą ciała Kitarów wysyłały fale agresji odczuwalne w odległości kilkuset kilometrów. Powoli słabnące, zauważalne były nawet po niszczycielskim akcie.

– A więc koniec – powiedział Kix Karambui. Otaczał go szwadron pomocników. Jego obydwaj nosoramiona drgały, bił od niego metaliczny zapach. – Dobra robota, Ofenau.

– Dziękuję. – Kseniata zachowywał możliwie daleki dystans do swojego stwórcy. Wiedział już wystarczająco dużo, żeby prawidłowo interpretować złowieszcze zamiary sekretarza ARMIDORNU.

– Chwileczkę! – Kix Karambui zajął wyczekującą pozycję. – Twoja opowieść wykazuje istotne luki. Nie poruszyłeś tematu śmierci partnerki. Chcę mieć jak najszybciej pisemne sprawozdanie z zaistniałych wydarzeń.

– Nie. – Lux Daibi, ksenopsycholog w Ofenau, zdobył się na sprzeciw.

– Co to ma znaczyć? – Kix Karambui uniósł swoje fasetowe ciało, przewyższając Ofenau o dwie głowy. – Nie zapominaj, komu zawdzięczasz egzystencję.

– Nie zadawaj sobie trudu. – Głos Ofenau drżał. Nawet jeśli wiedział, że Kix Karambui nie jest w stanie nic mu zrobić, resztki niepewności pozostały. – Byłem twoim uległym sługą i narzędziem, ale te czasy już się skończyły. Od tej chwili idziemy własnymi drogami. Mam inne sprawy do załatwienia.

– Inne sprawy?! – krzyknął savoir-robot tak głośno, że Ofenau o mało nie popękały bębenki. – Jeden mój rozkaz i zanurzysz się z powrotem w pierwotnej zupie, z której powołałem cię do życia! Podlegasz mnie, nikomu innemu!

– Mylisz się. – Ofenau zdobył się na uśmiezek. – Od teraz jestem swoim własnym panem i mistrzem. Turil wyczyścił mnie i moje branże. Dobrze wiedział, z własnego doświadczenia, czego należy szukać, i znalazł wszystkie donatory impulsów czyniące mnie narzędziem w twoich rękach. Uwolniłem się od ciebie.

– Masz czelność pojawiać się na pokładzie HALBA i rozmawiać ze mną w ten sposób? Czy wiesz, co mogę z tobą zrobić, jeśli tylko będę miał ochotę?

– Zupełnie nic. Już się zabezpieczyłem. Z wiadomych powodów.  
– Ofenau bawił się w zamyśleniu ostatnim guzikiem u góry płaszcza ceremonialnego należącego kiedyś do Turila. Wyłapał go z pustki kosmosu po tym, jak Kitarzy doszczętnie się wypalili. Dopasowanie go do jego osoby odbyło się bezproblemowo. Jak do tej pory ani płaszcz, ani GELFAR nie odważyli się stawić czoła nowemu panu sfery statku. Nowe natarcie jest jednak wyłącznie kwestią czasu. Ofenau musi się jeszcze wiele nauczyć.

Przez chwilę wyglądało na to, że Kix Karambui przypuści atak. Ostatecznie savoir-robot zdobył się tylko na wyplucie pod nogi Ofenau porządnej dawki kwasu.

– Jeśli sądzisz, że stać cię na bunt przeciwko mnie, to się mylisz. Wynoś się stąd i korzystaj z tych paru dni życia, jakie ci jeszcze pozostały. Będę cię obserwował, będę cię śledził. A wtedy, kiedy najmniej będziesz się tego spodziewał, słono zapłacisz za swoją bezczelność.

– Nie zadawaj sobie trudu. GELFAR sprawuje nade mną pieczę.

– GELFAR?! Sfera statku?!

– Jestem jej nowym panem.

– Przecież nie jesteś grabarzem! Nigdy nie będzie ci posłuszna.

– Zobaczymy.

Cztery z sześciu branż nalegały na jak najszybsze odejście. Ale Lux Daibi, który cały czas pozostawał aktywny, powiedział:

– To ty, z łaski swojej, uważaj, żebym nigdy się na ciebie nie natknął, sekretarzu! Zniszczenie Kitarów było na rękę nam obu. Ale na tym kończy się nasza płaszczyzna porozumienia. Będę dokładnie obserwował, czy dalej wykorzystujesz ARMIDORN do swoich niecznych interesów. Jeśli tak, możesz spodziewać się ingerencji. Bądź tego pewien.

– Wielkie słowa jak na bezwartościowe eksperymentalne stworzenie.

– Sprowokuj mnie, Kixie Karmabui. Zrób mi tę przyjemność. Daj mi powód zadania ci bólu...

Te słowa sprawiły przyjemność wszystkim branzom, i miło było obserwować reakcję *savoir-robot*. Kix Karambui pochylił się i przyjął pozycję obronną. Bał się. A może tylko udawał? A może stwórca Ofenau nadal pociągał za sznurki i utrzymywał go w miejscu, w którym sam chciał? A może wszystko przewidział i oczekiwał teraz następstw zaistniałych wypadków?

Ofenau poczuł się nieswojo. Szybko opuścił HALB i kazał płaszczowi ceremonialnemu przetransportować się na pokład GELFARA. Trochę potrwa, zanim nauczy się mieć kaut pod kontrolą, zapewniając sobie wygodniejszy transfer.

Ofenau przestąpił próg Hali Wspomnień, pomieszczenia, które sprawiało wrażenie pustego, a mieściło w sobie nieprzeliczone zasoby wiedzy, idei, pomysłów, marzeń i fantazji. Żaden z krewatarów się nie pokazał. Wszyscy odczuwali lęk przed zmianami, które zaszły na pokładzie GELFARA, nie potrafiąc należycie ocenić ambicji ich nowego pana.

– Muszę z tobą porozmawiać – zawołał.

Nadleciała bezkształtna postać. Mieniła się złociście, emanując mgiełką melancholii.

– Jak zareagował Kix Karambui? – zapytał Turil.

– Tak, jak przewidziałeś. Jest świadom swojej władzy, ale obawia się działań ze strony sfery statku. Nie jest pewny swego.

– Dobrze... To dobrze. Przez jakiś czas powstrzyma go to przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Przy odrobinie szczęścia będziemy mogli zaczerpnąć powietrza i przygotować się na to, co nastąpi.

– Wierzysz w to?

– To raczej kwestia nadziei, nie wiary. – Turil podfrunął bliżej. Twarz krewatara przybrała rysy Humana. – Mamy tyle spraw do załatwienia...

– Myślisz, że nam się uda?

– Zapomniałeś już, że nie potrzebuję snu? – Dało się słyszeć coś w rodzaju śmiechu. – Uczę się, przez cały czas. Zaczynam wszystko pojmować. Czuję GELFARA i wiem, jak sobie z nim poradzić. Jeżeli będziesz przychodził do mnie w regularnych odstępach czasu, będę cię przed nim chronić i nie pozwolę, żeby cię oszukał. Kiedyś staniesz się wystarczająco samodzielny i będziesz mógł sam się z

nim uporać. A wtedy wykorzystamy go, aby zakończyć walkę o Szary Dwór Pokoju. Ku zadowoleniu obu stron.

– Pomimo że przez lata cię wykorzystywano i oszukiwano, chcesz pomóc grabarzom?

– Jestem produktem tanatologicznego wychowania. Poza tym jestem ciekawy. Było w moim życiu tyle tajemniczych zdarzeń... Chciałbym je wyjaśnić.

– Jesteś szczęśliwy, Turilu?

– Mam nadzieję kiedyś nim zostać. A teraz, jeśli mógłbym cię przeprosić, Ofenau... Muszę zastanowić się nad kilkoma sprawami. Jutro zaczynamy szkolenie. Będziesz niezwykłym sternikiem.

– A co by się stało, gdybym zechciał cię oszukać? Dlaczego tak mi ufasz? W każdej chwili mogę opuścić GELFARA.

– Wiem, jak temu zapobiec. Ostatecznie stanowią jedyne ogniwo pomiędzy tobą a sferą statku. Tylko ja jestem w stanie ujarzmić GELFARA.

Ofenau się nie odezwał. W milczeniu opuścił Halę Wspomnień. Nie miał pojęcia, jakimi środkami dysponuje krewatar Turila. Czy naprawdę jest w stanie opuścić swą alkowę w hali i przejąć władzę nad GELFAREM? Co naprawdę planuje?

Od tej chwili na każdym kroku Kseniatę będzie dręczyła niepewność. Ale, jak sam musiał przyznać, nic się właściwie nie zmieniło. W dalszym ciągu pozostawał czymś narzędziem. Sytuacja zaostrzy się, kiedy Turil zdobędzie już wszystkie potrzebne mu informacje i przeimplantuje swoją świadomość w wolne miejsce w mózgu Ofenau. Jako branżę...

Przy wyjściu z hali czekała na niego Jasność. Obdarzyła go pełnym nadziei wzrokiem. Ofenau cieszył się na nadchodzący okres ciszy.

# Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>1. NAJAZD..</u>	<u>3</u>
<u>2. DZIEŃ WCZEŚNIEJ: WYROCNIA..</u>	<u>10</u>
<u>3. CEREMONIA ZABIJANIA..</u>	<u>29</u>
<u>4. ARMIDORN..</u>	<u>41</u>
<u>5. NA POKŁADZIE GELFARA..</u>	<u>51</u>
<u>6. SEKCJA..</u>	<u>68</u>
<u>7. MROCZNA DROGA KU PRZESZŁOŚCI.</u>	<u>76</u>
<u>8. ZMIANA PLANÓW...</u>	<u>92</u>
<u>9. ZNISZCZENIE I.</u>	<u>98</u>
<u>10. FAURUM...</u>	<u>111</u>
<u>11. LOS I PRZYPADEK?.</u>	<u>137</u>
<u>12. SPOTKANIE..</u>	<u>142</u>
<u>13. RODZEŃSTWO..</u>	<u>148</u>
<u>14. AKTA EGZEKUCJI.</u>	<u>150</u>
<u>15. ZNISZCZENIE II.</u>	<u>159</u>
<u>16. WALKA O WŁADZĘ..</u>	<u>166</u>
<u>17. DECYZJE..</u>	<u>174</u>
<u>18. WIELKI THANG..</u>	<u>177</u>
<u>19. ROZSTRZYGNIĘCIE BLISKO?.</u>	<u>190</u>
<u>20. LECZENIE I REKONWALESCENCJA..</u>	<u>192</u>
<u>21. PRZESZŁOŚĆ I TERAŃNIEJSZOŚĆ, A PRZEDE WSZYSTKIM:</u>	
<u>QUERESMA..</u>	<u>196</u>
<u>22. PSCHOIM: HISTORIA STATKU I STERNIKA..</u>	<u>210</u>
<u>23. BRZEMIENNA W SKUTKI DECYZJA I TRIUMFALNY</u>	
<u>POWRÓT.</u>	<u>215</u>
<u>24. OBŁĘD KIXA KARAMBUI.</u>	<u>222</u>
<u>25. Z POWROTEM NA HABERCAINIE..</u>	<u>225</u>
<u>26. BEZOAR..</u>	<u>238</u>
<u>27. WYCOFANIE..</u>	<u>240</u>
<u>28. NOWY PORZĄDEK..</u>	<u>242</u>
<u>29. SECHSEN..</u>	<u>249</u>
<u>30. ZMARTWYCHWSTANIE..</u>	<u>253</u>